AUTORKA BESTSELLERA **WSPÓŁLOKATORZY**

BETH O'LEARY

ZAMIANA

LEENA JEST ZA MŁODA, ŻEBY UTKNĄĆ W MIEJSCU.

EILEEN JEST ZA STARA, ŻEBY ZACZYNAĆ OD NOWA.

ALBATROS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ZABAWNA I CZARUJĄCA POWIEŚĆ
AUTORKI BESTSELLEROWYCH
„WSPÓŁLOKATORÓW”

Leena, która kompletnie nawaliła podczas ważnej prezentacji, jest zmuszona do dwumiesięcznego urlopu. Choć od dawna skupiała się wyłącznie na pracy, perspektywa wolnego czasu wcale jej nie cieszy.

Jej porzucona przez męża babcia, Eileen, postanawia znaleźć sobie towarzysza. Niekoniecznie na całe życie – zadowoli się wieczorami… czy raczej nocami. Niestety, w najbliższej okolicy nie ma odpowiednich kandydatów.

Leena wpada na genialny pomysł: zamienią się na dwa miesiące. Babcia wprowadzi się do jej mieszkania w Londynie, a ona spędzi ten czas w wiejskim domu Eileen.

Lecz upragniony spokój na wsi zakłóca Leenie pewien przystojny nauczyciel, a kipiący energią Londyn i randki online stanowią dla Eileen nie lada wyzwanie.

Czy ta prosta zamiana naprawdę będzie taka prosta?
Co znajdą, jeśli zaczną żyć zupełnie innym życiem niż dotychczas?

BETH O'LEARY

ZAMIANA

Z angielskiego przełożył
Łukasz Praski

BETH O’LEARY

Absolwentka filologii angielskiej, zaczynająca swoją karierę w wydawnictwie publikującym książki dla dzieci. Mieszka na przedmieściach Londynu, swoją pierwszą powieść napisała w podmiejskim pociągu. Teraz jest pełnoetatową powieściopisarką, która jeśli akurat nie pisze, na pewno czyta coś porywającego, owinięta kocem, z filiżanką herbaty w ręce.

betholearyauthor.com

Tej autorki

WSPÓŁLOKATORZY
ZAMIANA

Tytuł oryginału:
THE SWITCH

Copyright © Beth O’Leary Ltd 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2020

Redakcja: Joanna Kumaszewska

Ilustracja na okładce i projekt graficzny okładki oryginalnej: Helen Crawford-White, studiohelen.co.uk

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8215-209-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

1. Leena
2. Eileen
3. Leena
4. Eileen
5. Leena
6. Eileen
7. Leena
8. Eileen
9. Leena
10. Eileen
11. Leena
12. Eileen
13. Leena
14. Eileen
15. Leena
16. Eileen
17. Leena
18. Eileen
19. Leena

20. Eileen
21. Leena
22. Eileen
23. Leena
24. Eileen
25. Leena
26. Eileen
27. Leena
28. Eileen
29. Leena
30. Eileen
31. Leena
32. Eileen
33. Leena
34. Eileen
35. Leena
36. Eileen
37. Leena
38. Eileen
39. Leena
Epilog. Eileen
Podziękowania
Przypisy

Dla Heleny i Jeannine,
moich dzielnych, fantastycznych i inspirujących
babć

1
Leena

– Chyba powinnyśmy się zamienić – mówię do Bee, unosząc się do półprzysiadu, żeby widzieć ją nad ekranem monitora. – Mam cykora. Ty powinnaś zacząć, a ja skończę i dzięki temu, zanim przyjdzie moja kolej, będę mniej… no wiesz… – Poruszam rękami, próbując opisać swój stan ducha.

– Mniej machała łapami?

– Daj spokój, proszę.

– Leeno, droga przyjaciółko. Mój ideale. Królowo upierdliwości. O wiele lepiej ode mnie zaczynasz prezentacje, więc nie będziemy zmieniać kolejności dziesięć minut przed spotkaniem z kluczowym klientem, tak jak nie zamieniałyśmy się na ostatniej radzie projektu ani na przedostatniej, ani na przedprzedostatniej, bo to by był czysty obłęd.

Poza tym, szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia, co jest na pierwszych slajdach.

Opadam na krzesło.

– No tak, racja. – Znowu się podnoszę. – Ale tym razem czuję się naprawdę…

– Hm – odpowiada Bee, nie odrywając oczu od ekranu. – Jasne. Nigdy nie czułaś się gorzej. Dygoczesz, pocą ci się ręce i tak dalej. Tyle że jak tam wejdziesz, zaraz staniesz się czarująca i błyskotliwa jak zawsze i nikt niczego nie zauważy.

– A jeżeli coś mi…

– Nic ci.

– Bee, naprawdę myślę, że…

– Wiem.

– Ale tym razem…

– Zostało osiem minut, Leena. Spróbuj sztuczki z oddychaniem.

– Jakiej sztuczki z oddychaniem?

Bee waha się przez moment.

– No, wiesz. Z oddychaniem.

– Mówisz o normalnym oddychaniu? – pytam. – Myślałam, że chodzi o jakąś technikę medytacyjną.

Kwituje to prychnięciem i przez chwilę milczy.

– Leena, setki razy radziłaś sobie w znacznie gorszych sytuacjach – odzywa się w końcu.

Krzywię się, ściskając w dłoniach kubek z kawą. W dołku u podstawy żeber gniecie mnie strach, tak prawdziwy, że wydaje się namacalny – jak guz, jak kamień, który można by wyciąć nożem.

– Wiem – mówię. – Wiem, że sobie radziłam.

– Musisz tylko odzyskać swoją magiczną moc – radzi Bee. – Jedyny sposób to nie dać się wypchnąć z ringu. Jasne? Słuchaj, przecież jesteś Leeną Cotton, najmłodszą starszą konsultantką w firmie, osobowością roku dwa tysiące dwudziestego w Selmount Consulting. A już niedługo… – zniża głos – pewnego dnia współwłaścicielką naszej firmy. Tak?

Tak. Tyle że w ogóle nie czuję się tamtą Leeną Cotton.

Bee przygląda mi się z troską, marszcząc pociągnięte kredką brwi. Zamykam oczy i siłą woli staram się pokonać strach. Na chwilę się udaje: w krótkim przebłysku wraca do mnie osoba, jaką byłam półtora roku temu, osoba, która śpiewająco przeszłaby przez taką prezentację, bez najmniejszego potknięcia.

– Bee, Leena, jesteście gotowe?! – woła asystent dyrektora, idąc przez biuro Upgo

Finance.

Wstaję i nagle wiruje mi w głowie; atakuje mnie fala mdłości. Łapię się krawędzi biurka. Cholera. Tego jeszcze nie grali.

– Nic ci nie jest? – szepcze Bee.

Przełykam ślinę i przyciskam ręce do biurka, aż nadgarstki przeszywa ból. Przez chwilę wydaje mi się, że chyba tego nie zrobię – nie mam siły, Boże, jaka jestem zmęczona – ale po chwili wreszcie odzywa się mój charakter.

– Oczywiście – rzucam. – Zaczynajmy.

*

Mija pół godziny. To naprawdę niewiele czasu. W trzydzieści minut nie da się obejrzeć całego odcinka *Buffy: Postrachu wampirów* ani… ani upiec dużego ziemniaka. Można natomiast totalnie zrujnować sobie karierę.

Bałam się tego. Od ponad roku mozolę się z pracą, jestem rozkojarzona, zaliczam różne pomyłki i kiksy, które zwykle po prostu mi się nie zdarzają. Jak gdybym od śmierci Carli przestała być praworęczna i nagle wszystko zaczęła robić lewą ręką. Ale napinam się, staram i naprawdę sądziłam, że dam radę.

Najwyraźniej jednak nie.

Przysięgam, myślałam, że umrę na tym spotkaniu. Kiedyś na studiach przeżyłam atak paniki, ale tym razem było znacznie gorzej. Nigdy do tego stopnia nie straciłam panowania nad sobą. Czułam się tak, jakby mój strach zaczął żyć własnym życiem: nie był już twardym guzem, ale wyrosły mu macki, które zaciskały się na moich nadgarstkach i kostkach i sięgały do gardła. Serce biło coraz szybciej i szybciej, jak gdyby przestało być częścią mojego ciała i zmieniło się w uwięzionego ptaka, który tłucze się jak oszalały o klatkę żeber.

Gdybym pomyliła się przy jednej sumie przychodów, można by to jeszcze wybaczyć. Ale kiedy to się stało, ogarnęły mnie mdłości, popełniłam drugi błąd, potem następny, oddech stał się za szybki, a mózg… nie zasnuł się mgłą, tylko wypełnił ostrym światłem. Oślepiająco ostrym.

Kiedy więc Bee wtrąciła: „Pozwolisz, może ja…”

a potem ktoś inny stwierdził: „No nie, przecież to śmieszne…”

i gdy dyrektor generalny Upgo Finance zasugerował: „Chyba już wystarczy, nie sądzicie…?”

byłam załatwiona. Łapałam oddech, zgięta wpół, pewna, że za chwilę umrę.

– Już dobrze – powtarza Bee, mocno ściskając mnie za ręce. Siedzimy zaszyte w jednoosobowym przeszklonym boksie w rogu biura Upgo; kiedy mnie tu przyprowadziła, byłam w stanie hiperwentylacji i miałam przepoconą bluzkę. – Już dobrze. Jestem przy tobie.

Wciągam powietrze chrapliwymi haustami.

– Selmount stracił przeze mnie kontrakt z Upgo? – wydobywam z siebie.

– Rebecca właśnie rozmawia z dyrektorem. Na pewno wszystko się ułoży. Nie myśl o tym, oddychaj.

– Leena?! – woła ktoś. – Leena, dobrze się czujesz?

Nie otwieram oczu. Jeżeli będę tak siedzieć w ciemności, może okaże się, że to nie jest głos asystentki mojej szefowej.

– Leena? To ja, Ceci, asystentka Rebekki.

Kurczę, jakim cudem tak szybko się tu zjawiła? Z siedziby Selmount do biura Upgo metrem jedzie się co najmniej dwadzieścia minut.

– Och, Leena, co za historia! – mówi Ceci. Podchodzi do boksu i masuje mi ramię

irytującym okrężnym ruchem. – Biedactwo. Tak, wypłacz się.

Wcale nie płaczę. Powoli wypuszczam powietrze z płuc, patrzę na Ceci w designerskiej sukience i z niezwykle triumfalnym uśmiechem na ustach i po raz setny przypominam sobie w duchu, że należy wspierać inne kobiety w biznesie. Naprawdę głęboko w to wierzę. Kieruję się tą zasadą i zamierzam się jej trzymać, wspinając się po szczeblach kariery na sam szczyt.

Kobiety są jednak także ludźmi. A niektórzy ludzie są okropni.

– Co możemy dla ciebie zrobić, Ceci? – pyta przez zęby Bee.

– Rebecca przysłała mnie, żebym sprawdziła, czy nic ci nie jest – zwraca się do mnie asystentka szefowej. – Wiesz, po tym twoim… – przebiera palcami w powietrzu – małym zachwianiu. – Brzęczy jej iPhone. – O, właśnie przysłała mi maila.

Bee i ja czekamy spięte. Ceci niemiłosiernie długo czyta wiadomość.

– No i co? – pyta Bee.

– Hm? – mruczy Ceci.

– Rebecca? Co napisała? Czy moje… czy przeze mnie straciliśmy kontrakt? – jąkam.

Przechyla głowę, ciągle wpatrując się w telefon. Czekamy. Czuję falę paniki, która też czeka – by mnie zatopić.

– Rebecca wszystko załatwiła. Jest fantastyczna, prawda? Nie wycofują się z projektu z Selmount i mimo sytuacji okazali wielką wyrozumiałość – informuje nas w końcu Ceci. – Chce teraz z tobą porozmawiać, więc powinnaś chyba pędzić do biura.

– Gdzie? – wyduszam z siebie. – Gdzie chce się ze mną spotkać?

– Hm? W pokoju pięć C, w dziale HR.

No jasne. Gdzież by indziej mogła mnie wywalić, jeśli nie w dziale kadr?

*

Rebecca i ja siedzimy naprzeciw siebie. Towarzyszy jej Judy z działu HR. Siedzi po jej stronie stołu, nie po mojej, a to nie jest dobry znak.

Moja szefowa odgarnia włosy z twarzy i patrzy na mnie z mieszaniną smutku i współczucia, co odczytuję jako bardzo zły znak. Przecież to Rebecca, królowa szorstkiej przyjaźni, mistrzyni wbijania szpil w najmniej spodziewanym momencie. Kiedyś powiedziała

mi, że jedyną skuteczną drogą do najlepszych wyników jest oczekiwanie niemożliwego.

Jeżeli jest dla mnie miła, to w zasadzie oznacza, że straciła nadzieję.

– Leena, dobrze się czujesz? – zaczyna.

– Ależ tak, oczywiście, nic mi nie jest – mówię. – Rebecca, pozwól, że wszystko wyjaśnię. To, co się stało na spotkaniu… – Milknę, bo marszczy brwi i macha ręką.

– Słuchaj, Leena, wiem, że świetnie grasz swoją rolę, i Bóg mi świadkiem, że cię za to uwielbiam. – Zerka na Judy. – Selmount ceni twój… charakter i pozytywne nastawienie. Ale przestańmy pieprzyć. Wyglądasz jak siedem cholernych nieszczęść.

Judy dyskretnie kaszle.

– Zastanawiamy się właśnie, czy nie jesteś trochę wyczerpana – ciągnie na jednym oddechu Rebecca. – Sprawdziliśmy twoje papiery. Wiesz, kiedy ostatni raz brałaś wolne?

– Czy to… podchwytliwe pytanie?

– Tak jest, bo w ciągu ostatniego roku nie wzięłaś ani jednego dnia z przysługującego ci urlopu. – Rebecca piorunuje wzrokiem Judy. – Co, nawiasem mówiąc, w ogóle nie powinno być możliwe.

– Mówiłam ci już – syczy Judy. – Nie wiem, jak się prześliznęła.

W odróżnieniu od niej wiem, jak się prześliznęłam. Dział kadr głównie mówi o tym, że dba, aby personel wykorzystywał roczny przydział urlopu, ale w rzeczywistości ogranicza się do przysyłania maila dwa razy do roku z informacją, ile zostało ci dni, i dorzucania na zachętę czegoś o „równowadze psychicznej i fizycznej", o „naszym holistycznym podejściu do pracownika" i „potrzebie przejścia na tryb offline, by zmaksymalizować swój potencjał".

– Naprawdę, Rebecca, nic mi nie jest. Bardzo mi przykro za moje… że dzisiaj rano przerwałam spotkanie, ale jeżeli pozwolisz mi…

Znowu mars i machnięcie ręki.

– Leena, przepraszam. Wiem, że to dla ciebie strasznie trudny czas. Praca nad tym projektem jest niezwykle stresująca i od pewnego czasu mam wrażenie, że zlecając ci go, nie byliśmy wobec ciebie fair. To prawda, że kiedy mówię coś takiego, zwykle robię sobie jaja, ale twoje dobro naprawdę leży mi na sercu, jasne? No więc po rozmowie z naszymi partnerami uzgodniliśmy, że zabieramy ci projekt dla Upgo.

Nagle wstrząsa mną idiotyczny niekontrolowany dreszcz, którym moje ciało

przypomina mi, że nie odzyskałam jeszcze nad nim panowania. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Rebecca nie daje mi dojść do głosu.

– Postanowiliśmy też nie powierzać ci żadnego projektu przez najbliższe dwa miesiące – kontynuuje. – Potraktuj to jako urlop regeneracyjny. Dwa miesiące. Nie wolno ci wracać do Selmount, dopóki nie odpoczniesz i przestaniesz wyglądać jak osoba, która spędziła rok na froncie. Zgoda?

– To nie jest konieczne – zapewniam ją. – Rebecca, proszę, daj mi szansę udowodnić, że…

– Do cholery, Leena, dostajesz prezent – rzuca rozdrażnionym tonem. – Płatny urlop! Dwa miesiące!

– Nie chcę. Chcę pracować.

– Doprawdy?! Twoja mina mówi, że masz ochotę zasnąć. Myślisz, że nie wiem, że w tym tygodniu codziennie ślęczałaś do drugiej w nocy?

– Przepraszam. Wiem, że powinnam się trzymać regularnych godzin pracy. Było tylko kilka…

– Nie krytykuję cię za sposób zarządzania czasem pracy. Pytam cię tylko, kobieto, kiedy ty, do cholery, odpoczywasz.

Judy wydaje serię dyskretnych kaszlnięć. Rebecca posyła jej zirytowane spojrzenie.

– Tydzień – proponuję z rozpaczą. – Wezmę tydzień wolnego, odpocznę, a kiedy wrócę…

– Dwa. Miesiące. Koniec dyskusji. To nie są negocjacje. Potrzebujesz tego czasu. Mam ci to udowodnić? Nie zmuszaj mnie, żebym poszczuła cię działem HR. – Towarzyszy temu lekceważący ruch głową w kierunku Judy, a ta cofa brodę, jakby nagle ktoś z rozmachem dał jej w twarz albo trzepnął ją w czoło.

Czuję, że znowu oddycham szybciej. Zgadza się, miałam trochę trudności, ale nie mogę wziąć dwóch miesięcy urlopu. W Selmount chodzi przede wszystkim o reputację – jeżeli po spotkaniu w Upgo wycofam się z gry na całe osiem tygodni, stanę się pośmiewiskiem.

– W ciągu ośmiu tygodni nic się nie zmieni – uspokaja mnie Rebecca. – Słyszysz? Kiedy wrócisz, będziemy na ciebie czekać. A ty będziesz tą samą Leeną Cotton, najmłodszą starszą konsultantką, najbardziej pracowitą i łebską dziewczyną w firmie. – Przygląda mi się badawczo. – Każdy czasem potrzebuje przerwy. Nawet ty.

Kiedy wychodzę ze spotkania, jest mi niedobrze. Myślałam, że mnie wyleją –

przygotowałam sobie nawet odpowiedni tekst o nieuzasadnionym zwolnieniu. Ale… urlop wypoczynkowy?

– I co? – Bee wyrasta tuż przede mną, więc muszę ostro zahamować, by na nią nie wpaść. – Czatowałam na ciebie – wyjaśnia. – Co powiedziała Rebecca?

– Powiedziała… że muszę wziąć urlop.

Bee wlepia we mnie zdumione spojrzenie.

– Chodźmy na lunch.

*

Kiedy idziemy Commercial Street, omijając slalomem turystów i biznesmenów, telefon dzwoni mi w ręce. Zerkam na ekran i potykam się, omal nie zderzając się z mężczyzną, który ściska w zębach jak fajkę elektronicznego papierosa.

Bee patrzy mi przez ramię na wyświetlacz.

– Nie musisz teraz odbierać. Niech sobie dzwoni.

Zawieszam palec nad zieloną ikonką na ekranie. Ramieniem trącam w bark idącego z naprzeciwka mężczyznę w garniturze; facet cmoka z niesmakiem, a ja gwałtownie zataczam

się na drugą stronę chodnika i Bee musi mnie podtrzymać.

– Co byś mi kazała zrobić, gdybym była na twoim miejscu? – próbuje Bee.

Odbieram telefon. Bee wzdycha i otwiera drzwi Watson's Café, naszej ulubionej knajpki na rzadkie i szczególne okazje, gdy udaje się nam opuścić biuro Selmount, żeby coś zjeść.

– Cześć, mamo – mówię.

– Leena, witaj!

Wzdrygam się. Z radosnego tonu i wystudiowanej swobody domyślam się, że przed telefonem dobrze przećwiczyła to powitanie.

– Chcę z tobą porozmawiać o hipnoterapii – oznajmia.

Siadam naprzeciwko Bee.

– O czym?

– O hipnoterapii – powtarza mama, tym razem z mniejszą pewnością siebie. – Słyszałaś o tym? Robi to ktoś w Leeds i wydaje mi się, że coś takiego mogłoby być dla nas naprawdę dobre. Może poszłybyśmy we dwie, kiedy przyjedziesz następnym razem, co?

– Mamo, nie potrzebuję hipnoterapii.

– On nie hipnotyzuje ludzi, jak na przykład Derren Brown, tylko…

– Nie potrzebuję hipnoterapii. – Brzmi to szorstko; z drugiej strony zapada bolesne milczenie. Zamykam oczy, znowu opanowując oddech. – Możesz spróbować, ale ja sobie bez niej poradzę.

– Po prostu myślę, że może… może dobrze byłoby zrobić coś razem, to niekoniecznie musi być terapia, ale…

Zauważam, że pominęła „hipno”. Przygładzam włosy, czując pod palcami znajomą sztywność lakieru i unikając wzroku Bee.

– Myślę, że powinnyśmy porozmawiać w jakimś miejscu, gdzie… nie mówi się krzywdzących rzeczy. Gdzie po prostu toczy się pozytywny dialog.

W rozmowie wyczuwam efekty najnowszego poradnika mamy. Zdradza je wyważony ton, bezosobowość, wyrażenia typu „krzywdzące rzeczy”, „pozytywny dialog”. Ale gdy zaczynam się wahać i mam już na końcu języka „Tak, mamo, jeżeli to ma ci poprawić samopoczucie…”, myślę o decyzji, którą mama pomogła podjąć Carli. O tym, że pozwoliła mojej siostrze przerwać leczenie i… skapitulować.

Nie jestem pewna, czy nawet hipnoterapia w stylu Derrena Browna pomogłaby mi się z tym uporać.

– Zastanowię się nad tym – mówię. – Do widzenia, mamo.

– Pa, Leena.

Bee przygląda mi się zza stolika, czekając, aż pozbieram myśli.

– W porządku? – pyta w końcu. Przez ostatni rok pracowała ze mną nad projektem dla Upgo; od śmierci Carli widzi mnie pięć razy w tygodniu przez cały dzień. Wie o moich relacjach z matką tyle samo co mój chłopak, jeśli nie więcej – z Ethanem spotykam się tylko w weekendy i raz na jakiś czas wieczorem w środku tygodnia, jeżeli oboje punktualnie wychodzimy z pracy, a z Bee spędzam około szesnastu godzin dziennie.

Mocno przecieram oczy; na rękach mam grudki tuszu do rzęs. Muszę wyglądać jak nieszczęście.

– Miałaś rację – przyznaję. – Powinnam nie odbierać telefonu. Fatalnie to rozegrałam.

– Wydawało mi się, że nieźle sobie poradziłaś – stwierdza Bee.

– Proszę cię, pogadajmy o czymś innym. O czymś, co nie ma związku z moją rodziną. Ani z pracą. Ani z czymś w podobnym stopniu koszmarnym. Opowiedz mi o swojej wczorajszej randce.

– Jeżeli nie chcesz słuchać o czymś koszmarnym, musisz wybrać inny temat – oświadcza Bee, sadowiąc się wygodniej na krześle.

– Och, nie było dobrze? – pytam.

Połykam łzy, ale Bee uprzejmie brnie dalej, udając, że tego nie zauważa.

– Nie. Wstrętnie. Wiedziałam to od razu, kiedy się nachylił, żeby mnie pocałować w policzek, i poczułam stęchły, spleśniały zapach ręcznika z męskiej szatni, którym chyba przemył sobie twarz.

Działa – wyobrażenie jest wystarczająco paskudne, żebym wróciła do teraźniejszości.

– Fuj – rzucam.

– A w kąciku oka miał dużą kulkę ropy. Jak glut.

– Och, Bee… – Szukam odpowiednich słów, które by ją przekonały, żeby nie skreślała tak szybko ludzi, ale wygląda na to, że opuściły mnie umiejętności perswazyjne, zresztą to skojarzenie z ręcznikiem jest naprawdę obrzydliwe.

– Jestem prawie gotowa dać sobie spokój i pogodzić się, że na wieki zostanę samotną matką – ciągnie Bee, starając się zwrócić na nas uwagę kelnera. – Doszłam do wniosku, że randki są rzeczywiście gorsze od samotności. Kiedy

jesteś sama, to przynajmniej nie masz nadziei, prawda?

– Nie masz nadziei?

– No, nie masz. Wspaniale. Wszyscy wiemy, jak to wygląda: człowiek sam przychodzi na świat, tak samo z niego odchodzi i tak dalej, i tak dalej… Natomiast randki… randki są pełne nadziei. Prawdę mówiąc, randki to długi i bolesny proces odkrywania, jak bardzo ludzie mogą cię rozczarować. Za każdym razem, gdy zaczynasz wierzyć, że spotkałaś dobrego, miłego faceta… – porusza w powietrzu palcami – zaraz wychodzą na jaw problemy z mamusią, kruche ego i dziwne serowe fetysze.

Kelner wreszcie spogląda w naszą stronę.

– To co zawsze?! – woła przez całą salę.

– Tak! I dodatkowa porcja syropu na jej naleśnikach! – odpowiada Bee, wskazując na mnie.

– „Serowe” fetysze? – upewniam się, że dobrze usłyszałam.

– Powiedzmy, że zobaczyłam parę zdjęć, które mocno zraziły mnie do brie.

– Brie? – powtarzam ze zgrozą. – Boże, przecież brie jest taki pyszny! Jak można zdemoralizować brie?

Bee gładzi mnie po ręce.

– Mam nadzieję, że nie będziesz się musiała o tym nigdy przekonać, moja droga. Słuchaj, skoro mam cię pocieszać, to może porozmawiamy o twoim idealnym życiu uczuciowym, co? Pewnie zaczęło się już odliczanie i Ethan lada chwila się oświadczy. – Dostrzega moją minę. – O tym też nie chcesz rozmawiać?

– Po prostu… – Macham rękami i znowu pieką mnie oczy. – Ogarnia mnie wielka fala przerażenia. O Boże, Boże, Boże…

– Mogę wiedzieć, w związku z którym kryzysem życiowym wzywasz boskiego imienia? – pyta Bee.

– W związku z pracą. – Wciskam zgięte palce w oczy, dopóki nie poczuję bólu. – Nie wierzę, że przez całe dwa miesiące nie dostanę żadnego projektu. To jak… jak małe wylanie z pracy.

– Tak naprawdę – mówi Bee, a ja na dźwięk tonu jej głosu opuszczam ręce i otwieram oczy – to dwumiesięczny urlop.

– No tak, ale…

– Leena, uwielbiam cię i wiem, że jesteś teraz w cholernym dołku, ale spróbuj zrozumieć: to może być coś dobrego! Trudno mi będzie dalej cię uwielbiać, jeżeli przez najbliższe osiem

tygodni zamierzasz narzekać, że dostałaś dwa miesiące płatnego urlopu.

– Och, przecież…

– Mogłabyś wyjechać na Bali! Albo na wyprawę do lasów deszczowych Amazonii! Albo w rejs dookoła świata! – Unosi brwi. – Wiesz, ile bym dała za taką wolność?

Przełykam ślinę.

– No tak. Racja. Przepraszam, Bee.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że dla ciebie to coś więcej niż wolne od pracy. Pomyśl tylko o tych z nas, którzy spędzają urlop w muzeach dinozaurów, po których biegają tabuny dziewięciolatków, dobrze?

Powoli robię wdech i wypuszczam powietrze z płuc, czekając, aż jej słowa do mnie dotrą.

– Dziękuję – mówię, gdy do naszego stolika zbliża się kelner. – Musiałam to usłyszeć.

Bee uśmiecha się i spogląda na talerz.

– Wiesz – rzuca mimochodem – mogłabyś wykorzystać ten czas, żeby wrócić do naszego biznesplanu.

Krzywię się. Od paru lat przymierzamy się z Bee do założenia własnej firmy konsultingowej – byłyśmy już gotowe zdecydować się na ten krok, gdy zachorowała Carla. A teraz wszystko… trochę utknęło w miejscu.

– Tak. – Silę się na radosny ton. – Oczywiście.

Bee unosi brew. Mój zapał więdnie.

– Przepraszam cię, Bee. Naprawdę chcę, ale wydaje mi się, że… to po prostu niemożliwe. Jak mamy ruszyć z własną firmą, jeżeli trudno mi nawet utrzymać pracę w Selmount?

Z zamyśloną miną przeżuwa kawałek naleśnika.

– Okay – mówi. – Jasne, ostatnio twoja pewność siebie trochę ucierpiała. Mogę poczekać. Ale nawet jeżeli nie wykorzystasz tego czasu na nasz biznesplan, powinnaś go wykorzystać, żeby popracować nad sobą. Moja Leena Cotton nie mówi, że jej jedynym upragnionym celem jest „utrzymanie pracy”, i na pewno nie używa słowa „niemożliwe”. Chcę zobaczyć swoją Leenę Cotton. No więc… – celuje we mnie widelcem – masz dwa miesiące, żeby ją znaleźć.

– Jak mam to zrobić?

Bee wzrusza ramionami.

– „Odnajdywanie siebie” raczej nie jest moją mocną stroną. Ja tu tylko nakreślam strategię, produkt końcowy należy do ciebie.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Dziękuję, Bee. – Nieoczekiwanie ściskam jej dłoń. – Jesteś wspaniała. Naprawdę. Niesamowita.

– Hm… Powiedz to wszystkim samotnym facetom w Londynie, moja droga. – Delikatnie poklepuje moją dłoń, po czym znowu bierze widelec.

2
Eileen

Mijają właśnie cztery długie urocze miesiące, odkąd mój mąż uciekł z naszą instruktorką tańca, i do tej chwili ani razu za nim nie zatęskniłam.

Spod przymrużonych powiek patrzę na stojący na kredensie słoik. Chociaż mój nadgarstek wciąż pulsuje przeszywającym bólem po kwadransie mocowania się z zakrętką, nie zamierzam się poddawać. Niektóre kobiety są same przez całe życie, a mimo to jedzą rzeczy ze słoików.

Piorunuję słoik wzrokiem, a siebie besztam w myślach. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Urodziłam dziecko. Przykuwałam się łańcuchem do buldożera, żeby ratować las. Postawiłam się Betsy w sprawie nowych zasad parkowania na Lower Lane.

Przecież potrafię otworzyć ten przeklęty słoik z sosem do makaronu.

Dec przygląda mi się z parapetu, gdy przetrząsam szufladę z przyborami kuchennymi w poszukiwaniu narzędzia, które zastąpi moje coraz mniej użyteczne palce.

– Uważasz mnie za stukniętą staruszkę, prawda? – zwracam się do kota.

Dec macha ogonem. To sardoniczne machnięcie. *Wszyscy ludzie są stuknięci*, mówi ruch jego ogona. *Powinnaś brać przykład ze mnie. Mnie otwierają wszystkie słoiki.*

– Ciesz się, że swoją dzisiejszą kolację masz w torebce – odpowiadam, grożąc mu łyżką do spaghetti. Właściwie nie przepadam za kotami. To był pomysł Wade'a, żeby w zeszłym roku wziąć dwa kocięta, ale stracił zainteresowanie Dekiem i Antem, kiedy na horyzoncie pojawiła się panna Cza-cza-cza. Doszedł do wniosku, że Hamleigh jest dla niego za małe, a koty trzymają w domu tylko starsi ludzie. „Możesz je zatrzymać – oznajmił mi wielkodusznie. – Bardziej pasują do twojego stylu życia".

Nadęty dureń. Zresztą i tak jest starszy ode mnie – we wrześniu skończy osiemdziesiąt jeden lat. A jeśli chodzi o mój styl życia… Pożyjemy,

zobaczymy, Wadzie Cotton. Pożyjemy, zobaczymy, do cholery.

– Wiele rzeczy się zmieni, Declan – mówię do kota, zaciskając palce na rękojeści noża do chleba, leżącego w głębi szuflady. Niewzruszony Dec wolno mruży oczy i nagle otwiera je szeroko i śmiga z parapetu, kiedy unoszę oburącz nóż, żeby go wbić w pokrywkę słoika. Dziurawię ją z cichym „ha!”; udaje mi się dopiero po kilku próbach, jak gdybym była początkującą morderczynią z Agathy Christie, ale gdy łapię zakrętkę, tym razem puszcza bez trudu. Nucąc pod nosem, triumfalnie wrzucam zawartość do rondelka.

Proszę bardzo. Gdy sos się podgrzał, a makaron ugotował, sadowię się w jadalni z herbatą i studiuję swoją listę.

Basil Wallingham

Plusy:
– Mieszka na mojej ulicy, tylko parę kroków ode mnie
– Ma własne zęby
– I wciąż na tyle ikry, żeby przeganiać wiewiórki z karmników

Minusy:
– Potworny nudziarz
– Zawsze chodzi w tweedowych marynarkach
– Niewykluczone, że faszysta

Pan Rogers

Plusy:
– Tylko 67 lat
– Gęsta czupryna (godna podziwu)
– Tańczy jak Pasza z *Tańca z gwiazdami*
(godne jeszcze większego podziwu)
– Uprzejmy dla wszystkich, nawet dla Basila
(godne największego podziwu)

Minusy:
– Niezwykle religijny, bardzo pobożny.
Pewnie nudny w łóżku (?)
– Odwiedza Hamleigh tylko raz w miesiącu
– Nie wykazuje zainteresowania nikim oprócz
Jezusa

Dr Piotr Nowak

Plusy:
– Polak. Fascynujące!

– Lekarz. Przydatna sprawa przy dolegliwościach
– Ciekawy rozmówca, znakomity gracz w scrabble

Minusy:
– Dla mnie trochę za młody (59 lat)
– Prawie na pewno wciąż kocha byłą żonę
– Wyglądem trochę przypomina Wade'a (nie ze swojej winy, ale to odpychające)

Nie przerywając jedzenia, sięgam po długopis. Przez cały dzień ignorowałam tę myśl, ale… powinnam umieścić na liście wszystkich samotnych dżentelmenów w odpowiednim wieku. W końcu wstawiłam tu Basila, prawda?

Arnold Macintyre

Plusy:
– Mieszka po sąsiedzku
– Odpowiedni wiek (72)

Minusy:
– Obmierzła postać

– Otruł mojego królika (zgoda, na razie brak dowodów, ale wiem, że to on)
– Przyciął gałęzie mojego drzewa, na którym było mnóstwo ptasich gniazd
– Wysysa ze świata całą radość
– Niewykluczone, że na śniadanie pożera kocięta
– Prawdopodobnie wywodzi się od ogrów
– Nie cierpi mnie prawie tak jak ja jego

Po chwili wykreślam „Prawdopodobnie wywodzi się od ogrów”, ponieważ nie powinnam mieszać do tego jego rodziców – mogli być przecież całkiem miłymi ludźmi. Zostawiam jednak punkt o kociętach na śniadanie.

Proszę bardzo. Pełna lista. Przechylam głowę, ale oglądana z ukosa, jest tak samo przygnębiająca jak wtedy, gdy patrzę na nią wprost. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: w Hamleigh-in-Harksdale, liczącym stu sześćdziesięciu ośmiu mieszkańców, nie ma w czym wybierać. Jeśli w tym stadium życia chcę znaleźć miłość, muszę szukać dalej od domu. Na przykład w Tauntingham. W Tauntingham mieszka co najmniej dwieście osób i autobusem jedzie się tam zaledwie pół godziny.

Dzwoni telefon; odbieram w salonie w ostatniej chwili.

– Halo?

– Babcia? Tu Leena.

Rozpromieniam się w uśmiechu.

– Zaczekaj, tylko siądę.

Sadowię się w swoim ulubionym zielonym fotelu w róże. Telefony wnuczki zawsze są dla mnie najmilszą chwilą dnia. Nawet gdy były przejmująco smutne, kiedy rozmawiałyśmy tylko o śmierci Carli – albo o wszystkim innym oprócz niej, bo ten temat sprawiał za dużo bólu – nawet wtedy telefony od Leeny dodawały mi sił.

– Co u ciebie, skarbie? – pytam ją.

– Wszystko w porządku. A u ciebie?

Mrużę oczy.

– U ciebie wcale nie jest w porządku – mówię.

– Wiem, wyrwało mi się, przepraszam. Ktoś kicha i odruchowo mówi się „Na zdrowie”. – Słyszę, jak przełyka ślinę. – Babciu, miałam… miałam w pracy atak paniki. Wysłali mnie na dwumiesięczny urlop wypoczynkowy.

– Och, Leena! – Przyciskam dłoń do serca. – Ależ to nic złego, że dają ci wolne. Mała przerwa od tego wszystkiego dobrze ci zrobi.

– Odstawiają mnie na boczny tor. Nawaliłam, babciu.

– Hm, to zrozumiałe, zwłaszcza…

– Nie – przerywa mi łamiącym się głosem – wcale nie. Boże… obiecałam Carli, mówiłam jej, że kiedy jej nie będzie, postaram się, żeby mi to w niczym nie przeszkodziło, a ona zawsze mówiła… mówiła, że jest taka dumna, ale teraz…

Płacze. Wczepiam palce w zapinany sweter, tak jak Dec albo Ant wbijają w niego pazury, gdy siedzą mi na kolanach. Nawet w dzieciństwie Leena prawie nigdy nie płakała. W odróżnieniu od Carli. Kiedy ta się zdenerwowała, wyrzucała w górę ręce i wyglądała jak uosobienie nieszczęścia odgrywane przez aktorkę melodramatu – trudno się było nie roześmiać. Natomiast Leena robiła tylko ponurą minę i spuszczała głowę, spoglądając z wyrzutem spod długich, ciemnych rzęs.

– Daj spokój, skarbie. Carla na pewno chciałaby, żebyś zrobiła sobie wakacje – pocieszam ją.

– Wiem, powinnam myśleć, że to wakacje, ale nie potrafię. Po prostu… jestem na siebie wściekła, że tak schrzaniłam sprawę. – Ostatnie słowa są stłumione, jakby zasłoniła usta dłonią.

Zdejmuję okulary i pocieram grzbiet nosa.

– Niczego nie schrzaniłaś, skarbie. Jesteś zestresowana, i tyle. Może przyjechałabyś na

weekend? Przy kubku gorącej czekolady każda rzecz wygląda lepiej. Będziemy mogły spokojnie porozmawiać, w Hamleigh możesz się oderwać od tego wszystkiego…

Zapada długa cisza.

– Strasznie dawno mnie nie odwiedzałaś – dorzucam z wahaniem.

– Wiem. Bardzo przepraszam, babciu.

– Och, nie ma za co. Przyjechałaś, kiedy odszedł Wade, byłam ci za to ogromnie wdzięczna. Poza tym mam wielkie szczęście, że wnuczka tak często do mnie dzwoni.

– Wiem, że przez telefon to nie to samo. I nie chodzi o to… Przecież wiesz, że bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć.

Ani słowa o matce. Przed śmiercią Carli Leena przyjeżdżała zobaczyć się z Marian co najmniej raz w miesiącu. Kiedy skończą się te nieszczęsne nieporozumienia między nimi? Bardzo uważam, żeby o tym nie wspominać – nie chcę się wtrącać, to nie moja rola, ale…

– Dzwoniła do ciebie matka?

Znowu długie milczenie.

– Tak.

– W sprawie… – Na co się ostatecznie zdecydowała? – Hiperterapii?

– Hipnoterapii.

– Ach, tak.

Leena nie odpowiada. Nasza żelazna dziewczyna. Jak sobie mają z tym poradzić, skoro obie są tak cholernie uparte?

– Dobrze, nie mieszam się do tego – mówię do ciszy po drugiej stronie.

– Przepraszam, babciu. Wiem, że to dla ciebie trudne.

– Nie, o mnie nie musisz się martwić. Ale pomyślisz o przyjeździe na weekend? Trudno mi pomagać ci z daleka, kochanie.

Słyszę, jak pociąga nosem.

– Wiesz co, babciu? Przyjadę. Zamierzałam cię odwiedzić i… i naprawdę bardzo chcę się z tobą zobaczyć.

– No proszę! – Rozpromieniam się. – Będzie wspaniale. Przygotuję na kolację jedno z twoich ulubionych dań i wtajemniczę cię we wszystkie ploteczki z wioski. Wiesz, że Roland jest na diecie? A Betsy próbowała ufarbować włosy, ale coś nie wyszło i musiałam ją wieźć do fryzjera ze ścierką do naczyń na głowie.

Leena parska śmiechem.

– Dzięki, babciu – odzywa się po chwili. – Zawsze wiesz, co mi poprawi nastrój.

– Takie są już wszystkie Eileen – odpowiadam. – Troszczą się o siebie nawzajem. – Mówiłam jej

to, gdy była dzieckiem; tak naprawdę moja wnuczka ma na imię Eileen. Marian nazwała ją tak po mnie, gdy wszyscy przypuszczaliśmy, że umrę na ostre zapalenie płuc na początku lat dziewięćdziesiątych; a kiedy się okazało, że jednak jeszcze nie stoję nad grobem, zrobiło się trochę zamieszania i ostatecznie Leena została Leeną.

– Kocham cię, babciu – mówi.

– Ja ciebie też, skarbie.

Gdy odkłada słuchawkę, uświadamiam sobie, że nie powiedziałam jej o swoim nowym projekcie. Krzywię się. Obiecałam sobie, że powiem jej, kiedy zadzwoni następnym razem. Nie wstydzę się, że szukam miłości, ale młodym ludziom starszy człowiek, który chce się zakochać, wydaje się dość zabawny. Nie ma w tym żadnej niechęci, raczej brak refleksji, tak jak śmiejemy się z dzieci, które zachowują się jak dorośli, albo z mężów próbujących zrobić cotygodniowe zakupy.

Wracam do jadalni i przyglądam się liście mężczyzn do wzięcia w Hamleigh. Nagle przestało to być dla mnie istotne. Myślę tylko o Carli. Staram się skupić na czymś innym – tweedowych marynarkach Basila albo byłej

żonie Piotra – ale to na nic, więc siadam i pogrążam się we wspomnieniach.

Myślę o małej Carli, dziewczynce o gęstych lokach, z poobijanymi kolanami, uczepionej ręki siostry. Myślę o niej, gdy była młodą kobietą w spranym T-shircie Greenpeace, za szczupłą, ale uśmiechniętą, pełną energii i fantazji. I myślę o Carli, która leżała w pokoju od ulicy u Marian. Wychudzonej, mizernej, walczącej resztkami sił z rakiem.

Nie powinnam jej opisywać tak, jakby wydawała się słaba – to wciąż była ta sama Carla, z tą samą fantazją. Nawet podczas ostatnich odwiedzin Leeny, zaledwie kilka dni przed śmiercią, nie zamierzała tolerować głupstw wygłaszanych przez starszą siostrę.

Leżała w specjalnym szpitalnym łóżku, przywiezionym pewnego wieczoru do salonu Marian przez ekipę taktownych pracowników służby zdrowia, którzy zainstalowali je z niezwykłą wprawą i ulotnili się, zanim zdążyłam im zaproponować choćby filiżankę herbaty. Stałyśmy z Marian w drzwiach. Leena siedziała w fotelu, który przysunęłyśmy do łóżka, a potem już nigdy nie wrócił na poprzednie miejsce. Głównym elementem salonu nie był już telewizor, ale to łóżko z kremowobiałymi

barierkami po obu stronach materaca i szarym pilotem, który wiecznie gubił się pod kocami. Ustawiało się nim wysokość łóżka, by unosiło Carlę, gdy chciała usiąść.

– Jesteś niesamowita – powiedziała do siostry Leena z oczami lśniącymi od łez. – Myślę, że jesteś… niesamowita, dzielna i…

Carla wyciągnęła rękę z szybkością, o jaką wtedy bym jej nie podejrzewała, i dźgnęła siostrę w ramię.

– Przestań – rzuciła. – Nie mówiłabyś takich rzeczy, gdybym nie umierała. – Chociaż miała słaby i bezbarwny głos, można było pochwycić w nim żartobliwy ton. – Ostatnio jesteś dla mnie o wiele milsza. Dziwne. Szkoda, że mi nie wymyślasz za to, że tak marnuję życie.

Leena skrzywiła się.

– Przecież nigdy…

– Nie przejmuj się, tylko się wygłupiam.

Z niepewną miną Leena poprawiła się w fotelu, a Carla przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „Och, na litość boską”. Przyzwyczaiłam się już do widoku jej twarzy bez brwi, pamiętam jednak, jak to dziwnie wyglądało na początku – w pewnym sensie dziwniej niż brak jej długich kasztanowych loków.

– Dobrze, dobrze, już będę poważna – obiecała.

Zerknęła na mnie i Marian, a potem dotknęła dłoni Leeny palcami, które wyglądały zbyt blado na opalonej skórze siostry.

– Zgoda? No już, powaga na twarz. – Carla na moment przymknęła oczy. – Chciałam coś powiedzieć. Coś poważnego. – Otworzyła oczy i utkwiła wzrok w Leenie. – Pamiętasz, jak wyjechałyśmy pod namiot tamtego lata, kiedy wróciłaś z uniwersytetu i powiedziałaś mi, że twoim zdaniem doradztwo biznesowe to sposób, żeby zmienić świat, a ja się roześmiałam? A potem kłóciłyśmy się o kapitalizm?

– Pamiętam.

– Nie powinnam się śmiać. – Carla z trudem przełknęła ślinę; jej rysy drgnęły z bólu, napięła się skóra wokół oczu, suche usta zadrżały. – Powinnam była cię słuchać i powiedzieć ci, że jestem dumna. W pewnym sensie kształtujesz świat, naprawiasz go, a świat potrzebuje takich ludzi jak ty. Chcę, żebyś wywaliła tych wszystkich zadufanych starych facetów i sama zaczęła rządzić. Żebyś ruszyła z własną firmą. Pomagała ludziom. I obiecaj mi, że kiedy mnie nie będzie, postarasz się, żeby ci to w niczym nie przeszkodziło.

Leena siedziała z pochyloną głową, a jej ramionami wstrząsał szloch. Carla pokręciła głową.

– Leena, przestań, dobrze? Jezu, tak to się kończy, kiedy człowiek chce powiedzieć coś serio. Mam cię znowu dźgnąć?

– Nie. – Leena zaśmiała się przez łzy. – Proszę, nie. To nawet bolało.

– No więc zapamiętaj, że za każdym razem, gdy przepuścisz jakąś okazję, gdy będziesz się zastanawiać, czy sobie poradzisz, gdy pomyślisz, że chyba dasz sobie spokój z czymś, czego naprawdę chcesz… będę cię dźgać z tamtego świata.

Taka właśnie była Carla Cotton.

Zawzięta i niemądra. Dobrze wiedziała, że bez niej nie damy sobie rady.

3
Leena

Budzę się o szóstej dwadzieścia dwie, dwadzieścia dwie minuty po tym, jak zawsze dzwonił budzik, i ze stłumionym okrzykiem na ustach siadam wyprostowana na łóżku. Powodem mojego przerażenia jest chyba dziwna cisza, której nie rozrywa przeraźliwe, radosne ćwierkanie alarmu w telefonie. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie jestem spóźniona – nie muszę się zrywać i pędzić do biura. Ściślej rzecz biorąc, nie wolno mi jechać do biura.

Opadam na poduszkę i odzywają się we mnie groza i wstyd z wczoraj. Spałam fatalnie, w kółko rozpamiętując tamto spotkanie, cały czas balansując na granicy półjawy, a kiedy w końcu zasnęłam, śniła mi się Carla podczas jednej z ostatnich nocy, które spędziłam z nią w domu mamy, gdy wśliznęłam się do jej łóżka

i przytuliłam do siebie jej ciało, kruche i drobne jak u dziecka. Po jakimś czasie odepchnęła mnie łokciem. „Przestań moczyć poduszkę”, powiedziała mi, potem jednak pocałowała mnie w policzek i kazała mi iść do kuchni zrobić gorącą czekoladę, przy której gadałyśmy jeszcze trochę, chichocząc w nocy, jakbyśmy znowu były małe.

Carla nie śniła mi się od kilku dobrych miesięcy. Teraz, gdy odtwarzam w myślach sen, ogarnia mnie tak straszna tęsknota za siostrą, że wydaję z siebie zduszone „O Boże”, przypominając sobie rozpacz, która przez pierwsze miesiące niemal zwalała mnie z nóg obezwładniającymi ciosami. Wróciła na przejmujący ułamek sekundy z taką siłą, że nie wiedziałam, jak w ogóle przeżyłam tamten czas.

Niedobrze. Potrzebuję ruchu. Biegania. To mi pomoże. Wskakuję w legginsy Lululemon, które dostałam na urodziny od Ethana, wkładam stary T-shirt i wypadam z domu. Biegnę ulicami Shoreditch, później zostawiam za sobą mury z ciemnej cegły i ulicę ze street artem, mijam zrewitalizowane magazyny Clerkenwell, zamknięte bary i restauracje przy Upper Street, zadrzewione i zamożne Islington, i w końcu, zlana potem, myślę już tylko o chodniku, który

przesuwa mi się przed oczami. Następny krok, następny i następny.

Kiedy wracam, Martha, mimo zaawansowanej ciąży, stara się wcisnąć na jeden ze śmiesznych stołków barowych w stylu art déco, które wybrała do mieszkania. Ciemne włosy ma zaplecione w warkocze; Martha zawsze wygląda młodo, po prostu ma takie rysy, a jeżeli dodać do tego warkoczyki, można odnieść wrażenie, że jest w wieku, w którym raczej nie powinna rodzić dzieci.

Podsuwam jej ramię, żeby pomóc jej wgramolić się na stołek, ale odgania mnie machnięciem ręki.

– Bardzo miło z twojej strony – zapewnia mnie – ale jesteś za bardzo spocona, żeby dotykać ludzi, słonko.

Ocieram twarz dołem T-shirtu i podchodzę do zlewu, żeby nalać sobie szklankę wody.

– Przydałyby się normalne krzesła – rzucam przez ramię.

– Wcale nie! Te są idealne – mówi Martha i kręci się na stołku, próbując zmieścić na nim całą pupę.

Martha jest projektantką ekskluzywnych wnętrz. Szpanerska praca, choć nieregularna i wyczerpująca; jej klienci są koszmarnie

wybredni, wiecznie wydzwaniają do niej po godzinach, by szczegółowo analizować jakość tkanin na zasłony. Plus tego zajęcia jest taki, że ma zniżki na designerskie meble, więc porozstawiała w mieszkaniu stylowe drobiazgi, które albo nie służą niczemu – wazon w kształcie litery „W” na parapecie, żeliwna lampa, która po włączeniu rzuca ledwie widoczny blask – albo nie spełniają swojej funkcji: barowe stołki, na których nie da się siedzieć, stolik z wypukłym blatem.

Urządzanie mieszkania sprawia jednak Marcie wyraźną przyjemność, a ja tak rzadko tu bywam, że nawet mi to nie przeszkadza. Nie powinnam w ogóle dać się jej namówić na wynajęcie tego lokum, ale świeżo po przyjeździe do Londynu nie mogłam się oprzeć atrakcyjnej propozycji, by zamieszkać w dawnej drukarni. Dzisiaj to dla mnie po prostu kosztowne miejsce, w którym padam na łóżko i nie obchodzi mnie, że podobno mieszkam w „klimatycznym postindustrialnym wnętrzu”. Kiedy Martha je opuści, powinnam pogadać z Fitzem o przeprowadzce do jakiegoś sensowniejszego mieszkania. Oprócz ekscentrycznej staruszki z kotem, która mieszka obok nas, wszyscy lokatorzy budynku mają albo hipsterskie brody,

albo własne start-upy; nie sądzę, żebyśmy pasowali do Shoreditch.

– Udało ci się wieczorem pogadać z Yaz? – pytam, nalewając sobie drugą szklankę wody.

Yaz jest dziewczyną Marthy, która wyjechała ze swoją sztuką na półroczne tournée po Ameryce. Ich związek pośrednio wywołuje u mnie sporą dawkę stresu. Wszystko polega na niezwykle skomplikowanej logistyce. Są w różnych strefach czasowych, wysyłają sobie ważne dokumenty przez Atlantyk i podejmują kluczowe decyzje życiowe w rozmowach na WhatsAppie, mimo marnej jakości połączenia. Sytuacja, w jakiej się znalazły, doskonale ilustruje ich styl: Yaz wraca za osiem tygodni, by zostać właścicielką domu (którego jeszcze nie kupiła) i przeprowadzić do niego dziewczynę w ciąży, kilka dni przed przewidywanym rozwiązaniem. Na samą myśl o tym znowu oblewam się potem.

– Tak, wszystko u niej w porządku – odpowiada Martha, w roztargnieniu masując sobie brzuch. – Gada jak karabin maszynowy o Czechowie i baseballu. Zresztą znasz ten Yazowy styl. – Uśmiecha się z czułością i nagle szeroko ziewa. – Ale mizernie wygląda. Trzeba ją będzie porządnie odkarmić.

Powstrzymuję uśmiech. Chociaż Martha jeszcze nie jest matką, to odkąd ją znam, matkuje każdemu, kto znajdzie się w jej zasięgu. Jedną z jej ulubionych form ofensywnej dobroci jest odżywianie ludzi. Uparcie przyprowadza też na podwieczorek swoje koleżanki z pilatesu, nie kryjąc się z nadzieją, że pomogą się ustatkować Fitzowi, mojemu drugiemu współlokatorowi.

Skoro o nim mowa… sprawdzam godzinę na smartbandzie. Fitz ma w tym roku czwartą pracę; naprawdę nie powinien się do niej spóźnić.

– Fitz już wstał? – pytam.

Jak na zawołanie wchodzi, stawiając kołnierzyk koszuli, żeby zawiązać krawat. Zarost na jego twarzy jak zwykle wygląda na przystrzyżony od linijki; chociaż mieszkam z nim od trzech lat, do dziś nie rozumiem, jak udaje mu się osiągnąć taki efekt. Fitz – pozornie – sprawia wrażenie zorganizowanego faceta. W życiu ma wieczny bałagan, ale jego skarpetki są zawsze nieskazitelnie wyprasowane. (Na jego obronę dodam, że zawsze są widoczne – nosi spodnie o parę centymetrów za krótkie – i są znacznie ciekawsze niż u pierwszej lepszej osoby. Ma jedną parę z motywem SpongeBoba, jedną w cętki jak z obrazu van Gogha, a najbardziej

lubi swoje „skarpetki polityczne”, które na kostkach mają napis *Brexit to chujnia*).

– Wstałem. Pytanie tylko, czemu ty wstałaś, urlopowiczko? – Fitz kończy wiązać wąski krawat.

– Och, Leena, tak mi przykro – włącza się Martha. – Zupełnie zapomniałam, że nie idziesz dzisiaj do pracy. – W jej szeroko otwartych oczach maluje się współczucie. – Jak się czujesz?

– Marnie – wyznaję. – I jestem zła na siebie, że tak się czuję, bo kto czuje się marnie, kiedy dostaje płatny dwumiesięczny urlop? Ale ciągle przypominam sobie wczorajsze spotkanie. Wtedy mam ochotę zwinąć się w pozycję embrionalną i leżeć.

– Pozycja embrionalna wcale nie jest taka statyczna, jak się uważa – stwierdza Martha z grymasem na twarzy i masuje bok brzucha. – Ale to zupełnie naturalne, skarbie. Musisz odpocząć, tak podpowiada ci własne ciało. No i musisz sobie wybaczyć. Po prostu popełniłaś drobny błąd.

– Leena nigdy dotąd nie popełniała błędów – zauważa Fitz, podchodząc do blendera, żeby zrobić sobie smoothie. – Daj jej trochę czasu, żeby się przyzwyczaiła do nowej sytuacji.

Zerkam na niego spode łba.

– Popełniałam.

– W takim razie zdradź mi chociaż jeden, ideale. – Puszcza do mnie oko przez ramię.

Martha dostrzega moją zirytowaną minę i wyciąga rękę, żeby ścisnąć mi ramię, nagle przypomina sobie jednak, że jestem spocona jak mysz, więc tylko poklepuje mnie lekko po plecach.

– Masz plany na weekend? – pyta.

– Właściwie tak, jadę do Hamleigh – mówię, zerkając na telefon. Czekam na wiadomość od Ethana. Wczoraj musiał zostać do późna w pracy, liczę jednak na to, że dzisiaj wieczorem będzie miał czas. Chcę, żeby mnie objął, tak cudownie, jak tylko on potrafi, żebym mogła wtulić twarz w jego szyję i poczuć, jak przygarnia mnie do siebie całą.

– Tak? – Fitz robi kwaśną minę. – Pojedziesz na północ zobaczyć się z mamą? Naprawdę tego teraz chcesz?

– Fitz! – upomina go surowym tonem Martha. – Myślę, że to świetny pomysł, Leena. Spotkanie z babcią na pewno dobrze ci zrobi, a z mamą nie musisz się widzieć, jeżeli jeszcze nie jesteś na to gotowa. Ethan jedzie z tobą?

– Prawdopodobnie nie, pracuje nad tym projektem dla Swindon. Ma termin na przyszły

czwartek. Do późna siedzi w biurze.

Fitz odpowiada na to dość wymownym warkotem blendera. Nie musi się odzywać; wiem, że jego zdaniem Ethan i ja powinniśmy się wzajemnie traktować bardziej priorytetowo. Fakt, nie widujemy się tak często, jak byśmy chcieli – mimo że pracujemy w jednej firmie, zawsze powierzają nam różne projekty, najczęściej w jakichś zapadłych parkach przemysłowych. Ale właśnie między innymi dlatego Ethan jest taki niesamowity. Rozumie, jak ważna jest praca. Kiedy umarła Carla i ze wszystkich sił starałam się utrzymać na powierzchni, to on pomagał mi skupić się na pracy, przypominając mi, dlaczego ją uwielbiam, nakłaniając mnie, żebym płynęła naprzód i nie dała się zatopić.

Tyle że teraz nie mam pracy, z której czerpałabym siły przez najbliższe osiem tygodni. Otwierają się przede mną dwa bezdenne, ziejące pustką miesiące. Kiedy wyobrażam sobie te długie godziny ciszy, bezruchu i czasu na myślenie, mam wrażenie, że za moment wypadnie mi żołądek. Potrzebuję celu, projektu, po prostu czegoś. Jeżeli przestanę płynąć, pochłonie mnie fala i na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki z przerażenia.

*

Na ekranie telefonu sprawdzam godzinę. Ethan spóźnia się już półtorej godziny – kiedy wychodził z pracy, pewnie dopadł go jeszcze partner. Przez całe popołudnie sprzątałam mieszkanie i zdążyłam skończyć przed jego spodziewanym przyjściem, ale minęły dwie dodatkowe godziny, które spędziłam na odsuwaniu mebli, odkurzaniu nóg krzeseł i przesadnie pedantycznym sprzątaniu, dzięki któremu można się stać bohaterem programu dokumentalnego na Channel 4.

Gdy wreszcie słyszę chrobot klucza w zamku, wyczołguję się spod kanapy i otrzepuję swoją ogromną bluzę do sprzątania. Jest na niej duże zdjęcie Buffy z miną, która budzi największy postrach wampirów. (Większość moich rzeczy, które nie są kostiumami, to porozciągane abnegackie bluzy i swetry. Może nie mam czasu na śledzenie najnowszych kultowych seriali, ale potrafię okazać lojalność – szczerze mówiąc, to jedyny rodzaj konfekcji, na jaki moim zdaniem warto wydawać pieniądze).

Ethan wchodzi do pokoju i teatralnie tłumi okrzyk zaskoczenia, obracając się i oglądając odmienione wnętrze. Bo rzeczywiście wygląda

wspaniale. Dbamy o porządek w mieszkaniu, ale dzisiaj po prostu lśni czystością.

– Powinienem się domyślić, że nie wytrzymasz nawet dnia bez jakiejś szalonej krzątaniny. – Ethan spada na mnie jak pikujący jastrząb, żeby mnie pocałować. Pachnie mocną cytrusową wodą kolońską i ma zimny nos od marcowego deszczu. – Mieszkanie wygląda super. Miałabyś ochotę zająć się moim?

Trzepię go w ramię, a on śmieje się, odrzucając z czoła ciemne włosy w charakterystyczny dla niego sposób. Pochyla się i znowu mnie całuje, a ja przez moment jestem zazdrosna, bo wyczuwam buzującą w nim energię, którą wyniósł z pracy. Brakuje mi tego uczucia.

– Przepraszam za spóźnienie. – Odsuwa się ode mnie i rusza do kuchni. – Li wziął mnie na bok, żeby omówić dane o nakładach na B plus R do oceny projektu Webstera. Znasz go, za Chiny nie złapie żadnej aluzji. Jak się trzymasz, mój aniele?! – woła przez ramię.

Żołądek mi się skręca. *Jak się trzymasz, mój aniele?* Codziennie zadawał mi to pytanie przez telefon, kiedy Carla ledwie trzymała się życia; mówił to w drzwiach, zjawiając się u mnie z butelką wina i otwartymi ramionami, kiedy go

potrzebowałam; pytał o to, gdy chwiejnym krokiem szłam przez salę na pogrzebie Carli, ściskając go za rękę tak mocno, że na pewno go bolało. Bez niego nie przetrwałabym tego wszystkiego. Nie wiem, czy istnieje na świecie miara, którą da się zważyć wdzięczność za to, że ktoś przeprowadza cię przez najczarniejsze chwile twojego życia.

– Chyba… dobrze – odpowiadam.

Ethan wraca; jego stopy w samych skarpetkach wyglądają nieco absurdalnie w zestawieniu z garniturem.

– Wydaje mi się, że to dobra rzecz – mówi. – Ten urlop.

– Tak myślisz? – Osuwam się na kanapę. Ethan sadowi się obok mnie i kładzie sobie na kolanach moje nogi.

– Oczywiście. Przecież nie musisz tracić kontaktu. Wiesz, że zawsze możesz dołożyć jakąś cegiełkę do moich projektów, a ja szepnę Rebecce, że bardzo mi pomagasz, żeby wiedziała, że mimo urlopu nie tracisz pary.

Siadam odrobinę prościej.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Całuje mnie. – Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Zmieniam pozycję, żeby lepiej go widzieć: jego subtelne, wyraziste usta, miękkie ciemne włosy, drobne skupisko piegów nad prawą kością policzkową. Jest taki piękny i jest przy mnie, kiedy najbardziej go potrzebuję. Mam niewiarygodne szczęście, że znalazłam tego faceta.

Pochyla się, żeby wziąć torbę z laptopem, którą powiesił na poręczy kanapy.

– Chcesz przejrzeć ze mną prezentację? Do oceny projektu Webstera?

Waham się, ale on już otwiera laptop i ustawia mi na kolanach, więc odchylam się na oparcie, słucham, jak mówi, i zdaję sobie sprawę, że Ethan ma rację – to rzeczywiście pomaga. Słysząc jego cichy głos opowiadający o dochodach i prognozach, czuję się prawie sobą.

4
Eileen

W piątek po południu jest trochę zawracania głowy – Dec zostawił na wycieraczce pod drzwiami wnętrzności myszy. Z kociego punktu widzenia miał to być na pewno miły gest, ale trudno było usunąć to paskudztwo z podeszew moich ulubionych butów. Nieco zdyszana, w ostatniej chwili wpadam do lokalnej sali komunalnej na zebranie Straży Sąsiedzkiej.

Straż Sąsiedzka Hamleigh to nieformalne, lecz prężnie działające stowarzyszenie. Przestępczość bardzo niepokoi mieszkańców Hamleigh-in-Harksdale, mimo że o ile dobrze pamiętam, jedynym przestępstwem popełnionym tu w ciągu ostatnich pięciu lat była kradzież kosiarki Basila… choć później okazało się, że pożyczyła ją od niego Betsy, która zaklina się, że wcześniej pytała go o zgodę. Wszystko jedno, komu

należałoby wierzyć, trudno jednak mówić o epidemii przestępczości u nas, więc cotygodniowe dwugodzinne zebranie wydaje się lekką przesadą.

Na szczęście teraz ja dowodzę Strażą Sąsiedzką, a Betsy jest wicekomendantką (uzgodniono, że ze względu na wspomnianą przeszłość kryminalną Betsy nie może pełnić funkcji komendantki). Ponieważ – formalnie rzecz biorąc – nie jesteśmy Strażą Sąsiedzką, ale grupą ludzi, którzy lubią patrzeć na ręce sąsiadom, nie musimy trzymać się żadnych zasad ani przepisów. Dlatego przestaliśmy udawać, że rozmawiamy o przestępczości, i skupiamy się na plotkach, skandalach we wsi i narzekaniach na konkurencyjne wioski. Potem wprowadziliśmy ciastka gratis w sporej ilości, zaopatrzyliśmy krzesła w poduszki i sprawiliśmy sobie tabliczkę TYLKO DLA CZŁONKÓW, którą wieszamy na drzwiach sali podczas zebrań, co wzbudza zazdrość w każdym, kto nie należy do Straży Sąsiedzkiej, a wszyscy jej członkowie zadzierają nosa, dumni z tego, że zaliczają się do klubu.

Betsy rozpoczyna zebranie, stukając sędziowskim młotkiem w stolik. (Bóg jeden wie, skąd wzięła ten młotek, ale korzysta z każdej okazji, by go użyć. Któregoś dnia, gdy Basil był

wyjątkowo napastliwy podczas wyjazdu na bingo, stuknęła go nim w czoło. To skutecznie zamknęło mu usta. Doktor Piotr wziął ją później na bok, aby jej wyjaśnić, że ze względu na udar, jakiego niedawno doznał Basil, powinien unikać urazów głowy).

– Jaki jest pierwszy punkt porządku obrad?! – woła Betsy.

Podaję jej program zebrania.

<u>20 marca, zebranie Straży Sąsiedzkiej</u>

1. Powitanie
2. Poczęstunek: herbata i ciastka
3. Doktor Piotr: kwestia parkowania przed przychodnią lekarską
4. Roland: czy nadal bojkotujemy bar Julie? Wniosek o rewizję decyzji – brak innych miejsc, w których można kupić kanapki z bekonem
5. Betsy: wyjaśnienie, czy rzeczywiście wraca moda na spodnie culotte
6. Ciastka, herbata
7. Eileen: wieczór przebojów filmowych sprzed lat – wniosek o zakaz wyświetlania filmów z Jackiem Nicholsonem, trudno go

już znieść, na pewno istnieje jakiś inny starszy pan, który potrafi grać
8. Basil: najnowsze wieści z frontu Wojny z Wiewiórkami
9. Jakieś przestępstwa?
10. Ciastka, herbata
11. Wolne wnioski

Herbatę parzy Basil, co oznacza, że będzie paskudnie słaba i połowa z nas będzie miała torebki w kubkach, bo z powodu swojej krótkowzroczności Basil nie zauważa, których nie wyłowił. Betsy przyniosła natomiast znakomity zestaw herbatników. Chrupię imbirowe ciastko, a Piotr z przejęciem mówi o „tych z nas, którzy stawiają skutery inwalidzkie w poprzek dwóch miejsc parkingowych” (ma na myśli Rolanda) i o „konsekwencjach takiej sytuacji dla innych pacjentów” (chodzi o Basila, który zawsze na to narzeka).

Myślę o liście leżącej na stole w mojej jadalni i bezwiednie wyobrażam sobie seks z doktorem Piotrem, w wyniku czego kawałek herbatnika wpada nie tam, gdzie powinien; cała Straż Sąsiedzka na moment wpada w panikę i wszyscy walą mnie w plecy. Gdy Betsy szykuje się do wykonania chwytu Heimlicha, odzyskuję głos

i informuję zebranych, że już wszystko w porządku. I że gdybym naprawdę się udławiła, wolałabym, aby niezbędne chwyty wykonywał raczej doktor Piotr. Kiedy to mówię, ja i on wymieniamy ponad głową Betsy rozbawione spojrzenia. Z iskierką nadziei zastanawiam się, czy być może nie jest to odrobinę zalotne spojrzenie, chociaż minęło sporo czasu i nie jestem zbyt pewna, po czym to można rozpoznać.

Jak było do przewidzenia, Betsy jest dotknięta moim komentarzem, zaraz jednak pochłania ją dyskusja o tym, czy do łask wróciły spódnicospodnie. Temat pojawił się, ponieważ w zeszłym tygodniu Kathleen powiedziała Betsy, że to ostatni krzyk mody, i Betsy kupiła sześć par za pośrednictwem telezakupów. (Kathleen, która ma trzydzieści pięć lat, znacznie obniża średnią wieku Straży Sąsiedzkiej. Żadne z jej trójki dzieci nie skończyło jeszcze sześciu lat, więc Kathleen rozpaczliwie szuka okazji, by wyrwać się z domu, dlatego zapisała się na wszystkie dostępne zajęcia w wiosce). Ponieważ w związku ze swoim zakupem Betsy przechodzi kryzys zaufania, chce przeprowadzić w tej sprawie głosowanie. To jej ulubiona forma gwarancji, że nikt nie będzie jej za cokolwiek oceniał – jeśli decyzja zapada demokratycznie, winni są wszyscy.

Straż Sąsiedzka orzeka, że culotte rzeczywiście wróciły do łask, choć moim zdaniem Basil przypuszcza, że chodzi o jakieś francuskie warzywa, a jego głos okazał się rozstrzygający.

Po drugiej turze poczęstunku przedstawiam kwestię filmów z udziałem Jacka Nicholsona, ale zostaję przegłosowana: o dziwo, jego zagorzałą wielbicielką okazuje się Penelope. Następnie Basil przez jakiś czas ględzi o wiewiórkach, a to zawsze dobry moment na drzemkę, jeśli podczas zebrania kogoś ogarnie senność, potem przychodzi pora na ciastka i na najważniejszy punkt porządku obrad, czyli „jakieś przestępstwa". Znany także pod nazwą „najświeższe plotki".

– Eileen, Betsy twierdzi, że sprzedałaś samochód – mówi Penelope, mrugając do mnie jak sowa z drugiej strony kręgu. Ma budowę ciała drobnego ptaszka; wydaje się szalenie krucha i zawsze się obawiam, że coś sobie złamie, ale w rzeczywistości jest twarda jak stal. Widziałam kiedyś, jak strzelała z pistoletu na wodę do kota, kiedy zasadził się na gniazdo jej sikorek; trafiła go prosto w oko.

– Uważam, że to rozsądne z twojej strony, Eileen, że kończysz z prowadzeniem samochodu

– dorzuca swą opinię Betsy.

– Ależ ja nadal prowadzę samochód – odpowiadam, prostując się na krześle. – Korzystam z wozu Marian.

– Ciągle prowadzisz? – zdumiewa się Betsy. – Ojej, to odważne po tym nieszczęśliwym wypadku na Sniddle Road!

Betsy to osoba pełna dobroci i serdeczna przyjaciółka, mimo to doskonale potrafi mówić nieprzyjemne rzeczy tonem, który wyklucza wszelki sprzeciw. Jeśli chodzi o mój „nieszczęśliwy wypadek” na Sniddle Road, nie warto go w ogóle wspominać. Przyznaję, że to nie była najlepsza próba zaparkowania, ale kto by się spodziewał, że terenowy samochód tamtego faceta tak łatwo się wgniecie? Wóz wyglądał jak cholerny czołg.

– To znaczy, że dałaś sobie spokój ze swoim najnowszym projektem? – pyta Basil, strzepując z wąsów okruchy ciastka. – Zdaje się, że woziłaś samochodem zagubione psy, prawda?

– Pomagałam tym miłym ludziom ze schroniska dla psów w Daredale – odpowiadam z godnością. – Teraz mają już własny transport.

– Pewnie niedługo wpadniesz na nowy pomysł! – Basil chichocze.

Patrzę na niego spod przymrużonych powiek.

– Zrezygnowałaś już z szukania sponsora święta majowego? – pyta. – Żadna duża firma nie chce użyczyć swojej nazwy festynowi w małej wiosce?

Zaciskam zęby. Tak się składa, że naprawdę starałam się znaleźć sponsora obchodów święta Pierwszego Maja. Miałam nadzieję, że zamiast jak zwykle przeznaczać zebrane pieniądze na koszty festynu, będziemy mogli zasilić walczącą z rakiem instytucję charytatywną, która tyle zrobiła dla Carli. Ale w dzisiejszych czasach w dużych przedsiębiorstwach w Leeds trudno znaleźć kogoś, z kim można by o tym porozmawiać, a miejscowe firmy, w których usiłowałam coś wskórać, zaciskają pasa i nie mają żadnych wolnych funduszy.

– Dziwne, co? – Basil rechocze.

– Nie będę przepraszać za to, że chciałam zrobić coś dobrego – odcinam się lodowatym tonem.

– Racja, racja – przytakuje. – I trzeba przyznać, że mimo przeszkód bardzo dzielnie się starałaś.

Na szczęście rozmowa schodzi na inne tematy; Penelope odwraca się do Piotra, by spytać o ostatnią dolegliwość Rolanda, a ja korzystam z okazji i zamieniam słowo z Betsy.

– Rozmawiałaś jeszcze raz z córką, skarbie? – pytam ją przyciszonym głosem. – O odwiedzinach?

Betsy zaciska usta.

– Próbowałam – mówi. – Nic z tego.

Chodzi o męża Betsy. Jej córka nie wyobraża sobie, że mogłaby przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Doskonale to rozumiem – Cliff to wyjątkowo odstręczająca postać i nie mam pojęcia, jak Betsy wytrzymała z nim tyle lat. Nawet Wade go nie znosił. Ale odcięcie Betsy od rodziny z pewnością tylko pogorszy sytuację. Nie powinnam się jednak wtrącać, więc tylko ściskam jej rękę.

– Przyjedzie, kiedy będzie gotowa – pocieszam ją.

– Niech się lepiej pospieszy. Mam już osiemdziesiąt lat.

Uśmiecham się. Tak naprawdę osiemdziesiąt pięć. Nawet gdy Betsy próbuje zaznaczyć, że jest stara, nie może się powstrzymać, by nie ująć sobie lat.

– …do Knargill jeździ już tylko jeden autobus dziennie – mówi do Rolanda siedzący po mojej drugiej ręce Basil. – Coś mi się zdaje, że między innymi na tym polega problem.

Lista rzeczy, na jakie lubi narzekać najbardziej, przedstawia się w takiej oto kolejności: wiewiórki, komunikacja, pogoda oraz stan państwa. Nie należy poruszać z nim żadnego z tych tematów, ale szczególnie trzeba się wystrzegać ostatniego, bo bardzo trudno jest zachować sympatię do Basila, gdy zaczyna mówić o imigracji.

– …i tak leżała – mówi Basil – utopiona w zupie z pora i ziemniaków! To musiał być makabryczny widok. Biedna młoda kobieta, która ją znalazła, przyszła spytać, czy nie chciałaby wstawić w okna podwójnych szyb, zastała otwarte drzwi i ją… martwą od tygodnia. I nikt o tym nie wiedział!

– Co to za historia, Basil? – pytam. – Znowu opowiadasz horrory?

– Mówię o kobiecie w Knargill – wyjaśnia, z zadowoloną miną popijając herbatę. – Utopiła się w talerzu zupy.

– Okropne! – Betsy się wzdryga.

– Kiedy ją znaleźli, były już na niej robaki i muchy? – dopytuje się Penelope.

– Penelope! – besztamy ją wszyscy chórem, po czym natychmiast odwracamy się do Basila, czekając na odpowiedź.

– Możliwe. – Mądrze kiwa głową. – Bardzo możliwe. Biedaczka miała zaledwie siedemdziesiąt dziewięć lat. Mąż umarł rok wcześniej. Nie miała zupełnie nikogo, kto mógłby się nią zająć. Sąsiedzi mówili, że całymi miesiącami nie odzywała się do nikogo oprócz ptaków.

Nagle ogarnia mnie dziwne uczucie – może to lekki zawrót głowy – a kiedy sięgam po następne ciasteczko imbirowe, zauważam, że ręka drży mi bardziej niż zwykle.

Zapewne myślę o tym, że ta biedna kobieta miała tyle samo lat co ja. Ale na tym podobieństwo się kończy, mówię sobie w duchu. Przede wszystkim nigdy nie ugotowałabym sobie zupy z pora i ziemniaków – jest strasznie mdła.

Z trudem przełykam ślinę. Wczorajszy incydent ze słoikiem uświadomił mi nieprzyjemnie, jak łatwo można przestać sobie radzić. A kiedy samotny człowiek przestaje sobie radzić, skutki szybko mogą się okazać drastyczne.

– Powinniśmy robić więcej dla takich osób – odzywam się nagle. – Przy okrojonych rozkładach jazdy i problemach finansowych firmy przewozowej dla seniorów trudno im się gdziekolwiek dostać, nawet jeżeli chcą.

Wszyscy wyglądają na nieco zaskoczonych. Zazwyczaj jeśli na zebraniu Straży Sąsiedzkiej wspomina się o mieszkańcach Knargill, zaraz rozlega się złośliwy śmieszek Betsy, która potem oświadcza: „Dobrze im tak, skoro mieszkają w Knargill”.

– Hm… chyba tak – przerywa ciszę Penelope, mówiąc swoim zrzędliwym tonem.

– Wpiszmy to do programu następnego zebrania – proponuję. Zapisuję to na swoim wydruku.

Następuje chwila niezręcznego milczenia.

– Wiesz, że w Firs Blandon mówi się o urządzeniu konkurencyjnego festynu na Pierwszego Maja? – mówi Basil, mierząc mnie przebiegłym spojrzeniem, jakby próbował sprawdzić moją lojalność.

– Nic z tego! – Cmokam z dezaprobatą. Powinien wiedzieć, że nigdy nie wezmę strony Firs Blandon. Dziesięć czy dwadzieścia lat temu, kiedy po gwałtownej burzy Hamleigh na trzy dni zostało bez prądu, wszystkie pozostałe wioski zaoferowały pomoc finansową i wolne pokoje tym, którzy nie mogli sobie poradzić bez ogrzewania. W Firs Blandon nikt nie kiwnął palcem. – Nie – dodaję stanowczo. – Majówka

w Firs Blandon nigdy nie dorówna naszemu festynowi.

– Oczywiście, że nie! – podchwytuje Betsy i wszyscy oddychają z ulgą, bo wracamy na znajome bezpieczne tereny. – Ktoś ma jeszcze ochotę na ciastka?

Dalsza część zebrania mija jak zwykle, ale to paskudne, dziwne uczucie dręczy mnie przez resztę dnia. Cieszę się, że jutro przyjeżdża Leena. Jestem dość osłabiona, a o wiele łatwiej być samodzielną, kiedy ma się kogoś przy sobie.

5
Leena

Hamleigh-in-Harksdale to miejsce tak urokliwe jak jego nazwa. Wioska jest wtulona między dwa wzgórza w południowej części Yorkshire Dales; gdy rozklekotany autobus toczy się przez dolinę, widzę dachy i przekrzywione kominy wyłaniające się spomiędzy złotobrązowych grzbietów wzniesień.

Nie wychowałam się w Hamleigh – mama przeprowadziła się tu, dopiero gdy zachorowała Carla. Mam w głowie dwa obrazy wioski: połowę wspomnień osnuwa sepiowa mgiełka nostalgii za dzieciństwem, a druga połowa tonie w ponurym mroku, bolesnym jak otwarta rana. Ściska mi się żołądek. Próbuję sobie przypomnieć uczucie radości z dzieciństwa, gdy wyjeżdżałyśmy zza tego zakrętu i widziałyśmy przed sobą dachy Hamleigh.

Nawet kiedy miałyśmy z Carlą po kilkanaście lat i wiecznie skakałyśmy sobie do oczu, na czas odwiedzin u babci i dziadka zawierałyśmy rozejm. Jadąc z mamą z Leeds, marudziłyśmy, że ominie nas tyle imprez, ale gdy tylko docierałyśmy do Hamleigh, przypominałyśmy sobie, kim tu jesteśmy. Popijany po kryjomu cydr i całowanie się z chłopakami z ostatnich klas wydawało się z tej perspektywy trochę idiotyczne, jak kadry wyjęte z cudzego życia. Spędzałyśmy całe dnie razem na dworze, zbierając jeżyny do starych pojemników Tupperware z popękanymi pokrywkami i nie zważając na zadrapania na świeżo ogolonych nogach, dopóki po powrocie do domu nie ukazywały się spod podwiniętych szkolnych spódniczek.

Patrzę na kolory Yorkshire Dales przesuwające się za szybą brudnego autobusu: na rdzawy brąz, różne odcienie zieleni, piaskową szarość kamiennych murków. Gdy mijamy owce, unoszą w naszą stronę senne oczy. Lekko mży; niemal czuję świeży zapach ziemi, jakby właśnie obudzonej przez deszcz. Powietrze jest tu czystsze.

Oczywiście nie w autobusie, gdzie unosi się zastały zapach snu i czyjejś kanapki

z kurczakiem tikka masala. Ale gdy tylko wysiadam, wiem, że pierwszy oddech będzie cudowny.

Hamleigh składa się tylko z trzech ulic: Lower Lane, Middling Lane i Peewit Street, która powinna się nazywać Upper Lane, bo jest wyżej, ale takie są właśnie wiejskie dziwactwa. Zabudowa składa się przede wszystkim z niskich domków z wapienia, krytych miszmaszem łupkowych dachów, ale na samym krańcu Middling Lane postawiono nowe osiedle – rzuca się w oczy jak opryszczka w kącie wioski, jaskrawopomarańczowe z czarnymi ramami okien. Babcia odnosi się do niego z pogardą. Kiedy zwracam jej uwagę, że Wielka Brytania jak kania dżdżu potrzebuje nowych mieszkań za przystępną cenę, odparowuje mi: „Tylko dlatego, że takie kanalie jak ty wydają krocie na mikroskopijne dziuple w Londynie”, co, muszę przyznać, z ekonomicznego punktu widzenia wydaje się całkiem logiczne. Wolałabym się jednak zaliczać do tych kanalii, zamiast wydawać dziesiątki tysięcy na wynajmowanie klimatycznego postindustrialnego wnętrza.

Z przystanku ruszam prosto do domu babci. Łapię się na tym, że przechodząc obok skrętu w ulicę, przy której mieszka mama, odwracam

wzrok tak jak wtedy, kiedy mijając wypadek na autostradzie, człowiek ma okropną świadomość, że widzi go kątem oka.

Dom babci jest najpiękniejszy we wsi: Clearwater Cottage, Middling Lane numer pięć. Stary krzywy dach, wisteria pnąca się po frontowej ścianie, ciemnoczerwone drzwi… Dom z bajki. Kiedy idę ścieżką przez ogród, ucisk niepokoju między żebrami trochę łagodnieje.

Unoszę kołatkę.

– Leena? – słyszę głos babci.

Marszczę brwi. Patrzę w prawo, potem w lewo, wreszcie do góry.

– Babciu! – krzyczę.

Na lewo od drzwi wejściowych rośnie jabłoń. Babcia chybocze się niemal na wysokości okien na piętrze, ze stopami wklinowanymi między gałęzie a pień; ma na sobie spodnie w kolorze khaki i brązową bluzę, które bardzo skutecznie wtapiają się w zieleń drzewa. Gdyby nie plama siwych włosów wśród gałęzi, mogłabym jej nie zauważyć.

– Co ty wyrabiasz na tym drzewie?

– Przycinam! – woła. Macha do mnie dużym ostrym narzędziem.

Krzywię się, bynajmniej nieuspokojona jej wyjaśnieniem.

– Jesteś bardzo… wysoko! – mówię, starając się zachować taktownie. Nie chcę jej mówić, że jest na to za stara, ale mam w głowie odcinek *Izby przyjęć*, w którym starsza pani spada z krzesła i łamie sobie sześć kości. Drzewo jest znacznie wyższe od krzesła.

Babcia zaczyna… zdrapywać się z drzewa. Naprawdę nie można tego inaczej nazwać.

– Powoli! Nie musisz się spieszyć, poczekam! – wołam, wbijając paznokcie w dłonie.

– Już! – Ostatni odcinek pokonuje jednym skokiem i ociera ręce o uda. – Jeżeli chcesz, żeby coś zostało zrobione porządnie, trzeba zrobić to samemu – informuje mnie. – Od miesięcy czekam na fachowca.

Lustruję ją wzrokiem. Wygląda na całą i zdrową. Właściwie wygląda świetnie, chociaż wydaje się trochę zmęczona – ma zaróżowione policzki, za okularami w zielonych oprawkach błyszczą brązowe oczy. Wyjmuję liść z jej falistych włosów obciętych na pazia i przygładzam je. Babcia ściska mi rękę.

– Witaj, skarbie. – Jej twarz rozjaśnia uśmiech. – Masz ochotę na gorącą czekoladę?

*

Babcia przygotowuje czekoladę na gorąco jak należy: na płycie, ze śmietanki i prawdziwej czekolady. Kubek czystej dekadencji. Carla mawiała, że jeżeli wypije się więcej niż jeden, nie będzie już miejsca na żaden posiłek do końca dnia. To mój absolutnie największy przysmak.

Staram się do czegoś przydać, więc gdy babcia miesza czekoladę, zdejmuję naczynia z suszarki przy zlewie. Nie byłam tu od miesięcy – ostatnim razem przyjechałam pod koniec zeszłego roku, kiedy odszedł dziadek Wade – ale wszystko wygląda dokładnie tak samo. Szafki w kuchni i listwy przy podłodze z pomarańczowego drewna, wypłowiałe dywaniki we wzorki, przekrzywione zdjęcia rodzinne na ścianach.

Nie można nawet dostrzec śladów, że dziadek odszedł – a raczej że w ogóle kiedykolwiek tu mieszkał. Pewnie nie zabrał ze sobą niczego oprócz ubrań. Zawsze miałam wrażenie, że Clearwater Cottage to bardziej dom babci niż jego. Zwykle zajmował fotel w kącie salonu, słuchał radia i wszystkich ignorował. Kiedy odszedł z instruktorką tańca towarzyskiego, przeżyłam szok – nie dlatego, że wydawało mi się, że kocha babcię, ale po prostu nie przypuszczałam, by był zdolny do czegoś takiego jak ucieczka z inną kobietą. Jest typem człowieka,

który lubi mieć na co narzekać, ale w rzeczywistości nigdy niczego nie robi. Dochodzę do wniosku, że jeśli chodzi o uwiedzenie, całą czarną robotę musiała odwalić instruktorka.

– Cieszę się, że przyjechałaś, skarbie. – Babcia ogląda się na mnie przez ramię, nie przerywając mieszania czekolady w specjalnym rondelku.

– Przepraszam, powinnam cię już dawno odwiedzić. – Bawię się magnesami na lodówce.

– Nie mam ci za złe, że mieszkasz w Londynie – odpowiada. – Gdybym mogła, w twoim wieku zrobiłabym to samo.

Zerkam na nią. Babcia niezbyt często mówi o przeszłości – zawsze twierdzi, że woli patrzeć przed siebie niż oglądać się wstecz. Wiem jednak, że kiedy miała dwadzieścia kilka lat, upatrzyła sobie pracę w Londynie. Ale potem poznała dziadka, pobrali się, osiedlili tutaj i basta. Tak to zawsze podsumowuje: i basta.

Przychodzi mi jednak na myśl, że to wcale nie musi się na tym skończyć.

– Przecież możesz wyjechać do Londynu – zauważam. – Gdybyś chciała, mogłabyś się tam nawet przeprowadzić, skoro dziadek już cię tu nie trzyma.

Babcia nalewa czekoladę do kubków.

– Och, nie bądź niemądra. Nie mogę rzucić wszystkiego i jechać do Londynu, kiedy twoja matka mnie potrzebuje.

Krzywię się.

– Poradziłaby sobie, babciu. Nie jest taka delikatna, jak ci się wydaje.

Posyła mi spojrzenie, które mówi: „A ty skąd niby to wiesz?”.

Odwracam się i widzę leżący na stole otwarty terminarz. Babcia nigdzie się bez niego nie rusza – traktuje go tak jak ja swój telefon i jest przerażona, kiedy okazuje się, że nie ma go w torebce, nawet gdyby tylko wyskoczyła do sklepu po mleko.

– Co mamy na liście zadań na dzisiaj? – Marszczę czoło. – „Ma własne zęby”? – Tłumię okrzyk zdumienia. – „Pewnie nudny w łóżku”? Co to jest?!

Babcia łapie terminarz.

– Nic!

– Ty się rumienisz? – Chyba jeszcze nigdy nie widziałam, jak babcia się czerwieni.

Jej dłoń wędruje do policzka.

– Głupstwa wygadujesz – fuka. – Z rumieńcami pożegnaliśmy się w latach sześćdziesiątych.

Parskam śmiechem i odrywam jej dłoń od policzka.

– Nie, wyraźnie się zaróżowiłaś – informuję ją. – Powiesz mi, o co chodzi? To jakiś nowy projekt? Zwykle nie są takie dziwne.

Zaciska usta, aż brzoskwiniowa szminka zbiera się na linii łączącej wargi.

– Och, przepraszam, babciu. – Prowadzę ją do stołu, żeby usiadła. – Może to coś ważnego, a ja zachowuję się jak idiotka.

– Nie, nie – rzuca bardzo nieprzekonującym tonem.

Próbuję jej wyjąć terminarz z rąk; po chwili niechętnie mi go oddaje.

Przebiegam wzrokiem listę, którą sporządziła. Już nie mam wątpliwości, co to jest. Moje serce zalewa fala czułego ciepła, ale zaprawionego goryczą, bo chociaż lista jest taka urocza i taka babcina, to tchnie pewnym smutkiem.

Babcia siedzi spięta i przygląda mi się z nieufną miną, a ja wyrzucam sobie gruboskórność.

– Nie, stanowczo za skromnie – stwierdzam. Znowu zerkam na listę. – Basil to ten z wąsem, który ma na zderzaku naklejkę ruchu Britain First, zgadza się?

– Tak. – Wciąż patrzy na mnie podejrzliwie.

– Podoba ci się?

– No… – Milknie. – Nie bardzo – przyznaje w końcu. – Trochę dewot.

Sięgam po długopis i skreślam Basila z listy.

– Zaraz! – protestuje babcia. – Może mogłabym… go polubić…

Krzywię się, słysząc ton jej głosu. Brzmi w nim znużenie. Jakby nie mogła liczyć na kogoś lepszego od Basila. Nie jest sobą – Eileen Cotton nigdy nie zadowoliłaby się takim facetem. Z drugiej strony, zadowoliła się dziadkiem Wade'em, ale zawsze odnosiłam wrażenie, że zdaje sobie sprawę ze swojego błędu, a została z nim tylko z jakiejś upartej lojalności – ich związek był raczej rodzajem wypracowanego i uzgodnionego partnerstwa niż małżeństwem. Kiedy dziadek odszedł, potraktowała to nie jak zdradę, ale przejaw wyjątkowego grubiaństwa.

– Zasada numer jeden randek – odzywam się tonem, który przybieram, gdy Bee traci zapał i zastanawia się, czy nie umówić się jeszcze raz z którymś z obrzydliwców poznanych tydzień wcześniej. – Faceta nie można zmienić. Nawet jeżeli ma własne zęby. Następny na liście: pan Rogers. To nie jest ojciec pastorki?

– Uroczy człowiek – odpowiada z pewną nadzieją. Cieszę się, widząc, jak odrobinę

rozluźnia napięte ramiona.

Przeglądam zanotowane przez nią plusy i minusy. Czytając jej uwagi na temat pana Rogersa, nie potrafię powstrzymać parsknięcia rozbawienia przemieszanego z zaskoczeniem, ale opanowuję się na widok miny babci.

– No tak… najwyraźniej szukasz trochę więcej… fizyczności, niż pan Rogers jest gotów ci zaoferować.

– Boże, to szalenie osobliwy temat na rozmowę z wnuczką – zauważa babcia.

– Nie ma mowy, żeby wystarczyło raz na miesiąc. Spotykając go co cztery tygodnie, poznawałabyś go całe wieki. – Wykreślam z listy pana Rogersa. – Dalej… och, pamiętam doktora Piotra! Ale tu zderzasz się z zasadą randek numer dwa, babciu: nigdy nie uganiaj się za facetem, który jest niedostępny uczuciowo. Jeżeli doktor Piotr wciąż kocha byłą żonę, szykujesz sobie zawód miłosny.

Pociera policzek.

– Przecież mężczyzna może…

Unoszę palec.

– Mam nadzieję, że nie chciałaś powiedzieć „może się zmienić”.

– Hm… – Odchrząkuje, patrząc, jak skreślam z listy Piotra.

– No i na koniec… – czytam dalej. – Babciu, nie, nie! Arnold z domu obok? Ojczym Jacksona Greenwooda?

– Teraz już były ojczym – prostuje babcia z szatańskim drgnieniem brwi, które zwykle jest znakiem, że przechodzi do plotek.

– Najgorszy gbur na świecie? – ciągnę stanowczo, nie pozwalając jej odbiec od tematu. – Zasługujesz na kogoś znacznie lepszego.

– Musiałam uczciwie zapisać wszystkich – wyjaśnia, podczas gdy ja pracowicie zamazuję nazwisko Arnolda na liście. – To jeden z dwóch samotnych mężczyzn w Hamleigh, który ma ponad siedemdziesiąt lat.

Obie spoglądamy na listę skreślonych nazwisk.

– Zawsze dobrze zacząć jeszcze raz, z czystym kontem – mówię.

Znowu z rezygnacją garbi się nad stołem, więc biorę ją za ręce.

– Babciu, bardzo się cieszę, że chcesz sobie kogoś znaleźć – zapewniam ją. – Twoje małżeństwo z dziadkiem było takie smutne, że zasługujesz na to, żeby poznać jakiegoś cudownego człowieka. Zrobię naprawdę wszystko, co się da, żeby ci pomóc.

– Jesteś kochana, ale niewiele da się z tym zrobić. Prawda jest taka, że nie znam żadnych mężczyzn do wzięcia. – Sięga po chusteczkę w rękawie i wydmuchuje nos. – Pomyślałam, że może… mogłabym pojechać do Tauntingham i sprawdzić, czy nie ma tam kogoś takiego…

Oczami wyobraźni widzę ją krążącą po uliczkach sennego Tauntingham z terminarzem w ręce, tropiącą starszych panów i robiącą notatki.

– Nie wiem, czy to najskuteczniejsza metoda – mówię ostrożnie. – Myślałaś o randkach przez internet?

Babcia robi kwaśną minę.

– Nie miałabym pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wstaję. Od dawna nie czułam się tak dobrze.

– Pójdę po laptop – rzucam już w drzwiach.

*

Przed stworzeniem profilu babci w serwisie randkowym robię półgodzinny research. Wygląda na to, że kluczem do sukcesu są szczerość, specyficzność i poczucie humoru oraz – bardziej niż pozostałe rzeczy, które wymieniłam – dobre zdjęcie profilowe. Gdy

jednak konto jest gotowe, uświadamiam sobie, że mamy kłopot.

W portalu nie zarejestrowała się ani jedna osoba w jej wieku, która mieszkałaby w odległości godziny drogi od Hamleigh. Problemem jest nie to, że babcia nie zna w okolicy żadnych dżentelmenów do wzięcia, lecz to, że ich po prostu nie ma. Bee żali się na brak odpowiednich facetów w Londynie, ale nie ma pojęcia, jaka z niej szczęściara. Jeśli w twoim mieście mieszka osiem milionów ludzi, musi się znaleźć wśród nich ktoś samotny.

Wolno obracam się na krześle, by spojrzeć na babcię.

Kiedy o niej myślę, zawsze mam przed oczami nieokiełznany żywioł, którego woli poddaje się cały świat. Nie wyobrażam sobie bardziej młodzieńczej starszej pani. Mimo że dobiega osiemdziesiątki, nic nie wskazuje, by ten fakt naruszył zapasy jej niespożytej energii – jak na swój wiek jest naprawdę nadzwyczajna.

Teraz jednak nie przypomina tamtej babci.

Ma za sobą straszny rok. Straciła jedną z dwóch wnuczek, wspierała moją mamę po śmierci córki, potem odszedł od niej mąż… Nagle dociera do mnie, że myślę o babci jak o kimś niepokonanym, ale to przecież niedorzeczność –

nikt nie przetrwałby bez szwanku tego, co przeżyła. Wystarczy na nią spojrzeć, jak siedzi przy stole i zastanawia się nad randką z dewotem Basilem. Źle się dzieje w Clearwater Cottage.

Wiedziałabym o tym wcześniej, gdybym zaglądała do domu raz na jakiś czas.

Znowu sięgam po laptop. Za każdym razem, kiedy sobie przypominam, że w poniedziałek nie mogę iść do pracy, ogarnia mnie lęk i paskudne uczucie, że jestem do niczego. Muszę mieć coś do roboty, muszę pomagać, żeby przestać rozpamiętywać to, co tak sromotnie schrzaniłam.

W serwisie randkowym zmieniam obszar wyszukiwania i nagle: proszę bardzo, czterystu panów w wieku od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu pięciu lat szukających miłości.

– Mam pomysł – mówię. – Tylko posłuchaj do końca, okay? Są setki facetów do wzięcia… w Londynie.

Babcia obraca w dłoniach pusty kubek.

– Mówiłam ci, Leena: twoja mama mnie teraz potrzebuje. Nie mogę jechać do Londynu.

– Mamie nic się nie stanie.

– Och, doprawdy?

– Babciu, potrzebujesz odpoczynku. A nawet na niego zasługujesz. Powiedz mi, dlaczego

chciałaś wyjechać do Londynu, kiedy byłaś młoda?

– Chciałam zmieniać świat – odpowiada z lekkim uśmiechem. – Pewnie myślałam, że Londyn jest miejscem, w którym… dzieją się ważne rzeczy. Chciałam przeżyć przygodę. Chciałam… – teatralnie wymachuje rękami – zatrzymać taksówkę z jakimś szykownym, pełnym fantazji nieznajomym i pozwolić odwieźć się do domu. Przejść z rozwianym włosem przez most Londyński, pędząc gdzieś w ważnej sprawie. Chyba chciałam być kimś ważnym.

– Ależ jesteś kimś ważnym, babciu! Przede wszystkim bez ciebie Hamleigh już by się rozsypało. Ile razy ratowałaś wiejski sklepik? Pięć razy?

Uśmiecha się.

– Nie twierdzę, że nigdy nie robiłam nic pożytecznego. Dałam życie twojej matce, ona dała życie tobie i Carli i to mi wystarczy.

Ściskam jej rękę.

– Co to była za praca? Ta, z której zrezygnowałaś dla dziadka?

Wbija wzrok w blat stołu.

– W instytucji charytatywnej. Organizowała ośrodki kultury dla młodzieży z ubogich części miasta. Przypuszczam, że pisałabym na maszynie

i biegała po kawę. Ale to miał być początek. Wybrałam sobie już nawet lokum, niedaleko miejsca, w którym teraz mieszkasz, chociaż wtedy dzielnica wyglądała inaczej.

– Chciałaś mieszkać w Shoreditch? – pytam zaintrygowana. – To takie… – Nie potrafię sobie wyobrazić, kim byłaby babcia, gdyby zaczęła tę pracę. Dziwna myśl.

– Trudno uwierzyć, co? – pyta z ironią w głosie.

– Nie! To wspaniałe. Musisz przyjechać i zamieszkać u mnie! Możemy przeżyć przygodę w Shoreditch, tak jak chciałaś.

– Nie zostawię teraz twojej matki samej, Leena – ucina stanowczo babcia. – Poza tym mam na głowie za dużo spraw, żeby wyjeżdżać. I basta.

Znowu zaczyna „bastować”. Czuję się lekko nakręcona, jak w pracy; strasznie dawno nie zdarzył mi się taki przypływ energii. Bo wiem, że to świetna decyzja – właśnie tego potrzebuje babcia.

Nagle przypominam sobie to, co Bee powiedziała o szukaniu i odzyskiwaniu samej siebie. Zagrzebana po uszy w pracy, ukrywałam się w Londynie. Unikałam matki. Właściwie unikałam wszystkiego. Ale mam dwa miesiące,

żeby uporządkować swoje życie. A ponieważ nie mogę nawet patrzeć na dom, w którym umarła Carla…

Wydaje się, że od niego powinnam zacząć.

– Babciu… a może się zamienimy? – proponuję. – Ja zostałabym tutaj i zajęła się twoimi sprawami, a ty zamieszkałabyś u mnie w Londynie?

Babcia spogląda na mnie.

– Zamienimy?

– Zamienimy się domami. Przecież kiedyś kręcił cię Londyn. Wreszcie tam sobie pomieszkasz! Będziesz umawiać się na randki w mieście, przeżyjesz przygodę… przypomnisz sobie, kim byłaś, zanim pojawił się dziadek Wade. A ja pomieszkam u ciebie. Wyłączę się na trochę na wsi, spróbuję ogarnąć to wszystko, co się stało, dopilnuję twoich spraw i… pomogę mamie, jeżeli będzie czegoś potrzebowała. Będę robić dla niej to samo co ty, załatwiać wszystko i tak dalej. – Ni stąd, ni zowąd kręci mi się w głowie. To naprawdę dobry pomysł? Wydaje się dość niezwykły, nawet według moich norm.

W oczach babci maluje się zaduma.

– Zamieszkałabyś tutaj? I pomagałabyś Marian, gdyby cię potrzebowała?

Wiem, o czym myśli. Chociaż nigdy o tym nie wspomina, od śmierci Carli za wszelką cenę chce skłonić mamę i mnie, żebyśmy znowu zaczęły ze sobą rozmawiać. Moim zdaniem mama radzi sobie o wiele lepiej, niż się babci wydaje – na pewno nie trzeba koło niej skakać – jeżeli jednak babcia chce mieć poczucie, że będę gotowa zrobić dla mamy wszystko to co ona, w takim razie…

– Jasne, oczywiście. – Odwracam laptop w jej stronę. – Zobacz, babciu. W Londynie czeka na ciebie czterystu panów.

Wkłada okulary.

– Ojej – mówi, przyglądając się fotografiom na ekranie. Po chwili zsuwa okulary i znów spogląda w stół. – Ale mam jeszcze inne obowiązki. Jest Straż Sąsiedzka, Ant i Dec, wyjazd mikrobusem na bingo… Nie mogę cię prosić, żebyś to wszystko wzięła na siebie.

Powstrzymuję uśmiech, słuchając listy ważnych obowiązków babci.

– Wcale nie prosisz, sama ci to proponuję – odpowiadam.

Zapada długa cisza.

– Trochę zwariowany pomysł – odzywa się w końcu babcia.

– Wiem. Trochę tak. Ale z drugiej strony genialny. – Uśmiecham się szeroko. – Nie chcę nawet słyszeć, że się nie zgadzasz. Znasz mnie, więc wiesz, że mówię na sto procent serio.

Babcia wygląda na rozbawioną.

– Rzeczywiście. – Wolno wypuszcza z płuc powietrze. – Ojej. Myślisz, że poradzę sobie w Londynie?

– No co ty, babciu?! Powinnaś spytać, czy Londyn poradzi sobie z tobą!

6
Eileen

Następnego dnia Leena pojechała do Londynu, spakowała rzeczy i wróciła do Hamleigh. U siebie spędziła najwyżej godzinę. Zastanawiam się, czy nie bała się, że jeśli zostanie tam choć chwilę dłużej, odzyska rozsądek i zmieni zdanie.

Bo ta zamiana to oczywiście szalony pomysł. Wariacki.

Ale równocześnie jest znakomity i pewnie sama kiedyś bym na niego wpadła. Zanim przyzwyczaiłam się do swojego miejsca w Straży Sąsiedzkiej, zielonego fotela w salonie i krzepiącego widoku tych samych twarzy dzień w dzień. Zanim Wade wybił mi z głowy wszystkie wariackie znakomite pomysły.

Im więcej Leena opowiada o spacerach w Hyde Parku i odwiedzaniu jej ulubionych

kawiarni w Shoreditch, tym bardziej jestem przejęta. A wiedząc, że moja wnuczka jest tutaj, w Hamleigh – z matką – byłabym gotowa pojechać o wiele dalej niż do Londynu, jeśli dzięki temu wreszcie spędzą trochę czasu razem.

Sadowię się na krześle i wygładzam nową stronę w terminarzu. Najważniejsze to dopilnować, żeby podczas pobytu w Hamleigh Leena miała coś do roboty. Może jej szefowa sądzi, że powinna na jakiś czas zwolnić, ale ostatni raz Leena robiła coś wolno w dziewięćdziesiątym piątym roku (bardzo powoli uczyła się jazdy na rowerze) i jeżeli nie będzie miała się czym zająć, grozi jej załamanie. Dlatego zostawię jej listę swoich kilku projektów. Niech ich dopilnuje podczas mojej nieobecności.

Projekty

1) Wyprowadzać psa Jacksona Greenwooda w środy o 7 rano.
2) Pojechać mikrobusem na bingo w Poniedziałek Wielkanocny o 5 po południu. Więcej szczegółów na s. 2.
3) Uczestniczyć w zebraniach Straży Sąsiedzkiej w piątki o 5 po południu. (Robić notatki, w przeciwnym razie

tydzień później nikt nie będzie pamiętał, o czym była mowa. Wziąć dodatkowe ciastka, jeżeli wypada kolej Basila – zawsze przynosi torby przeterminowanych i połamanych najtańszych herbatników pełnoziarnistych, które nie nadają się do maczania w herbacie).

4) Pomóc w planowaniu festynu majowego. (Jestem przewodniczącą komitetu organizacyjnego, ale najlepiej będzie porozmawiać z Betsy o tym, żeby do niego dołączyła, ona lubi zajmować się takimi sprawami).

5) Zrobić wiosenne porządki w ogrodzie. (Proszę, zacznij od szopy. Jest gdzieś pod bluszczem).

Proszę bardzo. Mnóstwo spraw, którym będzie mogła się poświęcić.

Zerkam na zegar w salonie: jest szósta rano i dziś wyjeżdżam do Londynu. Nie ma sensu zastanawiać się i zwlekać, twierdzi Leena. Najlepiej wziąć byka za rogi.

W tle podekscytowania pobrzmiewa niepokój. Przez mniej więcej ostatni rok towarzyszyło mi dużo strachu, ale od bardzo, bardzo dawna nie czułam tremy przed nieznanym.

Z trudem przełykam ślinę, ręce drżą mi na kolanach. Marian zrozumie, mam nadzieję, że małe sam na sam z Leeną dobrze zrobi im obu. A gdyby znowu zdarzyły się jej trudniejsze chwile, wiem, że Leena się nią zaopiekuje. Muszę w to wierzyć.

– Skończyłaś już pakowanie? – W drzwiach pojawia się Leena w piżamie.

Kiedy przyjechała w sobotę, wyglądała na zupełnie wycieńczoną: wyraźnie schudła, a jej cera, zwykle w ciepłym odcieniu złota, była ziemista i tłusta. Dzisiaj jednak ciemne smugi pod oczami są mniej widoczne i tym razem rozpuściła kasztanowe włosy, dzięki czemu wydaje się bardziej swobodna. Są takie piękne, ale zawsze ściąga je do tyłu i smaruje przeróżnymi płynami. Światło pada na drobne loczki, na które Leena stale narzeka, i zmienia je w aureolę otaczającą jej drobną twarz ze zgrabnym noskiem i ciemnymi, poważnymi brwiami – jedyną dobrą rzeczą, jaką dał jej ojciec.

Wiem, że to subiektywna opinia, ale moim zdaniem jest oszałamiająco piękna.

– Tak, już skończyłam – mówię odrobinę drżącym głosem.

Leena wchodzi do jadalni, przysiada obok mnie i obejmuje mnie jedną ręką.

– Moja lista zadań? – Z rozbawioną miną przebiega wzrokiem kartki, które leżą przede mną. – Babciu… ile to ma stron?

– Tylko dodatkowe informacje – wyjaśniam.

– Czy tu jest opisany schemat pilota do telewizora?

– Tak. To skomplikowane.

– I… to wszystko twoje hasła, babciu? I twój PIN?

– Na wypadek gdybyś musiała skorzystać z mojej awaryjnej karty płatniczej. Leży w kredensie. Jeżeli chcesz, to też mogę ci napisać.

– Nie, nie, i tak zostawiasz mi aż za dużo swoich danych osobistych. – Leena wyjmuje z kieszeni piżamy telefon i spogląda na ekran. – Dzięki, babciu.

– Jeszcze jedno – mówię. – To mi będzie potrzebne.

– Słucham? – Podąża wzrokiem za moim wyciągniętym palcem. – Mój telefon? Chcesz go sobie pożyczyć?

– Chcę go zabrać na te dwa miesiące. Możesz dostać mój. Zabiorę sobie też ten twój szykowny przenośny komputerek. Możesz korzystać z mojego. W tej zamianie nie chodzi tylko o moje

dobro. Musisz się całkiem oderwać od londyńskiego życia, a to znaczy, że trzeba się pozbyć tych gadżetów, do których jesteś uwiązana.

Wlepia we mnie zdumione spojrzenie.

– Mam ci oddać telefon i laptop na całe dwa miesiące? Ale przecież… nie mogłabym…

– Nie możesz tego zrobić? Nie poradzisz sobie?

– Mogę – odpowiada szybko. – Po prostu nie rozumiem… Babciu, całym sercem jestem za odpoczynkiem, ale nie chcę się zupełnie odcinać od ludzkości.

– Z kim właściwie chcesz rozmawiać? Przecież możesz wysłać esemesa z wiadomością, że przez dwa miesiące jesteś pod innym numerem telefonu. Zróbmy to od razu, przejrzymy listę i wybierzemy osoby, które chcesz zawiadomić.

– Ale… co z… mailami? Z pracą…?

Unoszę brwi. Leena wolno, wydymając policzki, wypuszcza powietrze z płuc.

– Przecież to tylko telefon, nie ręka ani noga – mówię. – No, oddaj mi go.

Próbuję go wyciągnąć z jej ręki. Mocniej zaciska na nim palce, ale po chwili, jakby sobie uświadomiła, że zachowuje się idiotycznie, puszcza telefon. Nie spuszcza z niego oczu, gdy

wyjmuję z szuflady kredensu swoją komórkę i włączam ją.

– To wygląda jak wykopalisko z czasów neolitu – stwierdza Leena.

– Można z niej dzwonić i wysyłać wiadomości – odpowiadam. – Niczego więcej nie trzeba.

Znowu zerkam na zegar, czekając, aż telefon się uruchomi. Do odjazdu pociągu mam już tylko trzy godziny. W co mam się ubrać? Szkoda, że nie zastanowiłam się poważniej nad kwestią, czy spodnie culotte rzeczywiście wracają do łask. Nawet podobają mi się te, które pożyczyła mi Betsy, nie chcę jednak wyglądać na osobę, która do tego stopnia nie nadąża za modą, że jest spóźniona o kilkadziesiąt lat.

– Ktoś puka? – pyta z zaskoczoną miną Leena.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu nad dwoma telefonami, które leżą na stole między nami. Rozlega się niecierpliwe stukanie, nie dobiega jednak od drzwi.

– Pewnie Arnold – fukam. – Zawsze puka w okno kuchni.

Leena marszczy nos.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odpowiadam cierpkim tonem i wstaję. – W żywopłocie między naszymi ogrodami jest furtka i chyba uważa, że to mu

daje prawo wkraczania na moją posesję, kiedy mu się żywnie podoba.

– Co za dupek – komentuje beztrosko Leena, ruszając ze mną do kuchni.

– Ciii…

– Och, przecież Arnold traci słuch, prawda?

– Nie, masz na myśli Rolanda. Męża Penelope.

– W takim razie… co za dupek – powtarza scenicznym szeptem Leena, prowokując mnie do chichotu.

Kiedy skręcamy do kuchni, w oknie majaczy bardzo duża twarz Arnolda. Mimo że szybę pokrywa para jego oddechu, widzę jego jastrzębi nos, sterczące we wszystkie strony rozwiane włosy i okulary jak denka butelek. Przymrużam oczy.

– Tak, Arnoldzie? – pytam, ostentacyjnie nie otwierając okna. Każda rozmowa z nim to starcie charakterów. Nie wolno ustąpić ani piędzi pola, w żadnej sprawie, nawet jeśli chodzi o jakieś nieistotne drobiazgi, które cię zupełnie nie obchodzą.

– Koty! – wrzeszczy.

– Będę cię doskonale słyszeć, nawet jeśli zechcesz mówić trochę ciszej – informuję go lodowatym tonem. – Przecież dobrze wiesz, że

nie mam w oknach podwójnych szyb. – O to także wiecznie suszy mi głowę.

– Te twoje koty zżarły mi wszystkie bratki!

– To niedorzeczne. Koty nie jedzą bratków.

– Twoje jedzą! – odparowuje z wściekłością Arnold. – Mogłabyś z łaski swojej otworzyć okno albo zaprosić mnie do środka, żebyśmy porozmawiali jak kulturalni dorośli ludzie?

– Oczywiście. – Uśmiecham się uprzejmie. – Podejdź do drzwi i zapukaj, a przekonamy się, czy jestem w domu. Jak kulturalni dorośli ludzie.

Kątem oka dostrzegam Leenę, która wpatruje się we mnie z lekko rozchylonymi ustami.

– Przecież widzę, że jesteś w domu – mówi Arnold, ściągając brwi w swoim najsroższym grymasie, który oznacza, że naprawdę mu dopiekłam. – Wpuść mnie przez boczne wejście, dobrze?

Uprzejmy uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

– Drzwi się zacięły.

– Widziałem, jak rano wychodziłaś tędy wyrzucić śmieci i wróciłaś tą samą drogą!

Unoszę w zdumieniu brwi.

– Czyżbyś mnie śledził, Arnoldzie?

– Nie, oczywiście, że nie – grzmi wzburzony. – Tylko… po deszczu robi się tam ślisko. Powinnaś sobie sprawić poręcz przy tych drzwiach.

Obruszam się. Poręcze są dla staruszek, które nie potrafią utrzymać się na nogach. Kiedy osiągnę ten stan, mam nadzieję, że z godnością zgodzę się korzystać z takich okropności jak windy na schodach, balkoniki i inne podpórki, ale ponieważ na razie potrafię przepłynąć dwadzieścia długości basenu w Daredale, a nawet podbiec kawałek, żeby nie spóźnić się na autobus, nie podoba mi się jego aluzja, że jestem zgrzybiałą babunią.

Rzecz jasna, właśnie dlatego Arnold to zasugerował. Stary dureń.

– Jak dotąd rozmowa wydaje się konstruktywna – odzywa się wesoło Leena – ale mamy jeszcze dużo do zrobienia, więc może wróćmy do sedna. Widziałeś na własne oczy, jak koty jedzą twoje bratki, Arnoldzie?

Arnold waha się, czy nie skłamać. Robi to fatalnie – zanim poczęstuje mnie jakąś bujdą, strasznie długo się zastanawia.

– Nie – przyznaje w końcu. – Ale wiem, że to one. Wiecznie skubią moje bratki, jak tylko zakwitną.

Leena mądrze kiwa głową.

– Dobrze, Arnoldzie, daj nam znać, kiedy będziesz miał na to jakieś dowody. Przez

najbliższe dwa miesiące będę pilnować domu babci, więc będziesz się kontaktował ze mną.

Arnold parę razy mruga. Staram się powstrzymać uśmiech. Leena mówi swoim służbowym głosem, który brzmi nadzwyczaj groźnie.

– Zgoda? – dodaje.

– Lepiej mieć te koty na oku – rzuca na odchodnym Arnold, po czym oddala się do furtki między naszymi ogrodami.

– Musisz wymienić tę furtkę na porządne wysokie ogrodzenie – sugeruje Leena i przewraca oczami, patrząc na plecy Arnolda. – Byłaś przezabawna, babciu. Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś była taka złośliwa.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale uświadamiam sobie, że się uśmiecham.

– Świetnie sobie poradzisz w Londynie. – Leena ściska mnie. – A teraz poszukajmy idealnego stroju na twój debiut na londyńskich salonach, dobrze?

*

Stoję w korytarzu domu córki i mocno ją obejmuję. Ponad jej ramieniem widzę salon; nie ma w nim już łóżka Carli, ale krzesła wciąż są

ustawione łukiem wokół miejsca, w którym stało. Pokój nigdy nie wrócił do dawnej postaci.

– Nie martw się, absolutnie nic złego mi się nie stanie – oświadcza stanowczo Marian, kiedy odsuwam się od niej. – To cudowny pomysł. Przecież należy ci się odpoczynek.

Ale znowu zbiera się jej na płacz. Dawno nie widziałam jej brązowych oczu tak wyraźnie; ma pod nimi ciemne kręgi przypominające małe sińce. Marian zawsze była prześliczna – chłopcy uganiali się za nią po ulicy, dziewczyny naśladowały jej fryzury, rodzice patrzyli na mnie i Wade'a, zastanawiając się, skąd ją wzięliśmy. Ma taką samą złocistą cerę jak Leena, w falistych włosach jaśnieją miodowe pasma, przedmiot zazdrości wszystkich fryzjerek. Na jej twarzy dostrzegam jednak nowe zmarszczki, które żłobią skórę od kącików ust w dół, a legginsy do jogi zdradzają, jak mocno schudła. Nie chcę jej zostawiać na dwa miesiące. Dlaczego w ogóle biorę pod uwagę taką możliwość?

– Nie, nawet o tym nie myśl. – Marian grozi mi palcem. – Nic mi nie jest. I nic mi nie będzie. No i zostanie tu Leena! – Posyła mi krzywy uśmiech, w którym widzę przebłysk dawnej szelmowskiej i impulsywnej Marian. – Przyznaję, mamo, nie przypuszczałam, że nawet tobie uda się namówić

Leenę, żeby spędziła całe dwa miesiące w odległości kilometra z małym hakiem od swojej okropnej matki.

– Wcale nie uważa cię za okropną matkę. A w ogóle to był jej pomysł!

– Czyżby?

– Oczywiście! – protestuję. – Uważam jednak, że to wyjdzie na dobre wam obu.

Marian uśmiecha się, choć tym razem słabiej.

– Wspaniale, mamo. Kiedy wrócisz, na pewno rozwiążemy już swoje sprawy i wszystko się ułoży.

Marian, wieczna optymistka, nawet pogrążona w głębokim smutku. Ściskam jej ręce i całuję ją w policzek. To dobra decyzja. Nasza rodzina utknęła w martwym punkcie. Jeżeli mamy ruszyć z miejsca, potrzebujemy jakiegoś wstrząsu.

*

Kiedy przyjeżdżamy na dworzec w Daredale, ku mojemu zaskoczeniu na peronie czeka już większość członków Straży Sąsiedzkiej – poczciwy doktor Piotr przywiózł ich szkolnym mikrobusem. Ich widok mnie wzrusza, bo odbyli długą podróż z Hamleigh. Gdy nieco zapłakana

Betsy wciska mi w dłoń kartkę z numerem swojego domowego telefonu – „Na wypadek gdybyś nie miała go nigdzie zapisanego” – uświadamiam sobie, że zachodzę w głowę, po co, u licha, w ogóle wyjeżdżam z Hamleigh-in-Harksdale. Potem patrzę na doktora Piotra, na Basila z brytyjską flagą wpiętą w klapę tweedowej marynarki i na Leenę, która chuda i blada stoi z boku. Wraca mój bojowy duch.

To dobra decyzja dla rodziny Cottonów. Poza tym w tym roku kończę osiemdziesiąt lat. Skoro chcę przygody, to kiedy mam ją przeżyć, jeśli nie teraz?

Leena pomaga mi wsiąść do pociągu, dźwiga mój bagaż i kładzie na półce, po czym każe kilku moim współpasażerom złożyć solenną obietnicę, że zdejmą go, gdy dotrzemy do Londynu. Ściska mnie na pożegnanie i w ostatniej chwili wyskakuje z wagonu.

Macham z okna przyjaciołom i patrzę, jak Yorkshire zostaje w tyle, a gdy pociąg mknie przez łąki i pola w stronę Londynu, ogarnia mnie przypływ energii i nowej nadziei, która rozpędza się jak chart wypuszczony z boksu startowego.

7
Leena

Bliźniak mojej mamy, z drzwiami w gołębim kolorze i mosiężną kołatką, stoi przy Lower Lane. Przez chwilę stoję przed wejściem, a potem wyjmuję z kieszeni klucz, który dała mi babcia – swój zostawiłam w Londynie. To na pewno freudowska pomyłka.

Dziwnie się czuję, otwierając sobie drzwi, ale czułabym się jeszcze dziwniej, gdybym zapukała. Półtora roku temu bez chwili wahania wparowałabym do środka.

Stoję w progu, starając się opanować oddech. Korytarz wygląda strasznie w swojej niezmienności: wyczuwalny zapach środków czyszczących, stary drewniany stolik, puszysty dywan, po którym chodzi się jak po kanapie. Mama zawsze lubiła domy – jest pośredniczką w handlu nieruchomościami – uświadamiam

sobie jednak, że ten wygląda trochę anachronicznie: nie zmieniła wystroju wnętrza po poprzednich właścicielach, a ciepłe żółtokremowe ściany w niczym nie przypominają papuziej tapety w domu, w którym się wychowałam. Ten dom został kupiony w praktycznym celu – dla Carli, nie dla mamy.

Okropnie jest tu wrócić. Czuję taki sam skurcz w brzuchu, jakiego się dostaje na widok byłego chłopaka na imprezie, gdy zderza się twoje dawne życie z obecnym.

A na końcu korytarza: drzwi do salonu. Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło. Nie mogę na nie patrzeć. Skupiam więc wzrok na oprawionym w ramki dużym zdjęciu mojej siostry na stoliku u stóp schodów. Mama postawiła je tam po śmierci Carli, a ja nie znoszę tej fotografii – wchodząc do domu, mam wrażenie, jakbym przychodziła na stypę. Carla jest w ogóle niepodobna do siebie: ubrana na bal na zakończenie szkoły średniej, ma upięte włosy z dwoma pasemkami opadającymi z przodu à la Keira Knightley w *To właśnie miłość*. Wyjęła kolczyk z nosa, a zdjęcie zrobiono, zanim jeszcze przekłuła brew; bez tych ozdób wygląda dziwnie. Zawsze mówiła, że jej twarz bez biżuterii tu i ówdzie prezentuje się słabo. „To tak, jakbyś ty

wyszła z domu bez pięciu warstw lakieru na włosach”, żartowała ze mnie, ciągnąc mnie za kucyk.

Na górze schodów pojawia się mama. Ma na sobie luźną bluzę i dżinsy, a gdy schodzi po stopniach, wyczuwam u niej jakąś gorączkowość, jak gdybym zastała ją podczas przygotowywania wielodaniowego posiłku albo właśnie miała wybiec z domu na spotkanie z kimś ważnym.

– Cześć, Leena. – Zatrzymuje się na najniższym stopniu. Jest o wiele szczuplejsza niż dawniej, ma patykowate ręce i nogi jak nastolatka. Przełykam ślinę, odwracając wzrok.

– Hej, mamo.

Nie ruszam się z wycieraczki pod drzwiami. Zbliża się do mnie ostrożnie, jak gdyby gwałtowny ruch mógł mnie spłoszyć. Widzę dwie wersje mojej matki naraz, jak nałożone warstwy kalki kreślarskiej. Pierwsza to właśnie ta, rozgorączkowana, słaba, na skraju załamania; kobieta, która pomogła mojej siostrze umrzeć i nie chciała mnie słuchać, gdy mówiłam, że mamy wybór, inne możliwości, testowanie innych leków, prywatne terapie. Druga wersja to matka, która mnie wychowała, żywioł włosów przetykanych miodowymi pasmami, wulkan

pomysłów. Impulsywna, nieokiełznana, radosna i zawsze, zawsze gotowa mnie wspierać.

Z niepokojem uświadamiam sobie, jaką złość budzi we mnie jej widok. To obrzydliwe uczucie rozlewa się w brzuchu jak atrament w wodzie i dociera do mnie, że to był bardzo głupi pomysł, by zmusić się do przyjazdu tutaj na całe osiem tygodni. Chcę zdusić w sobie ten gniew – chcę jej wybaczyć – ale kiedy ją widzę, wszystko sobie przypominam i nie umiem go opanować.

Fitz miał rację: to ostatnia rzecz, jaka mi była potrzebna po ataku paniki, który przeżyłam w zeszłym tygodniu.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak to zrobimy – mówi mama. Unosi kąciki ust w skruszonym uśmiechu. – Ale cieszę się, że jesteś. To dobry początek.

– Tak. Przyszłam ci powiedzieć, że tak jak mówiła babcia, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, pomogę ci. Gdybyś miała jakieś sprawy do załatwienia czy coś…

Mama spogląda na mnie trochę dziwnie.

– Babcia mówiła ci, że potrzebuję pomocy przy załatwianiu jakichś spraw?

W zasadzie babcia nie wyjaśniła wprost, na czym miałaby polegać pomoc mamie, choć zawsze daje do zrozumienia, że to bardzo ważne.

– Zrobię wszystko, czego będziesz potrzebować – mówię, przestępując z nogi na nogę. Znowu czuję między żebrami ten twardy guz niepokoju.

Mama przechyla na bok głowę.

– Nie wejdziesz?

Jeszcze nie wiem. Myślałam, że będę umiała, ale gdy się tu znalazłam, nie jestem pewna. Chcę czymś odwrócić jej uwagę, szukam w głowie słów i mój wzrok pada na wiszące na ścianie ulubione zdjęcie mamy, które przedstawia giętką joginkę stojącą w pozycji drzewa na tle indonezyjskiej świątyni. Chyba zmieniła ramki – ciekawe, to jedyna rzecz w domu, którą odświeżyła. Dawniej, gdy miała zły dzień w pracy albo Carla i ja doprowadzałyśmy ją do szału, pokazywała nam tę fotografię i mówiła: „Momencik, dziewczynki, przeniosę się tam na dziesięć oddechów”. Zamykała oczy, uruchamiała wyobraźnię, a kiedy je otwierała, wzdychała z ulgą: „Już jestem. Od razu lepiej”.

Przenoszę wzrok na blat stolika, kompletnie zastawiony… Kamykami? Kryształami?

– Co to za kamienie? – pytam, wskazując je ręką.

Mama błyskawicznie skupia na nich całą uwagę.

– Och, moje kryształy! Są wspaniałe. Kupiłam je przez internet. To jest obsydian śnieżny, pomaga zwalczyć smutek i oczyszcza. Ten to akwamaryn, dodaje odwagi i…

– Posłuchaj, mamo… – Gryzę się w język, nie kończąc zdania. Nie powinnam jej mówić, że to kupa bzdur, ale, Boże, przykro patrzeć, jak przechodzi przez te same fazy. Na początku tryska entuzjazmem, święcie przekonana, że znalazła lek na całe zło. Potem, kiedy okaże się, że obsydian – niespodzianka! – nie uśmierzy w czarodziejski sposób bólu po stracie jednej z córek, znowu się załamie. Babcia uważa, że nie ma w tym nic złego, ale moim zdaniem ciągłe rozbudzanie w sobie nadziei jest okrutne. Nie istnieje żaden eliksir. Trzeba po prostu dalej iść naprzód, mimo że boli jak diabli.

– A ten tak naprawdę kupiłam dla ciebie. – Sięga po minerał w głębi stosu. – Kamień księżycowy. Poprawia intuicję i ujawnia ukryte emocje. Sprzyja nowym początkom.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś chciał w tym momencie poznać moje ukryte emocje. – Miał to być żart, ale nie bardzo mi wyszedł.

– Pewnie masz wrażenie, że tego nie wytrzymasz, kiedy wyjdą na jaw. Ale

wytrzymasz. Moje wszystkie napady w jakimś sensie mi pomogły. Naprawdę w to wierzę.

Spoglądam na nią zaskoczona.

– Jakie napady?

Mama lekko marszczy brwi i patrzy mi w oczy.

– Przepraszam. – Robi krok w moją stronę. – Myślałam, że babcia coś ci wspominała. Mniejsza z tym. Weź ten kamień księżycowy, dobrze, Leena?

– Nie chcę kamienia księżycowego. Jakie napady?

– Proszę – nalega, wyciągając do mnie rękę. – Weź go.

– Nie chcę. Co miałabym z nim zrobić?

– Położysz sobie przy łóżku.

– Nie zamierzam go brać.

– Weź, proszę. Skąd u ciebie tyle uprzedzeń?

Próbuje mi wcisnąć kamień do ręki, ale ją cofam i minerał spada na podłogę z marnym, głuchym stuknięciem. Stoimy przez chwilę, w milczeniu patrząc na idiotyczny kamyczek między naszymi stopami.

Mama odchrząkuje, po czym schyla się, żeby go podnieść.

– Zacznijmy jeszcze raz – proponuje łagodniejszym tonem. – Wejdź. Napijemy się

herbaty.

Wskazuje drzwi salonu, ale nie ruszam się z miejsca.

– Nie, lepiej już pójdę. Babcia zostawiła mi długą listę rzeczy do zrobienia i… powinnam się zabrać do pracy.

Zapada długa cisza.

– W takim razie mogę cię przynajmniej przytulić na pożegnanie? – pyta w końcu mama.

Po krótkim wahaniu otwieram ramiona. Wydaje się krucha, ma za ostre łopatki. Uścisk nie wypada za dobrze – to nie jest prawdziwy uścisk, ale formalność, konwencjonalny układ rąk.

Na dworze dyszę ciężko, jakbym przez cały czas u niej wstrzymywała oddech. Wracam do domu babci coraz szybszym krokiem, a potem pędem mijam drzwi i wybiegam na główną drogę. Wreszcie czuję, jak ta atramentowa złość opada, a razem z nią ustępują przygnębienie i litość.

Dopiero po powrocie do domu zdaję sobie sprawę, że mama ukradkiem wsunęła mi do kieszeni kurtki kamień księżycowy. Trzeba jej to przyznać – kiedy coś sobie postanowi i jest przekonana, że to właściwa rzecz, nie podda się, dopóki nie dopnie swego. Mam to po niej.

I chyba między innymi na tym polega problem.

*

Kiedy dopada mnie takie samopoczucie, zwykle uciekam w pracę. Najlepiej nad czymś, co jeży się danymi: liczby skuteczniej niż słowa oczyszczają umysł. Jest w nich precyzja, jak w cienkiej kresce ołówka, w odróżnieniu od rysowanych węglem grubych linii.

Wobec braku takiej pracy szukam rozwiązania na babcinej liście zadań. I postanawiam spróbować swoich sił w ogrodnictwie.

Jak dotąd nie zostałam hobbystką.

To takie… niekończące się zajęcie. Po napełnieniu bluszczem dwóch worków zorientowałam się, że oplata szopę babci jeszcze z drugiej strony, wspina się na drzewa i sięga tymi paskudnymi ciemnozielonymi wąsami aż pod szopę, więc doszłam do wniosku, że skoro bluszczu jest więcej niż szopy, to co zostanie, jeśli go usunę?

Masuję sobie ramię, patrząc na wzgórza wznoszące się za starym kamiennym murkiem, którym kończy się ogród; niebo nad nimi

zasnuwają złowrogie ciemnoszare chmury. Doskonała wymówka, żeby przerwać próby zmierzenia się z ogromem zadania.

Wracam do środka. Dziwnie się czuję w Clearwater Cottage bez babci, gdy sama zaparzam herbatę w jej porcelanowych kubkach we wzorki i krzątam się po domu, jakbym była u siebie. Ale na weekendy będzie przyjeżdżał Ethan, więc nie będzie mi doskwierać samotność. Myślę nawet, że ten wyjazd świetnie nam zrobi po tak ciężkim roku – wspólne weekendy, tulenie się przy kominku i rozmowy o niczym, w których w ogóle nie będziemy wspominać o Selmount…

Kurczę, Selmount! Temat tabu. Wszystkie myśli o Selmount należy zostawiać przed progiem Clearwater Cottage, absolutny zakaz wstępu. Jak dla wampirów. I Arnolda, zgodnie z zanotowanymi przez babcię wskazówkami.

Rozlega się pukanie – tym razem na pewno w drzwi wejściowe, nie w kuchenne okno. Zerkam na siebie. Moja ulubiona bluza z Buffy jest wybrudzona grudkami i kawałkami… nie wiadomo dokładnie czego, jakiejś substancji z fragmentami uschłych liści. Naprawdę nie jestem gotowa na przyjmowanie gości. Zastanawiam się, czy nie udać, że nie ma mnie w domu, ale to Hamleigh – przybysz za drzwiami

zapewne został telefonicznie poinformowany przez Arnolda, że pracowałam w ogrodzie. Z grubsza strząsam z włosów śmieci i ruszam do drzwi.

Osoba na progu jest typem starszej pani, która w odcinku *Doktora Who* okazałaby się kosmitką. Po prostu za bardzo przypomina modelowy wzorzec starszej pani. Siwe włosy ułożone w nienaganną trwałą, elegancka apaszka, okulary na łańcuszku, obie dłonie zaciśnięte na trzymanej przed sobą torebce. Pamiętam, że była w grupie seniorów, którzy żegnali babcię na stacji w Daredale, i na pewno widywałam ją u babci i dziadka, gdy byłam mała. Chyba Betsy?

– Witaj, moja droga – mówi. – Jak sobie radzisz bez Eileen?

Robię wielkie oczy.

– No, hm… – bąkam – to na razie jeden dzień, więc… dziękuję, daję sobie radę.

– Panujesz nad jej projektami?

– Tak, tak, chyba mam wszystko pod kontrolą. Jeżeli babcia potrafi to robić, ja też sobie poradzę.

Betsy mierzy mnie bardzo poważnym spojrzeniem.

– Nikt nie może się równać z Eileen.

– Oczywiście, że nikt, chodzi mi tylko… O!

Mimo że nie odsunęłam się od drzwi, Betsy jakimś cudem przenika na korytarz i zdecydowanym krokiem kieruje się do salonu. Patrzę za nią i dopiero po chwili przypominam sobie o dobrym wychowaniu.

– Napijesz się herbaty? – Zamykam drzwi.

– Bez mleka, dwie łyżeczki cukru! – informuje mnie Betsy, sadowiąc się w fotelu.

Idę do kuchni i z niedowierzaniem kręcę głową. Gdyby któryś z sąsiadów wprosił się w ten sposób do mojego londyńskiego mieszkania, przysięgam, że mogłabym wezwać policję.

Gdy zasiadamy z Betsy przy herbacie, zapada cisza. Starsza pani zerka na mnie wyczekująco, nie mam jednak pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Z babcią nie ma takich problemów – przecież to babcia – ale naprawdę nie wiem, na czym polega pogawędka z seniorami. Jedynym poza babcią znanym mi seniorem jest dziadek Wade, ale to dupek, którego zazwyczaj po prostu ignorowałam.

Wyobrażam sobie, że to coś w rodzaju spotkania z nową klientką, więc sięgam po umiejętności towarzyskie, które w razie konieczności potrafię z siebie wykrzesać, ale Betsy mnie ubiega.

– Powiedz mi, droga Leeno, jak się czujesz? – Wypija łyk herbaty.

– Dziękuję, bardzo dobrze – mówię.

– Nie, pytam, jak się naprawdę czujesz – nie ustępuje, przyglądając mi się z uwagą w poważnych, wodniście niebieskich oczach.

Wiercę się na kanapie.

– Naprawdę dobrze.

– Minęło już… ojej, chyba ponad rok, odkąd straciłaś Carlę, prawda?

Nie znoszę tego wyrażenia, „straciłaś Carlę”. Jak gdybyśmy za mało się o nią troszczyli i nie udało się jej nam upilnować. Nie mamy odpowiednich słów, żeby mówić o śmierci – wszystkie są zbyt słabe.

– Rok i dwa miesiące.

– Jaka to była urocza dziewczyna.

Wbijam wzrok w kubek. Wątpię, by naprawdę tak bardzo lubiła Carlę – moja siostra była zbyt śmiała i arogancka, żeby kwalifikować się do kategorii młodych kobiet akceptowanych przez Betsy. Zaciskam zęby, czując ze zdziwieniem napływające do oczu gorąco – wyraźny zwiastun płaczu.

– A twoja matka… Dla niej to był bardzo bolesny cios, prawda?

Jakim cudem rozmowa tak szybko zeszła na tematy osobiste? Wypijam parę łyków herbaty – jest za gorąca i parzy mnie w język.

– Każdy inaczej przeżywa ból. – Z doświadczenia wiem, że to stwierdzenie świetnie się sprawdza w rozmowach tego rodzaju. Zwykle skutecznie ucina temat.

– Tak, ale ona trochę… zapadła się w sobie, nie sądzisz? Dlatego zastanawiam się, czy daje sobie radę.

Patrzę na Betsy. Pytanie ma tak osobisty charakter, że graniczy z niegrzecznością.

– Może moglibyśmy coś zrobić? – proponuje Betsy, odstawiając herbatę. – Pozwoliłabyś nam sobie pomóc?

– A co wy moglibyście zrobić? – Zadaję to pytanie zbyt ostrym tonem, z akcentem na „wy”, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru, i widzę, jak kobieta wzdryga się urażona. – To znaczy… nie wiem, jak…

– Doskonale rozumiem – odpowiada chłodno. – Ze mnie na pewno nie będzie żadnego pożytku.

– Nie, chodzi mi o to, że…

Milknę i ciszę nagle przeszywa przeraźliwy dzwonek jej telefonu. Betsy nieskończenie długo szpera w skórzanej torebce w poszukiwaniu aparatu i w końcu odbiera.

– Halo?

W słuchawce metalicznie brzęczy czyjś głos, niewyraźny, ale niewątpliwie podniesiony.

– Jeżeli chcesz kanapkę, w lodówce znajdziesz szynkę i ser – mówi Betsy.

Znowu metaliczne brzęczenie.

– No to posmaruj z jednej strony majonezem i… Tak, na pewno sobie… dobrze, Cliff, wracam do domu, kochanie. Tak. Oczywiście. Będę jak najszybciej.

Krzywię się. Naprawdę wzywa ją do domu, żeby zrobiła mu kanapkę? To jakiś zupełny idiotyzm – gdyby Ethan próbował takich numerów, pewnie… pewnie wybuchnęłabym śmiechem, bo słysząc tak absurdalną prośbę, wiedziałabym, że to żart. Pokolenie Betsy widzi to pewnie jednak inaczej – przypuszczam, że pięćdziesiąt lat temu kobieta w ogóle by się nie dziwiła, że ma przygotowywać mężowi wszystkie posiłki.

Betsy chowa telefon do torebki, po czym próbuje wstać, ale robi to za szybko, bez odpowiedniego impetu. Bezradnie opada z powrotem na fotel jak lalka z ciężarkiem w tyłku.

– Zostań, proszę – sugeruję jej, zdając sobie sprawę, że mówię zupełnie nie to co trzeba. –

Przecież mąż może poczekać, jeżeli…

– Mój mąż nie może czekać – ucina ostro Betsy. – Muszę iść.

Podchodzę, żeby pomóc jej się podnieść.

– Nie, nie, poradzę sobie. – Kiedy już stoi, znowu mierzy mnie poważnym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że rozumiesz, czego się podejmujesz w Hamleigh.

Nie umiem się powstrzymać – zaczynają mi drżeć usta. Betsy robi bardziej surową minę.

– Takiej osobie jak ty na pewno wydaje się to bardzo proste, ale Eileen robi tu mnóstwo rzeczy, więc musisz się przyłożyć. Rozumiem, że przejmiesz jej obowiązki w komitecie organizacyjnym majowego festynu?

– Tak, oczywiście – odpowiadam, starając się tym razem wyglądać poważnie.

– To dobrze. W stosownym czasie przyniosę ci listę twoich zadań. Do widzenia, Leeno – rzuca na koniec i rusza do drzwi krokiem, który z całym przekonaniem nazwałabym ostentacyjnym.

8
Eileen

To naprawdę cud, że wciąż jestem cała i zdrowa. Od przyjazdu do Londynu pięć razy otarłam się o śmierć.

1) O mały włos nie zginęłam pod kołami „pedibusa”: dowiedziałam się, że tak się właśnie nazywa ten dziwny pojazd, poruszany przez czeredę rozkrzyczanych młodych ludzi, którzy pedałują i równocześnie piją piwo. Musiałam pędem przebiec przez ulicę, żeby uniknąć zderzenia. Trochę się martwię, jak jutro zareagują na to moje kolana, ale przynajmniej wciąż są połączone z resztą ciała.
2) Stałam po lewej stronie na ruchomych schodach. (Przekonałam się, że tak się nie

robi).

3) Zjadłam przyrządzoną przez Fitza „chińszczyznę”. (Strasznie gotuje. Okropnie. Wykorzystam swój pobyt i spróbuję go nauczyć paru rzeczy).
4) Przesiadałam się do drugiej linii metra na stacji Monument. (Według mapy to ta sama stacja co Bank, ale nie jestem przekonana. Marsz z jednego pociągu do drugiego trwał wieczność. Nogi miałam już umęczone po przeprawie z pedibusem; musiałam przycupnąć obok ulicznego muzykanta grającego na ukulele. Był bardzo wyrozumiały. Pozwolił mi usiąść na swoim wzmacniaczu).
5) Poznałam mieszkającą po sąsiedzku zdziczałą pręgowaną kotkę, której brakuje połowy ucha. Z sykiem rzuciła się na mnie ze schodów, ale natychmiast walnęła łbem o balustradę i spadła. Drobna pociecha.

Przykro mi przyznać, ale jestem potwornie zmęczona i zszokowana. W Londynie żyje się w szalonym tempie i wszyscy są bardzo nieszczęśliwi. Jakiś człowiek w metrze sklął mnie, bo za wolno wysiadałam; kiedy przystanęłam na Oxford Street, żeby wyjąć mapę,

zderzyła się ze mną jakaś pani i nawet nie przeprosiła. A gdy już byłam w domu Leeny, natknęłam się na sąsiadów z dołu, pozujących na artystów dwoje młodych ludzi w skarpetkach i sandałach. Próbowałam ich zagadnąć, ale zobaczyłam, jak kobieta zerka na męża i przewraca oczami.

Zupełnie tu nie pasuję. Przez cały dzień zauważyłam tylko trzy osoby wyglądające na więcej niż siedemdziesiąt lat, a jedną z nich okazał się uliczny artysta przebrany za Einsteina.

To prawda, nieraz przychodzi mi na myśl, że byłoby mi trochę łatwiej, gdybym nie była tu sama – gdyby, powiedzmy, był ze mną Wade – ale Wade nigdy nie poszedłby na Oxford Street. Nie tęsknię za nim, choć czasem brakuje mi męża jako osoby, na której ramieniu mogłabym się oprzeć, pokonując trudny stopień przy wysiadaniu z autobusu, która mogłaby mi potrzymać parasol, kiedy płacę za herbatę.

Muszę jednak zachować pozytywne nastawienie. Moja przygoda dopiero się zaczyna i już wcześniej było wiadomo, że początki okażą się trudne. Trzeba stale mieć zajęcie. Jutro wieczorem przyjdzie Bee, przyjaciółka Leeny, żeby mi pomóc w „internetowych randkach". Leena twierdzi, że Bee jest prawdziwym

ekspertem. Kto wie, może już w czwartek będę z kimś umówiona.

Mleko w lodówce Leeny zaczęło się zsiadać; z westchnieniem wylewam je do zlewu i biorę torebkę, by znowu wyruszyć na zakupy. Tym razem, ponieważ mojej uwagi nie odwracają nieuprzejmi sąsiedzi w sandałach i skarpetkach, mogę się spokojnie rozejrzeć na dole. Między schodami a drzwiami wejściowymi do budynku rozciąga się duża otwarta przestrzeń; ustawiono w niej trzy kanapy pod dziwnymi kątami. Na jednej z nich są jakieś podejrzane ciemne plamy, dwie pozostałe są poplamione czymś podejrzanie jasnym. Dywan jest przetarty, ale przez dwa wielkie okna wpada tu mnóstwo słońca. Przypuszczam, że zostało to pomyślane jako wspólna przestrzeń sąsiedzka – szkoda, że nikt z tym niczego nie zrobił.

Kiedy wracam ze sklepu, zdziczała kotka zeskakuje z kanapy z ciemnymi plamami i podchodzi, żeby otrzeć się łbem o moje nogi. Nie idzie po całkiem prostej linii. Mam nadzieję, że incydent z balustradą nie spowodował u zwierzaka uszkodzenia mózgu. Dziś rano dostrzegłam właścicielkę kota, gdy wychodziła z budynku z torbą na kółkach. Zgarbioną i łysiejącą staruszkę. Waham się, patrząc na kota,

który chwiejnym krokiem zmierza w stronę schodów.

Gdyby to się przytrafiło Antowi albo Decowi, chciałabym, żeby ktoś mi powiedział. Może panują tu inne obyczaje, ale bez względu na miejsce dobry sąsiad to dobry sąsiad.

Ruszam po schodach na górę i pukam do drzwi właścicielki kota, stawiając torbę z zakupami na podłodze.

– Tak? – dobiega głos z mieszkania.

– Dzień dobry – mówię. – Jestem babcią Leeny.

– Kto tam?!

– Babcia Leeny.

– Czyja babcia?

– Leeny. Mieszka za ścianą – wyjaśniam cierpliwie. Może starsza pani zaczyna trochę fiksować. Zauważyłam coś takiego u Penelope i szalenie się zasmuciłam, chociaż ma to swoją dobrą stronę: najwyraźniej zapomniała, że nie znosi Rolanda. Od pewnego czasu przeżywają coś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego.

– A które to z tej trójki? – pyta zza drzwi kobieta. Chrypi, jakby musiała odchrząknąć. – Lesbijka, to eleganckie czy to trzecie?

Mrugam zaskoczona. Lesbijką na pewno jest Martha – powiedziała mi o swojej dziewczynie, kiedy palnęłam gafę i spytałam, kto jest ojcem

dziecka. I chociaż bardzo kocham wnuczkę, to kiedy nie nosi kostiumu, zwykle ma na sobie coś z wprasowaną podobizną jakiejś gwiazdy telewizyjnej. Trudno byłoby ją nazwać osobą dbającą o elegancję. Czyli zostaje…

– To trzecie? – ryzykuję.

– To z zaczesanymi do tyłu mysimi włosami? Niskie, wszędzie biega i zawsze ma ponurą minę?

– Leena ma śliczne włosy – protestuję stanowczo, lecz gryzę się w język. – Ale… tak. Pewnie o nią chodzi.

– Aha. Dziękuję, ale to mnie nie interesuje – oznajmia, a po chwili słyszę szuranie oddalających się kroków.

– Co pani nie interesuje? – pytam zdziwiona.

– To, czego pani ode mnie chce – odpowiada.

Marszczę czoło.

– Niczego nie chcę. – Zaczynam rozumieć, dlaczego Arnold tak się złości, kiedy nie wpuszczam go do domu. Nie jest to zbyt wygodny sposób prowadzenia rozmowy. – Przyszłam powiedzieć o pani kotce.

– Aha. – Wydaje się bardziej nieufna niż wcześniej, jednak znowu słyszę szuranie i drzwi uchylają się na kilka centymetrów. Przez szparę spoglądają na mnie duże brązowe oczy.

– Niestety, miała wypadek z balustradą – mówię skruszonym tonem. – To znaczy, zderzyła się z nią.

Oczy za drzwiami mrużą się podejrzliwie.

– Kopnęła ją pani?

– Co takiego? Ależ nigdy nie kopnęłabym kota! – zapewniam ją ze zgrozą. – Sama mam dwa czarne koty. Nazywają się Ant i Dec.

Oczy otwierają się szerzej, szpara w drzwiach też się poszerza.

– Uwielbiam czarne koty – mówi sąsiadka.

Uśmiecham się.

– Wobec tego na pewno się zaprzyjaźnimy. – Wsuwam rękę w otwarte drzwi, aby uścisnąć jej dłoń. – Jestem Eileen.

Tak długo zastanawia się, czy przyjąć moją wyciągniętą rękę, że omal jej nie opuszczam, w końcu jednak czuję uścisk jej palców.

– Letitia – przedstawia się. – Chciałaby pani… Nie sądzę… – Odchrząkuje. – Nie sądzę, żeby miała pani ochotę wejść? Żeby opowiedzieć mi o kocie – dodaje pospiesznie.

– Bardzo chętnie – mówię i przestępuję próg.

*

Mieszkanie Letitii wygląda oryginalnie jak ona, chociaż zupełnie nie tak, jak można by się spodziewać. Jej wygląd kojarzy się trochę z… bezdomnością, natomiast wnętrze mieszkania to zupełnie inna historia. Pełno w nim antyków i osobliwości. Stare monety leżą ułożone spiralnie na blatach dębowych stolików; na sznurze do bielizny wiszą przypięte klamerkami pióra, mieniące się złotem i zielononiebieskimi pawimi barwami. W serwantkach na rachitycznych nóżkach, za oszklonymi drzwiami zaopatrzonymi w uchwyty z kutego żelaza, stoją miseczki z delikatnej porcelany. Niezwykłe wnętrze. Połączenie sklepu ze starociami z zagraconym muzeum… i może trochę z dziecięcą sypialnią.

Sączę filiżankę herbaty, już trzecią, odkąd przekroczyłam próg mieszkania Letitii, i posyłam jej promienny uśmiech przez kolekcję dzbanuszków i wazonów, która zajmuje większą część stołu w jadalni. Nie czułam się tak dobrze przez cały dzień. Ależ to interesująca kobieta, i w dodatku znalazłam ją tuż po sąsiedzku! Naprawdę dziwne, że Leena nigdy o niej nie wspominała – chociaż wygląda na to, że niezbyt często miały ze sobą kontakt. Trudno mi w to uwierzyć, skoro dzieli je tylko cienka ściana, ale

z tego, co zrozumiałam, Letitia nie rozmawia z żadnym z sąsiadów. A ściślej mówiąc, żaden sąsiad nie rozmawia z Letitią.

– Zupełnie nikt? – upewniam się. – Ani jedna osoba, która wprowadziła się do budynku, nie przyszła się przedstawić?

Kręci głową, pobrzękując długimi kolczykami, które ściągają w dół płatki uszu, co nadaje jej nieco mistyczną aurę.

– Nikt ze mną nie rozmawia – przytakuje, choć bez szczególnego rozgoryczenia. – Jesteś pierwszą osobą, do której odezwałam się od… – zawiesza głos – zeszłego piątku, kiedy odbierałam dostawę mrożonek z Iceland.

– Och, skarbie. A ta wspólna część sąsiedzka na dole? Próbowałaś tam kiedyś usiąść, żeby każdy, kto przechodził obok, mógł ci powiedzieć „Dzień dobry”?

– Raz próbowałam – odpowiada Letitia. – Ale ktoś się poskarżył. Podobno to psuło image budynku. No więc siedzę sobie tutaj, żeby nikomu nie przeszkadzać.

– Okropne! Nie czujesz się samotna? – Zaraz się reflektuję. – Przepraszam, zawsze pytam o takie osobiste sprawy.

– Czuję się samotna – przyznaje po chwili. – Ale mam Solstice. Moją kotkę. Nawiasem

mówiąc, zawsze trochę dziwnie chodzi – dodaje. Zaczęłyśmy rozmowę od jej kota, potem jednak przeszłyśmy na inne tematy i tak minęły trzy godziny.

– W każdym razie przykro mi, że Leena nigdy tu nie zajrzała – mówię.

Letitia wzrusza ramionami. Na jej luźnej sukience-tunice dostrzegam plamy i lekko się wzdrygam.

– Z tego, co wiem, prawie nigdy nie ma jej w domu, a kiedy jest, to ze swoim facetem. Tym z błyszczącymi włosami. On mi się nie podoba. Wygląda mi… – Macha ręką, potrącając wiszący nad jej głową łapacz snów, a on z kolei zahacza o srebrno-fioletowe wietrzne dzwonki, które cicho pobrzękują. – Wygląda mi na mięczaka.

Och, ta kobieta naprawdę mi się podoba.

Zagląda do mojej filiżanki. Pijemy czarną herbatę, liściastą; na dnie mojej filiżanki unosi się warstwa fusów.

– Chcesz, żebym ci powróżyła? – proponuje.

– Umiesz wróżyć z fusów?

– Byłam wróżką – informuje mnie Letitia. – Kiedyś siedziałam na Trafalgar Square i zajmowałam się chiromancją.

Niewykluczone, że to najbardziej interesująca kobieta, jaką w życiu poznałam. I pomyśleć, że

tkwi tutaj dzień w dzień i nie ma do kogo otworzyć ust! Ciekawe, ilu jeszcze intrygujących ludzi chowa się w takich mieszkankach po całym mieście.

– Ależ cudownie! Bardzo proszę, zobacz, co tam widzisz. – Podsuwam jej filiżankę.

Przecząco macha dłonią.

– Weź do lewej ręki i zakręć co najmniej trzy razy – instruuje mnie.

Spełniam to polecenie, przyglądając się, jak fusy wirują w ostatnim łyku herbaty na dnie.

– W ten sposób?

– Tak, bardzo dobrze. – Sięga po filiżankę, a potem ostrożnie wylewa resztę płynu na spodek, tak by wewnątrz zostały same liście. Bardzo wolno obraca ją w lewo i w prawo, oddychając głęboko, pochłonięta studiowaniem fusów, a ja zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

Nie jestem pewna, czy wierzę w przepowiadanie przyszłości z filiżanki, ale cóż mogę o tym wiedzieć? Zastanawiam się przelotnie, co powiedziałby Wade – na pewno coś pogardliwego – ale zaraz odsuwam od siebie tę myśl. Guzik mnie obchodzi, co sądziłby o tym ten stary dureń.

– Hm… – odzywa się Letitia.

– Tak? – pytam z nadzieją.

Zaciska usta, częstuje mnie następnym „Hm”, po czym spogląda na mnie z pewną skruchą w oczach.

– Czyżbyś… niczego nie zobaczyła? – Próbuję zajrzeć do filiżanki.

– Och, wyraźnie coś widzę. – Letitia pociera sobie brodę. – To całkiem… czytelne.

Podsuwa mi filiżankę, obracając ją uszkiem w moją stronę.

Przyglądam się fusom. Zanim zdążyłam zobaczyć to, co ona, widzę, jak dygoczą ramiona Letitii; kiedy sama parskam śmiechem, ona już się zanosi, nie potrafi się opanować, w kącikach jej oczu błyszczą łzy, poplamiona sukienka trzęsie się z każdym paroksyzmem wesołości.

Liście herbaty wyglądają jak… genitalia. Męskie genitalia. Gdybym próbowała celowo ułożyć fusy w taki kształt, nie zrobiłabym tego lepiej.

– I cóż to może oznaczać? – pytam, gdy wreszcie odzyskuję oddech.

– Moim zdaniem to znaczy, że czeka cię coś dobrego – orzeka Letitia, ocierając oczy. – Bo jeżeli nie, to wniosek z tego, że fusy robią mnie w chuja.

Przysłaniam dłonią usta, zszokowana takim wyrażeniem, a potem znowu wybucham śmiechem. Nie czułam się tak dobrze od… właściwie nie pamiętam od kiedy.

– Zajrzysz jeszcze do mnie? – pyta Letitia.

Wyciągam do niej rękę przez stół, starając się nie potrącić żadnego wazonika.

– Będę wpadać tak często, jak zechcesz. – Wskazuję na filiżankę. – Przypuszczam, że będziesz chciała się dowiedzieć, co wyjdzie z tej małej wróżby.

– Nie ma w niej nic małego – mówi i znowu zaczynamy się skręcać ze śmiechu.

9
Leena

Dwadzieścia dwie po szóstej już nie śpię. Chyba nowy nawyk. Biegnę do toalety, a potem próbuję znowu zasnąć, ale nie domknęłam drzwi do sypialni i kot Ant potrzebuje mniej więcej dwudziestu sekund, żeby wkraść się do środka, zlokalizować moją twarz i usadowić się na niej.

Z groźnym pomrukiem zrzucam go z siebie i wstaję. Och, to nie Ant, ale Dec. Nazwanie nieodróżniających się od siebie kotów Ant i Dec było rodzajem żartu[1], który nieodmiennie bawi babcię, chociaż podejrzewam, że gdyby ją o to spytać, udałaby niewiniątko, twierdząc, że to był pomysł dziadka Wade'a.

Na dole, po nakarmieniu Anta/Deca – który biegnąc ze mną po schodach, nieustannie miauczy, prawie nie nabierając tchu między kolejnymi płaczliwymi jękami – obrzucam

sennym wzrokiem szereg stojących za czajnikiem herbat w starannie oznakowanych puszkach po ciastkach. Boże, jak mi brakuje ekspresu Fitza. Dręczy mnie szczególna potrzeba kofeiny, której nie może zaspokoić herbata ani rozpuszczalna kawa.

Dziś jest środa, co oznacza, że idę wyprowadzić na spacer psa Jacksona Greenwooda; wczoraj do późnej nocy piekłam psie smakołyki domowej roboty z tego, co znalazłam w lodówce babci. Zrobiłam mały research na temat wyprowadzania psów i wygląda na to, że najważniejsze w tej czynności są przysmaki. Zanim to jednak odkryłam, sklepy… a raczej sklep był już zamknięty, musiałam więc pomyśleć i coś wykombinować. I dzisiaj na kredensie stoi torebka śniadaniowa pełna gąbczastych kostek z mielonego mięsa, jajek i rozgniecionych płatków Weetabix. Wyglądają obrzydliwie.

Czekając, aż woda się zagotuje, patrzę na psie przysmaki i zastanawiam się, co wyrabiam ze swoim życiem, a potem – ponieważ podobne myśli rzadko prowadzą do konstruktywnych wniosków, a na zmianę planów trochę za późno – zaparzam sobie kubek herbaty.

Wychodzę z nią na korytarz i dostrzegam leżący na wycieraczce pod drzwiami list. Jest adresowany do „Leeny Cotton” dużymi, rozchwianymi literami. W kopercie tkwi odręcznie napisana lista z nagłówkiem:

Obowiązki w ramach Komitetu Organizacyjnego Festynu Majowego, przechodzące na Leenę Cotton ze względu na urlop Eileen Cotton, długoletniej współprzewodniczącej Komitetu.

Urlop! Omal nie krztuszę się herbatą.

1) Brokat
2) Lampiony
3) Przycięcie drzewek – aranżacja
4) Stragany z jedzeniem
~~5) Zdobyć sponsora~~
6) Girlandy
7) Przenośne toalety
8) Oznakowanie
9) Miejsca do parkowania
10) Kostiumy na paradę

Oficjalne zawiadomienie pobudza moją ciekawość. Zapowiada się całkiem fajny projekt – jeszcze nigdy nie zajmowałam się organizowaniem żadnego eventu, a z listy wynika, że babcia ma na głowie dużą część logistyki: miejsca do parkowania, oznakowanie, stoiska z jedzeniem. No i… brokat. Cokolwiek to oznacza. Będę musiała spytać Betsy.

Czuję przyjemne wibracje w brzuchu, ten dreszczyk podniecenia, który przenikał mnie za każdym razem, gdy w pracy zaczynałam nowy projekt, i nagle myślę o moim pięknym, oznaczonym kolorami biznesplanie dla B&L Consulting. Pliki są na Dropboxie; mogłabym je później ściągnąć na komputer babci. Wibracje przybierają na sile, a ja duszkiem wychylam resztę herbaty i wracam do listy.

Został z niej skreślony punkt *Zdobyć sponsora*. Babcia wspominała, że liczy na znalezienie sponsora majowego festynu, żeby można było przekazać zyski z biletów antynowotworowej organizacji charytatywnej, która mocno nas wspierała podczas choroby Carli. Czyżby zrezygnowała? Łapię długopis ze stolika w korytarzu i opatruję gwiazdką ten punkt na liście Betsy.

Po drugiej herbacie wychodzę. Jestem ciekawa spotkania po latach z Jacksonem Greenwoodem. Kiedy w dzieciństwie odwiedzałam babcię i dziadka, widywałam go dość często – mieszkał wtedy z Arnoldem i był małomównym chłopakiem ze skwaszoną miną, który biegał susami po ogrodzie z ich starym psem przy nodze. Jackson był dzieckiem, które wszyscy uważali za „trudne", choć właściwie nigdy niczego nie przeskrobał. Był po prostu wiecznie naburmuszony.

Podobno teraz uczy w miejscowej podstawówce. Coś mi tu po prostu… nie gra. W moim pojęciu nauczyciele w szkołach podstawowych to ludzie cali w uśmiechach i skowronkach, którzy z wniebowziętą miną mówią rzeczy w rodzaju „Całkiem nieźle!", natomiast Jackson najczęściej patrzył na wszystkich spode łba.

Dzisiaj mieszka w jednym z nowych budynków na obrzeżu Hamleigh; kiedy zbliżam się do osiedla, dziwi mnie, jak bardzo dwuwymiarowe wydaje się na ciemnym tle Yorkshire Dales; wygląda jak wygenerowana komputerowo wizualizacja budynków wielorodzinnych, które jeszcze nie powstały. Ogródki w świetle latarni są szare i jednakowe,

pokryte identyczną niską trawą i żwirem, tylko u Jacksona kłębi się gąszcz zieleni. Urządził tu sobie warzywnik. Bóg jeden wie, co myślą o tym najbliżsi sąsiedzi – ich ogródki, z rozmarynem w doniczkach z terakoty i banalną winoroślą, która pnie się po treliażach przy drzwiach, pasują do budynku.

Pukam i odpowiada mi głośne, radosne szczekanie, które gwałtownie się urywa. Krzywię się. Chyba ktoś dostał burę.

Gdy Jackson otwiera drzwi, nie mam nawet czasu na niego spojrzeć, bo padam jak długa po ciosie w brzuch zadanym mi przez wielką kulę czarnej sierści z doczepioną smyczą, która furkocze między jej nogami.

– Au! – Grzmotnęłam o ziemię kością ogonową, a siłę upadku najbardziej odczuł mój nadgarstek, ale w tym momencie moją uwagę zajmuje przede wszystkim pies, który z entuzjazmem liże mnie po twarzy. – Cześć, mógłbyś… Chryste…

Siedzi na mnie i łapie zębami mój naszyjnik. Och, a teraz zaczyna się nim bawić w przeciąganie liny, super, zaraz…

– Szlag by to, cholera jasna, przepraszam. – Szeroka dłoń łapie psa za obrożę i pociąga. – Siad, Hank.

Hank złazi ze mnie i przyjmuje pozycję siedzącą. Niestety, nadal trzyma w zębach mój naszyjnik; u pyska dynda wisiorek na zerwanym łańcuszku. Podążając za pełnym uwielbienia wzrokiem Hanka, spoglądam w górę na jego właściciela.

Dziwnie jest patrzeć na Jacksona. Na pewno jest tym samym chłopakiem, którego znałam, ale mam wrażenie, jakby kiedyś był zmięty w kulę, a teraz ktoś go rozprostował – złagodniało napięcie szczęk, rozluźniły się zgarbione ramiona – i rozwinął się w barczystego olbrzyma o sennych oczach, z czupryną niesfornych ciemnych włosów. Na T-shircie ma chyba plamę po kawie, na lewym kolanie dżinsów sporą dziurę. Na ręce, w której trzyma smycz Hanka, widzę biały pasek w miejscu zegarka – ma lekko opalone przedramiona, co w warunkach angielskiej wiosny można uznać za sukces.

Gdyby ktoś mnie spytał, powiedziałabym, że na jego twarzy maluje się coś pomiędzy nieśmiałością a konsternacją, ale tak naprawdę to rodzaj enigmatycznej miny, która oznacza, że albo ktoś jest nieprzenikniony i tajemniczy, albo nie ma nic do powiedzenia, więc trudno mieć pewność.

– Nie jesteś Eileen Cotton – zauważa. Mówi z silniejszym akcentem z Yorkshire niż w czasach mojego dzieciństwa, a może po prostu zbyt długo tu nie byłam.

– Właściwie trochę tak. Jestem Leena. Pamiętasz mnie?

Przygląda mi się zdumiony.

– Leena Cotton?

– Aha!

– O. – Po kilku długich sekundach Jackson kieruje wzrok na horyzont i odchrząkuje. – Hm… trochę się… zmieniłaś. To znaczy, inaczej wyglądasz.

– Ty też! Jesteś o wiele bardziej… – Czerwienię się. Jak skończyć to zdanie? Pierwszym słowem, jakie przychodzi mi na myśl, jest „męski”, ale przecież nie wypowiem go głośno. – Podobno jesteś nauczycielem w podstawówce? – pytam szybko.

– Tak, zgadza się. – Przejeżdża dłonią po włosach. Sterczą teraz prawie pionowo.

– Hm. – Patrzę na Hanka, który upuścił mój naszyjnik i próbuje go podnieść, co prawdopodobnie jest dość frustrującym zadaniem dla stworzenia pozbawionego przeciwstawnego kciuka. – Domyślam się, że to ten pies!

Strasznie krzyczę. Po co tak krzyczę?

– Tak. – Jackson znowu odchrząkuje. – To właśnie Hank.

Czekam.

– Świetnie! – przerywam w końcu ciszę. – No to co, mam go wziąć na spacer?

Jackson nieruchomieje z ręką we włosach.

– Co?

– Psa. Mam wziąć go na spacer?

Spogląda na Hanka. Pies wpatruje się w niego, machając ogonem i metodycznie omiatając próg moim naszyjnikiem.

– Gdzie jest Eileen? – pyta zdezorientowany Jackson po następnej dłuższej chwili milczenia.

– Och, nie powiedziała ci? Wyjechała na dwa miesiące do Londynu. Pilnuję jej domu i biorę na siebie jej zobowiązania. Zastępuję ją we wszystkich sprawach, którymi zajmuje się we wsi.

– Chyba ciężko ci będzie wejść w jej buty. – Jackson drapie się po karku. Dla innego faceta taki gest mógłby być pretekstem, żeby pochwalić się wielkością bicepsa, ale u niego wygląda to naprawdę naturalnie. W swoich nieskoordynowanych ruchach Jackson jest na swój sposób seksowny, a wydatnie przyczyniają

się do tego niezwykłe oczy i klasyczny nos rugbysty, zniekształcony po złamaniu.

– Na pewno sobie poradzę! – odpowiadam.

– Wyprowadzałaś już kiedyś psa?

– Nie, ale nie martw się, jestem świetnie przygotowana. – Nie trzeba go wtajemniczać, że gruntownie przestudiowałam teorię wyprowadzania psów, charakter labradorów i dokładną trasę spaceru, którą poleciła mi wybrać babcia.

– Ma dopiero osiem miesięcy – tłumaczy Jackson, znowu drapiąc się po głowie. – Ciągle jeszcze łobuzuje. Poprosiłem Eileen, żeby wyprowadzała go tylko w środę, bo bardzo dobrze sobie z nim radziła, a ja mam okazję wyjść wcześniej do szkoły i przygotować lekcje, zanim przyjdą dzieciaki…

Sięgam po naszyjnik; labrador wydaje krótkie szczeknięcie i natychmiast próbuje chwycić moją rękę zębami. Nie umiem powstrzymać krzyku, cofam dłoń i przeklinam. Przecież wiedziałam, że właśnie tego nie wolno mi robić. Powinnam najpierw wyciągnąć rękę grzbietem dłoni na zewnątrz.

– Hank! Jesteś niegrzeczny. Siad.

Pies siada i spuszcza łeb jak ucieleśnienie wstydu i przygnębienia. Nie jestem przekonana,

czy rzeczywiście ma wyrzuty sumienia. Wzrok winowajcy wciąż śledzi naszyjnik.

*

– Czyli mam go przyprowadzić za godzinę?

– Dzięki. Jeżeli na pewno chcesz z nim iść. Będę w szkole. Proszę. – Jackson podaje mi klucz. – Potem zaprowadź go na werandę i zamknij drzwi.

Patrzę na klucz w ręce. Wiem, że nie jesteśmy dwojgiem nieznajomych, ale nie rozmawiałam z nim chyba od dziesięciu lat i jestem trochę zaskoczona, że z własnej woli daje mi stały dostęp do swojego domu. Nie mam jednak za dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo Hank zaczyna podejrzewać, że klucz może być czymś smacznym, i skacze na mnie, aby to sprawdzić.

Jackson odciąga go i sadza z powrotem.

– Co za łobuz. Nie spotkałem wcześniej psa, którego tak ciężko się uczy. – Zrezygnowany, kręci głową, mimo to drapie Hanka za uszami.

Och, wspaniale. Pies nieuk.

– Na pewno dasz sobie radę? – pyta Jackson. Być może zauważył moją minę, bo jego twarz wyraża powątpiewanie.

O mały włos nie zostałam ugryziona, więc rzeczywiście spacer z jego psem budzi we mnie teraz mniejszy entuzjazm, ale skoro Jackson sądzi, że nie stanę na wysokości zadania, to naturalnie muszę to zrobić. I basta.

– Nic złego się nam nie stanie, prawda, Hank?

Labrador skacze na mnie z zachwytem. Piszczę i tracę równowagę. Wydaje mi się, że Google nie całkiem mnie do tego przygotował.

– No to idziemy! – mówię najbardziej bojowym tonem, na jaki mnie stać. – Na razie!

– Do zobaczenia! – woła Jackson, kiedy pędem ruszamy ścieżką. – Gdybyś miała jakieś kłopoty, po prostu…

Chyba mówi coś jeszcze, ale przestaję go słyszeć, bo Hank ma ogromną ochotę ruszyć w drogę. Chryste, do tego spaceru w ogóle nie potrzebuję energii – ten zwierzak cały czas ciągnie mnie za sobą, kurczę, wychodzi na drogę, a teraz… w porządku, wrócił na… Co on ma w pysku? Skąd to wziął?

Droga przez wieś na łąki to najdłuższe dziesięć minut w moim życiu. Mijamy dosłownie wszystkich mieszkańców Hamleigh-in-Harksdale, jakby postanowili właśnie w tym momencie gremialnie wylec z domów, żeby popatrzeć, jak

chodnikiem wlecze mnie niezwykle podekscytowany labrador.

Jakiś starszy mężczyzna na skuterze inwalidzkim stara się mnie wyprzedzić przez całą Middling Lane. Jest prawie zupełnie zasłonięty dużą peleryną przeciwdeszczową, która chroni go przed mżawką.

– Powinnaś prowadzić Hanka przy nodze! – woła do mnie przez plastikowy pokrowiec.

– Dobrze! – krzyczę w odpowiedzi. – Dziękuję!

– Tak robi Eileen! – dodaje staruszek, jadąc już obok mnie.

– Dobrze wiedzieć! – odpowiadam pogodnie, podczas gdy labrador usiłuje zwichnąć mi staw barkowy. – Do nogi, Hank – rzucam na próbę dziarskim tonem, jakim mówi się do psa albo dziecka. Hank nawet się nie ogląda.

– Jestem Roland! – woła człowiek na skuterze. – A ty pewnie Leena?

– Zgadza się. Do nogi, Hank, do nogi!

Pies nagle staje jak wryty, wyczuwając jakiś interesujący zapach, a ja natychmiast się o niego potykam. Gdy leżę na ziemi, liże mnie po twarzy. Tymczasem Roland korzysta z okazji i z triumfem kończy manewr wyprzedzania, co niewiarygodnie mnie irytuje, bo chociaż nie

umówiłam się na ten wyścig, to ewidentnie w nim przegrałam.

Gdy wreszcie kończy się wioska i znikamy z pola widzenia wścibskich oczu, zatrzymuję Hanka szarpnięciem smyczy i opieram się o pień drzewa. Cholera jasna, to bardziej marszobieg niż spacer. Jak babcia w ogóle radzi sobie z tą bestią?

Rozglądam się po łące – pamiętam to miejsce. W szarudze wygląda inaczej, ale urządzałyśmy tu sobie pikniki z Carlą, gdy byłyśmy małe. Raz utknęła na tym drzewie, wybuchnęła przeraźliwym płaczem i nie była w stanie się uspokoić, nawet gdy udało mi się sprowadzić ją na dół, każąc jej schodzić powoli, krok po kroku.

Hank wyrywa mnie z rozmyślań o przeszłości, ciągnąc smycz. Napręża ją z taką determinacją, że odrywa od ziemi przednie łapy. Jestem prawie pewna, że internet radził, by nie pozwalać psu naprężać smyczy – przecież mam go z powrotem przywabić do siebie, prawda?

Wyjmuję domowy psi przysmak i wołam Hanka; przypada do mnie, pożera go, a potem wraca do szarpania smyczy. Identyczna scena powtarza się jeszcze trzy razy. Przekąski w torebce zmieniły się w papkę: pod

paznokciami czuję lepkie mięsno-jajeczne okruchy.

Godzę się z porażką i ruszam dalej. Okrążam łąkę szybkim marszem, od czasu do czasu optymistycznie pokrzykując: „Do nogi!” albo przyciągając Hanka do siebie, ale – nie oszukujmy się – to raczej pies wyprowadza mnie na spacer, nie odwrotnie.

Jackson zauważył, że trudno będzie mi „wejść w buty” babci, a ja, jak na ironię, maszeruję właśnie w jej kaloszach – nie mam własnych; na szczęście nosimy ten sam rozmiar. Odkąd wyszłam z Clearwater Cottage, kalosze obcierają mi pięty, a teraz do jednego wpadł jakiś wielki kamień. Bezskutecznie próbuję zatrzymać psa, po czym pochylam się, żeby zdjąć kalosz i wytrząsnąć z niego nieproszonego gościa.

Na pewno trzymam smycz. Nie może być inaczej. Z takim zwierzakiem jak Hank nie można sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Tyle że… w zamieszaniu, gdy skaczę na jednej nodze, starając się nie wdepnąć w błoto stopą w skarpetce, a but spada na ziemię, chyba jednak puściłam smycz.

Hank skacze naprzód jak pocisk. Biegnie ile sił w nogach, tak że przednie i tylne łapy krzyżują

się w powietrzu; pędzi, nie widząc niczego prócz rozciągających się przed nim łąk.

– Kurwa mać!

Rzucam się za nim sprintem, ale mam tylko jeden kalosz, a bieganie w jednym kaloszu jest dość trudne – trochę jak samotny start w wyścigu partnerów przywiązanych do siebie jedną nogą – więc już po paru krokach potykam się i znowu padam. Hank oddala się ode mnie z prędkością błyskawicy. Dźwigam się na nogi, zasapana i przerażona, Boże, Boże, znika mi z oczu, już jest… jest… Gdzie on jest?!

Galopem wracam po kalosz, wciągam go jednym szarpnięciem i pędzę za psem. Nigdy w życiu nie biegłam tak szybko. Po kilku minutach kompletnie chaotycznego sprintu odzywa się mój antykryzysowy instynkt, który podpowiada, że lepiej będzie trzymać się choćby jakiegoś zarysu planu, więc pokonuję łąki zygzakiem, z trudem łapiąc oddech. W pewnym momencie zaczynam płakać, co nie ułatwia szybkiego biegu, aż w końcu, po niemal godzinie, padam pod drzewem i wybucham szlochem.

Zgubiłam psa Jacksona. Zastępowanie babci miało być lekkie, łatwe i przyjemne, miało być dla mnie odpoczynkiem, w którym absolutnie nie mogłam dać ciała. To okropne. Bóg jeden wie, co

się stało z Hankiem. Może wybiegł na główną drogę? A może… może coś go zjada? Czy w Yorkshire Dales żyją stworzenia pożerające szczeniaki? Boże, dlaczego tak ryczę?

Po chwili wstaję, bo siedzenie jest jeszcze gorsze niż bieganie. Bez przerwy nawołuję Hanka, ale tak wieje, że sama ledwie się słyszę. Tydzień temu stałam w sali konferencyjnej i przedstawiałam szesnastopunktowy plan pozyskania interesariuszy poprzez wdrożenie inicjatyw restrukturyzacyjnych. A teraz błąkam się po łące na obtartych do krwi piętach, łkam i w kółko wołam „Hank!”, a wiatr tłumi moje wrzaski i chłoszcze mnie po twarzy moimi włosami, które na pewno przypominają już pieprzone ptasie gniazdo. Mam wrażenie, że tym razem radzę sobie wyjątkowo kiepsko. Przecież zwykle sprawdzam się w sytuacjach kryzysowych, prawda? Tak na pewno mówiła Rebecca, kiedy ostatni raz mnie oceniała.

Uczepiam się kurczowo tej myśli. Staram się oddychać miarowo i spokojnie. Nie ma innego wyjścia: muszę wrócić do Hamleigh. Nie mam numeru Jacksona (poważne przeoczenie – o czym ja myślałam?), a musi wiedzieć, co się stało.

Robi mi się niedobrze. Znienawidzi mnie. Naturalnie. Sama się w tym momencie nienawidzę. Biedny Hank błądzi po polach i łąkach – pewnie nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić, odkąd się zorientował, że się zgubił. Naprawdę gorzko szlocham, co utrudnia mi oddychanie. Muszę się wziąć w garść. Uspokój się, przestań, co się ze mną dzieje?

Myślałam, że droga przez Hamleigh w tamtą stronę była trudna, teraz jednak jest sto razy gorzej. Z okien i drzwi obserwują mnie nieme oczy. Jakieś dziecko pokazuje na mnie palcem z drugiej strony ulicy i krzyczy:

– Mamo, to Stig Jaskiniowiec[2]!

Z terkotem skutera znowu zbliża się Roland, a kiedy zrównuje się ze mną, mierzy mnie zaskoczonym wzrokiem.

– Gdzie Hank?! – woła.

– Zgubiłam go – udaje mi się wykrztusić.

– Wielki Boże!

Zaciskam zęby i idę dalej.

– Trzeba wysłać ludzi na poszukiwania! – gorączkuje się Roland. – Trzeba zaraz zwołać zebranie lokalnego komitetu! Pogadam z Betsy.

Boże, tylko nie Betsy.

– Muszę porozmawiać z Jacksonem – mówię, ocierając rękawem twarz. – Proszę, najpierw mu

powiem, zanim porozmawiasz z Betsy.

Ale Roland jest zajęty mozolnym zawracaniem na trzy i chyba mnie nie słyszy.

– Najpierw pogadam z Jacksonem, dobrze?! – krzyczę.

– Nie martw się, Leena, znajdziemy Hanka! – woła przez ramię, po czym odjeżdża.

Przeklinam pod nosem i wlokę się dalej. Próbuję ułożyć sobie w głowie, co dokładnie powiem Jacksonowi, okazuje się jednak, że nie ma na świecie dobrego sposobu, żeby przekazać komuś wiadomość o zagubieniu jego psa, i gdy bez końca wałkuję w myślach tę rozmowę, ogarniają mnie coraz większe mdłości. Gdy staję przed jego domem, nerwy mam w tym samym stanie co przed wejściem na ważną prezentację, co biorąc pod uwagę moją formę w ostatnim czasie, prawdopodobnie oznacza, że jestem bliska ataku paniki.

Naciskam dzwonek i poniewczasie przypominam sobie, że przecież mam w kieszeni klucz. Boże, Jackson pewnie już wyszedł do pracy – będę musiała iść do szkoły, żeby mu powiedzieć, że zgubiłam jego psa? Nie chciałabym odbyć takiej rozmowy na oczach całej klasy małych dzieci.

Jednak ku mojemu zdziwieniu Jackson otwiera mi drzwi.

Mam nieodparte poczucie *déjà vu*. Uderzenie łap, upadek do tyłu, jęzor psa na mojej twarzy, górujący nad nami jego właściciel…

– Hank!!! – piszczę, wtulając twarz w jego sierść i trzymając go z całej siły, zwłaszcza że porusza się z energią wierzgającego mustanga. – Hank! Boże, myślałam…

Wyczuwam na sobie wzrok Jacksona. Patrzę w górę.

Wydaje się ogromny. Wcześniej też tak wyglądał, ale teraz naprawdę… rządzi. Nie przypomina już przyjaznego olbrzyma, raczej kogoś, kto potrafiłby przerwać burdę w barze jednym wypowiedzianym cicho słowem.

– Strasznie cię przepraszam, Jackson – mówię, gdy labrador włazi na mnie i rozmazuje nowe warstwy błota na moich brudnych dżinsach. – Wierz mi, nie puściłam go celowo, po prostu mi się wyrwał. Przepraszam. Myślałam, że jestem przygotowana, ale… Przepraszam. Spóźnisz się do szkoły?

– Zadzwoniłem tam, kiedy dostałem telefon od pastorki, która widziała Hanka biegającego po Peewit Street. Dyrektor weźmie za mnie zastępstwo.

Ukrywam twarz w sierści Hanka.

– Nic ci nie jest? – pyta Jackson.

– Czy… mnie nic nie jest? – bełkoczę stłumionym głosem.

– Wyglądasz… trochę… hm…

– Jak cholerne nieszczęście?

Oczy Jacksona robią się odrobinę większe.

– Nie to chciałem powiedzieć.

Unoszę wzrok: z łagodniejszą miną opiera się o framugę drzwi.

– Wszystko w porządku – odpowiadam, ocierając policzki. – Naprawdę okropnie się czuję. Powinnam bardziej uważać.

– Słuchaj, nic złego się nie stało – uspokaja mnie Jackson. – Na pewno nic ci nie jest?

Hank zaczyna bardzo wnikliwie badać moje kalosze; węszy jak szalony i od czasu do czasu tłucze mnie ogonem.

– Nie musisz być taki miły – zwracam się do jego pana, uchylając się przed ogonem. – Możesz się na mnie złościć. Zasłużyłam sobie na to.

Jackson robi zdziwioną minę.

– Byłem zły, ale potem… Przecież przeprosiłaś.

– No tak, ale…

Patrzy, jak wstaję i bez przekonania usiłuję otrzepać błoto ze spodni.

– Nie gniewam się, jeżeli o to ci chodzi – mówi. – Zresztą z Hanka jest niezłe ziółko, nie powinienem go z tobą puszczać.

– Wynagrodzę ci to. – Próbuję się pozbierać.

– Nie musisz.

– Nie – upieram się. – Muszę. Powiedz tylko, co mam zrobić. Trzeba posprzątać klasy w szkole? A może trzeba ci pomóc w jakichś sprawach administracyjnych? Jestem naprawdę dobra w administracji.

– Szukasz dla siebie czegoś w rodzaju… kary? – Zmieszany przechyla głowę.

– Okropnie nawaliłam i próbuję to jakoś naprawić – tłumaczę się trochę zdenerwowana.

– Nie ma potrzeby. – Jackson milknie na chwilę. – Ale jeżeli naprawdę chcesz coś zrobić, to jedną klasę dobrze byłoby trochę odmalować. Przydałaby mi się pomoc.

– Tak, oczywiście – podchwytuję. – Powiedz tylko kiedy, a na pewno przyjdę.

– Dobrze, dam ci znać. – Pochyla się, by kucnąć obok Hanka. Drapie go za uszami, a potem spogląda na mnie. – Nie zrobiłaś nic złego, Leena. Wszystko gra. Zobacz, już się uspokoił.

Hank może się uspokoił, ale nie sądzę, by o mnie można było powiedzieć to samo. Co się ze

mną stało na łące, czemu tak ryczałam, darłam się na wietrze, biegałam w kółko? Bee ma rację: nic nie jest takie, jak powinno być. Na pewno nie ja.

10
Eileen

Kiedy do mieszkania wkracza Bee, przez chwilę trudno mi wykrztusić słowo. Po prostu nigdy nie widziałam tak olśniewającej osoby. Jej twarz wygląda przecudnie, mimo – a może właśnie dlatego – że jest asymetryczna: jedno oko jest osadzone wyżej, jeden kącik ust opada odrobinę niżej niż drugi. Jej skóra ma piękny mlecznobrązowy odcień, a czarne, niezwykle proste włosy spadają lśniącą kaskadą jak spływająca z zapory woda. Wyobrażam sobie przez moment, jak wygląda życie, kiedy się jest tak młodą i piękną. Chyba można zrobić wszystko.

Spędziwszy z Bee pół godziny, ze zdumieniem dowiaduję się, że wcale tak nie jest.

– Nie mogę znaleźć faceta w tym zakazanym mieście – żali się Bee, dolewając nam do

kieliszków wina. – Wszyscy są gówno warci, przepraszam za wyrażenie. Leena ciągle mi powtarza, że można spotkać fajnych, że zanim się trafi na księcia, trzeba po drodze ucałować kilka żab, ale ja już od roku obcmokuję same płazy i powoli… przestaje mi się chcieć. – Ostatnie słowa podkreśla kilkoma łykami wina. – Przepraszam, nie chcę pani zniechęcać. Może w segmencie siedemdziesiąt plus jest większa podaż.

– Wątpię. – Tracę ducha. To niemądre. Krępuję się w ogóle rozmawiać o swoim życiu uczuciowym z kimś takim jak Bee; jeżeli ona nie może znaleźć mężczyzny, to jak, u licha, ja mam tego dokonać? Nie umiałam nawet utrzymać przy sobie męża.

Bee dostrzega moją minę i odstawia kieliszek.

– Och, proszę mnie nie słuchać. Jestem po prostu wykończona i mam dość randek z kandydatami od siedmiu boleści. Ale pani? Czeka panią fantastyczna zabawa. Rzućmy okiem na pani profil w serwisie, dobrze?

– Nie, po co sobie tym zawracać głowę – opieram się słabo, przypominając sobie wszystkie żenujące rzeczy, jakie napisała tam Leena. *Uwielbia ruch na świeżym powietrzu! Młoda duchem! Szuka prawdziwej miłości!*

Bee nie zważa na moje protesty i otwiera swój laptop.

– Leena podała mi pani login – wyjaśnia, stukając w klawisze. – O, przyszły już wiadomości od kilku panów!

– Naprawdę? – Pochylam się i podsuwam wyżej okulary. – Ojej, czy to jest… Boże!

Dziewczyna zatrzaskuje klapę laptopa.

– Oho – mówi, otwierając szerzej oczy. – To doniosła chwila dla pani. Pierwsza fotka fiutka.

– Pierwsze co?!

Krzywi się.

– Rany, to gorsze niż powiedzieć własnej córce, skąd się biorą dzieci. Hm…

Parskam śmiechem.

– Nic się nie stało – uspokajam ją. – Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Jeżeli nawet sprawiam wrażenie niewinnej staruszki, to oglądam okropieństwa tego świata pół wieku dłużej niż ty, ale żadne z nich nie może się równać z pryszczatym zadkiem mojego byłego męża.

Bee chichocze. Nie mam czasu na refleksję nad tym, że pierwszy raz powiedziałam o Wadzie głośno „mój były mąż”, ponieważ Bee znowu otwiera laptop i na ekranie ukazuje się bardzo duże zdjęcie.

Przechylam głowę.

– Ojej.

– Jak na osiemdziesięciolatka prezentuje się całkiem dziarsko – ocenia Bee, przechylając głowę w przeciwną stronę niż ja.

– A jaki zamiar przyświeca nadawcy tego zdjęcia?

– Doskonałe pytanie – odpowiada Bee. – Moim zdaniem nadawca zamierza wzbudzić w pani chęć uprawiania z nim seksu.

– Naprawdę? – pytam zaintrygowana. – Takie sposoby są skuteczne?

– To wielka zagadka. Wydawałoby się, że nie, ale w takim razie dlaczego ciągle to robią? Nawet szczury potrafią się nauczyć, że nieskuteczne techniki godowe trzeba porzucić, prawda?

– Może zachowują się jak ekshibicjoniści w parku – sugeruję, patrząc na ekran spod przymrużonych powiek. – Nie obchodzi ich, czy nam się to podoba, po prostu lubią pokazywać swój interes.

Bee znowu wybucha śmiechem.

– Interes! – Ociera oczy. – Leena miała rację, pani jest niesamowita. No dobrze, mamy zablokować dalsze wiadomości od tego dżentelmena?

– Tak, bardzo proszę – odpowiadam, myśląc o fusach w filiżance u Letitii. – Wydaje mi się, że na razie mam dość oglądania interesów.

– A co pani powie na tego? – pyta Bee.

Nieufnie zerkam na ekran, ale tym razem spogląda z niego uśmiechnięta twarz. Twarz bardzo przystojnego mężczyzny z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, o wyrazistych łukach brwiowych i nieskazitelnych zębach. Wygląda mi to na profesjonalne zdjęcie.

– Jest prawdziwy? – zwracam się do Bee. – Często słyszy się o różnych ludziach w internecie, którzy w rzeczywistości okazują się dziwnymi kobietami mieszkającymi w Teksasie.

– Dobre pytanie, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z takim portretem. – Przez chwilę stuka w klawiaturę. – Okay, przeszukałam grafikę i jednym z dwóch miejsc, w których pojawia się jego zdjęcie, jest ten serwis. Zgadzają się nazwisko i inne dane… Chyba jest aktorem! – Bee pokazuje mi stronę internetową teatru: fotografię umieszczono przy biogramie Toda Malone'a, który jak wynika z informacji na ekranie, gra rolę Tobiasza Czkawki w *Wieczorze Trzech Króli* w teatrze St. John's. – Hm, robi sympatyczne wrażenie. Odpowiemy mu?

– A co napisał? – Zaglądam jej przez ramię.

– *Witaj, Eileen! Wygląda na to, że przybyłaś do Londynu, aby przeżyć wspaniałą przygodę. Jestem ogromnie ciekaw, jak do tego doszło…* – czyta Bee.

– Mogę?

Gdy odwraca laptop w moją stronę, zaczynam pisać:

Moja wnuczka chciała odpocząć na wsi, a ja chciałam zakosztować miejskiej rozrywki. Dlatego postanowiłyśmy zamienić się życiem…

– O, podoba mi się. – Bee z aprobatą kiwa głową. – Ten wielokropek! Jest bardzo tajemniczy.

Uśmiecham się.

– Ależ dziękuję.

Klika, by wysłać wiadomość.

– Teraz zaczekamy – oznajmia, sięgając po kieliszek.

– Może tymczasem pokażesz mi swój randkowy profil? – proponuję.

– Mój? Boże, lepiej niech pani tego nie ogląda.

– Ja swój pokazałam. – Przechylam kieliszek. Od bardzo dawna nie piłam wina, ale w mieszkaniu Leeny to chyba nieodłączny element codziennego życia. Pod telewizorem jest cała bateria butelek, a w lodówce zawsze stoi przynajmniej jedno białe wino.

– Korzystam z aplikacji, nie z takiej strony – wyjaśnia Bee, wskazując na laptop. – To znaczy, że mam ją w telefonie.

– Potrafię popatrzeć na telefon – mówię cierpliwie.

Bee robi skruszoną minę.

– No tak, przepraszam. – Przygryza wargę i po chwili przysuwa swój telefon i wstukuje jakąś serię cyfr. – Proszę. – Przewija zdjęcia. Pod spodem jest krótki opis: *Zapracowana mama. Cierpi na deficyt czasu i cierpliwości, uzależniona od kofeiny*.

Boże drogi. Jeżeli sądziłam, że Bee na żywo poraża urodą, to było nic w porównaniu z jej fotografiami. Wszystkie zdjęcia wyglądają jak wycięte z czasopisma w najlepszym guście – „Tak, w zeszłym roku bawiłam się trochę w modelkę", przyznaje nonszalanckim tonem – ale trudno sobie wyobrazić bardziej zniechęcającą autoprezentację.

Pokazuje mi, jak przesuwać zdjęcia w prawo i w lewo, a potem otwiera stronę, na której może wysyłać wiadomości do różnych mężczyzn.

– Ależ ich tu jest! – Przyglądam się uważniej. – Dlaczego im nie odpowiedziałaś? O, ten na przykład jest bardzo przystojny.

– Ach, to jeden z tych dyrektorów, typ człowieka sukcesu. – Lekceważąco macha ręką. – Nie moje klimaty.

Unoszę brwi.

– Czemu nie?

– Nie lubię umawiać się z facetami, którzy zarabiają więcej ode mnie. – Wzrusza jednym ramieniem. – To jedna z moich zasad.

– A jakie są inne zasady? – pytam, rozmyślając nad jej odpowiedzią.

Wylicza je na palcach.

– Musi być wysportowany, nie może pracować w finansach ani konsultingu, musi dobrze tańczyć, być niewiarygodnie seksowny, nie może mieć dziwnego nazwiska, musi lubić koty, nie może pochodzić z wyższych sfer ani mieć bogatych rodziców, nie wchodzi w grę żadne nudne męskie hobby w rodzaju samochodów albo gry w strzałki, musi być feministą, ale takim prawdziwym, nie kiedy mu to pasuje, nie może mieć żadnych uprzedzeń do Jaime… mojej córki…

– Och, opowiedz mi o niej – proszę, wbrew sobie prowokując ją do dygresji.

– Jaime… – Bee tak szybko śmiga palcami po ekranie telefonu, że trudno mi je zobaczyć. – Dzisiaj jest z tatą. – Przegląda galerię zdjęć

i w końcu wybiera fotografię dziewczynki o krótko obciętych kasztanowych włosach, która promiennie uśmiecha się do obiektywu zza okularów w grubych oprawkach. – Oto ona – mówi z dumą Bee.

– Jaka śliczna dziewczynka! – Serce mi się ściska, nie tyle na widok dziecka, chociaż jest słodkie, ile na widok wyrazu twarzy jego matki. Jest dosłownie rozczulona. Od razu widać, że kocha tę małą najbardziej na świecie.

– Zostanie mistrzynią świata w tenisie – informuje mnie Bee. – Już jest najlepsza w klubie w swojej kategorii wiekowej.

– Ojej.

– Poza tym lubi dinozaury i czyta o tajemnicach mózgu – dodaje Bee. – I jest weganką. Co mnie często irytuje.

– Och, tak. – Kiwam głową ze współczuciem. – Moja przyjaciółka Kathleen też to ma.

– Przepraszam, co ma?

– Weganizm.

Bee chichocze. Ma uroczy śmiech – słysząc go i pamiętając jej minę, gdy popatrzyła na Jaime, nagle odnoszę wrażenie, że znam ją o wiele lepiej i o wiele bardziej ją lubię. Na tym pewnie polega problem z internetowymi randkami. Nie można usłyszeć śmiechu drugiej osoby ani zobaczyć jej

rozmarzonych oczu, kiedy mówi o czymś ulubionym.

Przyglądam się Bee, gdy przerzuca kolejne zdjęcia córki, i myślę: Może niewiele wiem o internetowych randkach, ale chyba lepiej poradzę sobie ze znalezieniem mężczyzny dla Bee niż ona sama.

Sięgam po swój nowy terminarz. Kupiłam go wczoraj w sklepie Smitha – stary został u Leeny w Hamleigh.

Na pierwszym miejscu listy figuruje punkt *Sąsiedzka część budynku – ogarnąć*. Rozmawiałam o tym rano z Marthą; zapaliła się do tego pomysłu i wychodząc z domu, pomachała mi paletami kolorów farb do ścian. Chociaż wiem, że wszystko wygląda tu inaczej, wydaje mi się, że w tym budynku przydałoby się jakieś poczucie wspólnoty.

Pod tą notatką dopisuję starannie: *Znaleźć mężczyznę dla Bee*.

– Oho, odezwał się pani siwowłosy amant! – oznajmia Bee. Obraca laptop w moją stronę.

Todzzakulis pisze: Witaj, Eileen.
Zaintrygowałaś mnie jeszcze bardziej. Cóż za wspaniały pomysł! Jak twojej wnuczce podoba się życie na wsi? A ty jak sobie

radzisz w Londynie? Czy to szok dla organizmu?

Uśmiecham się i zaczynam stukać w klawiaturę.

EileenCotton79 pisze: Wnuczka przestała się do mnie odzywać, co znaczy, że albo świetnie jej się układa, albo spaliła dom! A Londyn trochę mnie przytłacza. Nie wiadomo, od czego zacząć!

– Och, pani Cotton – odzywa się Bee. – To naprawdę świetne.

Todzzakulis pisze: Mieszkam w Londynie od sześćdziesięciu pięciu lat… więc gdybyś chciała posłuchać rad starego wygi, mógłbym pokazać ci parę miejsc, które warto odwiedzić. Może zaczęlibyśmy od jakiejś kawiarni?

Wyciągam rękę do klawiatury, lecz Bee powstrzymuje mnie gestem.

– Niech się trochę podenerwuje!

Przewracam oczami.

– To głupstwa dobre dla młodych – rzucam.

EileenCotton79 pisze: Byłoby cudownie. Może w piątek?

11
Leena

W piątek po południu, gdy Ant i Dec ocierają się o moje nogi, siadam w ciszy przed komputerem babci i loguję się do swojego konta na Dropboxie. Mam tu wszystko. *B&L Consulting. Strategia cenowa. Badanie rynku. Operacje i logistyka*. Na razie niczego nie ruszam, oswajam się, czytając plan od początku do końca. Wciąga mnie do tego stopnia, że tracę poczucie czasu. O piątej jest zebranie Straży Sąsiedzkiej – muszę pruć tam na rowerze, który wygrzebałam z oplecionej bluszczem szopy, i przy skręcie w Lower Lane o mały włos nie spadam z siodełka.

Dopiero gdy wchodzę do sali komunalnej, uświadamiam sobie, że nie bardzo wiem, czym właściwie jest Straż Sąsiedzka. Czy my…

zwalczamy przestępców? To organizacja przeciwdziałania przestępczości?

Wystarcza mi rzut oka na ludzi zgromadzonych na środku sali, by dojść do wniosku, że jeżeli nie mam do czynienia z najlepiej na świecie zakamuflowaną grupą superbohaterów, to wykluczone, by ta zbieranina tworzyła organizację zwalczającą przestępczość. Jest wśród nich Roland, nadgorliwy organizator ekipy poszukiwawczej; Betsy w spodniach culotte i różowej apaszce, ze szminką tego samego koloru na ustach; jest też doktor Piotr, znacznie pulchniejszy, niż go zapamiętałam z dzieciństwa, ale to na pewno ten sam człowiek, który zszywał mi kolano, gdy miałam dziewięć lat, a raz wydobył z ucha Carli zeschłe ziarnko grochu.

Widzę drobną kobietę, wyglądającą, jakby była zbudowana z zapałek, zezowatego mężczyznę z wąsem, w którym rozpoznaję dewota Basila, oraz młodą kobietę o udręczonej twarzy, która jak mi się wydaje, ma na rękawie niemowlęce wymiociny.

– A niech to – mówi młoda kobieta, podążając za moim wzrokiem. – Naprawdę chciałam to wyczyścić.

– Leena – przedstawiam się i wyciągam do niej rękę.

– Kathleen. – We włosach ma wyblakłe pasemka, na brodzie odrobinę zaschniętej pasty do zębów: każdy szczegół wskazuje, że to wyczerpana matka. Zastanawiam się tylko, po co w ogóle zadawała sobie trud, żeby przyjść na to zebranie, zamiast… nie wiem, na przykład uciąć sobie drzemkę?

– Jestem Penelope – mówi drobna jak ptaszek kobieta. Wyciąga rękę gestem członka rodziny królewskiej: wierzchem dłoni w górę, jakbym miała ją ucałować. Nie bardzo wiem, co zrobić, ale ściskam jej dłoń.

Betsy na mój widok nagle nieruchomieje. Uśmiech pojawia się na jej twarzy odrobinę za późno, by mógł być szczery.

– Dzień dobry, Leeno – mówi. – Nie byłam pewna, czy się pojawisz.

– Ależ jak mogłabym nie przyjść?! – odpowiadam. – Przyniosłam tabliczkę na drzwi.

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego? – rozlega się głos od wejścia.

– Och, jak miło! – szczebiocze Betsy. – Jackson, nie wiedziałam, że uda ci się dzisiaj wyrwać!

Unoszę wzrok i czuję, jak oblewam się rumieńcem. Do sali długim krokiem wkracza Jackson w bluzie do rugby i sfatygowanej starej czapce. Gdy widział mnie ostatni raz, byłam

w okropnym stanie i za każdym razem, kiedy sobie przypominam, jak spocona i zasmarkana, stałam pod jego drzwiami, mam ochotę chyłkiem wrócić do Londynu. Próbuję spojrzeć mu w oczy, ale jest zajęty: starsze panie ruszyły w jego stronę jak ćmy do światła, więc Jackson ma teraz kobiety uwieszone u obu ramion jak Hugh Hefner, tyle że proporcje wieku są odwrotne. Basil namawia go na filiżankę herbaty. Z zakłopotaniem zdaję sobie sprawę, że mnie nikt jeszcze nie poczęstował. To chyba nie jest dobry znak, prawda?

– Skoro wreszcie pojawiła się Leena, może zaczniemy? – proponuje Betsy. Gryzę się w język, by nie zauważyć, że wcale nie ja przyszłam ostatnia, tylko Jackson, ale wszyscy podsuwają mu ciasteczka i nie zwracają na to uwagi. – Proszę zająć miejsca!

Trudno się nie skrzywić, gdy zebrani w sali seniorzy człapią do swoich krzeseł, a następnie – z początku powoli, potem nabierając szybkości – najlepiej, jak potrafią, zginają nogi w kolanach, dopóki z głuchym odgłosem nie wylądują na wybranych miejscach.

– Tam zwykle siedzi Jackson – mówi Roland, kiedy zaczynam siadać.

– Aha. – Rozglądam się, nie zmieniając narciarskiej pozycji. – Jackson, pozwolisz, że…

Życzliwie macha szeroką dłonią.

– Oczywiście, siadaj.

– Nie – upiera się surowo Roland w chwili, gdy dotykam krzesła tyłkiem. – Nie, nie, to jest miejsce Jacksona.

Jackson parska śmiechem.

– Nic się nie stało – rzuca.

– Ale to twoje ulubione miejsce – protestuje Roland.

– Leena może je zająć.

– Jakiż to troskliwy młody człowiek – zwraca się Penelope do Betsy.

– Hm… I zachował się tak uprzejmie po tym incydencie z psem, prawda? – odpowiada Betsy, zaplatając dłonie na podołku.

Zaciskam zęby i prostuję się.

– Mam pomysł. Może wszyscy zamienimy się miejscami i zobaczymy, jak to wpłynie na nasz punkt widzenia? – proponuję. – Zdziwicie się, jaka to może być odmiana.

Wszyscy wlepiają we mnie obojętne spojrzenia, z wyjątkiem Jacksona, który wygląda, jakby z najwyższym trudem tłumił wybuch śmiechu.

– Tu siedzę – oświadcza stanowczo Basil. – Dziękuję bardzo, nie chcę zmieniać punktu widzenia. Właśnie tu mi się podoba.

– Ale…

– Wiesz, jak trudno było usadowić się na tym krześle, młoda damo? – odzywa się Roland.

– Przecież mogę pomóc…

– Poza tym stąd mam najbliżej do toalety – dorzuca Basil.

– Tak – potwierdza Penelope. – A kiedy Basil musi iść za potrzebą, kochana, to naprawdę musi iść, nie ma rady.

– Jasne, rozumiem – bąkam.

Mają zadowolone miny. Chciałam przeprowadzić podstawowe ćwiczenie z zarządzania zmianą, ale udaremnili mi tę próbę, przeciwstawiając jej argument kontroli nad pęcherzem.

– Lepiej już tu usiądź, Jackson – mówię i podchodzę do innego krzesła. Nie ma sensu kruszyć kopii o każde głupstwo; za to raczej nie warto umierać.

– Naprawdę wszystko mi jedno, gdzie będę siedział – przekonuje mnie łagodnie Jackson.

– Nie, nie – odpowiadam zbyt ostrym tonem. – Skoro masz ulubione miejsce, nie będę go zajmować. Tu mi bardzo wygodnie.

Kiedy wreszcie zaczynamy, przez większą część zebrania zastanawiam się, o co w nim chodzi, co wcale nie należy do rzadkości – podobnie wygląda chyba osiemdziesiąt procent spotkań z klientami, w których uczestniczę – ale trudno włączyć się do dyskusji.

Przede wszystkim ze zdziwieniem stwierdzam, że w ogóle nie wspomina się o przestępczości. Na razie omówiliśmy następujące sprawy: kanapki z bekonem (Roland odkrył, że znakomite robi Mabel przy Peewit Street 5, więc wrócił do bojkotowania baru Julie, czyli jak zrozumiałam, jakiejś knajpki w Knargill), wiewiórki (Basil jest ich wielkim przeciwnikiem) oraz kwestię, czy ziemniaki są tuczące (moim zdaniem powinni się raczej martwić kanapkami z bekonem). Następnie wszyscy przez dwadzieścia minut narzekają na Firs Blandon, sąsiednią wieś, która podobno wywołała straszne zamieszanie, przesuwając ogrodzenie jakiegoś gospodarstwa o pół metra w lewo, by pokrywało się z granicą parafii. W tym momencie tracę wątek i bez reszty oddaję się chrupaniu herbatników.

Zerkam na porządek zebrania. Została do omówienia jeszcze jedna sprawa, zanim przejdziemy do punktu *Jakieś przestępstwa?*,

który jak przypuszczam, będzie w końcu dotyczył przestępczości.

– O tak, to był najnowszy projekt Eileen, prawda? – mówi Betsy. – Czyli ty się nim zajmiesz, dobrze, Leeno?

– Słucham? – pytam z ustami pełnymi chyba setnego ciastka.

– Chodzi o pomoc starszym i samotnym osobom z Knargill przez zapewnienie im transportu – czyta Betsy. – Nie wiem, jak zamierza to zorganizować, ale… – Zerka na mnie wyczekująco.

Zastanawiam się nad rozwiązaniem. Wydaje się całkiem proste.

– Ilu z was ma samochody? – pytam. – Oczywiście oprócz Jacksona, Piotra i Kathleen, którzy są zbyt zajęci, ale pozostali to emeryci, zgadza się? Znaleźlibyście czas na krótki wyjazd… na przykład… co drugi dzień?

Na twarzach wszystkich maluje się lekki popłoch – z wyjątkiem Jacksona, który wygląda na jeszcze bardziej rozbawionego niż dotąd.

– Dokąd moglibyście ich od czasu do czasu zawieźć? Leeds jest za daleko – patrzę na Betsy – ale może do Daredale?

Zapada dość długa cisza. W końcu lituje się nade mną doktor Piotr.

– Leeno, większość z nich raczej… – Przerywa. – Chociaż wiele osób rzeczywiście ma samochody, to nie wszystkich zachęcałbym, żeby jechali aż do Daredale – dodaje z nutą rezygnacji.

– Co nie oznacza, że nie możemy – włącza się Betsy. – Ja nadal mam prawo jazdy.

– A doktor Piotr nie może mi zabronić prowadzić auta, dopóki nie zostanę oficjalnie uznana za stukniętą – deklaruje z wyraźnym zadowoleniem Penelope.

– Hm, no dobrze – mówię. – I tak zamierzałam postarać się o jakiś wóz, bo samochód babci jest…

– Zepsuty? – podsuwa Betsy.

– Nie nadaje się do naprawy? – mówi równocześnie z nią Basil.

– Czy ktoś z was ma samochód, który mógłby mi pożyczać na czas, kiedy tu mieszkam?

Zapada milczenie.

– Penelope! – zwracam się do niej przyjaźnie. Wydaje mi się, że to najlepszy wybór. Mężczyźni nie zmiękną, a na wsparcie Betsy na pewno nie mam co liczyć. – Mogłabym od czasu do czasu pożyczyć od ciebie auto?

– Och, przecież… Ciągle jeszcze… – Penelope milknie, po czym niezbyt ochoczo odpowiada: – Hm, chyba tak.

– Wspaniale, dziękuję, Penelope! – Czekam, aż odwróci wzrok, i szybko puszczam oko do doktora Piotra. W odpowiedzi pokazuje mi uniesiony kciuk.

Czyli mam już po swojej stronie przynajmniej doktora Piotra. I zdobyłam samochód.

– No więc załatwione! – oznajmia Betsy, klaszcząc w dłonie. – Przejdźmy dalej… Pierwszy Maja! Wiem, że to nie jest oficjalne zebranie komitetu organizacyjnego, ale skoro skład jest obecny w komplecie, a pewne pilne sprawy nie mogą czekać do następnego zebrania, może omówimy tu kilka z nich?

Wszyscy kiwają głowami. Jestem prawie pewna, że komitet organizacyjny festynu składa się dokładnie z tych samych osób co komitet Straży Sąsiedzkiej, mogłabym więc powiedzieć, że dwa odrębne zebrania nie są konieczne. Po namyśle uznaję, że lepiej się nie odzywać.

– Temat przewodni! – ciągnie Betsy. – Zakładam, że wszyscy zgadzamy się na propozycję Jacksona? Festyn tropikalny?

– Tropikalny? – nie potrafię się powstrzymać.

Betsy obraca się na krześle, aby przeszyć mnie piorunującym spojrzeniem.

– Zgadza się, Leeno. Tropikalny. Doskonały motyw na słoneczny, wiosenny festyn. Nie

sądzisz?

– Hm, moim zdaniem…

Rozglądam się po kręgu, a potem patrzę na Jacksona, który odrobinę unosi brwi, co może oznaczać: „Proszę, mów dalej”.

– Nie wiem, czy to pozwoli nam wykorzystać nasze atuty. Ludzi przyciągnie raczej staroświecki wiejski jarmark, na który będą mogli przyprowadzić dzieci. „Tropikalny” trochę kojarzy się z… wieczornym wypadem do knajp w Clapham.

Widzę utkwione we mnie spojrzenia bez wyrazu.

– Wobec tego bądź łaskawa zaproponować alternatywny temat przewodni, Leeno – odpowiada lodowato Betsy.

Znowu zerkam na Jacksona. Siedzi odchylony do tyłu, z rękami założonymi na piersi, i w jego pozie jest jakaś arogancja, więc mój plan, by cierpliwie zjednać sobie tę gromadę, zanim zabiorę się do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian, sypie się w gruzy.

– Co powiecie na festyn średniowieczny? – Myślę o *Grze o tron*, którą jeszcze raz oglądam w całości po przyjeździe do Hamleigh. Ethan zawsze śmiał się ze mnie, że zbieram płyty DVD z ulubionymi serialami, ale kto się teraz śmieje,

gdy znalazłam się w krainie pozbawionej superszybkiego łącza? – Moglibyśmy podawać miód pitny, dzieci słuchałyby bardów, a Król i Królowa Maja byliby ubrani w piękne szaty z powłóczystymi rękawami i nosili na szyi wieńce z kwiatów, jak król Artur i królowa Ginewra. – Nie jestem pewna, czy król Artur to średniowiecze, ale nie pora na aptekarską dokładność. – Mielibyśmy pokazy sokolnicze, pojedynki rycerskie, przygrywałyby nam harfy i lutnie. Wyobrażam sobie girlandy z kwiatów rozpięte między latarniami, kramy pełne świeżych owoców i słodkości, ogniska, pieczenie prosiaka…

– Hm. Wobec tego zagłosujmy, dobrze? – proponuje Betsy. – Plan Leeny, żeby cofnąć nas do średniowiecza, czy pomysł Jacksona, który w zasadzie wszyscy wybraliśmy już w zeszłym tygodniu?

Śmieję się z niedowierzaniem.

– To trochę tendencyjne pytanie – zauważam.

– Ręka w górę, kto jest za pomysłem Leeny – zwraca się do zebranych Betsy, starannie wymawiając każde słowo.

Wszyscy patrzą po sobie. Nikt nie podnosi ręki.

– A kto za pomysłem Jacksona? – ciągnie Betsy.

Wszystkie ręce wędrują w górę.

– Chyba nie tym razem, Leeno – konstatuje z uśmiechem Betsy.

– Dajcie mi dwa tygodnie – proszę. – Zrobię sobie burzę mózgu, przedstawię konkretne pomysły, złożę jakąś całość, zaprojektuję coś, żeby wam pokazać. Zagłosujmy nad tym na najbliższym zebraniu komitetu organizacyjnego majówki. No bo czy można zajmować się sprawami festynu na zebraniu Straży Sąsiedzkiej?

Uśmiech Betsy blednie.

– Słusznie – zgadza się Roland. – To byłoby niestosowne.

– Byłoby niestosowne – powtarzam. – Zupełnie niestosowne, Rolandzie.

– W takim razie zgoda – przystaje Betsy. – Dwa tygodnie.

Zerkam na Jacksona. Naturalnie nie chodzi tu o przewagę punktową, ale na pewno właśnie zdobyłam punkt i chciałabym, żeby to zauważył. Patrzy na mnie, wciąż rozparty na krześle, z nogami rozstawionymi szeroko jak niektórzy faceci w metrze, tak samo rozbawiony i pewny siebie jak przez całe obrady.

– Na tym skończymy – informuje nas Betsy. – Leeno, pamiętaj, że następnym razem to ty przynosisz ciastka.

– Oczywiście. Nie ma sprawy.

– I że to twoje krzesło – mówi Roland, kiwając życzliwie głową. – Też to zapamiętaj.

– Dziękuję, Rolandzie, nie zapomnę.

– Aha, Leeno? – dodaje Betsy. – Chyba wczoraj zapomniałaś wystawić kubły ze śmieciami przed dom Eileen.

Wolno wypuszczam nosem powietrze.

– Dziękuję, Betsy. Dobrze, że mi o tym mówisz.

Rozlega się ogólne szuranie krzeseł i nóg, kiedy wszyscy podnoszą się z miejsc i zmierzają do wyjścia. Siedząca obok mnie Kathleen gwałtownie się budzi.

– Cholera. – Gorączkowo patrzy na zegarek. – Na czym skończyliśmy? Doszliśmy do wojny z wiewiórkami? – Zwraca uwagę na moją krzywą minę. – Boże, czyżby wiewiórki wygrały?

12
Eileen

Nic z tego nie będzie. Zadzwonię do Leeny i powiem jej, że to był niemądry pomysł, by zamienić się z nią życiem, a potem pojadę do domu. Pośmiejemy się z tego przy kubku gorącej czekolady i każda wróci tam, gdzie jej miejsce – i znowu będzie sobą.

Jestem absolutnie zdecydowana, by zrealizować ten plan, dopóki w salonie nie pojawia się Fitz.

– Ja cię kręcę – mówi, stając jak wryty. – Eileen! Wyglądasz nieziemsko!

– Nie idę – oznajmiam stanowczo i pochylam się, żeby rozsznurować buty. – Przecież to śmieszne.

– Hola, hola, momencik! – Zanim zdążę włożyć kapcie, Fitz błyskawicznie zabiera je spod stolika. – Nie zmarnujesz tej wymodelowanej

fryzury na siedzenie w domu po południu. – Wskazuje palcem na moje włosy. – Wygląda pani szałowo, pani Cotton. Po prostu musisz spotkać się dzisiaj z tym Todem.

Wczoraj powiedziałam Fitzowi o czekającej mnie randce. Właściwie to było dziś rano – wstawałam, by zacząć dzień, a on wracał do domu po nocy spędzonej w mieście. Wyglądał dość marnie – było wpół do szóstej – więc zakładałam, że nie będzie pamiętał tej rozmowy, ale jego pamięć okazała się, niestety, lepsza, niż przypuszczałam.

Kręcę się niespokojnie na kanapie, moja najlepsza plisowana spódnica wpija mi się w biodra. Coś mnie kłuje w plecach.

– Jestem na to za stara – tłumaczę mu. – Poza tym nie znoszę tego uczucia… – Wskazuję ręką na brzuch.

Fitz uśmiecha się przebiegle.

– Co, motyle?

– Och, głupstwa opowiadasz – ganię go, ale chyba nie umiem tego inaczej nazwać.

Przysuwa się do mnie na kanapie.

– Niezbyt dobrze cię znam, Eileen, ale znam Leenę i mam wrażenie, że wiele cech ma po tobie. A ona nie cierpi porażek.

– To nie jest porażka! – protestuję.

– Masz rację – przyznaje. – Żeby przegrać, trzeba najpierw spróbować. A ty nawet nie próbujesz.

Cała się zjeżam.

– Przejrzałam twój plan – oświadczam.

– I co, zadziała?

– Oczywiście, do cholery, że zadziała. Proszę cię, podaj mi te buty.

*

W drodze do kawiarni znowu omal nie tracę zimnej krwi. Otwieram nawet usta, żeby powiedzieć taksówkarzowi, że zawracamy. Ale gdy wleczemy się przez zatłoczone ulice, mija nas na rowerze kobieta, której ciemne loki wymykające się spod kasku przypominają mi Carlę. Ona byłaby zachwycona na wieść, że jej stara babcia idzie na randkę. I na pewno usłyszałabym od niej, że gdybym pozwoliła, by przystojny aktor z West Endu wymknął mi się z rąk, to taka lekkomyślność wołałaby o pomstę do nieba.

Martwię się, jak rozpoznam Toda w kawiarni, okazuje się jednak, że nietrudno go zauważyć. Rzuca się w oczy, jak wszędzie rzucają się w oczy zamożni ludzie: strój jest trochę zbyt idealnie

dopasowany do jego sylwetki, a cera jaśnieje blaskiem, jakby był umalowany.

Och, on naprawdę ma makijaż! Coś podobnego – pewnie przyszedł tu prosto z teatru, ale mimo wszystko… co powiedziałby na to Wade?

– Eileen? – pyta. Zdaję sobie sprawę, że badawczo wpatruję się w jego twarz, i czuję, że sama oblewam się rumieńcem. Rumienię się już drugi raz w tym tygodniu. Muszę się wziąć w garść.

– Tak. – Wyciągam do niego rękę.

Wstaje, żeby odsunąć mi krzesło. Ma bardzo sprężyste ruchy jak na swój wiek, a kiedy mnie mija, wyczuwam woń wody kolońskiej. Pachnie drzewnym dymem i pomarańczami: przypuszczam, że jest równie droga jak jego ciemny garnitur z wełny.

– Jesteś tak samo piękna jak na zdjęciu – mówi, sadowiąc się z uśmiechem naprzeciw mnie. Ma zadziwiająco białe zęby.

– Wiem, że to nieprawda, bo zdjęcie wybrała moja wnuczka i jest nieaktualne od dziesięciu lat. – Krzywię się, słysząc w swoim głosie ton fałszywej skromności, ale Tod się śmieje.

– Ani trochę się nie zestarzałaś – zapewnia mnie. – Kawy?

– Ach, zaraz… – Sięgam po torebkę, ale powstrzymuje mnie niecierpliwym gestem.

– Ja zapraszam. Proszę, nalegam. Flat white?

– Flat… Słucham, co takiego?

– Masz ochotę na flat white?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Wybucha gromkim śmiechem.

– Wydaje mi się, Eileen Cotton, że twoje towarzystwo będzie miało na mnie bardzo dobry wpływ.

Naprawdę nie rozumiem, co w tym zabawnego, lecz uśmiecham się, bo jest bardzo przystojny, kiedy się śmieje. W innych chwilach też. Z początku trochę zbija mnie z tropu ten makijaż – jego jednokolorowa twarz wygląda raczej dziwnie – ale chyba jednak zaczynam się do tego przyzwyczajać.

– Flat white to rodzaj kawy – wyjaśnia i wprawnym ruchem ręki wzywa kelnera. – Uwierz mi, będzie ci smakowała.

– W takim razie spróbuję – zgadzam się i Tod składa zamówienie. Onieśmiela mnie znacznie mniej, niż sądziłam, i nie czuję się skrępowana, kiedy żartuje z kelnerem, odgarniając włosy z czoła.

– No dobrze. – Skupia uwagę z powrotem na mnie i posyła mi niezwykle czarujący uśmiech. –

Moim zdaniem jesteśmy za starzy, żeby się zwodzić. Chcę wyłożyć karty na stół.

– Ach, tak… To chyba dobrze?

– Nie szukam poważnego związku – ciągnie Tod. – Miałem żonę, naprawdę wspaniałą kobietę, i lata naszego małżeństwa były najszczęśliwsze w moim życiu. Nie interesują mnie próby ich powtórzenia, bo po prostu nie da się ich powtórzyć.

– Och. – Mimo że mówi to lekkim tonem, ogarnia mnie coś w rodzaju wzruszenia. – To naprawdę bardzo romantyczne.

Znowu się śmieje.

– Eileen, chodzi mi o odrobinę przyjemności.

– Odrobinę przyjemności? – Przymrużam oczy. – W takim razie, skoro chcesz odkryć karty… – Stukam w stolik między nami. – Mógłbyś powiedzieć konkretniej, co masz na myśli?

Sięga po moją dłoń.

– Mogę? – pyta cicho.

– Tak – odpowiadam, choć nie jestem całkiem pewna, na co się zgadzam.

Odwraca moją rękę, delikatnie przyciska kciuk do miękkiej skóry między nadgarstkiem a nasadą dłoni i powolnym ruchem zaczyna ją gładzić.

Oddycham szybciej.

– Konkretniej – ciągnie – chciałbym, żebyśmy mogli się napić dobrej kawy, zjeść dobrą kolację, spróbować dobrego wina, a potem chciałbym, żebyśmy poszli razem do łóżka.

– Do… łóżka – powtarzam wyschniętymi ustami. – Razem.

Pochyla głowę.

– Mam na myśli przelotną przygodę, że się tak wyrażę. Bez zobowiązań. Czysto zmysłową. Która będzie trwała tyle co twój pobyt w Londynie, a kiedy się pożegnamy, nie będziemy niczego żałować. – Wolno wypuszcza moją dłoń. – Co ty na to, Eileen?

– Wydaje mi się… – Odchrząkuję i pocieram ręką mrowiącą dłoń. Właściwie czuję mrówki w całym ciele. Dziwne, że nie trzeszczę jak rozgrzewający się kaloryfer. – Wydaje mi się, że zapowiada się przyjemnie! – kończę i przygryzam wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

*

– Randka była bardzo miła – oznajmiam Leenie swoim najbardziej stanowczym i ostatecznym tonem. Sadowię się na kanapie, podkładając sobie poduszkę pod plecy. – Jak

poszło twoje pierwsze zebranie Straży Sąsiedzkiej?

– Całkiem dobrze – mówi Leena. – Och, babciu, musisz mi powiedzieć coś więcej o tym tajemniczym mężczyźnie!

– Dama nigdy nie opowiada o takich sprawach – ucinam. – A Marian? Jak sobie radzi?

– Babciu! Spałaś z nim?

– Co proszę? Nie! Cóż to w ogóle za pytanie do własnej babci? – wyrzucam z siebie.

– Kiedy ludzie mówią „Dama nigdy nie opowiada o takich sprawach", zwykle właśnie to mają na myśli – odpowiada z rozbawieniem w głosie. – Naprawdę nic mi nie powiesz o tym Todzie?

– Nie, raczej nie – postanawiam.

Opowiedziałam wszystko Fitzowi i zobowiązałam go do tajemnicy, a on obiecał, że nie piśnie o tym ani słowa Leenie. Nie bardzo mam ochotę dyskutować z wnuczką o swojej nowej „przelotnej przygodzie".

– No dobrze – mruczy bez entuzjazmu Leena. – Przecież sama ci mówiłam, żebyś zrobiła wreszcie coś dla siebie. – Milknie na chwilę. – Babciu, mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście.

– Czy coś się dzieje z mamą? Coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Co masz na myśli? – pytam ostrożnie.

– Wspomniała o jakichś „napadach”.

Zamykam oczy.

– Ach, tak.

– Co się stało?

– Po prostu kilka razy zdarzyło się jej… stracić panowanie nad sobą.

– Stracić panowanie w sensie rozpłakać się w autobusie? Czy w takim sensie, że musiała iść do lekarza?

– W tym drugim, skarbie.

– Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć?

– Leena, ciągle ci powtarzałam, że ma trudności ze sobą.

– No tak, ale myślałam, że chodzi… że to tylko… Nie zdawałam sobie sprawy, że przeżywa takie załamanie!

– Uznałam, że sama ci o tym powie, jeżeli będzie chciała. Nie chciałam się wtrącać.

– A kiedy mnie tu zostawiłaś, żebym zajęła się mamą, nie uznałaś za stosowne wspomnieć, że w każdej chwili może mieć następny z tych „napadów”? Co się wtedy dzieje? Powinnam do niej częściej zaglądać? Czy to coś poważnego? Co mówił lekarz?

Pocieram grzbiet nosa.

– Dwa miesiące temu doktor Piotr przepisał jej jakieś tabletki.

– Antydepresanty?

– Tak mi się wydaje.

– I bierze je?

– Tak mi się wydaje.

– W porządku. Dobrze. Boże, babciu. To wszystko… rozumiem, że nie chcesz się wtrącać, ale… szkoda, że to przemilczałaś.

– A czy to by zmieniło twoje nastawienie? Przyjechałabyś wcześniej?

W słuchawce zapada dłuższa cisza.

– Chciałabym myśleć, że tak, ale wiem, że ostatnio traktowałam mamę… trochę dziwnie. Chcę, żeby było lepiej. Bee twierdzi, że nie jestem sobą, i ma rację. Może między innymi z powodu… no wiesz, tego dystansu między nami, tego, jak mama mnie złości… Chcę to naprawić. Ze względu na siebie i na nią.

Lekko się uśmiecham. No i skoro wolno się już wtrącać…

– Ona też tego chce, skarbie. Strasznie za tobą tęskni.

Leena pociąga nosem.

– Muszę kończyć, babciu – odzywa się po chwili. – Na twoją komórkę dzwoni facet

w sprawie pokazu sokolniczego.

– Słucham? – Ale już zdążyła się rozłączyć.

Wzdycham. Teraz martwię się o Marian jeszcze bardziej niż dotąd.

Kiedy chcę wyłączyć telefon Leeny, u góry ekranu wyświetla się odebrana wiadomość. Od jakiejś Ceci. Jestem pewna, że Leena o niej wspominała. Czy to nie ta okropna, złośliwa baba z jej pracy?

Hej, Leena! Żebyś się nie martwiła, chciałam tylko powiedzieć, że pod twoją nieobecność projekt dla Upgo idzie naprawdę nieźle, pełną parą! Daj mi znać, gdybyś niedługo miała się pojawić w Londynie :-).

Marszczę czoło. Leenie nie trzeba przypominać o projekcie dla Upgo, poza tym nie podała Ceci numeru mojego telefonu, czyli nie chciała się z nią kontaktować podczas pobytu na wsi. Przypominam sobie, że według opisu Leeny ta kobieta to „w osiemdziesięciu procentach nogi, w dwudziestu złe zamiary”; coś mi mówi, że dobro mojej wnuczki raczej nie leży jej na sercu. Cmokam z dezaprobatą i zamykam wiadomość.

Po rozmowie z Leeną nie potrafię sobie znaleźć miejsca; rozglądam się za jakimś zajęciem. Przyglądam się, jak Fitz zmywa naczynia, a potem mój wzrok pada na laptop

Leeny stojący na blacie. Ożywiam się – może Tod będzie miał czas, żeby porozmawiać.

W serwisie randkowym czeka na mnie nowa wiadomość, ale od kogoś innego.

> **OldboyZeWsi pisze:** Dzień dobry, Eileen. Mam nadzieję, że wolno się do ciebie odezwać?

Na swoim zdjęciu profilowym Oldboy ze Wsi prezentuje siebie w młodości, w luźnym białym podkoszulku i czapce. Wtedy z pewnością był przystojny, ale dziś to niewiele znaczy. Atrakcyjna powierzchowność niespecjalnie mnie jednak interesuje. Wade był przecież naprawdę pociągający i proszę, jaki się okazał.

> **EileenCotton79 pisze:** Oczywiście! Jestem na tej stronie, żeby poznawać ludzi.

Po krótkim wahaniu dodaję na końcu uśmieszek jak Leena w swoich SMS-ach. Uważam, że to nieco kokieteryjne, ale właściwie czemu nie? Przecież Tod i ja spotykamy się „bez zobowiązań”. A dwudziestokilkuletnia Eileen Cotton ze swoimi wielkimi planami przygody

w Londynie… na pewno nie wykluczałaby, że pojawi się w niej więcej niż jeden mężczyzna.

13
Leena

– Na pewno nie chcesz po prostu kupić ciasta? – pyta Ethan.

Ostrożnie kładę telefon na mikserze planetarnym w stylu retro. Usiłuję właśnie upiec brownie – moje wkupne. Postanowiłam, że w próbie przekonania komitetu organizacyjnego festynu do średniowiecza na początek wezmę na cel Penelope i Rolanda. Jeżeli zespół sprzysięga się przeciwko tobie, najlepszym rozwiązaniem jest metoda „dziel i rządź”, a u Penelope wyczułam pewną słabość. Przypuszczam, że wolna od wpływu Betsy, może się okazać całkiem życzliwą osobą. Przecież zgodziła się pożyczać mi samochód.

– Nie! W Hamleigh mam zaznać wiejskiej idylli, nie pamiętasz? Pieczenie to bardzo wiejska i idylliczna czynność. – Ostrze noża ześlizguje się

z twardej kostki masła i dźga mnie w kciuk. Powstrzymuję się, żeby nie zakląć i nie zepsuć wizerunku domowej bogini, który pracowicie staram się tu stworzyć.

– Poza tym pieczenie nie jest takie łatwe – dodaje Ethan. – Zwłaszcza jeżeli nigdy wcześniej tego nie robiłaś.

– Mam bardzo szczegółowy przepis z bloga – wyjaśniam, zerkając na wydruk leżący obok miski, i ssę zraniony palec. Otwieram torebkę mąki, ale papier się rozdziera i oprószam sobie białym pyłem dżinsy. – Kurczę…

– Daj spokój, mój aniele. Kup brownie, wyłóż na talerz i zajmij się czymś ciekawszym. Słuchaj, od paru godzin gapię się w macierz śledzenia wymagań i nie jestem w stanie do niczego dojść. Masz ochotę się w to wgryźć?

Otrzepuję dżinsy z mąki. Prawdę mówiąc, naprawdę nie mam ochoty się w to wgryzać – dziwne, z jaką łatwością zapomniałam na wsi o Selmount. Poza tym nie przepadam za macierzami śledzenia wymagań.

– Nie obrazisz się, jeżeli nie będę miała ochoty? – pytam niepewnie. – Przepraszam, po prostu czuję, że muszę od tego odpocząć.

– Rany, odmówiłaś pracy nad tabelką! Chyba pierwszy raz w życiu.

– Przepraszam!

– Nie ma sprawy. Ale w takim razie powinienem kończyć. Jeżeli mam nad tym siedzieć sam, to mam roboty na parę godzin.

– No tak. Przepraszam. Ale w weekend przyjedziesz, co?

– Tak, na pewno, jeżeli uda mi się wyrwać. Okay, mój aniele, niedługo znowu pogadamy!

– Do usły…

O. Już nie usłyszał.

*

Wieczorem Penelope otwiera mi drzwi i patrzy na talerz pełen kawałków bardzo ciemnego brownie, który podtykam jej pod nos.

– Hm… dobry wieczór? – wita mnie.

– Hej! Upiekłam brownie!

Wierzę, że w tym przypadku sprawdzi się zasada, że liczą się intencje, bo brownie jest prawie zupełnie spalone.

– Posłuchaj, fatalnie piekę – wyznaję – ale chciałam ci coś przynieść, żeby podziękować, że zgodziłaś się pożyczać mi samochód.

Penelope przez chwilę mierzy mnie obojętnym wzrokiem.

– Roland! – krzyczy tak głośno, że wydaję zaskoczony pisk. – Przepraszam – reflektuje się. – Wiesz, ten jego słuch. Roland! Roland! Przyszła córka Marian, chce pogadać o aucie!

– Może mogłabym wejść i porozmawiać z wami obojgiem? – proponuję, gdy Penelope nadal wrzeszczy przez ramię w głąb domu. Jak na drobną i kruchą kobietę ma potężne płuca.

– Hm… – Dostrzegam nagle dziwną nerwowość w jej oczach.

– Penelope, chodź, kochana! – dobiega z wnętrza znajomy głos. – Musisz zobaczyć te koktajle tropikalne Jacksona, są pierwszorzędne!

Nie mam wątpliwości, że to Betsy.

Rozdziawiam usta. W korytarzu za plecami Penelope pojawia się Jackson.

– O, cześć – mówi. Trzyma koktajl w wysokim pucharku do deserów lodowych, udekorowany małą żółtą parasolką.

Aby udekorować drinka żółtą parasolką, trzeba to zaplanować.

– Urządzasz beze mnie spotkanie w sprawie organizacji majówki? – Wbijam w niego stalowe spojrzenie, które zwykle rezerwuję dla podglądaczy przyłapanych w metrze.

Jackson cofa się o pół kroku.

– Nie – odpowiada. – Naprawdę nie. Przygotowuję tylko kolację dla Penelope i Rolanda, robię to co tydzień, a czasem przychodzą Betsy i Basil… i właśnie… rozmowa zeszła na koktajle.

– Właśnie zeszła?

– Może wejdziesz, Leeno? – zaprasza mnie Penelope.

Przestępuję próg. Dom jest kapsułą czasu z lat sześćdziesiątych: dywan w jesiennej tonacji, w pomarańczowo-brązowe wzory, ciemne obrazy olejne, na ścianie trzy porcelanowe kaczki, które lecą korytarzem, mijając windę na schodach. W gorącym i dusznym powietrzu unosi się zapach potpourri i sosu pieczeniowego.

Roland, Betsy, Basil i Penelope siedzą przy stole w jadalni, ściskając szklanki ozdobione parasolkami w różnych kolorach oraz plastrami ananasa.

– Dobry wieczór – mówię jak najuprzejmiej. – Co dzisiaj w menu?

– Tylko pieczeń – informuje mnie Jackson, znikając w kuchni.

Jasne, tylko pieczeń.

– A na deser brownie – dodaje.

Cieszę się, że nie widzi mojej miny, kiedy to usłyszałam, bo jestem pewna, że nie udało mi się

ukryć konsternacji. Bezszelestnie stawiam talerz ze zwęglonym ciastem na kredensie przy drzwiach jadalni i zastanawiam się, czy mogę je gdzieś zabunkrować, żeby nie zobaczył go Jackson. Obok stoi całkiem spory kwiat w donicy. Gdybym rozsypała brownie wokół niego, okruchy do złudzenia przypominałyby ziemię.

– O czym chciałaś porozmawiać, kochana? – pyta Penelope, wracając do swojego miejsca przy stole.

– O samochodzie! – wypalam po krótkim wahaniu, kiedy usiłuję sobie przypomnieć, pod jakim pretekstem przyniosłam wkupne.

– A, tak. I co, dobrze służy? – włącza się Roland.

– Tak, chciałam po prostu podziękować, sprawuje się świetnie – kłamię.

Ten wóz to gruchot. W ostatnim tygodniu użytkowania ich samochodu odkryłam, że z niewiadomego powodu klimatyzację da się ustawić albo na temperaturę sauny, albo chłodu, w którym widzę parę własnego oddechu, a znaleziona w internecie instrukcja w żaden sposób nie pomogła mi ustalić, dlaczego tak się dzieje. Stałam się przez to bardziej niebezpiecznym kierowcą. Na przykład siedząc

za kółkiem, regularnie wkładam albo zdejmuję jakąś część garderoby.

– Miejmy nadzieję, że parkujesz lepiej niż Eileen. – Basil rechocze. – Penelope byłaby wtedy spokojniejsza.

Patrzę na niego z ukosa, ale zanim zdążę coś odburknąć, ubiega mnie Betsy.

– Widzisz, Basil, Eileen ma przynajmniej na tyle oleju w głowie, żeby zawiązać sznurowadła, zanim wyjdzie na ulicę – mówi szorstkim tonem.

Basil zerka na nią spode łba i masuje sobie kolano.

– Wyobraź sobie, że ten upadek wcale nie był śmieszny. Poza tym to nie sznurowadła były winne, ale dziury na Lower Lane. Mówię ci, kiedyś się na nich pozabijamy.

– Racja – zgadza się Roland. – Parę dni temu mało brakowało, żebym wywalił się tam na skuterze.

– Napijesz się? – Jackson wraca z kuchni z przerzuconymi przez ramię rękawicami kuchennymi i świeżym koktajlem w ręce.

Przyglądam się drinkowi. Rzeczywiście wygląda świetnie. No i dobrze jest spróbować tego, co proponuje konkurencja.

– Poproszę. Ale jeżeli w przyszłości odbędzie się jakaś prezentacja związana z majowym

festynem, byłabym wdzięczna za zaproszenie – informuję go, unosząc brwi.

– To nie jest żadna… – Wzdycha. – Zgoda. Nie będzie już żadnej degustacji koktajli tropikalnych bez twojej wiedzy. Zadowolona?

– Oczywiście. – Przychodzi mi do głowy pewna myśl. – Skoro o tym mowa, chciałam o coś spytać: o finansowanie festynu. Czy babcia z jakiegoś powodu zrezygnowała z szukania sponsora?

– Ach, ostatni projekt Eileen – rzuca Basil. – O ile pamiętam, z tego też nic nie wyszło.

– A skoro wyjechała do Londynu, uznałam, że uwolnimy cię od tego obowiązku – dodaje Betsy, popijając koktajl.

Basil z niedowierzaniem kręci głową.

– Eileen ma różne dziwne pomysły, ale ten wyjazd do Londynu jest chyba najdziwniejszy ze wszystkich. Wiesz, że mieszka teraz z lesbijką? – zwraca się do Betsy. – I to na dodatek ciężarną? Wyobrażasz sobie?

– Owszem – wtrącam. – Tak się składa, że ta lesbijka w ciąży jest moją współlokatorką i jedną z najbliższych przyjaciółek. Masz coś przeciwko lesbijkom, Basil?

Robi zaskoczoną minę.

– Co?

– A może masz coś przeciwko lesbijkom, które mają dzieci?

– Och, przecież tylko…

– Może więc zainteresuje cię informacja, że dzieci wychowywane przez jednopłciowych rodziców w stabilnym środowisku wcale nie są mniej szczęśliwe od dzieci wychowywanych przez pary heteroseksualne. Liczy się przede wszystkim, żeby być przy dziecku, kochać je, troszczyć się o nie… to jest najważniejsze.

Chcę coś dodać, gdy nagle Jackson wstaje i bez słowa odchodzi od stołu, a ja milknę zaskoczona.

Patrzę, jak się oddala. Uraziłam go? Czyżby Jackson był w głębi duszy homofobem? To by było… rozczarowanie.

– Jackson, niestety, nie ma tego szczęścia i nie może być przy swoim dziecku – informuje mnie półgłosem Betsy, przerywając ciszę.

Odwracam się do niej.

– Co takiego?

– Mówię o córce Jacksona. Mieszka w Ameryce.

– Och, nie… nie wiedziałam. – Policzki mi płoną. – Nie chodziło mi o to, że nie można być dobrym rodzicem, jeżeli… zaraz… chyba powinnam go przeprosić…

Penelope wstaje i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Lepiej nie – mówi, ale jej ton nie jest nieprzyjazny. – Ja pójdę.

*

– Babciu! Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jackson ma dziecko? – pytam w drodze powrotnej z domu Penelope. Wciąż czuję żar na policzkach.

– Och, Greenwoodowie przeżyli kilka bardzo ciekawych lat – odpowiada babcia, zniżając o oktawę głos do rejestru zarezerwowanego dla najlepszych, najbardziej smakowitych plotek ze wsi. – Kiedy matka Jacksona zostawiła Arnolda… Przepraszam – mówi nagle babcia. – Właśnie dostałam esemesa, tylko sprawdzę…

W słuchawce rozlega się sygnał. Wzdycham, czekam dziesięć sekund i dzwonię do niej.

– Rozłączyłam nas, skarbie?

– Tak, ale nie przejmuj się. Mówiłaś o mamie Jacksona. – Skręcam w Lower Lane. Basil miał rację, te dziury są niebezpieczne; odnotowuję w pamięci, żeby zadzwonić w tej sprawie do rady gminy.

– Ach, właśnie. No więc rzuciła starego zrzędę Arnolda i wyjechała z Denleyem z Tauntingham. Wiesz, z tym, który miał dom w Hiszpanii, kupiony prawdopodobnie za brudne pieniądze z komisu samochodowego ojca.

Wybucham śmiechem.

– Babciu, dopiero zaczynam się rozeznawać w plotkach w Hamleigh. Na razie nie dam rady ogarnąć wszystkiego, o czym się mówi w całym Yorkshire Dales.

– Och, w mig się połapiesz, wystarczy, że raz w tygodniu zaprosisz Betsy na kawę. Wtajemniczy cię we wszystko, co powinnaś wiedzieć.

Krzywię się. Nie przypuszczam, żeby Betsy miała ochotę przychodzić na kawę raz na tydzień.

– Mów dalej, babciu… Co z tym dzieckiem Jacksona?

– Mieszkał wtedy z Arnoldem… nigdy nie rozwiązałam tej zagadki, ale Jackson chyba zawsze lubił Arnolda, co mnie mocno dziwiło… W każdym razie wiedziałam, że chodzi z taką energiczną blondynką z Daredale, Marigold, która uważała się za przyszłą gwiazdę Hollywood. Wiedziałam, że to nie jest dziewczyna dla niego. – Nagle wydaje mi się,

jakbym słyszała Betsy. – Nosiła takie okropne buty na obcasach, które ciągle grzęzły w błocie na podjeździe, a wtedy piszczała, dopóki Jackson jej nie wyciągnął.

– Buty na obcasach, tak? – mówię. – I co jeszcze?

– Nie próbuj mi wmawiać, że jestem staroświecka – obrusza się babcia. – Otóż powiem ci, że wczoraj Fitz zabrał mnie na zakupy i sprawiłam sobie mnóstwo modnych fatałaszków. I pożyczyłam sobie twoje botki na obcasach, żeby potem pójść na koktajl.

Zaniepokojona, otwieram szerzej oczy. Czy na tyle mocno trzyma się na nogach, żeby nosić moje botki na obcasach?

– Ale ta dziewczyna – ciągnie – wszędzie chodziła w szpilkach i obcisłych spódnicach, w których nie mogła się ruszać. Jackson zawsze otwierał jej drzwi, pomagał wsiadać do samochodu, nosił jej torby, a ona nigdy nie kiwnęła dla niego palcem. Później zerwali ze sobą, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo przestała przychodzić, ale pojawiła się pół roku później okrągła jak chupa chups.

Parskam śmiechem.

– Chupa chups?

– Tak jest – potwierdza babcia z wyraźną przyjemnością. – W ciąży! Zanim się spostrzegliśmy, Jackson zaczął co chwilę jeździć do Daredale opiekować się dzieckiem. To wszystko działo się… hm… trzy, może cztery lata temu. Potem… ale to już naprawdę plotka… Marigold wyprowadziła się do Los Angeles, gdzie chciała zacząć wielką karierę aktorską, i zabrała małą ze sobą. Jackson już jej prawie nie widuje.

Boże. Biedny. Tak mi głupio z powodu tego, co powiedziałam u Penelope, że nawet nie jestem już na niego zła o ten podstępny plan z koktajlami.

W każdym razie nie aż taka zła.

Telefon mi brzęczy. To relikt z epoki dyskietek i game boyów, więc dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, co się dzieje: dzwoni do mnie ktoś inny.

– Muszę kończyć, babciu. Niedługo się odezwę, kocham cię.

– Pa, skarbie.

Rozłączam się i odbieram drugą rozmowę.

– Halo? – odzywa się drżący głos w słuchawce. – Czy rozmawiam z Leeną Cotton?

– Tak, to ja. – Wyraźnie powiedziałam to głosem z pracy. Brzmi trochę dziwnie.

– Nazywam się Nicola Alderson i dzwonię w sprawie ogłoszenia, które widziałam w sklepie.

O transporcie…

– Ach, tak. – Wczoraj pojechałam do Knargill i wywiesiłam parę ulotek (właściwie wydruków z komputera babci); nie spodziewałam się tak szybkiego odzewu. – Dobry wieczór, Nicola, dziękuję za telefon.

– To na pewno darmowe? – pyta. – Brzmi… bardzo dobrze. Ale wnuczek zawsze przestrzega mnie przed mailami z wiadomością, że się wygrało pieniądze, a wydaje mi się, że oferta darmowego transportu może się zaliczać do tej samej kategorii. Przecież nie ma nic za darmo.

Kiwam głową. Słuszna uwaga – żałuję, że babcia nie podchodzi do tego rodzaju ofert z taką samą podejrzliwością. Kilka lat temu przeżyliśmy chwilę grozy, kiedy wzięła przesyłkę reklamową za urzędowe pismo z banku i niewiele brakowało, żeby przelała swoje oszczędności na jakieś tajemnicze rosyjskie konto.

– Oczywiście. No więc to moja babcia wpadła na pomysł, żeby pomóc samotnym ludziom przemieszczać się po okolicy, a ja mieszkam teraz w jej domu i zajmuję się jej projektami… Pomyślałam sobie, że to najprostszy sposób. Mam samochód i wolny czas, więc…

– Można w jakiś sposób sprawdzić, czy nie wywieziesz mnie do lasu, żeby mnie pożreć?

Prycham śmiechem.

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

– Niby prawda – mówi z namysłem.

– Jeżeli to cię uspokoi, mam zaświadczenie o niekaralności z DBS.

– Nie mam pojęcia, co to jest – oznajmia Nicola. – Ale przypuszczam, że będę cię mogła ocenić, kiedy cię zobaczę. Spotkamy się pod kościołem? Musiałabyś być skończoną szują, żeby mnie tam zamordować.

– Świetnie – odpowiadam. – Powiedz tylko kiedy.

14
Eileen

Jest dziesiąta wieczorem. Całuję mężczyznę przed drzwiami jego domu. Jestem w botkach na wysokich obcasach. Dłonie Toda wślizgują się pod mój żakiet, a kciuk sunie po zamku błyskawicznym długiej lnianej sukienki, jak gdyby przeprowadzał rekonesans, by znać drogę, kiedy później się tam zapuści.

Odkąd poznałam Toda, mam wrażenie, jakbym otworzyła drzwi do fragmentu swojej duszy, o którym zupełnie zapomniałam. Wczoraj przyłapałam się na tym, że chichoczę. Chyba nigdy nie chichotałam, nawet w młodości.

Jest cudownie. Naprawdę. Ale nie daje mi spokoju ponury i pełen skruchy szept, który brzmi gdzieś głęboko w trzewiach. Chciałam zapomnieć o Wadzie i dobrze mi szło, ale odkąd

Tod i ja zaczęliśmy się spotykać, nie jest mi już tak łatwo o nim nie myśleć.

Wydaje mi się, że to po prostu kwestia porzucenia przyzwyczajeń. W końcu od pół wieku nie całowałam mężczyzny, który nie jest moim mężem. Dotyk ust Toda jest zupełnie inny; nawet kształt jego głowy, szyja i ramiona wydają się obce, skoro przez tyle lat moje dłonie uczyły się linii ciała Wade'a. Całowanie Toda przypomina przymierzanie cudzych ubrań. To dziwne i krępujące uczucie… ale mimo wszystko przyjemne.

Niechętnie wyswobadzam się z jego objęć.

– Nie wejdziesz na górę? – pyta.

– Jeszcze nie. – Uśmiecham się. – Jesteśmy dopiero na trzeciej randce.

Takie było moje zastrzeżenie. Przystałam na zaproponowane przez Toda warunki naszej relacji, zapowiedziałam jednak, że pójdę z nim do łóżka dopiero po pięciu randkach. Chciałam dać sobie czas na podjęcie decyzji, czy jest tego wart. Nie mam absolutnie nic przeciwko odrobinie przyjemności, ale nie zamierzam – jak Fitz to nazwał? – „dać się zbajerować". Seks w końcu coś dla mnie znaczy i nie chcę uprawiać go z mężczyzną, który niezbyt przypadł mi do gustu.

Tak się jednak składa, że Tod bardzo mi się podoba. Do tego stopnia, że ta zasada wydaje mi się…

Wygina brew w łuk.

– Potrafię wyczuć wahanie kobiety – mówi. Jeszcze raz łączymy usta w długim pocałunku. – A teraz wsiadaj do taksówki i wracaj do domu, zanim zrobimy coś, czego możemy potem żałować. Zasady to zasady. – Mruga do mnie.

Boże, ileż się kryje za tym mrugnięciem.

Rzeczywiście lepiej wsiąść do taksówki.

*

Następnego dnia śpię długo i wstaję dopiero o ósmej. Kiedy wychodzę z sypialni Leeny, widzę Marthę, która płacze na kanapie.

– O, Martha! – Przystaję w drzwiach. Nie chcę bezceremonialnie wkraczać do salonu i wprawiać jej w zakłopotanie. Ale odwraca się do mnie twarzą mokrą od łez i przyzwalająco kiwa ręką.

– Proszę, niech pani usiądzie – mówi, masując sobie brzuch. – Lamenty w samotności to dla mnie nowość. Zwykle wypłakuję się w rękaw Leenie. – Pociąga nosem, kiedy sadowię się obok niej na kanapie. – Dobrze pani wygląda, pani

Cotton. Ach, widziała się pani wczoraj ze swoim przystojnym adoratorem?

Czuję ciepło rumieńca. Martha się uśmiecha.

– Proszę pamiętać, żeby się za bardzo nie angażować – dodaje, wycierając nos. – Mówię to tylko dlatego, że kazała mi pani sobie o tym przypominać. Chociaż moim zdaniem to smaczny kąsek.

– Nie musisz się o mnie martwić. Co się stało, skarbie? – Waham się przez chwilę. – Jeżeli mogę spytać?

– Yaz i ja niedługo podpisujemy ostateczną umowę kupna domu. Nie podoba mi się, ale Yaz twierdzi, że nie mamy czasu wybrzydzać, a ja powiedziałam, że to zbyt poważna decyzja, żeby ją tak szybko podejmować i… – Znowu wybucha płaczem; łzy kapią jej z brody. – Tak się martwię, że sobie nie poradzę… że nie jestem gotowa na dziecko, a Yaz, niestety, do wszystkiego podchodzi jak to Yaz. Dziecko niedługo się urodzi, a jej się wydaje, że dalej będziemy mogły żyć tak jak dotąd. Ale to niemożliwe, prawda? Wszystko będzie inne. Straszne. Wcale nie jesteśmy dobrze przygotowane. Boże…

Próbuję sobie przypomnieć słodko-gorzką panikę, gdy odkryłam, że jestem w ciąży. To był skomplikowany czas w życiu Wade’a i moim. Nie

byliśmy wtedy małżeństwem. Nie byliśmy nawet zaręczeni. Na zdjęciach ślubnych skutecznie udało mi się zamaskować brzuch, więc nikt się nie dowiedział – nawet Marian – i wolę, żeby tak zostało. Pamiętam jednak, jak wśród ogólnego chaosu zdarzały mi się chwile czystej paniki, gdy odchodziłam od zmysłów, tak jak teraz Martha.

Najbardziej zdenerwowała mnie zmiana planów. Świadomość, że nie będzie pracy w Londynie, prób zmieniania świata ani przygód – to znaczy czekała mnie wielka przygoda, ale miałam ją przeżyć w domu. Wyjazd z Hamleigh nie wchodził w grę. Natomiast w kwestii mężczyzn… miałam na zawsze zostać z Wade'em. Zachował się przyzwoicie, oświadczył się i byłam mu wdzięczna. Gdybym za niego nie wyszła, kto wie, co matka i ojciec by ze mną zrobili.

Biorę Marthę za rękę.

– Wiesz, czego ci trzeba, skarbie? Potrzebujesz listy. Weźmiemy długopis i kartkę, zrobimy przegląd wszystkich projektów, które trzeba zrealizować przed narodzinami dziecka, a potem ułożymy plan i plan awaryjny.

Na mój pomysł odpowiada uśmiechem.

– Już wiem, po kim Leena jest taka, jaka jest, pani Cotton.

– Mów mi Eileen, dobrze? – proponuję. – Nie czuję się już za bardzo „panią Cotton”.

Wyjmuję swój nowy terminarz, żeby spisać listę Marthy.

– Aha, rozmawiałaś z właścicielem o przestrzeni wspólnej budynku? – pytam, kiedy mój wzrok pada na punkt *Ogarnąć* na ostatniej liście zadań.

Martha prostuje się i ociera twarz.

– Tak, właśnie chciałam o tym powiedzieć: był zachwycony pomysłem. Obiecał nawet przeznaczyć na to trochę pieniędzy. Wprawdzie tylko pięć stów, ale…

– Pięćset funtów? – Wybałuszam oczy. – Przecież to bardzo dużo! – Patrzę z wahaniem na Marthę. Wygląda, jakby zamartwiała się na tej kanapie już od dłuższej chwili. – Nie przypuszczam, żebyś miała ochotę zabierać się do tego od razu? Nad listą możemy usiąść później.

– Właściwie tak, chyba… zróbmy to. Już dość użalałam się nad sobą. – Wstaje i ociera oczy. – Pomyślałam, że można zajrzeć do sklepu z antykami przy naszej ulicy, może uda się znaleźć jakieś ładne meble za nieduże pieniądze?

Uśmiecham się.

– Mam lepszy pomysł.

*

– O… Boże. – Martha przyciska dłoń do szyi. – Co za mieszkanie… prawdziwy skarbiec. Czy to… to prawdziwy chesterfield?! Za tamtym fotelem?

Tak bardzo rwie się do tych mebli, że usiłuje się wgramolić na jeden z wielu stolików Letitii; ze śmiechem łapię ją, by nie straciła równowagi.

– Spokojnie, skarbie. Będziemy potrzebowały pomocy, żeby przenieść to wszystko.

– Na pewno możemy zabrać te rzeczy na dół? – pyta zdumiona Martha.

Letitia wzrusza ramionami.

– Czemu nie? Jeżeli tylko nigdzie nie przepadną, nie mam nic przeciwko temu, żeby je wypożyczyć. Zwłaszcza jeśli… – Przełyka ślinę. – Podoba mi się plan urządzenia części wspólnej. To może być przyjemne miejsce do spotykania ludzi.

W zamyśleniu bawię się świecidełkami w miseczce. W okolicy musi być mnóstwo osób takich jak Letitia. Nie przypuszczam, by w innych budynkach życie towarzyskie mieszkańców wyglądało lepiej niż tu. Na pewno trudno jest żyć samotnie w tym mieście, a zwłaszcza seniorom.

– Sądzisz, że właściciel pozwoliłby nam wykorzystać tę przestrzeń na coś… trochę

większego? – zwracam się do Marthy.

– A co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem, ale… Letitio, nie masz przypadkiem kilku zapasowych dużych stołów?

– Jest parę w składziku – mówi. – W piwnicy.

Martha wygląda, jakby za moment miała zemdleć.

– Składzik! – powtarza z niedowierzaniem. – Jest jeszcze składzik!

– Prowadź – proszę Letitię. – Po drodze musimy zebrać pomocników. Mam odpowiednich ludzi.

Nieuprzejmi sąsiedzi w sandałach, którzy przewracali oczami, gdy spotkaliśmy się w korytarzu, to Rupert i Aurora (poznałam ich imiona dzięki cienkim ścianom). Energicznie pukam do ich drzwi, mając po bokach Letitię i Marthę.

Otwiera Rupert i baranieje, wyraźnie zmieszany moim widokiem. W roztargnieniu klepie się po zaokrąglonym brzuchu i zakłada włosy za uszy.

– Hm… dzień dobry – mówi. – Niestety, nie pamiętam pani imienia… Isla, tak?

– Eileen. Eileen Cotton. To Martha i Letitia. A mam przyjemność z…?

– Rupert – przedstawia się i podaje mi rękę. Jest obryzgana farbą.

Ściskam mu dłoń, ale dopiero po chwili. Stosunki dobrosąsiedzkie to jedno, a brak charakteru to drugie.

– Posłuchaj, Eileen, miałem zamiar przyjść i przeprosić – tłumaczy ze stropioną miną Rupert. – Moja dziewczyna czasem bywa nie w sosie, kiedy siedzi nad nową pracą… jest rzeźbiarką. Kiedy się spotkaliśmy, akurat męczyła się z jakąś kompozycją metaloplastyczną, cały dzień nic nie jadła, no i… potraktowała cię niegrzecznie. Bardzo mi przykro. Jej też.

Mój uśmiech staje się mniej wyniosły.

– Każdy może być rozdrażniony, kiedy jest głodny – łaskawie przyznaję mu rację. – A jeżeli chcesz to naprawić, mamy odpowiednie zadanie dla ciebie. Chodź.

– Co… teraz?

Odwracam się, by spojrzeć na niego jeszcze raz.

– Jesteś zajęty?

– Nie, nie – zapewnia mnie pospiesznie. – Tylko znajdę buty. Jestem do waszej dyspozycji.

*

Stoimy pośrodku naszego przyszłego miejsca sąsiedzkich spotkań, otoczeni zbieraniną mebli, w blasku słońca, które wpada przez piękne stare okna.

Kiedy wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, moja pewność siebie słabnie. Przez chwilę czuję się jak dawniej; przypomina mi się krąg obojętnych twarzy we wsi, gdy na zebraniu Straży Sąsiedzkiej przedstawiam nowy pomysł.

Przełykam ślinę. Mówię sobie w duchu: kto nie ryzykuje… i tak dalej. Co na moim miejscu zrobiłaby Leena?

– Pomyślałam, że moglibyśmy urządzić klub. – Bawię się paskiem torebki. – Organizować zajęcia… domino, gry karciane, scrabble, coś w tym rodzaju. I podawać coś ciepłego do jedzenia, jeżeli wymyślimy sposób, jak za to płacić. Przyjazd do Londynu w moim wieku uświadomił mi, że starsze osoby mogą się tu czuć samotne.

Zapada długa cisza.

– Pewnie to beznadziejny pomysł – rzucam. – Basil zawsze mi powtarza, że moje projekty są zbyt ambitne. W każdym razie… kiedyś, gdy byłam młodsza, miałam zamiar przyjechać do Londynu i pracować nad czymś podobnym, ale dla młodych ludzi. A teraz myślę, że… że

ucieszyłabym się, gdyby udało mi się stworzyć tu coś w rodzaju wspólnoty, tyle że dla starszych. – Bezradnie wzruszam ramionami. – Być może nie da się tego zrobić. Właściwie nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Od podłogi – odzywa się nieoczekiwanie Martha.

Wszyscy kierujemy na nią wzrok.

– Przepraszam. – Lekko kołysze się na stopach. – Ale wydaje mi się, że pod tym wyliniałym dywanem jest podłoga z desek, i pomyślałam, że powinniśmy zacząć od tego, jeżeli chcemy, żeby to miejsce wyglądało atrakcyjniej. Potem możemy ustawić tu stoliki do gier planszowych, a tam do gry w karty… może do brydża, mój dziadek uwielbia brydża. Tutaj, z tyłu, mógłby stanąć długi stół, przy którym wszyscy jedliby razem. – Uśmiecha się do mnie. – Bardzo mi się podoba twój pomysł, Eileen. Jest fantastyczny. I wcale nie jest zbyt ambitny.

– Nie ma czegoś takiego jak „zbyt ambitny” – włącza się Fitz. – Tak w każdym razie zawsze mówi mi Leena, kiedy szukam wymówek, żeby nie starać się o pracę. – Mruga do mnie. Fitz wszedł do budynku, kiedy taszczyliśmy ze składziku Letitii wielki stół na kozłach, i w swojej poczciwości rzucił torby, zakasał rękawy i od

razu zabrał się do roboty. Od tego czasu nosił meble.

– Co o tym sądzisz, Letitio? – pytam niespokojnie. – Myślisz, że ktoś by tu przychodził?

– Ja na pewno – odpowiada po chwili. – I sądzę, że jest trochę takich osób jak ja, chociaż nigdy nie wiedziałam za bardzo, jak ich znaleźć.

No tak, to z pewnością też trudne zadanie. Otwieram torebkę i wyjmuję terminarz, chcąc jak najszybciej zacząć nową listę.

– Jeszcze raz porozmawiam z właścicielem, a potem roześlę maile do wszystkich sąsiadów z pytaniem, czy nie mają nic przeciwko temu – proponuje Martha.

Letitia krzywi się.

– Musimy pytać wszystkich w budynku? Jeżeli ktoś się poskarżył, że tu kiedyś usiadłam, to raczej nie będzie zadowolony, gdy gromada staruszków zacznie mu urządzać na dole klub, prawda?

Mina mi rzednie.

– Aha.

– Ktoś się poskarżył, że tu siedzisz? – Fitz podnosi się z kucek. Zgodnie z instrukcją Marthy próbował właśnie podnieść róg dywanu. – Jezu, to okropne.

Letitia wzrusza ramionami.

– W każdym razie, ktokolwiek to był, prawdopodobnie już się wyprowadził – konstatuje Fitz. – Jestem prawie pewien, że Leena, Martha i ja mamy najdłuższy staż jako mieszkańcy tego budynku.

– Ja mieszkam tu od trzydziestu lat – zauważa uprzejmie Letitia.

Fitz gapi się na nią.

– Rany! Zwracam honor.

– Mógłbym poprowadzić zajęcia plastyczne – odzywa się nagle Rupert, patrząc w kąt pomieszczenia, któremu Martha nie przydzieliła jeszcze żadnej funkcji. – Dla klubu. Moglibyśmy to robić wspólnie z Aurorą. Mamy mnóstwo niepotrzebnych starych drobiazgów, farb, kredy i tak dalej.

Posyłam mu promienny uśmiech i znowu wstępuje we mnie nadzieja.

– Wspaniale!

– A facet spod siedemnastki jest iluzjonistą. Pewnie od czasu do czasu mógłby urządzić pokaz albo nawet warsztaty – podsuwa Rupert.

Pstrykam długopisem, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– No dobrze – mówię. – Krok pierwszy: podłoga. Krok drugi…

*

Po wspaniałym i wyczerpującym dniu spędzonym na planowaniu, malowaniu i dyrygowaniu rozstawianiem mebli padam na łóżko i śpię tak głęboko, jak nie zdarzyło mi się od wielu lat. Budzę się z myślą, że w ogóle nie podziękowałam Letitii za to, że ofiarowała te wszystkie meble. To było niezwykle szlachetne z jej strony. Nagle ogarnia mnie chęć, by odwdzięczyć się za tę hojność, więc spuszczam nogi i siadam na łóżku, ale tak żwawo, że zanim wstanę, muszę poświęcić chwilę, by dojść do siebie.

– Chcesz iść na zakupy? – pyta podejrzliwie Letitia, gdy pojawiam się przed jej drzwiami w swoich najwygodniejszych butach i z największą torbą na ramieniu. – Co zamierzasz kupić?

– Ciuchy! Zapraszam w ramach podziękowania!

– Och, nie możesz wydawać na mnie pieniędzy – protestuje ze zgrozą.

Pochylam się w jej stronę.

– Mój były mąż nie ma pojęcia o oszczędnościach, które uzbierałam przez te lata, i zamierzam je wydać, zanim się zorientuje

i spróbuje położyć na nich łapę. Pomóż mi, nie daj się prosić.

Letitia odpowiada mi szerokim uśmiechem.

– Moda mnie nie obchodzi – oznajmia. – Dokąd miałybyśmy iść? – Jej uśmiech przygasa; wygląda na nieco zaniepokojoną. – Chyba nie na Oxford Street czy w podobne miejsce?

Nie planuję powtórki swoich doświadczeń z wizyty na Oxford Street. Zostałam ugodzona parasolem, zwymyślana przez wściekłą turystkę z Ameryki, a w Primarku – dziwna rzecz – krok w krok chodził za mną ochroniarz.

– Nie, wybierzemy się do sklepów charytatywnych – uspokajam ją. – Jest ich pięć nie dalej niż dziesięć minut stąd, a w każdym można znaleźć mnóstwo okazji i kupić jakieś cudo wyrzucone przez londyńskie elegantki.

Twarz Letitii się rozjaśnia. Podejrzewałam, że sklepy charytatywne będą bardziej w jej guście niż salony przy głównej ulicy, które sprzedają rzeczy chyba tylko dla wysokich osób o wydatnym biuście i talii osy. I chociaż z początku trochę bałam się tej części Londynu – z powodu graffiti, salonów tatuażu i motocykli – teraz wolę ją znacznie bardziej niż zatłoczone i głośne centrum.

Odkąd Fitz zabrał mnie na zakupy, wiem już wszystko o „metamorfozach”. Zmuszał mnie do przymierzania przeróżnych idiotycznych rzeczy – spódnic przed kolano, butów, których nie można włożyć na pończochę. Później jednak zorientowałam się, że to był tylko sprytny fortel, żebym nabrała fantazji. Kiedy przymierzyłam dżinsową mini, granice mojej strefy komfortu przesunęły się do tego stopnia, że na przykład wybór lnianej sukienki z długimi rękawami, którą włożyłam na trzecią randkę z Todem, wcale nie wydał mi się zbyt ryzykowny, a po tym, jak z trudem wcisnęłam stopy w sandałki na obcasach, śliczne botki Leeny okazały się całkiem wygodne, gdy Fitz namówił mnie, żebym je sobie pożyczyła.

Próbuję tej samej sztuczki z Letitią, tyle że posuwam się za daleko i biedaczka omal nie wybiega ze sklepu Save the Children, gdzie usiłuję wtłoczyć ją w obcisłą różową bluzkę. Zmieniam taktykę i zaczynam rozmawiać o jej guście, ale uparcie twierdzi, że moda jej nie interesuje i bardzo dobrze czuje się w swojej granatowej tunice, której wcale nie trzeba prać tak często, jak się niektórym wydaje.

Zamierzam już dać za wygraną, gdy widzę, jak patrzy na haftowany żakiet w sklepie Help

the Aged. Wtedy doznaję olśnienia. Przypominam sobie, jakim gabinetem osobliwości jest mieszkanie Letitii, i przyglądam się jej uważniej.

– Na co patrzysz? – pyta podejrzliwie.

– Na twoje kolczyki. Są piękne. Tamte, które widziałam u ciebie ostatnio, też były śliczne.

Jest wyraźnie zadowolona.

– Dziękuję. Pochodzą z lat czterdziestych. – Znalazłam je na pchlim targu i sama wypolerowałam.

– Co za znalezisko! – Wypycham ją z Help the Aged i prowadzę do gigantycznego sklepu Oxfam, w którym Fitz wypatrzył dla siebie trzy koszule w kwiaty. – Spójrz – mówię jakby mimochodem – mają cały wieszak z modą retro. Ojej, popatrz, jaki niezwykły wzór bluszczu jest na tej spódnicy!

Gdyby była kotem, nastawiłaby uszu. Przysuwa się bliżej i gładzi tkaninę.

Muszę zmienić sposób, w jaki Letitia traktuje ubrania. Zbiera piękne przedmioty jak sroka – czemu więc nie miałaby się nimi sama ozdobić? Gdyby poświęciła sobie choć w połowie tyle uwagi co mieszkaniu… może nadal wyglądałaby ekscentrycznie, ale przynajmniej miałaby jakiś powód do dumy.

– Mam to… przymierzyć? – pyta nerwowo, trzymając spódnicę z bluszczowym wzorem.

– Czemu nie? – Od razu popycham ją lekko w kierunku przymierzalni.

15
Leena

Budzi mnie Ant/Dec, jak od pewnego czasu mamy w zwyczaju; zaczynam nawet lubić dotyk puszystego łebka na twarzy z samego rana. Jest o wiele przyjemniejszy od budzika.

Zeskakując z łóżka, kot strąca z szafki nocnej kamień księżycowy od mamy. Podnoszę go i obracam w palcach. Ma niebieskawy odcień i wygląda, jakby pochodził z kosmosu. Ciekawe, kto uznał, że oznacza „nowy początek”.

Z wahaniem sięgam po telefon. Jest na nim wiadomość na dobranoc od Ethana, wysłana o pierwszej w nocy, z czterema całuskami zamiast jak zwykle trzema. Minął kolejny weekend, w który nie mógł przyjechać z powodu pracy – jestem tu już trzy tygodnie i ani razu mnie nie odwiedził. Rozumiem, mimo to jestem rozczarowana.

Przewijam listę kontaktów. Mama budzi się wcześniej ode mnie – zazwyczaj jest na nogach jeszcze przed piątą.

Wciskam POŁĄCZ. Najczęściej wysyłam jej SMS-y z pytaniem, czy czegoś potrzebuje, zawsze jednak odpowiada, że nie. Powinnam już była dawno zadzwonić albo wpaść do niej, ale…

– Halo? Leena? Coś się stało?

Nuta paniki w jej głosie natychmiast przenosi mnie w czasie. Mój telefon dzwoni tak często, że udało mi się odpędzić cień tamtego paraliżującego strachu, który dławił mnie w gardle, ilekroć usłyszałam dzwonek, przekonana, że tym razem to będzie najgorsza wiadomość o Carli. Słysząc teraz lęk w głosie matki, czuję, jak żołądek skręca mi się od emocji. Spocona, podnoszę się z łóżka i zaczynam chodzić po pokoju, mając wielką ochotę zakończyć tę rozmowę, zanim wypowiem choć jedno słowo.

– Cześć, mamo, wszystko w porządku! – mówię szybko. – Zadzwoniłam, żeby się przywitać i… jutro wieczorem jest bingo, zastanawiałam się, czy nie chciałabyś pojechać? Ja będę prowadzić mikrobus.

Zapada krótkie milczenie.

– Może? Tak, czemu nie? Jeżeli chcesz, żebym pojechała?

Czeka.

– Tak! – odpowiadam zbyt piskliwie, po czym wciskam pięść między żebra w miejscu, gdzie kotłują się emocje. – Jasne, jedź z nami! O piątej po południu. Świetnie!

Jeżeli teraz się rozłączę, panika ustąpi, ale właściwie nie zdążyłam jeszcze powiedzieć tego, co chciałam.

– Odetchnij głęboko, Leena – radzi mama.

Zamykam oczy i opanowuję oddech. Uczucie mrowienia na twarzy i w piersi trochę słabnie i teraz przypomina dotyk drobnych kropli deszczu na skórze.

Otwieram oczy i nabieram ostatni haust powietrza.

– Mamo, babcia mi mówiła, że byłaś u lekarza i dał ci jakieś środki antydepresyjne.

W słuchawce na dłuższą chwilę zalega cisza.

– Tak – przyznaje w końcu mama.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że… jest aż tak źle. I… przepraszam.

– Nie ma za co, skarbie. – Jej głos brzmi ciszej.

– Pomagają ci te leki?

– W zasadzie tak. Chociaż trudno powiedzieć, czy to zasługa antydepresantów, czy moich

kryształów.

Przewracam oczami.

– Co, przewróciłaś oczami?

– Nie…

Wyczuwam, że się uśmiecha.

– Ty nie masz żadnych wątpliwości wobec świata, Leena. Ale ze mną jest inaczej. Znasz najlepszą metodę zaleczenia ran i ją stosujesz: ciężko pracujesz, odpoczywasz ode mnie i babci. Ja jeszcze nie wiem, jak zaleczyć rany. Dlatego próbuję wszystkiego. To moja metoda.

Znowu okręcam w palcach kamień księżycowy.

– Nie jestem pewna, czy znam najlepszą metodę leczenia ran – odzywam się cicho. – Nie jestem nawet pewna, czy dobrze to robię.

– Dlatego tu przyjechałaś? – pyta mama. – Do Hamleigh?

– Może… – Przełykam ślinę. – To co, do zobaczenia na bingo?

– Do zobaczenia na bingo.

Po rozmowie potrząsam ramionami, żeby je rozluźnić – są napięte, jakbym pokonała długą i trudną drogę samochodem, cały czas kurczowo ściskając kierownicę. Jest mi za gorąco. Wychodzę, żeby pobiegać, ale szybko wracam i robię sobie kawę; oddycham normalnie i jestem

bardziej opanowana, mimo to chodzę po jadalni z kubkiem w rękach, nie mogąc usiedzieć w miejscu dłużej niż chwilę. Muszę czymś zająć uwagę.

Rozlega się natarczywe pukanie w kuchenne okno.

Jęczę w głąb kubka. Proszę, nie chodziło mi o takie zajęcie uwagi. Jest dopiero wpół do ósmej – czego Arnold może chcieć? Może udam, że jeszcze śpię.

– Halo?! – krzyczy Arnold. – Widziałem światła! Halo?!

Być może śpię przy zapalonych światłach. To duży i stary dom, przecież może mi się wydawać straszny.

– Halo?! Z czajnika leci para, na pewno już nie śpisz. Halo?!

Może zaparzyłam sobie herbatę i wróciłam na górę, żeby…

– Leena? Jesteś tam? Widziałem, jak wracasz z biegania. Halo?!

Chryste, dlaczego ten facet nie należy do Straży Sąsiedzkiej? Jest do niej stworzony. Zaciskam zęby i idę do kuchni.

– Dzień dobry, Arnoldzie – witam go jak najuprzejmiej. – Coś się stało?

– Owszem. Twój samochód jest w żywopłocie.

Robię wielkie oczy.

– Mój… przepraszam, co takiego?

– Twój samochód – powtarza cierpliwie. – Wjechał w żywopłot. Pomóc ci go wyciągnąć?

– Boże. – Wychylam się obok Arnolda i wyciągam szyję, żeby zobaczyć podjazd. – Jak on się znalazł w żywopłocie? W którym żywopłocie?

– Zaciągnęłaś ręczny? – pyta Arnold.

– Oczywiście! – zapewniam go, zastanawiając się, czy zaciągnęłam ręczny. Minęło sporo czasu, odkąd w tym tygodniu zasiadłam za kierownicą; w Londynie oczywiście nie mam auta, bo samochód w Londynie mają tylko ci, którzy szukają okazji do wywołania agresji drogowej albo chcą poćwiczyć wyjątkowo stresujące parkowanie w zatoczce. – Boże, rozbiłam samochód Penelope?

Arnold spogląda w stronę podjazdu, pocierając podbródek.

– Wyciągnijmy go z iglaków i sprawdźmy, dobrze?

*

Okazuje się, że jednak nie zaciągnęłam ręcznego hamulca do końca.

Arnold, który jest znacznie silniejszy, niż sugeruje to jego postura, pomaga mi wypchnąć forda ka z żywopłotu na tyle, że mogę wsiąść za kierownicę. Kiedy z piskiem opon wycofuję wóz i przez pobocze wjeżdżam na żwirowy podjazd, Arnold pokazuje mi uniesione kciuki. Mam nadzieję, że babcia nie będzie zła z powodu sporej wklęsłości w kształcie samochodu w żywopłocie po prawej i przecinających trawę dwóch długich ciemnych linii w miejscu, gdzie znalazły się koła.

– Wóz jest w porządku – informuje mnie Arnold, gdy wysiadam i trzaskam drzwiami. – Jak ma na imię?

– Na imię?

– Nie dałaś mu imienia? – dziwi się, otrzepując dłonie o spodnie. Wyraźnie tryska energią. Luźny T-shirt i wełniany blezer zamiast nadgryzionego przez mole swetra, w którym zwykle paraduje, oraz czapka zasłaniająca pożyczkę na łysinie odjęły mu jakieś dziesięć lat. Patrzę, jak wyjętą z kieszeni chusteczką przeciera szybę samochodu.

– Nie dałam – przyznaję. – Masz jakiś pomysł?

– Ja swój nazwałem Wilkie – mówi.

– Jak Wilkie Collins?

Prostuje się z wyrazem zachwytu na twarzy.

– Lubisz jego książki?

– Babcia dała mi kiedyś pod choinkę *Kamień Księżycowy*. Bardzo mi się podobał. Zawsze dostawałam od niej książki.

Arnold patrzy na mnie zaciekawiony.

– Nie wiedziałem, że taka z niej czytelniczka.

– No pewnie. Najbardziej lubi Agathę Christie. Przepada za kryminałami.

– Jak większość wścibskich osób – zauważa Arnold. – Co potwierdza moje przypuszczenia.

Śmieję się zaskoczona. To naprawdę było zabawne. Kto by przypuszczał, że Arnold potrafi być zabawny?

– W takim razie na cześć babci nazwijmy samochód Agatha. – Poklepuję maskę forda. A potem ni stąd, ni zowąd, pytam: – Nie miałbyś ochoty wejść na poranną kawę?

Arnold zerka w stronę domu babci.

– Do środka?

– Tak, na kawę. Albo herbatę, jeżeli wolisz.

– Eileen nigdy nie zaprasza mnie do środka – wyznaje.

Marszczę nos.

– Nigdy? To w ogóle niepodobne do babci. Zawsze zaprasza każdego, a jeżeli ktoś zalicza się do sąsiadów, to chyba nawet dostaje własny klucz.

– Twojej babci nie bardzo jest ze mną po drodze – wyjaśnia. – To długa historia. Nasza znajomość źle się zaczęła i od tego czasu Eileen mnie nie znosi. – Wzrusza ramionami. – Mnie tam wszystko jedno. Powiem ci tak: jeżeli kogoś nie lubisz, możesz sobie dać z nim spokój.

– Taka postawa jest zwykle godna podziwu, ale czasem to po prostu wymówka, żeby usprawiedliwiać swoją gburowatość i nierozsądek.

– Hę?

– Widziałam, jak rano zajmujesz się roślinami babci.

Arnold robi zakłopotaną minę.

– Przecież to tylko…

– A teraz pomogłeś mi wyciągnąć auto z żywopłotu.

– Pomyślałem po prostu… – Twarz mu pochmurnieje. – Do czego zmierzasz?

– Chcę tylko powiedzieć, że raczej nie wierzę w twoją gburowatość. – Zamykam samochód i idę w stronę ławki pod jabłonką; po chwili Arnold rusza za mną. – Poza tym nigdy nie jest za późno, żeby coś zmienić… popatrz na moją babcię. Kiedy dziadek ją zostawił, co zrobiła? Pojechała do Londynu szukać przygody i zaczęła się umawiać na randki przez internet.

Brwi Arnolda unoszą się ponad oprawki okularów.

– Randki przez internet? Twoja babcia?

– Aha. Moim zdaniem to fantastyczne. Zasługuje na to, żeby na jakiś czas przestała opiekować się nami wszystkimi i zajęła się sobą.

Arnold jest wyraźnie zaniepokojony tą myślą.

– Randki przez internet… a to ci dopiero. Ta kobieta jest siłą, z którą trzeba się liczyć. – Spogląda na mnie. – I zdaje się, że to rodzinne.

Prycham.

– Nie wiem, skąd takie wrażenie. Odkąd tu przyjechałam, wszystko chrzanię. Nie, wróć: schrzaniłam wszystko, czego się tknęłam przez ostatni rok.

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Z tego, co słyszałem, to kiedy wracałaś do siebie po śmierci Carli, miałaś pracę w mieście, w której tyrałaś od świtu do nocy, wspierałaś partnera, utarłaś nosa Betsy i zmusiłaś Penelope, żeby przestała jeździć samochodem.

Milknę zaskoczona. Wszyscy mówią tu o śmierci Carli tak otwarcie, jak gdyby dotknęła nas wszystkich: wydawało mi się, że będzie mi to przeszkadzać, a tymczasem tak jest chyba lepiej.

– Nie chciałam utrzeć nosa Betsy – bronię się. – Ludzie mówią coś takiego?

Arnold rechocze.

– Oj, wszyscy widzą, że zalazłaś jej za skórę. Ale nie przejmuj się, czasem trzeba ją utemperować. Kiedy sprawdzisz w słowniku „ciekawska”, na pewno będzie tam o Betsy.

Przypuszczam, że z Betsy sprawa jest bardziej skomplikowana. W jej apodyktyczności kryje się jakiś odruch obronny, jak gdyby chciała pierwsza poinstruować cię, jak masz żyć, zanim zdążysz udzielić jej jakiejś rady.

– O co chodzi z Cliffem, jej mężem? – pytam.

Arnold spuszcza wzrok i szura butem po ziemi.

– Hm… – odchrząkuje. – Raczej wredny z niego typ. Nie życzyłbym żadnej kobiecie takiego faceta.

– Co masz na myśli? – Przypominam sobie, z jakim pośpiechem Betsy zerwała się z miejsca, kiedy Cliff wezwał ją do domu. – Czy on… źle ją traktuje?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada szybko. – Małżeństwo to prywatna rzecz męża i żony.

– Oczywiście, ale… do pewnego stopnia, prawda? Widziałeś kiedyś coś, co by cię zaniepokoiło?

– Nie powinienem… – Arnold zerka na mnie z ukosa. – To nie moja sprawa.

– Nie namawiam cię na plotki – uspokajam go. – Chcę tylko wiedzieć, czy u Betsy jest wszystko w porządku.

Znowu pociera brodę.

– Czasem zdarza się coś takiego… Cliff jest strasznym pedantem. Wszystko ma być tak, jak sobie życzy, i wścieka się, gdy Betsy zrobi coś źle. On ostatnio rzadko wychodzi z domu i z tego, co wiem, musi mieć Betsy na każde zawołanie, ale kiedy mają otwarte okna, to kiedy przechodzisz obok ich domu, możesz usłyszeć, jak się do niej zwraca, a to… – Arnold kręci głową. – Moim zdaniem nie powinno się tak mówić do kobiety, i tyle. To się odbija na jej samopoczuciu. Zmieniła się. Ale wszyscy staramy się jej pomagać. Nie ma w wiosce nikogo, kto by jej nie przygarnął, gdyby było trzeba.

Ciekawe, czy Betsy o tym wie. Czy ktoś mówi o tym głośno, czy wszyscy zachowują się jak babcia – wolą milczeć i się nie wtrącać? Odnotowuję w pamięci, żeby postarać się jakoś dotrzeć do Betsy. Może nie jestem osobą, której byłaby gotowa się zwierzać, ale mogłabym spróbować.

Nagle Arnold uderza się dłonią w czoło.

– Niech to szlag! Przecież miałem cię o coś zapytać. Właśnie po to przyszedłem. Nie jesteś za bardzo zajęta? Chcielibyśmy cię prosić o przysługę.

– Tak? – pytam nieufnie, zastanawiając się, kim są ci „my”.

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Hm… – Jeśli mam być szczera, trochę straciłam rachubę. – Niedziela?

– Niedziela Wielkanocna – oznajmia Arnold, podnosząc się z ławki. – Dlatego potrzebny nam zajączek.

*

– Jackson. Powinnam się domyślić, że ty za tym stoisz.

Jackson ma skonsternowaną minę. Na ramionach jego swetra ciemnieją plamy od deszczu, w ręce ściska wiklinowy koszyk pełen czekoladowych jajek w sreberkach. Jesteśmy w sali komunalnej, którą przystrojono girlandami specjalnych wielkanocnych chorągiewek i dużymi tabliczkami z informacją, że tu znajduje się punkt startowy dorocznego poszukiwania czekoladowych jajek w Hamleigh-

in-Harksdale, które rozpoczyna się dokładnie za pół godziny.

– Za tą… darmową imprezą dla dzieci? – pyta.

– Tak. – Mierzę go zimnym spojrzeniem. – Właśnie tak.

Mruga niewinnie, ale nie dam się nabrać. Na sto procent drażni się ze mną. Parę dni temu w kolejce do sklepu naprawdę posunęłam do przodu sprawę majowego festynu i doktor Piotr prawie obiecał poprzeć mój projekt motywu średniowiecza. A potem dostrzegłam Jacksona, który za nami przeglądał gazety, wyraźnie podsłuchując naszą rozmowę.

To na pewno jest odwet.

– Leena wygląda wystrzałowo, prawda? – odzywa się Arnold zza moich pleców.

Mam na sobie białe spodnie z puchatego polaru z przyszytym zajęczym ogonkiem; są na mnie za duże o sześć numerów i przytrzymuje je pasek pożyczony od Arnolda. Drugim elementem stroju jest kamizelka w zajączki (żeby nie pozostawiać żadnych niedomówień). Całości dopełniają zajęcze uszy. Uszy mają chyba być seksowne? Czuję się jak klaun.

– Przymknij się, Arnoldzie – fukam.

Usta Jacksona drgają w uśmiechu.

– Nawet lepiej, niż się spodziewałem. Do twarzy ci w tym.

Słyszę za sobą stłumiony okrzyk ogromnego zdziwienia. Odwracam się i moim oczom ukazuje się obłędnie śliczna dziewczynka. Jej blond włosy są zaplecione w nierówne warkoczyki, na policzku ma długą kreskę narysowaną chyba niezmywalnym markerem, a spod podciągniętej nogawki widać długą pasiastą skarpetkę. Dziewczynka przykłada dłonie do policzków jak oznaczający szok emotikon, a jej szeroko otwarte niebieskie oczy wyglądają bardzo znajomo.

– Zajączek – szepcze, wpatrując się we mnie. – Jeju!!!

– Samantha, moja córka – przedstawia ją Jackson. – Głęboko wierzy w zajączka wielkanocnego.

Brzmi to wyraźnie jak ostrzeżenie. Uważa mnie za potwora? Jeśli nawet nie cierpię zajęczego przebrania, to wiem, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

– Cześć, Samantho. – Kucam przed nią. – Tak się cieszę, że cię znalazłem!

– Znalazłeś? – Jej oczy są ogromne jak spodki.

– Rano wyszedłem z norki i skaczę po całym Yorkshire Dales, szukając kogoś, kto mi pomoże. I myślę sobie, że to ty możesz być tą osobą.

– Ja? – zachłystuje się Samantha.

– Przekonajmy się, dobrze? Lubisz czekoladowe jajka?

– Tak! – wykrzykuje z lekkim podskokiem.

– Umiesz chować różne rzeczy?

– Tak!

– Na przykład mój lewy but – mówi zza moich pleców Jackson oschłym tonem, chociaż słyszę, że się uśmiecha. – Bardzo dobrze go schowałaś dzisiaj rano.

– Bardzo dobrze – przytakuje z powagą Samantha, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– A teraz bardzo ważne pytanie, Samantho: umiesz dochować tajemnicy? Bo jeżeli masz zostać pomocnikiem zajączka, będziesz wiedziała, gdzie są schowane wszystkie jajka. A dzieci będą cię pytały o wskazówki.

– Nie powiem! – obiecuje Samantha. – Na pewno!

– W takim razie… – prostuję się i odwracam do Jacksona – wydaje mi się, że znalazłam wyjątkowego pomocnika.

Jackson rozpromienia się w szerokim uśmiechu, jakiego jeszcze u niego nie widziałam – robią mu się autentyczne dołeczki w obu

policzkach. Pochyla się, łapie Samanthę pod pachy, unosi i opiera o biodra.

– Co za szczęściara z tej młodej damy. – Wtula twarz w jej szyję, a dziewczynka krztusi się od śmiechu.

Na widok Samanthy w jego ramionach czuję ciepłe drgnienie w brzuchu, robi mi się dziwnie miękko i mam wrażenie, że mój mózg staje się puchaty jak spodnie, które mam na sobie.

„Dziękuję” – mówi do mnie bezgłośnie Jackson. Podnosi koszyk z czekoladowymi jajkami i podaje go Samancie. Dziewczynka z pełną dziecięcą ufnością opiera głowę o jego ramię.

– Gotowa? – pyta.

Samantha wyślizguje się z jego objęć i podbiega z wyciągniętym ramieniem, żeby wziąć mnie za rękę. Twarz Jacksona łagodnieje i maluje się na niej taka bezbronność, jak gdyby kochał tę małą do bólu; widząc wyraz nieskrywanego i intymnego uczucia, odwracam wzrok, bo wydaje mi się, że nie jest przeznaczony dla moich oczu. Żołądek jeszcze bardziej wypełnia mi się miękkim puchem, gdy Samantha zaciska paluszki na mojej dłoni.

Jackson pochyla się, aby pocałować ją w czoło, po czym otwiera drzwi wyjściowe.

– Lepiej już idźcie – mówi. – Aha, Leena, jeszcze jedno.

– Tak?

– Zajączek kica. I wymachuje koszykiem. Tylko ci przypominam.

– Ona o tym wie? – rzucam przez zaciśnięte zęby.

Częstuje mnie następnym szerokim uśmiechem, ale zanim zdążę cokolwiek dodać, podskakująca Samantha sprowadza mnie w dół po schodach i wyciąga na deszcz.

16
Eileen

Czuję się jak kobieta z telewizyjnej reklamy perfum. Mam na myśli te zwiewne istoty, które unoszą się parę centymetrów nad ziemią, otulone w szyfon, z twarzą rozjaśnioną ekstatycznym uśmiechem, a przechodnie na ich widok zaczynają spontanicznie śpiewać.

Spędziłam noc w łóżku Toda. Jest naprawdę nadzwyczajnym mężczyzną. Od mniej więcej dwudziestu lat nie uprawiałam seksu – w żadnym sensie – co z pewnością trochę mnie zmieniło, zwłaszcza że mam siedemdziesiąt dziewięć lat, ale to nadal cholernie cudowne przeżycie. Potrzebowałam wprawdzie czasu, żeby z powrotem się oswoić, trochę mnie też boli tu i ówdzie, ale, Boże, było warto.

Tod jest najwyraźniej bardzo doświadczonym kochankiem. Wszystko mi jedno, czy kwestie,

które wygłaszał o moim pięknym ciele i blasku mojej skóry, były tylko kwestiami – podziałały. Od lat nie czułam się lepiej.

Umówiłam się z Bee na poranną kawę. Mówi, że chce posłuchać wszystkich ploteczek o Todzie. Wydaje mi się, że tęskni za Jaime, która spędza Wielkanoc z rodziną swojego ojca, mimo to wiadomość od niej trochę mnie wzruszyła.

Kawiarnia, w której mamy się spotkać, nazywa się Watson's Coffee i jest szalenie trendy. Dwie ściany są pomalowane na zielono, dwie pozostałe na różowo. Nad barem wiszą sztuczne poroża jeleni, a pośrodku każdego stalowoszarego stolika stoi kolekcja na wpół stopionych świeczek w jaskrawych kolorach. Ogólny efekt jest nieco śmieszny, a w lokalu panuje straszny ruch – jest Poniedziałek Wielkanocny, więc oczywiście nikt nie pracuje, a mam wrażenie, że jeśli ktoś w tym mieście nie siedzi w biurze, to koniecznie musi iść do kawiarni.

Bee udało się znaleźć stolik. Kiedy podchodzę, posyła mi ten sam szczery, serdeczny uśmiech, który zauważyłam, gdy pokazywała mi zdjęcia córki. Uśmiech ma zdumiewające działanie, jak gdyby skierowała na mnie ciepłe światło reflektora. Spięła włosy za uszami, odsłaniając

prześliczny srebrny naszyjnik; ma na sobie piękną turkusową sukienkę, która sprawia wrażenie tym bardziej prowokującej, że zakrywa prawie wszystko.

– Dzień dobry! – wita mnie Bee. – Zamówię ci kawę. Na co masz ochotę?

– Poproszę flat white – mówię bardzo z siebie zadowolona.

Unosi brwi i rozpromienia się w uśmiechu.

– Doskonale! Wracam za momencik.

Gdy wstaje, żeby złożyć zamówienie, wyjmuję z torebki telefon. Potrzebowałam trochę czasu – i paru lekcji u Fitza – żeby przyzwyczaić się do aparatu Leeny, wreszcie jednak zaczynam się orientować, jak go obsługiwać. Na przykład znam się już na nim na tyle dobrze, by zauważyć, że dostałam wiadomość od Toda. I znowu te motyle…

Droga Eileen, co za wspaniały wieczór!
Niebawem go powtórzymy, prawda?
Pozdrawiam ciepło, Tod.

– Wiem, że nie powinno się wtykać nosa w cudze sprawy, więc przyznam się od razu, że przeczytałam ci przez ramię całą wiadomość. – Bee siada i stawia na stoliku tacę. Przyniosła też

dwie muffinki. – Cytrynowa czy czekoladowa? – pyta.

Bee jest zupełnie inna, niż przypuszczałam. Jest bardzo troskliwa. Nie wiem, czemu zakładałam, że tak nie będzie – może z powodu jej urody, co jest nieco niesprawiedliwe z mojej strony.

– Czekoladowa – ryzykuję, domyślając się, że woli cytrynową. Z zadowoloną miną przysuwa sobie talerzyk. – Wybaczam ci to wścibstwo. Sama często to robię ludziom w metrze. To jedyna korzyść ścisku w wagonach.

Chichocze.

– No i co? Tod okazał się tym właściwym?

– Och, nie – odpowiadam stanowczo. – To tylko przelotna przygoda. Bez zobowiązań.

Robi wielkie oczy.

– Serio?

– To cię tak bardzo dziwi?

– No… – Zastanawia się przez chwilę, przeżuwając kęs muffinki. – Chyba spodziewałam się, że będziesz szukała poważniejszego związku. Partnera życiowego.

Próbuję nonszalancko wzruszyć ramionami, ale zaraz krzywię się z bólu, bo ten ruch naciąga jakiś zesztywniały mięsień pleców.

– Tak naprawdę zależy mi na samej przygodzie.

Bee wzdycha.

– Też bym tak chciała. Wiedziałam, że w segmencie siedemdziesiąt plus będzie większa podaż. Może powinnam zapolować na starszego pana.

– Nie zapuszczaj się w mój rewir, młoda damo – odparowuję. – Zostaw seniorów starszym paniom, bo nie będziemy miały żadnych szans.

Śmieje się.

– Nie, korzystaj śmiało – rzuca. – Zastanawiam się jednak, czy nie jestem za bardzo wybredna.

Skupiam się na muffinie. Nie powinnam się przecież wtrącać – ta dziewczyna wie najlepiej, czego potrzebuje.

Ale z drugiej strony chodzę po świecie znacznie dłużej niż ona. Była ze mną bardzo szczera. Być może nie zaszkodzi podzielić się z nią swoją opinią.

– Mogę powiedzieć, co pomyślałam, kiedy usłyszałam twoją listę zasad? – pytam.

– Oczywiście.

– Moim zdaniem brzmi jak przepis na staropanieństwo.

Wybucha śmiechem.

– Błagam, to są absolutnie osiągalne kryteria – mówi. – Jako społeczeństwo mamy żenująco niskie wymagania wobec mężczyzn, nie sądzisz?

Myślę o Wadzie. Rzadko prosiłam go o cokolwiek, zwłaszcza gdy Marian dorosła. Oczekiwałam od niego jedynie wierności, chociaż, jak się okazało, nawet tu przeceniłam jego możliwości. A o co Marian prosiła ojca Carli i Leeny? Całymi dniami przesiadywał w spodniach dresowych przed telewizorem i oglądał egzotyczne sporty na dziwnych kanałach, a ona mimo to stawała na głowie, żeby go przy sobie zatrzymać. Kiedy w końcu odszedł, nie oglądał się za siebie – w najlepszym razie widywał się z dziewczynkami raz do roku, a teraz w ogóle nie kontaktuje się z Leeną.

Być może Bee ma rację. Chociaż…

– Obiema rękami podpisuję się pod porządną listą, ale uważam, że źle się do tego zabierasz. Powinnaś przestać myśleć i zacząć działać.

Dopijam kawę i wstaję, zgrzytając krzesłem po podłodze z gołego betonu. Kawiarnia przypomina jaskrawo pomalowany bunkier. Zaczynam się czuć nieswojo.

– Działać? Ale jak? Dokąd idziemy? – pyta Bee, gdy zbieram swoje torby.

– Znaleźć ci mężczyznę innego rodzaju – oznajmiam jej dystyngowanym tonem, wyprowadzając ją z kawiarni.

*

– Biblioteka? – Bee rozgląda się z konsternacją. – Nawet nie wiedziałam, że w Shoreditch jest biblioteka.

– Powinnaś się do niej zapisać – zalecam surowo. – Biblioteki wymierają i to jest straszne.

Bee ma minę skarconego dziecka.

– Dobrze. – Przygląda się najbliższemu regałowi, na którym stoją romanse w miękkiej oprawie. Nagle się ożywia. – Och, wybieram tego. – Pokazuje na mężczyznę z nagim torsem na okładce harlequina.

Biorę ją pod ramię i prowadzę do działu thrillerów i kryminałów. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby znalazła mężczyznę, jeśli będzie się kręcić przy romansach; jedyną osobą w zasięgu wzroku jest podejrzana paniusia, która najwyraźniej na parę minut zwiała mężowi i zamierza jak najlepiej spożytkować ten czas. O, jest: blondyn w koszuli i dżinsach, który przegląda Grishamy. Wygląda mi na dobrego kandydata.

– Co sądzisz? – pytam szeptem, wycofując się za regał z książkami kucharskimi i dając Bee znak, żeby zerknęła.

Wychyla się, by spojrzeć na jasnowłosego mężczyznę.

– Hm. – Przechyla z namysłem głowę. – No, może! Nie, zaraz, te buty… Żeglarskie buty to znak lalusia z Oksfordu albo Cambridge – szepcze ze smutkiem. – Przeczuwam sześciocyfrową pensję i toksyczny kompleks niższości, w który wpędzili go nadopiekuńczy rodzice.

– Daj spokój z uprzedzeniami – upominam ją. – Ufasz mi, Bee?

– Och, czy… ależ tak, ufam.

Poprawiam rękawy.

– Wobec tego idę.

*

– Uważa pan, że kobieta powinna przyjąć nazwisko mężczyzny, kiedy wychodzi za mąż?

– No… hm… w zasadzie uważam, że to jej osobista decyzja, więc…

– A co pan sądzi o pomaganiu w obowiązkach domowych? Dobrze pan sobie radzi z odkurzaczem?

– Wydaje mi się… że mam wprawę. Przepraszam, mogę spytać, do czego…

– Określiłby pan siebie jako romantyka?

– Sądzę, że tak, jeżeli tylko…

– A pana ostatni związek, złociutki? Jak się zakończył?

Młody człowiek gapi się na mnie z lekko rozchylonymi ustami. Patrzę na niego wyczekująco.

– Właściwie… po prostu się odkochała.

– Ojej, jakie to przykre. – Poklepuję go po ramieniu.

– Przepraszam, ale jak to się stało, że… – jąka, zbity z tropu. – Rozmawialiśmy o powieściach Johna Grishama, potem zaczęła pani… zadawać pytania, a teraz te pytania… stały się bardzo osobiste…

Waham się i próbuję sobie przypomnieć, jakiego określenia użył Fitz parę dni temu przy kolacji.

– Jestem skrzydłową! – oznajmiam.

– Jest pani…

– Skrzydłową mojej przyjaciółki Bee. Bee!

Wychodzi zza regału i mnie… ucisza.

– Eileen! Boże, przepraszam bardzo, co za krępująca sytuacja – zwraca się do młodego

człowieka. – Chodźmy już, Eileen, zabrałyśmy już panu dość czasu…

Posyła mu stonowaną wersję swojego rozbrajającego uśmiechu. Blondyn otwiera szerzej oczy, a książka, którą ma w rękach, opada o parę centymetrów, jakby zapomniał, że ma ją trzymać wyżej.

– Nic się nie stało – mamrocze. – Yy…

– Bee, ten młody człowiek chciałby cię zaprosić na kawę do tej przytulnej kawiarenki naprzeciwko – mówię. – Prawda, złociutki?

– Właściwie… – Blondyn oblewa się uroczym rumieńcem. – Owszem, chciałbym.

*

Kiedy wracam do domu, Fitz z poważną miną podnosi się z kanapy.

– Eileen, mam dla ciebie okropną wiadomość.

Przyciskam dłoń do piersi.

– Jaką? Co się stało?

– Nie, nie aż tak złą! Chodzi o Klub Srebrnego Pokolenia Shoreditch.

Martha, Fitz i ja wybraliśmy tę nazwę poprzedniego wieczoru, po dużej lampce wina. Moim zdaniem jest rewelacyjna. Postanowiliśmy też, że nazajutrz rano spróbujemy pójść

pobiegać, a to już nie był rewelacyjny pomysł i szybko go porzuciliśmy ze względu na moje kolana, wysoką ciążę Marthy oraz „ogólną niedyspozycję poranną” Fitza, cokolwiek to znaczy.

– Prawie wszystkim spodobał się pomysł klubu, dostaliśmy też zgodę od właściciela, pod warunkiem że liczba członków nie przekroczy dwudziestu pięciu i niczego nie zniszczą. Ale pewna kobieta spod szóstki nie jest zachwycona – informuje mnie Fitz, pomagając mi zdjąć żakiet. – Twierdzi, że nie zgodzi się na to, żeby wstęp do budynku miało tyle obcych osób.

Marszczę czoło.

– Domyślam się, że z tych samych powodów neutralizuje wszystkie przyjęcia urodzinowe? – mówię.

Fitz prycha.

– Racja. Napiszę do niej maila i wytłumaczę, dlaczego…

Przerywam mu niecierpliwym ruchem ręki.

– Żadnych idiotycznych maili. Pójdę i sama z nią porozmawiam.

Mruga zaskoczony i zastyga z moim żakietem w rękach.

– Okay – rzuca.

Kobiety nie ma jednak w domu. Zastanawiam się, czy nie wsunąć jej listu pod drzwi, ale to rozwiązanie nie byłoby lepsze od maila. Chcę, żeby ta kobieta spojrzała mi prosto w oczy i wyjaśniła, dlaczego właściwie nie chce, aby kilka starszych osób przyszło na zajęcia plastyczne i lunch do pomieszczenia, które wcale nie znajduje się tuż obok jej mieszkania.

Posapując ze złości, wracam korytarzem do mieszkania Leeny. Kiedy siadam przy śniadaniowym blacie, Fitz przysuwa mi jej laptop.

– To poprawi ci nastrój – informuje mnie. – Bez przerwy pika i odbiera nowe wiadomości.

Na ekranie wyświetla się już strona serwisu randkowego. Ostatnio odwiedzam go dość często; przede wszystkim koresponduję z Oldboyem ze Wsi, który naprawdę ma na imię Howard i robi wrażenie przemiłego człowieka. Parę dni temu przeglądałam nasze rozmowy i zdziwiłam się, że wymieniliśmy już całe tomy wiadomości.

OldboyZeWsi pisze: Jak się dzisiaj miewasz, Eileen? U mnie dzień upływa spokojnie. Niewiele się dzieje.

OldboyZeWsi pisze: Ciągle czytam nasze wiadomości i myślę o tobie. Znamy się tak

krótko, a wydaje mi się, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi!
OldboyZeWsi pisze: Mam nadzieję, że nie uznasz tego za tupet! Spotkało mnie wielkie szczęście, że cię tu poznałem. To cudowne, że w taki senny dzień jak dzisiaj mogę przeglądać nasz czat.

Wzdycham. Poczciwy Howard odrobinę przesadza. Nie jestem przyzwyczajona do tego, by mężczyźni tyle mówili o swoich uczuciach. Nie jestem pewna, co o tym sądzić.

Myślę o Letitii, która siedzi zgarbiona przy stoliku między dzwonkami wietrznymi, czekając na dostawę mrożonek, i zastanawiam się, czy Howard czuje się tak samo samotny. To rzeczywiście urocze, że tak docenia czas spędzony na rozmowach ze mną.

EileenCotton79 pisze: Cześć, Howardzie. Przykro mi, że nic się u ciebie nie dzieje. Nie masz sąsiadów, z którymi mógłbyś pogadać?
OldboyZeWsi pisze: Wszyscy są młodzi i trendy! Nie mieliby ochoty ze mną rozmawiać.

Waham się. Czy to będzie zbyt bezceremonialne, jeżeli wspomnę o Klubie Srebrnego Pokolenia Shoreditch?

Do diabła z tym. Czemu nie?

EileenCotton79 pisze: Próbuję zorganizować klub, który może ci się spodobać. Dla siedemdziesięciolatków z mojej okolicy. Na razie są pewne kłopoty z rozpoczęciem działalności, ale może kiedy się rozkręcimy, miałbyś ochotę do nas zajrzeć? Wiem, że mieszkasz w zachodniej części Londynu, mimo to serdecznie zapraszam!

Czekam na odpowiedź znacznie dłużej niż zwykle i robi mi się głupio. Może przeholowałam z tym *serdecznie zapraszam*. W końcu jednak…

OldboyZeWsi pisze: Bardzo chętnie odwiedzę wasz klub! Też tam będziesz?
EileenCotton79 pisze: Oczywiście!
OldboyZeWsi pisze: W takim razie nie mogę się doczekać naszego spotkania :)

Uśmiecham się, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, na ekranie znowu pojawiają się migające kropki.

OldboyZeWsi pisze: Może nawet mógłbym w czymś pomóc. Umiem projektować strony internetowe – robiłem to kiedyś w pracy. Chciałabyś, żebym stworzył stronę twojego klubu?
EileenCotton79 pisze: Interesujący pomysł! Tak, brzmi wspaniale. Musimy jeszcze uzyskać zgodę jednej osoby mieszkającej w budynku, ale niedługo powinniśmy ją zdobyć.
OldboyZeWsi pisze: Już się cieszę, że będę mógł się tym zająć!

Rozpromieniam się. Nagle rozbrzmiewa przenikliwy sygnał ostrzegawczy, na którego dźwięk aż podskakuję.

Twój profil odwiedził nowy użytkownik.

Patrzę w rozterce na powiadomienie, ale po chwili przypominam sobie, że Bee pokazała mi,

jak zachować prowadzoną rozmowę w oddzielnym okienku. Klikam.

Arnold1234. Żadnego zdjęcia profilowego, opisu, nic. To raczej nietypowe w tym serwisie. Z mojego profilu można się dowiedzieć wielu rzeczy, od miejsc, do których najchętniej jeżdżę na wakacje, po ulubione książki.

Podejrzliwie mrużę oczy. Po świecie chodzi mnóstwo Arnoldów. Przecież to nie jest rzadkie imię.

Nie mogę się jednak oprzeć przypuszczeniu…

Klikam na przycisk wiadomości na ekranie.

EileenCotton79 pisze: Dzień dobry, Arnoldzie! Zauważyłam, że oglądałeś moją stronę, i pomyślałam, że cię przywitam.

Wracam do rozmowy z Oldboyem ze Wsi. Łatwo byłoby się pomylić i wysłać wiadomość do niewłaściwego adresata. Nie żebym narzekała, że jestem rozrywana przez mężczyzn, co to, to nie.

OldboyZeWsi pisze: Chyba spędzę wieczór przy jakiejś dobrej książce! Co teraz czytasz?
EileenCotton79 pisze: Jeszcze raz pożeram powieści Agathy Christie. Nigdy mnie nie nudzą!

Tymczasem w drugim okienku:

Arnold1234 pisze: Eileen? Tu Arnold Macintyre, twój sąsiad.

Wiedziałam!!! Co ten stary dureń robi na mojej randkowej stronie? Wciskam MÓJ PROFIL i przebiegam wzrokiem informacje o sobie, jak gdybym czytała je oczami Arnolda. Skręcam się z zażenowania. Nagle wydają mi się żałośnie nieskromne i niemądre. Jak mogłam przedstawiać się jako „pełna energii poszukiwaczka przygód”?

EileenCotton79 pisze: Co ty tu robisz, Arnoldzie???

Już w momencie wysłania wiadomości żałuję potrójnego znaku zapytania. Nijak się ma do wyniosłego tonu wyższości moralnej, który zwykle staram się przybierać wobec Arnolda.

Arnold1234 pisze: To samo co ty.

Prycham.

EileenCotton79 pisze: Świetnie, ale możesz trzymać się z daleka od mojej strony!
Arnold1234 pisze: Przepraszam, Eileen. Szukałem pomysłów na to, co mam napisać na swojej. Nie bardzo sobie radzę w tych sprawach.

Odrobinę łagodnieję. W ogóle o tym nie pomyślałam.

EileenCotton79 pisze: Mnie pomogła przyjaciółka Leeny. Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc Jacksona?
Arnold1234 pisze: Prosić Jacksona o radę? Pewnie trafiłbym na jakąś lafiryndę, Petunię, Narcyzę czy coś w tym guście.

Parskam śmiechem.

EileenCotton79 pisze: Marzenie ściętej głowy, Arnoldzie Macintyre!

Oj, na chwilę zapomniałam o Howardzie. Marszczę czoło i wracam do właściwej rozmowy. Nie chcę, żeby przeszkadzali mi staruszkowie z Hamleigh.

OldboyZeWsi pisze: Nigdy nie czytałem Agathy Christie, ale skoro polecasz, na pewno się nią zainteresuję. Od której książki powinienem zacząć?

Uśmiecham się, stukając już w klawisze. No, to rozumiem.

17
Leena

Zerkam na zegarek i bębnię palcami w kierownicę. Czekam w mikrobusie, który szkoła od czasu do czasu wypożycza babci, żeby woziła całe towarzystwo na bingo. Obok mnie siedzi Nicola, nowa – i jedyna – klientka, która zdecydowała się korzystać z usług mojej taksówki dla seniorów z Knargill. Musi mieć co najmniej dziewięćdziesiąt pięć lat – nigdy nie widziałam u nikogo tylu zmarszczek – chociaż jej ciemne włosy są tylko nieznacznie przetykane siwizną, a poważne krzaczaste brwi przywodzą na myśl ekscentrycznego profesora. Jak dotąd podczas naszych wspólnych podróży najczęściej wygłasza rozbudowane, choć pozbawione podstaw opinie na temat każdego kierowcy, który mija nas na drodze; jest złośliwa

i nieodparcie zabawna. Poinformowałam już Bee, że mam nową najlepszą przyjaciółkę.

Nicola, poza tym, że jest stara i szalenie krytyczna, czuje się bardzo osamotniona. Kiedy się poznałyśmy, wyznała mi, że nie wiedziała, co to jest samotność, dopóki cztery lata temu nie zmarł jej mąż; teraz przez kilka dni z rzędu, czasem tygodni, nie spotyka żywej duszy. Twierdzi, że niczego nie da się z tym porównać. To coś w rodzaju obłędu.

Od wielu dni starałam się wykombinować powód, by wyciągnąć ją z domu, i w końcu wpadłam na pomysł, gdy mama poprosiła, żebym przyjechała po nią, żeby zabrać ją na bingo. Bingo to idealna okazja! A skoro postanowiłam zaprosić mamę, z którą od roku i dwóch miesięcy nie przeprowadziłam prawdziwej rozmowy, to szczerze mówiąc, im nas będzie więcej, tym lepiej.

– Dlaczego jesteś taka spięta? – pyta Nicola, przyglądając mi się z uwagą.

– Nie jestem spięta.

Nie odpowiada, ale jej milczenie jest wymowne.

– Chodzi o mamę. Ona i ja… między nami nie jest najlepiej. Poza tym się spóźnia. – Znowu patrzę na zegarek. Mama jest na zajęciach jogi

w Tauntingham i poprosiła mnie, żebym po nią przyjechała, co jest zupełnie nie po drodze, ale bardzo staram się nie irytować z tego powodu.

– Pokłóciłyście się, co?

– Tak jakby.

– Nie wiem, o co poszło, ale na pewno to nie jest nic, o co warto się sprzeczać z matką. Życie jest za krótkie.

– Nie pozwoliła mi przekonać siostry, żeby spróbowała terapii antynowotworowej, która prawdopodobnie uratowałaby jej życie. A teraz moja siostra nie żyje.

Nicola milknie na chwilę.

– Aha – mówi. – O rany.

W tym momencie rozsuwają się boczne drzwi i wsiada mama. Z grymasem zauważam, że okno po stronie Nicoli jest szeroko otwarte.

– „Prawdopodobnie uratowałaby jej życie”? – powtarza mama.

Żołądek wywija mi koziołka na dźwięk tonu jej głosu, który drży z wściekłości. Ostatni raz mówiła do mnie w ten sposób, gdy byłam dzieckiem.

– Jakaż to terapia miała „prawdopodobnie uratować jej życie”?

– Pokazywałam ci. – Zaciskam dłonie na kierownicy, nie odwracając się do niej. –

Pokazywałam ci badania, dałam ci broszurkę z tego centrum medycznego w Stanach…

– Ach, broszurkę… Tak. Mówisz o terapii, którą odradzali lekarze Carli. O której wszyscy mówili, że nie zadziała i tylko przedłuży jej ból, i…

– Wcale nie wszyscy.

– Przepraszam, wszyscy oprócz jednego amerykańskiego lekarza, który chciał od nas wyciągnąć kilkadziesiąt tysięcy za złudną nadzieję.

Walę ręką w kierownicę i odwracam się, żeby spojrzeć mamie w oczy. Płonie z emocji – rumieniec pokrywa cętkami jej dekolt, pała na policzkach. Ogarnia mnie fala czegoś w rodzaju lęku, bo naprawdę zaczęłyśmy tę rozmowę, bo to się naprawdę dzieje.

– Nadzieję. Szansę. Przez całe moje życie powtarzałaś: „Kobiety z rodziny Cottonów nie dają za wygraną”, a kiedy to było najważniejsze na świecie, pozwoliłaś Carli to zrobić.

Nicola odchrząkuje. Mama i ja spoglądamy na nią zakłopotane, z otwartymi ustami, jak gdyby przerwała nam w pół słowa.

– Dzień dobry – zwraca się do mamy. – Nicola Alderson.

Z obu nas schodzi powietrze, jakby przekłuła balon.

– Och, dzień dobry, przepraszam. – Mama odchyla się na siedzeniu i zapina pasy. – Bardzo przepraszam. To niegrzeczne z naszej strony, że tak… nie powinnyśmy… przepraszam.

Odwracam się w stronę kierownicy. Serce tak mi wali i podchodzi do gardła, że prawie brakuje mi tchu. Mamy jechać po resztę graczy w bingo i jesteśmy już spóźnione; przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam…

…prosto na słupek uliczny.

Kurwa. Wiedziałam, że ten słupek tam stoi, zapamiętałam go, gdy parkowałam; pomyślałam wtedy: kiedy będziesz ruszać, nie zapomnij o słupku, który masz poza linią wzroku.

Kurwa jego mać.

Wyskakuję z mikrobusu i krzywię się, zasłaniając dłońmi twarz. Maska po prawej jest paskudnie wgnieciona.

– O nie. – Mama wysiada z samochodu i z rozmachem zasuwa za sobą drzwi. – Mam już dość przerywania w połowie naszych rozmów. Przepraszam, Nicola, ale jeszcze nie skończyłyśmy.

– Nie szkodzi! – woła Nicola. – Zamknę okno, dobrze?

– Jak śmiesz twierdzić, że przestałam walczyć o własną córkę? – wyrzuca z siebie mama, zaciskając dłonie w pięści.

Moją uwagę ciągle zaprząta wgnieciona maska.

– Mamo, teraz…

– Nie byłaś przy niej na co dzień. – Głos mamy przybiera na sile. – Nie widziałaś, w jakim stanie trafiała do szpitala, nie widziałaś jej ciągłych strasznych, bolesnych wymiotów, nie widziałaś jej, gdy była za słaba, żeby iść do toalety. Kiedy ją odwiedzałaś, udawała, że wszystko gra. Nigdy jej nie widziałaś w tych najgorszych momentach!

Na chwilę zapiera mi dech.

– Chciałam przyjeżdżać częściej. – Oczy mnie pieką, zaraz się rozpłaczę. – Wiesz, że Carla prosiła mnie, żebym nie zostawiała pracy, a ja… ja nie mogłam być tu cały czas, mamo, przecież wiesz.

– Ale ja byłam tu cały czas. Widziałam to. Czułam to samo co ona. Jestem jej matką.

Jej oczy zwężają się groźnie jak u kota. Nie pozwala mi się odezwać. Słowa płyną niepowstrzymanym strumieniem, ostry głos brzmi coraz donośniej i w ogóle nie przypomina głosu mojej mamy.

– Dlatego nas zostawiłaś i wyrzuciłaś ze swojego życia? Żeby mnie ukarać, bo myślałaś, że za mało się starałam dla Carli? W takim razie coś ci powiem, Leena. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam, żeby twój amerykański lekarz miał rację. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Kiedy Carla odeszła, w każdej minucie zastanawiałam się, po co w ogóle żyję, i gdybym wierzyła, że istnieje jakiś sposób uratowania mojej córeczki, na pewno bym go wykorzystała. – Jej policzki są mokre od łez. – Ale to by jej nie pomogło, dobrze o tym wiesz.

– Mogłoby pomóc. – Przyciskam dłonie do twarzy. – Mogłoby.

– Jak wtedy wyglądałoby życie Carli? To była jej decyzja.

– Naprawdę? W takim razie ona też się myliła! – krzyczę. Opuszczam ręce i potrząsam zaciśniętymi pięściami. – Wkurza mnie to, że przestała walczyć. Wkurza mnie, że ty przestałaś o nią walczyć. Poza tym jakie masz prawo mówić, że was zostawiłam? Jakie masz prawo mówić, że się odcięłam? – Od emocji i furii gotuje mi się w brzuchu, tym razem jednak nie zamierzam ich tłumić. – Cholera, przecież rozsypałaś się w drobny mak. To ja wzięłam się w garść, załatwiałam sprawy pogrzebu i zajęłam

się papierami, a ty kompletnie się rozkleiłaś! Dlatego nie opowiadaj, że cię zostawiłam. Gdzieś ty była, kiedy straciłam siostrę? Gdzieś ty, kurwa, była?

Mama cofa się o pół kroku. Wydzieram się na całe gardło. Nigdy w życiu na nikogo tak się wrzeszczałam.

– Leena…

– Nie. – Rękawem ocieram twarz i szarpnięciem otwieram drzwi od strony kierowcy. – Już skończyłam.

– Nie jesteś teraz w stanie prowadzić – zauważa Nicola.

Drżącymi palcami przekręcam kluczyk. Silnik najpierw rzęzi i ryczy, po czym zaczyna pracować. Siedzę wpatrzona w drogę, czując, że nad niczym nie panuję.

Nicola otwiera drzwi po swojej stronie.

Patrzę na nią.

– Co robisz? – Głos mam ochrypły od płaczu.

– Nie ma mowy, żebyś mnie dokądkolwiek woziła – odpowiada.

Wobec tego też otwieram drzwi, bo Nicola nie potrafi wysiąść z samochodu bez pomocy. Mama wciąż stoi tam, gdzie ją zostawiłam, z rękami skrzyżowanymi na piersi i palcami przyciśniętymi do żeber. Przez chwilę mam

ochotę podbiec do niej, żeby pogładziła mnie po włosach, jak dawniej, gdy byłam mała.

Odwracam się jednak i pomagam Nicoli wygramolić się z mikrobusu. Czuję się fizycznie wyczerpana, jakbym spędziła wiele godzin na siłowni. Stoimy we trzy na drodze, a mama i ja błądzimy wzrokiem tu i tam – wszędzie, byle nie patrzeć na siebie. Wokół nas świszczy wiatr.

– No i dobrze – odzywa się Nicola. – To co?

Znowu zapada cisza.

– Nic? – pyta Nicola. – Nikt nic nie powie?

Wydaje mi się, że wyduszenie choćby jednego słowa przerasta moje możliwości. Wpatruję się w asfalt, włosy rysują mi mokre ślady na policzkach.

– Nie wiem nic o waszej rodzinie – mówi Nicola – ale wiem, że zaraz lunie jak z cebra, a my będziemy musiały sterczeć jak sieroty na środku drogi, dopóki Leena nie uspokoi się na tyle, żeby siąść za kierownicę, więc im szybciej załatwimy tę sprawę, tym lepiej.

– Jestem spokojna – rzucam. – Jestem spokojna.

Nicola mierzy mnie sceptycznym spojrzeniem.

– Trzęsiesz się jak osika i masz na brodzie rozmazany tusz do rzęs – zauważa.

Mama rusza się z miejsca i wyciąga rękę.

– Daj kluczyki. Ja poprowadzę.

– Nie jesteś ubezpieczona. – Wkurza mnie własny głos: załamuje się i ledwo go słychać.

W chwili gdy mama robi krok w naszą stronę, zza zakrętu wyłania się autobus, który zmierza w naszym kierunku.

– W takim razie zadzwonię i wykupię polisę – mówi mama.

– Nie wiem, czy wolę, żebyś ty mnie wiozła. – Nicola mierzy ją wzrokiem.

– Autobus – mówię.

– Hm? – Staruszka odwraca się do mnie.

Pokazuję na drogę i macham ręką, a po chwili obiema rękami.

– Jasny gwint – mówi kobieta za kierownicą autobusu, gdy zatrzymuje się obok nas. – Co tu się stało? Nic paniom nie jest? Miałyście kraksę?

– Tylko w sensie symbolicznym, kochana – wyjaśnia Nicola, wsiadając do autobusu. – A pani ma spokojną głowę? Nie będzie pani beczeć?

– Hm… dzięki, chyba dobrze się czuję.

– To dobrze, dobrze. W takim razie wsiadajcie, moje panie. I w drogę.

*

Mama i ja trafiamy na miejsca po przeciwnych stronach przejścia; obie patrzymy prosto przed siebie. Kiedy sadowię się w fotelu, łzy z wolna przestają płynąć. Wytarcie nosa znacznie poprawia mi samopoczucie, jakby dmuchanie w chusteczkę stanowiło oficjalne zakończenie płaczu, i gdy krętą drogą zmierzamy do Hamleigh, opada ze mnie to przerażające wrażenie, że nie panuję nad sobą, a wraz z nim słabnie ucisk w żebrach i pulsowanie w gardle.

Nie jestem pewna, co się właściwie stało, ale nie mam zbyt wiele czasu na rozmyślania – dzięki uprzejmości kobiety za kierownicą autobus nieco zbacza ze swojej stałej trasy, aby wysadzić nas we wsi, mimo to jesteśmy spóźnione.

Bywalcy salonu bingo zebrali się na rogu Peewit Street i Middling Lane, przed wiejskim sklepem; parę minut temu zaczęło padać i większość z nich ledwie widać zza ogromnych płaszczów i peleryn przeciwdeszczowych.

– Co teraz zrobimy? – pyta Nicola, kiedy zbliżamy się do gromadki graczy. – Nie mamy mikrobusu, żeby ich zabrać na bingo. Mam im powiedzieć, że wyjazd odwołany?

– Słucham? – Ocieram twarz. – Nic nie jest odwołane. Wystarczy tylko odrobina

innowacyjnego myślenia.

– Na pewno czujesz się…? – Widząc moją minę, mama nie kończy pytania. – Dobrze. Czego potrzebujesz?

– Flamastrów – zaczynam wyliczać. – Krzeseł. I chusteczki do demakijażu, żeby zetrzeć ten tusz z brody.

*

– Dwadzieścia siedem! Dwa i siedem! Trzydzieści jeden! Trzy i jeden, czyli trzydzieści jeden!

Od krzyku i wcześniejszego płaczu mam zdarte gardło. Dzięki Bogu, babcia ma drukarkę – wprawdzie urządzenie z mozołem klekotało przez pół godziny, ale w końcu udało mu się wyprodukować piętnaście plansz do bingo. W trakcie drukowania zniknęła moja matka (i chyba dobrze się stało), ale reszta fanów bingo z Hamleigh zajmuje wszystkie krzesła, jakie ma w domu babcia, plus trzy pożyczone od Arnolda. Gracze z początku trochę narzekali, potem jednak niechętnie przyznali, że są pod wrażeniem sprawnej organizacji, a kiedy podgrzałam kilka gotowych zestawów przekąsek, które babcia miała w zamrażarce, i rozdałam

parę butelek cydru, nastroje w pokoju znacznie się poprawiły.

Przemeblowaliśmy nieco salon, żebym mogła stanąć na środku, gdzie jest telewizor, tak by wszyscy mnie widzieli. Teoretycznie mieli mnie też słyszeć, ale z tym są pewne kłopoty.

– Hę?! – woła Roland. – To było czterdzieści siedem?

– Trzydzieści jeden! – odkrzykuje Penelope.

– Czterdzieści jeden?

– Trzydzieści jeden! – grzmi Penelope.

– Może Penelope powinna usiąść obok Rolanda? – proponuję. – Wtedy będzie mogła mu powtarzać, co powiedziałam.

– W salonie bingo nie mielibyśmy takiego problemu – zauważa półgębkiem Betsy.

– W salonie bingo nie mają takiego dobrego cydru – mówi Roland, pociągając ochoczo łyk z butelki.

– A te małe sajgonki są wyborne – wtóruje mu Penelope.

Powstrzymuję uśmiech i z powrotem skupiam się na generatorze losowych liczb w telefonie Kathleen. Mój – wcześniej telefon babci – ma zbyt elementarne funkcje, by nadawał się do tak zaawansowanych zadań, ale uratowała mnie Kathleen, pożyczając mi swój smartfon.

– Czterdzieści siedem! – krzyczę. – Czyli cztery i siedem!

– Chyba mówiłaś już czterdzieści siedem! – woła Roland. – Nie mówiła już czterdzieści siedem?

– Mówiła trzydzieści jeden! – wrzeszczy do niego Penelope.

– Trzydzieści dziewięć?

– Trzydzieści trzy – odzywa się inny głos. To Nicola, która siedzi za Rolandem. Dostrzegam jej złośliwe spojrzenie i przewracam oczami.

„Nie pomagasz”, mówię do niej bezgłośnie, na co bez cienia skruchy wzrusza ramionami.

– Czy ktoś powiedział trzydzieści trzy? – pyta Roland.

– Trzydzieści jeden! – krzyczy radośnie Penelope.

– Czterdzieści…

– Och, do wszystkich diabłów, ustaw sobie lepiej ten cholerny aparat słuchowy! – ryczy Basil.

Na moment zapada pełna grozy cisza, a potem wybucha kakofonia oburzonych głosów. Przecieram piekące od płaczu oczy. Nagle rozlega się dzwonek do drzwi. Wzdrygam się, bo wiem, kto to będzie.

Doszłam do wniosku, że nie mogę powiedzieć Jacksonowi przez telefon, że szkolny mikrobus, który uprzejmie zgodził się wypożyczyć, stoi porzucony z wgniecioną maską na obrzeżach Tauntingham. O takim zdarzeniu powinnam go poinformować osobiście.

Biegnę do drzwi, co nie jest łatwym zadaniem, jeżeli trzeba pokonać tor przeszkód złożony z krzeseł i lasek.

Jackson ma niedbale nałożoną szarą czapkę beanie, która zakrywa mu pół lewego ucha, a koszula pod kurtką jest tak wymięta, jakby celowo zaprasował wszystkie zagniecenia. Kiedy otwieram mu drzwi, wita mnie uśmiechem.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Hm… – bąkam. – Może wejdziesz?

Posłusznie przestępuje próg, a potem przystaje w korytarzu i przechyla głowę, nasłuchując dobiegającego z salonu gwaru. Patrzy na mnie pytającym wzrokiem.

– Zmiana planów wyjazdu na bingo – wyjaśniam. Nie wiem, gdzie podziać oczy. – Właśnie… o tym muszę z tobą porozmawiać. Zdarzył się mały wypadek. Z udziałem mikrobusu. Który pozwoliłeś mi pożyczyć.

Jackson przetrawia moje słowa.

– W jakim stanie jest wóz?

– Oczywiście zapłacę za wszystko, jeżeli ubezpieczenie tego nie pokryje. Gdy tylko towarzystwo stąd wyjdzie, pójdę po samochód i odstawię do ciebie albo prosto do warsztatu, albo gdzie będziesz chciał. Wiem, że w ten weekend mam przyjść pomóc ci odmalować klasę, ale jeżeli mogę jeszcze w jakiś sposób zrekompensować ci to… to spustoszenie, które sieję w twoim życiu, czegokolwiek bym się tknęła, to…

Milknę. Ma rozbawioną minę.

– Nic się nie stało.

– Naprawdę?

Zdejmuje czapkę i przejeżdża dłonią po włosach.

– No, może nie całkiem nic, ale gdybym nawet próbował cię zrugać, nie potraktowałbym cię aż tak surowo, jak ty sama siebie, więc to popsułoby mi całą przyjemność.

– Och, przepraszam – zaczynam, ale wybucham śmiechem. – Nie, nie przepraszam. Ale dzięki. Za to, że się nie wściekasz, chociaż masz powody. To był parszywy dzień.

– A teraz masz w salonie graczy bingo.

– Tak. Parszywy dzień, który ma bardzo dziwny ciąg dalszy. Chcesz się przyłączyć? –

proponuję. – Jest cydr. I małe przekąski w cieście, które wygląda jak karton.

– Cydr? – dziwi się Jackson. – Nie miód?

– Co?

W jednym policzku Jacksona pojawia się dołeczek.

– Po prostu nie zdziwiłbym się, gdybyś skorzystała z tej okazji i lansowała uroki wieczoru w stylu średniowiecznym.

– W życiu nie zniżyłabym się do czegoś takiego! – wykrzykuję.

– W takim razie co to jest? – Wskazuje na stos próbek na stoliku.

Kurczę.

– Eee…

Bierze kilka kwadratów tkaniny. Pokazywałam je Penelope, kiedy smażyły się sajgonki. Są fantastyczne; wyglądają, jakby pochodziły prosto z zamku Winterfell. Ta, którą właśnie trzyma Jackson, ma śliczny złoty kolor i wzór smoka w herbie.

– Zastanawiam się nad… zmianą wystroju – tłumaczę, prowadząc go do salonu.

– Chcesz zmieniać wystrój w domu babci? Na smoki?

– Znasz ją! – odpowiadam. – Uwielbia mitologię!

Wygląda na rozbawionego, ale oddaje mi próbkę. Wchodzimy razem do salonu; przystaje w drzwiach i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przygląda się zamieszaniu.

– Sądzisz, że moja babcia dostałaby ataku, gdyby wiedziała, jakiego bałaganu narobiłam w salonie? – pytam. – O tym myślisz?

– Szczerze mówiąc… – uśmiecha się lekko – myślałem o tym, jak bardzo pasowałoby to do Eileen Cotton.

*

Mam wrażenie, że ledwie wyrzuciłam z domu babci Straż Sąsiedzką, a już na drugi dzień spotykam wszystkich w sali komunalnej. To nasze drugie zebranie komitetu organizacyjnego majówki. Bardzo ważne.

Przygotowałam ulotki. Przyniosłam próbki prażonych orzechów w miodzie, owoców w cukrze i pieczonych mięs. Przedstawiłam profil demograficzny grupy docelowej, do jakiej skierowany będzie majowy festyn, i szczegółowo wyjaśniłam, dlaczego motyw średniowiecza jest idealny dla uczestników imprezy.

– Kto jest za pomysłem Leeny? – pyta Betsy.

Nie unosi się ani jedna ręka.

– Przykro mi, kochana – odzywa się Penelope. – Ale Jackson zna się na tym lepiej.

Jackson ma na tyle przyzwoitości, by zrobić nieco zmieszaną minę. Nie przyniósł żadnych ulotek. Nie przyniósł nawet próbek jedzenia. Po prostu wstał, jak zwykle uroczy i seksowny w swoim niedbałym stroju, i powiedział coś o zbijaniu kokosów, kapeluszach przeciwsłonecznych i gry w rzucanie obręczy na ananasy. A potem wytoczył najcięższe działo: „Samantha bardzo chce przebrać się za mandarynkę”.

O, chwileczkę…

Jest jedna ręka w górze! Jedna ręka!

W drzwiach stoi Arnold z podniesioną ręką.

– Głosuję za pomysłem Leeny – oznajmia. – Przepraszam, synu, ale u niej są pokazy sokolnicze.

Posyłam mu promienny uśmiech. Jackson, jak to on, wydaje się wszystkim rozbawiony. Co musiałoby się zdarzyć, żeby wytrącić tego faceta z równowagi?

– Nie wiedziałam, Arnoldzie, że jesteś członkiem komitetu organizacyjnego majówki – odzywa się Betsy.

– Już jestem – stwierdza spokojnie Arnold, po czym wkracza do sali i wysuwa sobie krzesło.

– Mimo to motyw zaproponowany przez Jacksona popiera znakomita większość – mówi Betsy. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– W porządku. – Silę się na uprzejmy ton. – Zgoda. Czyli będzie festyn tropikalny.

Oczywiście boli mnie porażka. Chciałam wygrać. Ale samo zbieranie wszystkich tych informacji było dla mnie przyjemnością, jakiej dawno nic mi nie sprawiło, i przynajmniej udało mi się przeciągnąć na swoją stronę Arnolda – który w dodatku pojawił się na zebraniu komitetu. Ciekawe, co powie babcia na wiadomość, że wiejski pustelnik postanowił zaangażować się w miejscowe sprawy dla wspólnego dobra.

„Dzięki”, mówię bezgłośnie do Arnolda, gdy zebranie przechodzi do następnego punktu, a on odpowiada mi krótkim uśmiechem. Kiedy Basil zaczyna ględzić o wiewiórkach, przesiadam się na krzesło obok Arnolda, ignorując minę Rolanda, który jest wyraźnie skonsternowany złamaniem ustalonego planu miejsc.

– Co cię opętało, żeby tu przyjść? – pytam cicho.

Arnold wzrusza ramionami.

– Miałem ochotę spróbować czegoś nowego.

– Otwierasz nowy rozdział w życiu! – szepczę. – Prawda, Arnoldzie?

Wyjmuje kieszonkowe wydanie *Morderstwa w Orient Expressie*. Betsy patrzy na niego ze zgrozą, gdy rozsiada się wygodnie i otwiera książkę, mimo że Basil jest jeszcze w trakcie swojej tyrady.

– Nie masz się co podniecać – zwraca się do mnie Arnold, nie zważając na wzrok pozostałych członków komitetu. – Przyszedłem przede wszystkim na ciastka.

Mniejsza z tym. Arnold to w zasadzie Shrek: gburowaty zielony ogr, który zapomniał, jak być miłym dla ludzi. A ja zamierzam być jego Osłem. W tym tygodniu znowu zaprosiłam go na herbatę i tym razem zapowiedział, że przyjdzie, więc odnotowałam zdecydowany postęp.

Jeśli Gburowaty Arnold może przyjść na zebranie komitetu, wszystko jest możliwe. Gdy spotkanie dobiega końca, patrzę, jak Betsy podchodzi do wieszaka z ubraniami, poprawiając apaszkę na szyi. Nasza znajomość źle się zaczęła. I co z tego? Przecież nigdy nie jest za późno, żeby coś zmienić – sama mówiłam to Arnoldowi.

Zbliżam się do niej z uniesioną brodą i razem wychodzimy z sali.

– Jak się miewasz, Betsy? – pytam. – Musisz kiedyś wpaść do mnie na herbatę. Razem z mężem. Bardzo chciałabym go poznać.

Spogląda na mnie nieufnie.

– Cliff nie lubi wychodzić z domu – informuje mnie, wkładając kurtkę.

– Och, przykro mi. Choruje?

– Nie. – Odwraca się ode mnie.

Idę obok niej.

– Wiem, że pewnie brakuje ci rozmów z moją babcią. Mam nadzieję, że gdybyś… gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy albo po prostu chciała pogadać, zwrócisz się do mnie.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Proponujesz mi pomoc?

– Tak.

– A co ty mogłabyś zrobić?

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że cytuje pytanie, które jej zadałam, gdy pierwszy raz mnie odwiedziła.

– Przepraszam – mówię szczerze. – To było niegrzeczne z mojej strony, że tak wtedy do ciebie powiedziałam. Nie jestem przyzwyczajona, żeby ktoś w dobrej wierze proponował mi pomoc, zwłaszcza jeżeli chodzi o śmierć Carli. Ludzie zwykle nie lubią mówić o tym tak otwarcie. Zaskoczyłaś mnie.

Betsy milczy przez chwilę. Idziemy Lower Lane.

– Wiem, że to ty przycisnęłaś radę gminy, żeby załatała te dziury – odzywa się w końcu, wskazując na chodnik przed nami.

– Ach, tak, to nie było nic trudnego. Powinni zrobić to już dawno temu. Zadzwoniłam tylko do paru osób.

– Twoje działanie zostało zauważone w wiosce – oznajmia oschłym tonem, po czym każda idzie w swoją stronę.

18
Eileen

Dopiero za piątym razem udaje mi się przydybać w domu nieżyczliwą kobietę spod szóstki. Bóg jeden wie, dlaczego kręci nosem na to, co ludzie robią w budynku, skoro tak rzadko jest w mieszkaniu.

Fakt, że długo czekałam na to spotkanie, ma swoją dobrą stronę, bo gdy wreszcie staję z nią oko w oko, moje rozdrażnienie zdążyło nieco opaść i nie muszę się bardzo wysilać, by zdobyć się na uprzejmość.

– Dzień dobry – mówię, kiedy otwiera mi drzwi. – Pani na pewno jest Sally.

– Tak? – odpowiada z nutą rozgoryczenia w głosie. Ma na sobie kostium ze spodniami i jest nieumalowana; jej ciemne włosy są ściągnięte w asymetryczny kucyk. – A pani kim jest?

– Eileen Cotton. Mieszkam z Fitzem i Marthą pod trójką.

Sally przygląda mi się zaskoczona.

– Naprawdę?

Odnoszę nieodparte wrażenie, że jej zdaniem nie powinnam tam mieszkać.

– Przyszłam, bo dowiedziałam się, że sprzeciwia się pani naszemu pomysłowi urządzenia klubu w nieużywanej części budynku na parterze. Mogę wejść, żeby o tym z panią porozmawiać?

– Niestety, nie. Jestem bardzo zajęta. – Wyciąga już rękę, by zamknąć drzwi.

– Przepraszam – powstrzymuję ją ostro. – Naprawdę chce mi pani zatrzasnąć drzwi przed nosem?

Waha się z lekko zdziwioną miną. Gdy tak stoi w uchylonych drzwiach, dostrzegam, że zamiast w jeden zamek, są wyposażone aż w trzy.

Łagodnieję.

– Rozumiem pani obawy przed wpuszczaniem nieznajomych osób do budynku. Wiem, że jeśli mieszka się w tym mieście, można się czasem bać. Ale popołudniowe spotkania w naszym klubie będą przeznaczone dla bardzo przyzwoitych starszych pań i panów, a w ich trakcie drzwi wejściowe będą zamknięte, więc

żaden Tom, Dick czy Harry nie będzie mógł się dostać do budynku. Tylko seniorzy.

Sally z trudem przełyka ślinę. Chyba jest młodsza, niż przypuszczałam – ostatnio trudno jest mi ocenić czyjś wiek, poza tym zmyliły mnie jej surowa mina i strój.

– Proszę posłuchać – mówi ożywionym i rzeczowym tonem – nie chodzi o to, że nie podoba mi się ten pomysł. Ale starszy człowiek też może być niebezpieczny. Przecież może się zdarzyć, że ktoś wejdzie, a potem nie wyjdzie ze wszystkimi, tylko zaczai się gdzieś w budynku.

Kiwam głową.

– W takim razie moglibyśmy spisywać nazwiska i liczyć wszystkie wchodzące i wychodzące osoby, żeby nikt nie został. Co pani na to?

Przechyla głowę.

– To… Dziękuję – rzuca oschle. – To wydaje się rozsądne.

Zapada ciężka cisza.

– Czyli zgadza się pani, żeby klub zaczął działać? Czekamy już tylko na pani zgodę.

Drga jej powieka.

– Dobrze. Tak. Zgadzam się, pod warunkiem że będziemy liczyć wchodzących i wychodzących.

– Oczywiście. Tak jak się umówiłyśmy. – Podaję jej rękę. – Miło było cię poznać, Sally.

Miło – to za duże słowo, ale mus to mus.

– Ciebie też, Eileen.

Odmaszerowuję do mieszkania Leeny.

– Z Sally spod szóstki wszystko załatwione – informuję Fitza, mijając go w drodze do swojego pokoju.

Z otwartymi ustami odprowadza mnie wzrokiem.

– Jak ty to robisz? – pyta.

*

Kilka dni później Tod i ja półleżymy obok siebie, wsparci na poduszkach w sypialni jego okazałego domu. Trochę trudniej splatać się z kimś ramionami w czułym uścisku, kiedy obojgu partnerom dokuczają bóle pleców. Co nie znaczy, że ta chwila jest pozbawiona rozkosznej intymności: na ramieniu czuję dotyk ciepłej od naszych igraszek skóry Toda, który troskliwie okrył mnie kołdrą, bo wie, jak marzną mi stopy.

Ta intymność jest wręcz niebezpieczna. Mogłabym się do niej przyzwyczaić.

Rozlega się dzwonek telefonu; nie ruszam się, bo to zawsze ktoś do Toda, zwykle ktoś bardzo

ważny – producent albo agent. Tod sięga na stolik nocny, ale ekran jego telefonu jest ciemny. Zerkam na swój: *Dzwoni Marian*.

Wyciągam po niego rękę.

– Halo?

– Mama? – słyszę głos Marian.

Zaczyna płakać.

– Marian, skarbie, co się stało?

– Przepraszam – rzuca, nie przestając szlochać. – Tak bardzo starałam się nie zakłócać ci spokoju, ale… po prostu… nie mogę…

– Och, skarbie, tak mi przykro. – Wysuwam stopy spod kołdry i próbuję dosięgnąć ubrania. – Nie miałaś chyba…

– Nie, nie, nic z tych rzeczy, mamo. Cały czas dbam o siebie, słowo daję, dobrze się odżywiam, ćwiczę jogę…

Wypuszczam z płuc powietrze. Całe to stanie na jednej nodze i skłony są nie dla mnie, ale joga ogromnie pomaga Marian. To jedyna fanaberia, która pozostała z nią na dłużej, nawet nie na miesiące, ale lata; zaczęła ćwiczyć, kiedy Carla usłyszała diagnozę. Gdy Marian rzuci jogę, będę wiedziała, że jest źle.

– To dobrze, skarbie. W takim razie coś się stało z Leeną?

– W poniedziałek wybuchła między nami straszna awantura na środku ulicy i od tygodnia nie mogę przestać myśleć o tym, że ona… Jest na mnie wściekła, mamo. Nienawidzi mnie. Nie byłam przy niej, kiedy mnie potrzebowała, a teraz… teraz ją straciłam.

– Nie nienawidzi, skarbie, i wcale jej nie straciłaś. Jest wściekła, cierpi i nie potrafi się jeszcze do tego przyznać, ale w końcu się przyzna. Miałam nadzieję, że jeżeli przez ten czas będziecie razem, to wam pomoże, ale…

Gorączkowo przerzucam stertę ubrań, swoich i Toda, zirytowana powolnością własnych ruchów, starając się drugą ręką trzymać przy uchu telefon.

– Jadę do domu – oznajmiam.

– Nie, nie, nie możesz. – Ma zachrypły od płaczu głos. – Nic mi nie jest. To nie jest… jeden z tych… moich razów.

Ale skąd wiadomo, że lada dzień nie dojdzie do następnego z tych „razów”? I jeżeli Leena będzie się na nią wydzierać na środku drogi, kto ochroni Marian i dopilnuje, żeby nic się jej nie stało?

– Wracam i basta. Do zobaczenia niedługo, skarbie. – Rozłączam się, zanim zdąży zaprotestować.

Kiedy się odwracam, Tod patrzy na mnie spod uniesionych brwi.

– Nic nie mów – ostrzegam go.

Jest wyraźnie zbity z tropu.

– Nie miałem zamiaru się wtrącać – mówi.

– Żadnych rozmów o rodzinie – przypominam mu. – Zgodnie z naszą umową. Ustaliliśmy granice.

– Oczywiście. – Tod milknie i obserwuje mnie uważnie, kiedy się ubieram. Żałuję, że nie umiem poruszać się szybciej. – Ale…

Łapię torebkę wiszącą na krześle przy drzwiach.

– Zadzwonię – rzucam przez ramię, zamykając za sobą drzwi.

Przed domem znajduję ławkę i siadam, by chwilę odsapnąć. Tod mieszka w eleganckiej części miasta, w Bloomsbury – jest tu mnóstwo zieleni otoczonej czarnymi żelaznymi ogrodzeniami i drogich samochodów z przyciemnianymi szybami.

Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której członkowie rodziny Cottonów wymyślają sobie głośno na ulicy. Przecież inaczej załatwiamy sprawy między sobą. Jak mogło do tego dojść?

Nigdy nie powinnam zostawiać ich samych. Ten wyjazd do Londynu był przejawem czystego

egoizmu z mojej strony i cieszę się, że Marian przemówiła mi do rozsądku, zanim jej stan i sytuacja w Hamleigh jeszcze się pogorszą.

U moich stóp drepczą gołębie, a ja przetrząsam torebkę w poszukiwaniu terminarza. Na dziś wieczór Rupert i Aurora zaprosili nas do siebie na drinka, by uczcić uzyskanie zgody na założenie Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch. Nie mogę się już z tego wycofać, bo Letitia nie pójdzie do nich beze mnie, a bardzo tego potrzebuje. Wyjadę jutro. I basta. Rano zadzwonię do Leeny.

Bo nie wiem, czy uda mi się nad sobą zapanować, jeżeli teraz do niej zadzwonię.

*

Kiedy Letitia otwiera mi drzwi, od razu widzę, jaka jest zdenerwowana. Garbi się tak, że dotyka uszami ramion, i przyciska brodę do piersi.

– Chodźmy – mówię raźnym tonem. Też nie jestem w nastroju na to spotkanie, ale obiecałyśmy przyjść, a poza tym naprawdę jestem dumna z tego, co organizujemy w tym pomieszczeniu na dole, nawet jeśli nie będę mogła być przy narodzinach Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch.

– Musimy? – pyta smętnie.

– Oczywiście, że musimy! Chodź. Im szybciej przyjdziemy, tym wcześniej będziemy mogły wyjść.

Martha i Fitz też zostali zaproszeni, choć nie wiem, czy Martha może jeszcze chodzić po schodach z tak zaokrągloną sylwetką. Trudno jej już pokonać drogę do biura, więc zwykle lokuje się na kanapie, opierając nogi na stoliku, a laptop niebezpiecznie balansuje na jej brzuchu. Poza tym Yaz się nie odzywa, więc nie wiadomo, kiedy wraca do domu. Schodząc do mieszkania Ruperta i Aurory, zaciskam usta. Chętnie powiedziałabym do słuchu tej Yaz.

– Pani Cotton! – woła Aurora, otwierając nam drzwi. – Jestem pani winna przeprosiny za swoje niegadziwe zachowanie przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Dzień dobry – mówię, gdy bierze mnie w ramiona. Mówi z silnym włoskim akcentem; może „niegadziwe” to jakieś włoskie słowo, chociaż wcale mi tak nie brzmi.

– A to musi być Letitia. – Aurora ujmuje w dłonie jej twarz. – Jakie wspaniałe kolczyki!

Letitia rzuca mi spojrzenie, w którym wyraźnie maluje się panika. Wydaje mi się, że

dotykanie twarzy to dla niej trochę za dużo. Biorę Aurorę pod ramię i lekko pociągam.

– Proszę mi pokazać wasze urocze mieszkanie, dobrze? – proponuję.

– Oczywiście! Pani współlokatorzy już tu są. – Pokazuje w stronę stylowej szarej kanapy, na której usadowiła się już Martha, kładąc nogi na kolanach Fitza. Nagle ogarnia mnie fala czułości, kiedy widzę, jak się przekomarzają. Znam ich krótko. Nie powinnam aż tak się przywiązywać; jeszcze dzisiaj muszę im powiedzieć, że wyjeżdżam.

– To moja ostatnia rzeźba – mówi Aurora, a ja, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem, wydaję stłumiony pisk. To gigantyczny penis z marmuru z marmurową papugą siedzącą na szczycie. Chociaż powinnam raczej powiedzieć, że na… czubku.

Nie mogę się powstrzymać. Zerkam na Letitię.

– Znak z góry – szepczę do niej; jej usta drgają i udaje kaszel, by zamaskować napad chichotu. – Wspaniała – zwracam się do Aurory. – Bardzo… sugestywna.

– Prawda? – odpowiada z entuzjazmem. – Zapraszam do kuchni, przygotuję drinki…

*

– Nie – oznajmia stanowczo Fitz. – Absolutnie nie.

– Jak to „nie”?

– Nie możesz wyjechać!

Celuje we mnie oliwką na wykałaczce. Aurora i Rupert robią świetne koktajle, choć wykałaczki z oliwkami na początku wzbudziły moje podejrzenia. Fitz twierdzi, że są „ironiczne”. Siedząc teraz na kanapie między Marthą a nim, z kieliszkiem martini w dłoni, znowu mam to wrażenie unoszenia się nad podłogą jak postać z reklamy perfum.

– Pani Cotton… Eileen – mówi Fitz. – Zrobiłaś to, co sobie zaplanowałaś?

– No… – zaczynam, ale przerywa mi niecierpliwym gestem.

– Nie zrobiłaś. Klub Srebrnego Pokolenia Shoreditch jest dopiero w powijakach! Nie poznałaś swojego zniewalającego Oldboya ze Wsi! I na pewno nie skończyłaś porządkować mojego życia!

Hm… Nie zdawałam sobie sprawy, że zauważył moje starania.

– Czy Eileen Cotton łatwo się poddają? Bo żadna Eileen Cotton z tych, które poznałem, nie sprawia wrażenia kobiety, która daje za wygraną.

– Nie, tylko nie to – proszę go z uśmiechem. – Muszę jechać, Fitz.

– Dlaczego? – odzywa się Martha.

W innych okolicznościach nie odpowiedziałabym szczerze na takie pytanie. Gdyby na przykład zadała je Betsy albo Penelope. Ale przypominam sobie chwilę, gdy zapłakana Martha przywołała mnie do siebie i wyznała, jak bardzo obawia się narodzin dziecka, i postanawiam powiedzieć jej prawdę.

– Marian mnie potrzebuje. Nie radzi sobie sama, a Leena tylko pogarsza sytuację. – Patrzę na martini. Możliwe, że jestem troszkę wstawiona. To było bardzo niedyskretne. – Kłóci się z matką. Krzyczy na nią na ulicy! Nie tak załatwiamy swoje sprawy.

– A może tak właśnie trzeba – sugeruje łagodnie Martha, kołysząc kieliszkiem z bezalkoholowym koktajlem.

– Aha, na sto procent – przytakuje Fitz. – Musiały oczyścić atmosferę. Problem polega między innymi na tym, że Leena przez ostatni rok dusiła wszystko w sobie. Widziałaś, jak rozmawia z mamą przez telefon? Dwadzieścia sekund gadki szmatki, a później totalna panika w oczach, jak u spłoszonego zająca… – Bardzo przekonująco demonstruje opisaną minę. –

I zaraz kończy, uciekając od tej rozmowy jak marynarz z tonącego statku. – Milknie. – To dobre porównanie? – pyta Marthy.

Jego współlokatorka marszczy nos.

– Leena jest wściekła na Carlę tak samo jak na swoją mamę – oświadcza zdecydowanie Fitz. – Ale najbardziej jest wściekła na siebie, bo czy Leena Cotton trafiła kiedykolwiek na problem, którego nie umiałaby rozwiązać własnym wysiłkiem i… Jak ona to nazywa…? Burzą mózgu.

– To dobrze, że wyrażają własne uczucia – dodaje Martha. – Kłótnia ma czasem działanie katartyczne.

– Ale Marian jest delikatna – protestuję. – I pogrążona w żalu. Czy pomoże jej, kiedy ktoś będzie na nią krzyczał?

– Naprawdę jest taka delikatna? – pyta ostrożnie Martha. – Zawsze robiła na mnie wrażenie bardzo silnej osoby.

Kręcę głową.

– Nie wiesz wszystkiego. W zeszłym roku zdarzały się jej… trudne chwile. Napady. To było straszne. Nie wpuszczała mnie do domu. Pukałam i pukałam, a ona udawała, że jej nie ma. Ostatni raz był najgorszy… Przez wiele dni nie wychodziła. W końcu otworzyłam drzwi własnym kluczem, a ona siedziała na dywanie

i słuchała jednej z tych przeokropnych taśm z jakimś człowiekiem, który plótł jakieś bzdury, że smutek to pryzmat, trzeba wpuścić do swojego życia światło i tak dalej. To brzmiało jak… – Urywam na widok zbolałej miny Marthy. – Co? Co takiego powiedziałam?

– Nie, nie. – Trzyma się za brzuch. – Absolutnie nic.

– Co „absolutnie nic”? – pyta Fitz.

– Ojej – odzywa się Letitia. Milczała tak długo, że wszyscy jesteśmy nieco zaskoczeni; sama wygląda na zdziwioną. Wskazuje na brzuch Marthy. – Czy to był skurcz?

– Nie przejmujcie się – uspokaja nas Martha, oddychając przez nos. – Mam to od południa. To nie są prawdziwe skurcze.

– Nie? – Letitia przygląda się jej badawczo. – Skąd wiesz?

– Bo Yaz jeszcze nie wróciła, a termin mam dopiero za trzy tygodnie.

– No tak. – Fitz unosi brwi i spogląda na mnie. – Ale wydaje mi się, że dziecko niekoniecznie musi znać wasze plany.

– Zna – rzuca przez zaciśnięte zęby Martha. – To tylko… aj, au, au!!!

Łapie dłoń Letitii, którą ma najbliżej, a ta wydaje piskliwy okrzyk.

– Już dobrze. – Martha znowu kładzie głowę na oparciu kanapy. – Dobrze, już przeszło. Na czym stanęliśmy? Aha, tak, Eileen, mówiłaś o napadach swojej córki?

Wszyscy patrzymy na nią.

– Co? – dziwi się. – Już w porządku, powinnam jechać do szpitala dopiero wtedy, kiedy skurcze… kiedy skurcze będą co… – Znowu pochyla się, krzywiąc twarz z bólu. Z jej gardła wyrywa się niepokojący, zwierzęcy jęk. Poznaję ten odgłos.

– Martha, skarbie… to mi wygląda na prawdziwe skurcze – mówię.

– Za wcześnie… – sapie, kiedy skurcz mija. – To jeszcze… nie mogę…

– Martha. – Fitz kładzie dłonie na jej ramionach. – Czasem mówisz, że klient zachowuje się idiotycznie i nie zauważa tego, co ma przed nosem, prawda? Jak ta kobieta, która myślała, że ma na tyle duży salon, żeby zmieścić w nim listwę do wieszania obrazów, pamiętasz?

– Tak? – dyszy Martha.

– Zachowujesz się dokładnie jak ta kobieta – mówi Fitz.

Trzy minuty później jęki bardziej przypominają wrzaski.

– Musimy ją zabrać do szpitala – zwraca się Fitz do Ruperta i Aurory.

Trzeba im przyznać, że nie próbują się wymigać i ochoczo biorą się do roboty. Aurora biega po mieszkaniu, przynosząc wodę i wstukując pytania do Google'a; Rupert, który w młodości był przez pewien czas ratownikiem medycznym, rozpaczliwie recytuje zapamiętane rady na temat porodu, co nie uspokaja Marthy, ale pozostałym trochę poprawia samopoczucie.

– Jaki Martha miała plan, kiedy zacznie rodzić? – pytam Fitza.

– Yaz – mówi z krzywą miną. – Ma samochód, więc miała ją zawieźć do szpitala.

– Ale jej tu nie ma – stwierdzam. – Jaki był alternatywny plan?

Wszyscy kierują na mnie zdziwione spojrzenia.

– Mam motor… – podsuwa Rupert.

– Skuter – prostuje Aurora i jej mąż się dąsa.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – mówi Fitz, masując plecy Marthy, która jęczy oparta o poręcz kanapy. – Kiedy może być Uber?

Rupert sprawdza w telefonie i gwiżdże przez zęby.

– Za dwadzieścia pięć minut.

– Dwadzieścia… Ile?! – krzyczy Martha zupełnie nieswoim głosem. – Przecież to niemożliwe! Zawsze Uber jest najpóźniej po

pięciu minutach! To jest prawo fizyki! Gdzie jest Yaz? Przecież miała tu być!!!

– W Ameryce – informuje ją Letitia. – Co? – dziwi się, gdy gromię ją wzrokiem. – Nie jest?

– Nie odbiera telefonu – informuje mnie półgłosem Fitz. – Będę dalej próbował się dodzwonić.

Martha wydaje ni to jęk, ni to wrzask, po czym kuca. Fitz się wzdryga.

– To nie jest widok dla mnie – rzuca. – Powinienem być na dole, palić cygaro, popijać whisky i spacerować po korytarzu, prawda? Właśnie to robią mężczyźni w takich sytuacjach.

Poklepuję go po ramieniu.

– Ja się tym zajmę. – Ściągam z kanapy poduszkę, kładę na podłodze i klękam na niej obok Marthy. – Fitz, idź i pukaj do wszystkich drzwi. Któryś z sąsiadów musi mieć samochód. Aurora, przynieś parę ręczników. Na wszelki wypadek – uspokajam Marthę, gdy zwraca na mnie przerażony wzrok. – A ty, Rupert… idź zdezynfekować ręce.

*

– Wsiadać, wsiadać! – krzyczy Sally spod szóstki.

Kryzysowa sytuacja staje się wspaniałym doświadczeniem zbliżającym do siebie mieszkańców budynku. Wreszcie mogę stwierdzić, że poznałam wszystkich sąsiadów. Zdumiałam się, gdy z pomocą zaofiarowała się Sally, choć właściwie została do tego zmuszona: tylko ona spośród mieszkańców budynku ma własny środek transportu, a kiedy dotarliśmy do jej mieszkania, we wszystkich korytarzach rozbrzmiewał głos Marthy, która darła się wniebogłosy.

– O Sally wiem tylko tyle, że jest menedżerką w jakimś funduszu hedgingowym i mieszka pod szóstką – mówi zdziwiony Fitz. – Mimo to bez oporów zgadzam się wsiąść do jej ogromnego vana, którym mógłby jeździć seryjny morderca. Czy to jest poczucie wspólnoty, Eileen? Ufaj sąsiadowi swemu i tak dalej? O Matko Przenajświętsza…

Martha zaciska w dłoni jego rękę jak w imadle. Opiera czoło o zagłówek siedzenia przed nią; kiedy odchyla się do tyłu, na tapicerce zauważam ciemną plamę potu. Źle z nią. Dziecko się nie ociąga.

– Jedź! Jedź! Jedź! – krzyczy Sally, chociaż nie wiem, do kogo, bo to ona siedzi za kierownicą. Włącza się do ruchu przy akompaniamencie

klaksonów wzburzonych kierowców. – Nagły wypadek! Z tyłu rodzi się dziecko! – woła przez okno, machając ręką do zirytowanego taksówkarza. – Nie ma czasu na grzeczności!

Grzeczności w rozumieniu Sally to dość szerokie pojęcie, które najwyraźniej obejmuje większość przepisów drogowych. Przejeżdża przez wszystkie czerwone światła, ociera się o czyjeś lusterko boczne, trzy razy wjeżdża na krawężnik i krzyczy na pieszego, że ma czelność wchodzić na przejście w niewłaściwym momencie. To intrygujące, że kobieta, która tak się obawia o bezpieczeństwo we własnym domu, jeździ samochodem jak na autodromie w wesołym miasteczku. Mimo to bardzo się cieszę, że z takim zapałem pospieszyła nam z pomocą. Muszę jednak zgłębić zagadkę, po co kobiecie mieszkającej samotnie w centrum Londynu taki wielki samochód. Mam nadzieję, że Fitz się myli – czułabym się okropnie, gdyby Sally okazała się seryjną morderczynią.

Z zamyślenia wyrywa mnie przeciągły i rozdzierający skowyt Marthy.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – mówię uspokajającym tonem, choć nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. – Za chwileczkę będziesz w szpitalu.

– Yaz… – udaje się wykrztusić Marcie. Żyła nabrzmiewa jej na czole, a dłoń łapie moją rękę w gorączkowym, zwierzęcym uścisku, który może wywołać tylko ból.

– Nie mogę się do niej dodzwonić, skarbie – tłumaczy Fitz. – Pewnie jest na scenie. Ale będę próbował.

– Boże, nie mogę tego zrobić! – zawodzi Martha. – Nie mogę!

– Oczywiście, że możesz – odpowiadam. – Tylko bądź taka miła i nie rób tego, dopóki nie przyjedziemy do szpitala.

19
Leena

To moje piąte podejście do brownie. Wcześniej odkryłam cztery zupełnie różne sposoby zepsucia ciasta: raz je spaliłam, raz nie dopiekłam, raz zapomniałam wyłożyć blachę papierem, a raz nie dodałam mąki (to już było dno).

Tym razem jednak osiągnęłam perfekcję. Wystarczy trochę staranności. I praktyki. Może jeszcze odrobina spokoju; zabrałam się do tego przedsięwzięcia, kiedy jasność myśli przyćmiewały mi tęsknota za Carlą, złość na matkę i niepewność, co wyrabiam z własnym życiem, a brownie być może jest jak koń – wyczuwa twój poziom stresu.

Ale teraz jestem spokojna, mam ciasto i – nareszcie, w końcu, po tylu niewykorzystanych weekendach – przyjeżdża Ethan.

Gdy tylko otwieram mu drzwi, rzuca torby na podłogę i porywa mnie w objęcia.

– Witaj w mojej wiejskiej idylli! – mówię, kiedy mnie puszcza.

– Chyba czuję coś przypalonego… – Na widok mojej miny szybko dodaje: – Ale smakowicie przypalonego! Coś na grillu? Barbecue? To świetne metody pysznego przypalania.

– Upiekłam brownie. Nawet kilka razy. Ale patrz! – Prowadzę go do jadalni babci i z dumą prezentuję talerz idealnych czekoladowych kwadracików na talerzu.

Łapie jeden i odgryza ogromny kęs, a potem przymyka oczy i wzdycha.

– Okay – mówi z pełnymi ustami. – Rzeczywiście przepyszne.

– Tak! Wiedziałam!

– Skromna jak zawsze. – Ethan sięga po ścierkę kuchenną, którą przewiesiłam sobie przez ramię. – No, no, pieczesz ciasta! Królowa domowego ciepełka!

Wyrywam mu ścierkę, żeby go trzepnąć.

– Zamknij się.

– Dlaczego? To mi się podoba. – Wtula twarz w moją szyję. – Jest seksowne. Wiesz, jak uwielbiam, kiedy odstawiasz panią domu z lat pięćdziesiątych.

Rumienię się i odpycham go.

– To był kostium na imprezę w stylu kryminalnym i nikogo nie odstawiałam, a gdyby nawet, to nie dla ciebie!

– Nie? – Na twarzy Ethana pojawia się bezczelny uśmieszek. – Bo wyraźnie pamiętam, że odstawiałaś…

Śmieję się i oganiam przed jego wszędobylskimi rękami, po czym idę do kuchni.

– Chcesz herbaty?

Ethan rusza za mną.

– Czegoś chcę – oznajmia. – Ale nie herbaty.

– Kawy?

– Spróbuj jeszcze raz. – Przyciska się do moich pleców i otacza mnie rękami w pasie.

Odwracam się w jego ramionach.

– Przepraszam cię… czuję się tak mało seksowna. Prawie cały dzień płakałam, a to był taki dziwny tydzień. Odkąd tu wróciłam, mam wrażenie, jakbym…

– Zmieniała się we własną babcię? – odgaduje Ethan z przekornym drgnieniem brwi.

Odsuwam się.

– Co?

– Żartuję!

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Cały dzień pieczesz ciasto, seks cię nie interesuje, chodzisz w prawdziwym fartuchu… – Dostrzega, że w ogóle się nie śmieję. – Daj spokój, Leena, tylko się nabijam! – Bierze mnie za rękę i próbuje okręcić. – Chodźmy gdzieś. Zabierz mnie do baru.

– Tu nie ma żadnego baru – mówię, obracając się niezdarnie.

– Gdzieś musi być bar. Jak się nazywa to miasteczko niedaleko? Divedale?

– Daredale. Ponad godzina drogi stąd. Zresztą pomyślałam, że wieczorem moglibyśmy zajrzeć do Arnolda, sąsiada. Powiedział, że na kolację zrobi jagnięcinę. – Próbuję się uśmiechnąć. – Trochę z niego gbur, ale w głębi serca to poczciwy człowiek.

– Wieczorem powinienem chyba trochę popracować, aniele. – Ethan wypuszcza moją dłoń i podchodzi do lodówki. Wyjmuje piwo.

– Aha. Ale…

Całuje mnie w policzek, sięgając do szuflady po otwieracz.

– Jeżeli chcesz, możesz dorzucić coś od siebie. Przyglądam się teraz możliwościom wykorzystania białych plam w projekcie, o którym mówiłem ci w zeszłym tygodniu. Wiem, jak lubisz wyzwania…

– Szczerze mówiąc, mam w tym momencie wystarczająco dużo wyzwań. – Po chwili robię wielkie oczy, bo Ethan włącza telewizor.

– Millwall gra – wyjaśnia. – Pomyślałem, że mógłby lecieć w tle.

Kiedy proponował wyjście do baru, nie obchodziły go białe plamy w projekcie ani mecz Millwall. Zbywam to milczeniem, przypominając sobie, że pokonał długą drogę, żeby się ze mną zobaczyć, poza tym ma rację: jestem w tym momencie w trudnym miejscu, jakbym… cofnęła się w swoim przeżywaniu smutku. Rozumiem, że to może być dla niego frustrujące.

Mimo to mam wrażenie, że nie bardzo umie wczuć się w klimat wiejskiego ustronia.

Spogląda na mnie z kanapy, dostrzega moją minę i łagodnieje.

– Przepraszam, palant ze mnie. – Wyciąga do mnie ręce. – To wiejskie życie to raczej nie moja bajka, aniele. Daj mi trochę czasu, żebym przyzwyczaił się do ciebie w nowym wydaniu.

– Nie jestem w żadnym nowym wydaniu – odburkuję, podchodzę do kanapy i siadam obok niego. – I nie jestem swoją babcią.

Przyciąga mnie do siebie i przechyla, żebym położyła głowę na jego piersi. To moja bezpieczna przystań. Kiedyś, gdy atakował mnie

lęk i smutek, a Ethana przy mnie nie było, wpadałam w rozpacz – musiałam poczuć uścisk jego ramienia, posłuchać bicia jego serca. To był jedyny ratunek, żebym zachowała spokój i równowagę.

Mięknę w jego objęciach. Całuje mnie w czubek głowy.

– Powiem Arnoldowi, że przyjdziemy na jagnięcinę innym razem – mówię, gdy Ethan przyciąga mnie jeszcze bliżej, dokładnie tam gdzie trzeba.

*

Następnego dnia rano wstaję wcześnie i idę pobiegać, a gdy potem wychodzę spod prysznica, wślizguję się nago do łóżka i przytulam się całym jeszcze wilgotnym ciałem do Ethana. Budzi się wolno, z pomrukiem aprobaty, jego dłoń odnajduje moje biodro, a usta szyję. Jest cudownie, tak jak powinno, a dziwne napięcie, które pojawiło się wczoraj między nami, wydaje się śmieszne – żartujemy sobie z tego, wracając do łóżka z kawą, a gdy opieram głowę na jego piersi, jak zawsze robimy w domu, Ethan przeczesuje palcami moje włosy.

Potem jest bardzo miły i ugodowy; deklaruje się, że pójdzie ze mną na zebranie komitetu organizacyjnego festynu, chociaż zaczyna się o ósmej rano (dlaczego, Betsy?), a ja daję mu wolną rękę (skoro musisz popracować…).

Kiedy wchodzimy razem do sali, wszystkie głowy odwracają się w naszą stronę. Trochę zbity z tropu Ethan mruczy pod nosem „Jezu”, po czym przylepia na twarz swój najlepszy uśmiech dla klientów i rusza przedstawić się po kolei uczestnikom zebrania.

– Dzień dobry, jestem Ethan Coleman – zwraca się do Betsy.

Mówi bardzo głośno i powoli, jakby była głucha; wzdrygam się, widząc jej uniesione w zdumieniu brwi. Ethan powtarza to samo ze wszystkimi seniorami w sali – Penelope nawet trochę się obrusza, a przecież, skoro mieszka z Rolandem, musi być przyzwyczajona do podniesionych głosów. Szlag by to trafił. Powinnam go była poinstruować.

Jackson jak zwykle zjawia się ostatni – wprawdzie się nie spóźnia, ale zawsze wkracza na końcu i nieodmiennie wita go chór pełnych uwielbienia głosów zebranych w sali seniorów. Zerka na Ethana, a ten na jego widok wstaje i wyciąga rękę.

– Ethan Coleman.

– Jackson.

– Miło wiedzieć, że jest tu ktoś, kto jeszcze nie skończył stu lat – mówi Ethan, zniżając głos i posyłając mu porozumiewawczy uśmiech.

Jackson przygląda mu się przez chwilę.

– To dobrzy ludzie.

– Och, jasne! Jasne. Po prostu nie spodziewałem się, że zobaczę tyle babuń. Wyobrażałem sobie chyba, że mieszkają tu sami górnicy i rolnicy, „no sam wisz, jak tamój bywo".

Krzywię się. Naśladując akcent z Yorkshire, Ethan robi minę, jakby próbował udawać głupiego – nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę, ale zauważam, jak oczy Jacksona odrobinę się zwężają.

– Przepraszam, mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Ethan Coleman – powtarza, a widząc obojętną twarz Jacksona, prostuje się jeszcze bardziej. – Chłopak Leeny.

Jackson obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

– Aha. Czyli przyjechałeś w odwiedziny.

– Przyjechałbym wcześniej, ale niełatwo mi się wyrwać z Londynu – mówi Ethan. – Taka praca, ludzie na mnie liczą, w grę wchodzą grube miliony.

Wygłasza to bez cienia ironii w głosie. Rumienię się, wstaję z krzesła i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Usiądźmy już, Ethan.

– Przypomnij mi, czym się zajmujesz, Jackson? – Ethan strąca moją rękę.

– Jestem nauczycielem. U mnie w grę nie wchodzą grube miliony. Tylko przyszłość dzieci.

– Nie wiem, jak wy to robicie. Ja po całym dniu spędzonym z dzieciakami miałbym kompletnie sparaliżowany mózg.

Stoimy pośrodku sali, a członkowie komitetu organizacyjnego patrzą na nas zafrapowani ze swoich krzeseł, jakbyśmy grali przedstawienie w teatrze szekspirowskim. Szarpię Ethana za rękę; znowu strząsa moją dłoń, posyłając mi krzywe spojrzenie.

– Proszę cię, usiądź wreszcie – rzucam ostro.

Ethan przymruża oczy.

– O co chodzi? Właśnie poznaję się z Jacksonem.

– Masz rację, Leena, powinniśmy już zacząć – ucina Jackson i rusza na swoje miejsce.

Dopiero gdy je zajmuje, Ethan pozwala mi się posadzić na krześle. Wbijam wzrok we własne buty, czując, jak serce wali mi ze wstydu.

– No dobrze! – woła Betsy z nieskrywaną radością. – Jak miło! Porozmawiajmy o ogniskach. Leena, jesteś gotowa?

Głęboki wdech.

– Oczywiście. – Wyjmuję z torebki notes i długopis. Próbuję wziąć się w garść. Ethan nie chciał zrobić nic złego; po prostu stał się bardziej bojowy i pozował na macho, bo uznał, że w tym samym pomieszczeniu znajduje się inny facet z osobowością typu A. Wszyscy to zrozumieją, kiedy nad sobą zapanuje. Oczaruje ich innym razem. Jest w porządku. To jeszcze nie katastrofa.

– Jesteś protokolantką?! – dziwi się Ethan.

Znowu płoną mi policzki.

– Tak. To zadanie mojej babci.

Wybucha śmiechem, trochę za głośnym, więc wszyscy spoglądają w naszą stronę.

– Kiedy ostatni raz coś protokołowałaś, Leeno Cotton?

– Jakiś czas temu. – Staram się mówić cicho. Czuję, że z przeciwnej strony kręgu krzeseł przygląda się nam Jackson.

Betsy odchrząkuje znacząco.

– Przepraszam! – mówię. – Jestem gotowa.

Nie zważając na spojrzenia Ethana, zabieram się do protokołowania. Kiedy przy mnie siedzi, zebranie wygląda inaczej – patrzę na nie jego

oczami, jak w sytuacji, gdy ktoś ogląda twój ulubiony serial i nagle uświadamiasz sobie, jaka to kiepska i tandetna produkcja. Widzę, że Jackson obserwuje Ethana nieruchomym i nieprzeniknionym wzrokiem.

Staram się skupić na zebraniu. Betsy tłumaczy „wszystkim nowo przybyłym” (czyli Ethanowi), że Pierwszy Maja to tradycyjne gaelickie święto obchodzone w Hamleigh od pokoleń. Sięga naprawdę daleko w głąb mitologii, próbując nią uzasadnić coś, co w gruncie rzeczy jest po prostu dziwną jarmarczną rozrywką Brytyjczyków, tyle że uprawianą wokół barwnie przystrojonego słupa.

Na zebraniu pada zaskakująco mało konkretów, choć jednym z nich jest zadanie, które złożono na moje barki: mam znaleźć Króla i Królową Maja, co będzie trudne, ponieważ spośród mieszkańców Hamleigh znam tylko osoby obecne na sali, a i one nie darzą mnie sympatią. Nie chcę się jednak sprzeciwiać Betsy, więc będę musiała coś wymyślić.

Pakuję się i zmykam z zebrania zaraz po jego zakończeniu.

– Leena? – słyszę głos Ethana, gdy ruszam do drzwi, unikając zderzenia z doktorem Piotrem, który chce powstrzymać Penelope usiłującą

samodzielnie dźwignąć Rolanda z krzesła. – Leena, zwolnij!

– Coś ty wyrabiał? – syczę, kiedy wychodzimy z sali. Zacina ulewny deszcz, którego krople natychmiast wciskają się za kołnierz.

Ethan przeklina. Nie znosi moczyć włosów w deszczu.

– Boże, co za miejsce – jęczy, patrząc w niebo.

– W Londynie też często pada, wiesz?

– Dlaczego tak się na mnie wkurzasz? – Musi wyciągać nogi, by dotrzymać mi kroku. – Chodzi o to, co mówiłem o ludziach z północy? Daj spokój, Leena, uznałem, że Jackson to typ, który się zna na żartach. Zresztą co cię to obchodzi? Przecież ciągle powtarzasz, że wszyscy są po jego stronie, nie twojej, i że przez niego głupio ci z powodu tego psa…

– To prawda, że strasznie mi głupio z powodu tej historii z psem, ale nie przez niego. To naprawdę poczciwy facet i nigdy nie wykorzystał tego przeciwko mnie. To ty zachowywałeś się okropnie… jak ostatni palant, a ja tak się staram zrobić na tych ludziach dobre wrażenie i…

– Hej! – Ethan szarpie mnie za rękaw, zatrzymując mnie pod wiatą przystanku autobusowego. – Słucham? Zachowuję się okropnie? Jak ostatni palant?

– Miałam na myśli…

– A ja myślę, aniele, że powinnaś raczej być po mojej stronie, nie sądzisz? – Wygląda na urażonego. – Dlaczego tak ci zależy na zdaniu tych ludzi o tobie?

Uchodzi ze mnie para.

– Właściwie nie wiem.

Co ja wyprawiam? Najpierw wydzieram się na mamę, teraz na niego. Muszę wziąć się w garść.

– Przepraszam. – Biorę go za ręce. – Przez kilka ostatnich dni… może nawet tygodni trochę wariuję.

Ethan wzdycha, a potem nachyla się i całuje mnie w nos.

– Chodź. Pójdziemy do domu i wsadzimy cię do wanny, co?

*

Prawie od razu po powrocie z zebrania Ethan musi jechać z powrotem do Londynu – i chyba dobrze się składa: mam przez cały dzień pomagać Jacksonowi w malowaniu sali pierwszoklasistów, w ramach kary za to, że zgubiłam Hanka na spacerze. Miałam nadzieję, że Ethan przyłączy się do nas i pomoże, teraz

jednak wolę nie uczestniczyć w ich następnym spotkaniu, przynajmniej dopóki Ethan nie ochłonie i nie uświadomi sobie, że powinien przeprosić.

Pick-up Jacksona wjeżdża na parking w chwili, gdy wysiadam z Agathy, czyli forda ka, trochę spocona po łaźni, którą zafundowała mi klimatyzacja. Spakowałam za mało zgrzebnych ciuchów, więc mam na sobie czarne dżinsy rurki i pożyczony od babci polar, który moim zdaniem nadaje się do majsterkowania, bo z przodu już ma olbrzymią plamę fioletowej farby – ciekawa rzecz, bo nic w domu babci nie jest pomalowane na fioletowo. Jackson włożył wytarte dżinsy i flanelową koszulę. Wita mnie uśmiechem, stawiając na ziemi puszki z farbą i pędzle, żeby otworzyć drzwi szkoły.

– Cześć. Lepiej radzisz sobie z wałkiem, czy wolisz dłubaninę przy drobiazgach?

– Hm… wolę dłubaninę. – Po tym, co działo się rano, spodziewałam się chłodniejszego powitania; jestem trochę zaskoczona.

Idę za nim, gdy taszczy farbę do klasy. Dziwnie jest oglądać szkołę bez biegających po korytarzach dzieci – można sobie uświadomić, jakie to wszystko jest małe i mizerne, od

plastikowych krzesełek po kolorowy regał do połowy wypełniony sfatygowanymi książkami.

– Jackson – mówię – przepraszam cię za to, że Ethan był taki…

Metodycznie przygotowuje się do pracy, rozkładając niezbędne rzeczy; ręce na chwilę mu nieruchomieją. W popołudniowym słońcu, które wpada przez okno, jego oczy wydają się niezwykle niebieskie. Jest dzisiaj gładko ogolony; na policzkach nie ma śladu po kępkach rudawego zarostu, które zwykle zdobią mu podbródek.

– Próbował być zabawny – ciągnę. – Zazwyczaj się tak nie zachowuje.

Jackson podważa pokrywkę puszki ubrudzonym farbą śrubokrętem.

– Ja też przepraszam – mówi. – Powinienem go przywitać bardziej… sympatycznie.

Przechylam głowę – słuszna uwaga. Nieco uspokojona, sięgam po pędzel. Zaczynamy od ściany w głębi klasy; pracujemy obok siebie. Skóra na przedramieniu Jacksona jest usiana jasnymi piegami, a gdy przechodzi obok mnie, żeby zapalić światło, czuję zapach świeżego, chłodnego powietrza z nutą ziemi, przypominający zapach deszczu.

– Nie podziękowałem ci, że pomogłaś mi z Samanthą, kiedy przyjechała na Wielkanoc – odzywa się wreszcie. – Później buzia się jej nie zamykała, mówiła tylko o tobie.

Uśmiecham się.

– Jest urocza.

– Dla mnie już staje się za bystra. – Jackson robi kwaśną minę. – Zadaje więcej pytań niż cała moja klasa. I ciągle, bez przerwy, myśli… trochę jak ty.

Na moment zastygam w bezruchu, zdziwiona tym stwierdzeniem.

– To nic złego – tłumaczy się. – Po prostu takie mam wrażenie.

– Nie, masz rację. Tyle że nazwałabym to raczej zamartwianiem się niż myśleniem, dlatego wolałabym, żeby Samantha nie przypominała mnie pod tym względem. Mój mózg nie wie, kiedy się wyłączyć. Na pewno może mi przyjść do głowy dwadzieścia najgorszych scenariuszy, zanim ty pomyślisz o jednym.

– Nigdy nie zawracałem sobie głowy najgorszymi scenariuszami – mówi Jackson. Kuca, by zanurzyć wałek w kuwecie; na nadgarstkach ma teraz cętki farby, nowe, jaśniejsze, piegi. – Kiedy stanie się coś złego, trzeba sobie z tym jakoś poradzić. Zwykle to coś,

czego w ogóle nie bierze się pod uwagę, więc po co się martwić?

Boże, ile bym dała za umiejętność takiego myślenia. Za taką zdrową prostotę.

– Po prostu chcę mieć pewność, że postępuję właściwie – odpowiadam. – Martwię się… sama nie wiem, znasz te książki z dzieciństwa, w których można było samemu zdecydować, jaki będzie dalszy ciąg, i w zależności od tego, co się wybrało, przechodziło się do innej strony?

Jackson kiwa głową.

– Pamiętam je.

– No więc ze mną jest tak, że próbuję wybiec do przodu i ustalić najlepsze wyjście.

– W jakim sensie najlepsze?

Waham się przez chwilę.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Najlepsze dla ciebie?

– Nie, nie, po prostu… najlepsze. Jak należy postąpić.

– Hm… ciekawe.

Próbuję zmienić temat na przyjemniejszy.

– Mogę spytać, kto w zeszłym roku był Królem i Królową Maja? Muszę kogoś znaleźć do tej roli i wydaje mi się, że najlepiej zacząć od tego.

Zapada dość długa cisza.

– Ja i Marigold – odzywa się w końcu Jackson.

Upuszczam pędzel.

– Cholera! – Sięgam po mokrą ścierkę i wycieram winylową podłogę; udaje mi się zapobiec katastrofie.

– Wszystko w porządku? – pyta Jackson, kierując wzrok z powrotem na ścianę.

– Tak, nic się nie stało… Ty i Marigold? Twoja eks? – Poniewczasie uświadamiam sobie, że nie powinnam wiedzieć o Marigold, przecież Jackson nic mi o niej nie mówił. Nie wydaje się jednak zdziwiony. Mieszka w Hamleigh: pewnie przyzwyczaił się do tego, że po wsi krążą plotki.

– Zawsze podobał się jej festyn, gdy byliśmy razem. – Jego ręka porusza się miarowo i starannie, ale widzę, jak drgają mu mięśnie szczęki. – Przyjechała specjalnie z tej okazji.

– Z Samanthą?

Wałek zatrzymuje się na moment.

– Aha.

– W tym roku też przyjadą?

– Na to liczę. Mam szczęście, Marigold ma zdjęcia do filmu w Londynie, więc spędza w kraju parę tygodni.

– Świetnie. Cieszę się. – Przygryzam wewnętrzną stronę policzka. – Kiedy kilka dni temu wspomniałam o Marcie, swojej współlokatorce – mówię z wahaniem – nie

miałam na myśli… Wiem, że jest mnóstwo form rodzicielstwa. Przepraszam, że cię zdenerwowałam.

Dolewa farbę do kuwety, a ja czekam, patrząc, jak ostrożnie przechyla puszkę z powrotem, aby ani kropla nie wyciekła na zewnątrz.

– Marigold obiecuje, że wrócą i urządzą się w Londynie… Ale powtarza to od roku. I odwiedziny są coraz rzadsze.

– Przepraszam – powtarzam.

– Nie masz za co. Przecież nie chciałaś zrobić nic złego. Po prostu… wiesz… nie lubisz niczego owijać w bawełnę.

– Hm… w moich ocenach pracownika często pojawia się słowo „bezpośrednia”.

– Tak? – W jego głosie pojawia się weselszy ton. – U mnie „sprawdza się w sytuacjach kryzysowych”. Czyli w służbowym kodzie „za bardzo wyluzowany”.

– A „bezpośrednia” piszą dlatego, że już nie można nazwać kobiety apodyktyczną.

– Wątpię, czy ktoś miałby odwagę nazwać cię apodyktyczną – zauważa Jackson. – Z wyjątkiem Betsy.

Prycham.

– Betsy na pewno mówi o mnie gorsze rzeczy.

– Oni po prostu potrzebują dużo czasu, żeby się do ciebie przyzwyczaić. – Zerka na mnie z ukosa. – A czego się spodziewałaś? Zjechałaś tu w swoich wielkomiejskich bucikach, z głową pełną wielkich pomysłów, jak jakaś znakomitość z Nowego Jorku na amerykańską prowincję, jakbyśmy wszyscy grali w filmie, takim, co to ogląda się je w święta…

– Wcale nie zjechałam jak jakaś znakomitość! A odkąd tu jestem, pożyczam buty babci. Natomiast ty, panie Tutejszy, ze swoim psem nieukiem i wielkim pick-upem, spłoszyłeś mojego chłopaka…

– Spłoszyłem twojego chłopaka?

– Nie. Żartuję. – Nie powinnam tego mówić; Ethanowi na pewno by się to nie spodobało. – Chodzi mi o to, że sam potrafisz być groźny. Wszyscy słuchają cię jak wyroczni. Jesteś nieodparcie miły.

Uśmiecha się coraz szerzej.

– Nieodparcie?

– Nie, chciałam powiedzieć „nieznośnie”.

Nadal się uśmiecha, ale puszcza mimo uszu moją freudowską pomyłkę. Zamieniamy się miejscami, żebym mogła pomalować brzegi po jego stronie.

– Słuchaj – odzywa się po chwili Jackson. – Twój motyw festynu był lepszy niż mój.

– Och, nie… – zaczynam, ale gryzę się w język. – No tak, faktycznie był lepszy.

– Mam wyrzuty sumienia, że tak wyszło. Wiesz, wyciągnąłem asa z rękawa i użyłem córki.

– Zorganizowałeś też beze mnie sekretną prezentację koktajli tropikalnych. I zmusiłeś mnie, żebym przebrała się za zajączka i jak kretynka kicała po wsi.

Jackson parska śmiechem.

– Nie chciałem, żebyś wyglądała jak kretynka. Pomyślałem sobie, że chętnie weźmiesz udział w kultywowaniu ważnej tradycji Hamleigh.

– Chciałeś się na mnie odegrać za to, że udało mi się przeciągnąć doktora Piotra na stronę motywu średniowiecza. Chociaż nie na długo.

W jego oczach dostrzegam nerwowość.

– Mam rację! Wiedziałam! – Zamierzam się na niego pędzlem; robi zaskakująco zwinny unik i wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Nie jestem z tego dumny. – Znowu uchyla się przed ciosem pędzla. – Aj!

Trafiam go w ramię, robiąc mu wielką jasnozieloną plamę. Robi zamach wałkiem, a ja wspinam się na palce i unoszę brew.

– Tylko spróbuj.

Jest znacznie szybszy, niż się spodziewałam. Wałek trafia mnie prosto w nos; piszczę z oburzeniem.

– Nie sądziłam, że będziesz celował w twarz!

Jackson wzrusza ramionami, nie przestając się uśmiechać.

– W takim razie to był perfekcyjny atak.

Unoszę przód bluzy, żeby wytrzeć nos. Kiedy ją opuszczam, widzę, jak odwraca wzrok od mojego gołego brzucha. Robi się trochę głupio; odwracam się do ściany, żeby ochłonąć.

– W każdym razie – mówi Jackson, idąc za moim przykładem – chciałem cię spytać, co byś sądziła o połączeniu obu motywów.

Odwracam się i patrzę na niego zdumiona.

– Festyn tropikalno-średniowieczny? Przecież to kompletny nonsens. Co mielibyśmy zorganizować? Pokazy sokolnicze z papugami? Pojedynki rycerskie na banany?

Jackson ma zamyśloną minę.

– Nie! – rzucam. – To idiotyczny pomysł!

– W porządku – przyznaje mi rację. – A co byś powiedziała na motyw średniowiecza, ale z koktajlami?

Aż mnie skręca. Kurczę. To takie anachroniczne! I dyletanckie!

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Przecież to tylko wiejski festyn. Kto się będzie przejmował szczegółami? Zresztą to jedyny sposób, żeby przekonać Basila. Okazało się, że przepada za mango daiquiri. Poza tym już zamówiliśmy profesjonalnych barmanów.

– Świetnie. Ale musisz stanąć przed całym komitetem organizacyjnym i złożyć deklarację, że w pełni popierasz mój projekt, bo jest znacznie lepszy – mówię, grożąc mu palcem.

– Oprócz tego, że nie ma w nim stoisk z koktajlami.

Wydaję gniewny pomruk. Jackson uśmiecha się, ukazując dołeczki.

– Umowa stoi. – Wyciąga do mnie rękę. Przybijam mu piątkę, czując lepką farbę między naszymi palcami.

– Ale uprzedzam, że będziesz musiał zostać Królem Maja, i postaram się, żebyś miał totalnie idiotyczny kostium. To zemsta za zajęcze uszy.

W odpowiedzi prycha.

– Och, daj spokój, wyznaczyłem cię na zajączka z uprzejmości dla ciebie: to prawie tradycja rodziny Cottonów – informuje mnie Jackson, gdy zaczynamy malować następną ścianę.

Marszczę nos.

– Nie wmówisz mi, że ten strój nosiła moja babcia.

– Babcia nie. Ale nosiły go twoja mama i raz Carla.

– Carla? Serio? Nie wiedziałam.

– Miała wtedy jakieś… siedemnaście lat.

– Opowiedz mi o tym – proszę, zapominając o malowaniu, bo nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie, by posłuchać tej historii o siostrze, zupełnie nowej i zaskakującej, jak gdyby Carla wciąż żyła.

– Przypuszczam, że wrobiła ją w to babcia. Ty byłaś wtedy chyba na uniwersytecie. Ja robiłem kurs nauczycielski i kiedy przyjechałem na święta, spotkałem ją, kiedy chowała jajka. Popatrzyła na mnie morderczym wzrokiem. „Jak piśniesz o tym komuś słowo – zagroziła mi – wszystkim powiem, że palisz papierosy za działkami”.

Śmieję się zachwycona. Jackson fantastycznie naśladuje głos Carli. Kiedy się do mnie uśmiecha, w niebieskich oczach znowu odbijają się promienie słońca.

– Później zaczęła wygłaszać monolog o tym, że to chrześcijaństwo zawłaszczyło pogański rytuał, zresztą wiesz, co Carla myślała o tych sprawach, i nagle zza rogu wyszła Ursula… miała wtedy

chyba sześć lat… więc Carla szybko uciekła, kicając i machając zajęczym ogonkiem. Żeby dziecko uwierzyło, że ona naprawdę jest zajączkiem. Chciała ocalić magię tej chwili. Tak jak ty zrobiłaś dla Samanthy.

Wolno wypuszczam powietrze z płuc, trzymając pędzel w nieruchomej ręce. Kiedy kogoś ci brakuje, łatwo jest zapomnieć, że jest kimś więcej niż osobą, jaką pamiętasz: ma różne twarze, które mogą oglądać tylko inni.

W ciągu ostatnich tygodni mówiłam o swojej siostrze więcej niż przez cały zeszły rok. W Hamleigh ludzie wspominają o Carli bez mrugnięcia okiem; w domu moi przyjaciele jąkali się, wymawiając jej imię, i pilnie mnie obserwowali w obawie, że powiedzą coś nie tak. Zawsze byłam wdzięczna Ethanowi, że gdy jesteśmy z kimś na kolacji, stara się kierować rozmowę na inne tematy – twierdzi, że wie, jaki ból sprawia mi mówienie o siostrze.

Rzeczywiście, sprawia mi to ból, ale nie taki, jak sądziłam. Im więcej o niej mówię, tym bardziej tego chcę, jak gdybym miała w mózgu jakąś tamę, w której pojawiły się szczeliny i zaczęła się przez nie sączyć woda, a im szybciej wycieka, tym bardziej tama chce się przerwać.

20
Eileen

Noc jest długa, jak każda noc spędzona w szpitalnej poczekalni. Przypominają mi się narodziny Marian, narodziny Leeny i Carli. Ale przede wszystkim przypomina mi się dzień, w którym Carla pierwszy raz została przyjęta do szpitala. „Niestety, mam złą wiadomość”, ostrożnie uprzedził lekarz. Marian w panice otworzyła usta, zaciskając dłoń na moim ramieniu, jakby za moment miała upaść. A Leena robiła to co zawsze: z bojowo wysuniętą szczęką zadawała wszystkie pytania. „Jakie mamy możliwości?”, „Porozmawiajmy o tym, co dalej”, „Z całym szacunkiem, panie doktorze, ale wolałabym zasięgnąć opinii innego lekarza na temat wyników tomografii”…

Około pierwszej Fitz nagle sobie przypomina, że jestem stara i być może będę chciała wrócić do

domu i położyć się spać, ale uważam, że byłoby nie w porządku zostawiać tu Marthę. Zasypiam więc na podłodze, przykryta kurtkami i swetrami Ruperta i Fitza. Od dawna nie spałam na podłodze; wszystko mnie boli. Jakby ktoś rozmontował na kawałki moje ciało, a potem wcisnął wszystkie fragmenty z powrotem na miejsce. Pulsuje mi w głowie.

Około południa przychodzi po mnie Fitz. Wciąż drzemię, choć przeniosłam się z podłogi na krzesło. Ma umęczoną, ale uradowaną twarz.

– Jest! – informuje mnie. – Dziewczynka!

Za szybko próbuję wstać i łapię się za głowę.

– Wszystko w porządku, pani C? – Fitz pomaga mi się podnieść.

– Nic mi nie jest. Nie przejmuj się mną. Dodzwoniłeś się do Yaz?

Fitz się uśmiecha.

– Trzymałem telefon, żeby mogła zobaczyć Marthę i dziecko. Jest już w samolocie.

– To dobrze. – Moim zdaniem nie za dobrze, ale cóż na to poradzić. Odnoszę wrażenie, że Yaz jest osobą, której dotychczas ryzyko się opłacało; może dobrze jej zrobi świadomość, że nie zawsze należy zwlekać do ostatniej chwili.

Kiedy skręcamy za róg korytarza, muszę głęboko zaczerpnąć tchu i oprzeć się ręką

o ścianę. Widzę młodą kobietę w łóżku. Ma kręcone włosy i twarz wymizerowaną ze zmęczenia.

– Pani C? – odzywa się Fitz. – Przed chwilą przewieźli tu Marthę.

Odwracam się, czując nadciągającą falę mdłości. To miejsce źle na mnie wpływa.

– Przyjechał ktoś z jej rodziny? – pytam. Głos mi drży.

– Tak – odpowiada z wahaniem Fitz. – Jest przy niej ojciec.

– W takim razie nie jestem jej potrzebna. Chyba będzie lepiej, jeżeli wrócę do domu.

Wygląda, jakby się zastanawiał, czy iść ze mną, ale cieszę się, że mi tego nie proponuje, gdy oddalam się korytarzem. Nie sposób znaleźć wyjścia z tego nieskończonego labiryntu. Wreszcie przeciskam się przez drzwi na zewnątrz i wciągam do płuc haust zanieczyszczonego suchego powietrza.

Dzwonię do Leeny. Ręka dygocze mi tak gwałtownie, że trudno mi znaleźć jej numer w tym przeklętym telefonie, ale to ważne. Poradzę sobie. Muszę tylko… co za cholerstwo… niechże wreszcie… no, w końcu, już dzwonię.

– Cześć, babciu!

Jej głos brzmi pogodniej niż zwykle, niemal radośnie. Wczoraj byłam na nią zła, ale jestem skonana, a od wczoraj tyle się wydarzyło – nie mam siły teraz się z nią kłócić. Zresztą to zgodny z brytyjską tradycją sposób rozwiązywania nieporozumień rodzinnych. Jeżeli zachowujesz się, jak gdyby nic się w ogóle nie stało, w końcu przestajesz udawać, że się nie złościsz, i z biegiem czasu naprawdę przestajesz się złościć.

– Witaj, skarbie – mówię. – Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Martha urodziła. Dziewczynkę. Obie są całe i zdrowe, jest z nią teraz rodzina.

– Och, nie! – Waha się przez moment. – To znaczy… nie o to chodzi, że nie, ale nie zdążyłam! Przecież to miało być dopiero za parę tygodni! Zadzwonię do niej… powinnam przyjechać ją odwiedzić! Zaraz sprawdzę pociągi. – W tle słyszę stukanie klawiatury komputera. Na moment zapada cisza. – Dobrze się czujesz, babciu?

– Tak, tylko trochę mi nieswojo po wizycie w szpitalu. Myślałam o naszej Carli. Niedorzeczne, naprawdę.

– Och, babciu. – Jej głos łagodnieje; stukot klawiszy cichnie.

Na chwilę przymykam oczy, ale zaraz je otwieram, bo nic nie widząc, nie potrafię prosto

ustać na nogach.

– Myślę, że powinnam wrócić do domu, Leena. Głupia jestem, że ciągle tu siedzę.

– Coś ty! Nie bawisz się dobrze?

Potykam się; ruszam w kierunku postoju taksówek przed szpitalem, ale z telefonem przy uchu trudno mi utrzymać równowagę. Drugą ręką szukam ściany, serce mi dudni. Nie znoszę tego uczucia spadania, nawet gdy jest się czego złapać.

– Wszystko dobrze, babciu? – dobiega głos Leeny.

– Tak, skarbie. Oczywiście. Nic mi nie jest.

– Masz trochę drżący głos. Odpocznij, porozmawiamy o tym jutro. Może nawet nie przez telefon, jeżeli przyjadę do Londynu zobaczyć się z Marthą.

Leena wraca do Londynu. Tak. Wszystko wraca na właściwe miejsce, tam gdzie powinno być. Cieszę się. W każdym razie wydaje mi się, że się cieszę. Jestem tak zmęczona, że trudno mi powiedzieć.

*

Po powrocie do mieszkania śpię kilka godzin, a po przebudzeniu czuję się okropnie;

półprzytomna, mam mdłości, jak przy początkach grypy. W telefonie jest wiadomość od Bee, która zaprasza mnie na kolację. *Dzisiaj chyba nie dam rady*, odpisuję, nie wyjaśniam jednak dlaczego, bo znowu zasypiam.

Mniej więcej godzinę później słyszę pukanie do drzwi. Dźwigam się z łóżka. W chwili gdy się prostuję, zaczyna mnie boleć głowa; krzywię się i przyciskam dłoń do czoła. Udaje mi się w końcu dotrzeć do drzwi, choć trwa to tak długo, że nie spodziewam się, by ktoś tam jeszcze stał. Czuję się strasznie stara. Chyba jeszcze nie otrząsnęłam się z tego uczucia, które towarzyszyło mi przy wyjściu ze szpitala.

Na progu stoi Bee, trzymając przed sobą wielką papierową torbę – sądząc po zapachu, jest w niej jedzenie. Mierzę ją zdziwionym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz, Eileen? – pyta z niepokojem.

– Wyglądam okropnie? – Przygładzam włosy najlepiej, jak umiem bez lustra.

– Jesteś blada. – Bierze mnie pod rękę i prowadzi w głąb mieszkania. – Kiedy ostatni raz jadłaś albo piłaś?

Usiłuję sobie przypomnieć.

– Ojej – mówię tylko.

– Usiądź. – Bee wskazuje krzesło, które sprawiła mi Martha, kiedy jej powiedziałam, że bardzo mi niewygodnie na tych śmiesznych stołkach, na których siadają do posiłków. – Przyniosłam pyszności. Kiełbaski i ziemniaki purée z sosem.

– Kiełbaski i purée na wynos? – dziwię się, patrząc na parujące plastikowe pojemniki, które wyjmuje z papierowej torby.

– Uroki zamówień przez Deliveroo – wyjaśnia z uśmiechem, po czym stawia przede mną dużą szklankę wody. – Wypij to. Tylko może nie za szybko. Kiedy Jaime jest niezdrowa, zawsze wymiotuje, jeśli za szybko pije wodę. Dostałam od Leeny wiadomość, że Martha urodziła. Domyśliła się, że zajmowałaś się nią zamiast sobą. I teraz jesteś trochę osłabiona, tak?

Nieco zawstydzona, kiwam głową. Spanie na podłodze i zapominanie o jedzeniu nie było zbyt mądre. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat, nie dwadzieścia dziewięć, i byłoby dobrze, gdybym o tym pamiętała.

– Zaraz doprowadzimy cię do porządku – rzuca Bee. – Jak się czuje Martha? Yaz dała znak życia?

– Martha jest jeszcze w szpitalu, a Yaz już prawie na miejscu. – Moczę usta w wodzie. Nie

zdawałam sobie sprawy, jak bardzo chce mi się pić; gardło mam tak suche, że aż boli. – Podobno wyczarowała dom, który w końcu spodoba się Marcie. Nie kupią go, tylko wynajmą. Jeszcze dzisiaj mają odebrać klucze.

Bee przewraca oczami, wyjmując z szafki talerze.

– Przecież to niepoważne przeprowadzać się tego samego dnia, w którym przynosi się do domu dziecko.

– Wiem – odpowiadam oschle. – Ale Martha jest głucha na argumenty. A właśnie! – Prostuję się na krześle. – Jak twoja randka z panem z biblioteki?

Bee wybucha śmiechem.

– Wystarczy pół szklanki wody i wraca dawna Eileen Cotton. – Przysuwa mi talerz z parującym purée i kiełbaskami. – Zjedz to, a wszystko ci opowiem.

Nabieram widelcem odrobinę ziemniaków, wkładam do ust i patrzę na nią wyczekująco. Bee unosi wzrok z mieszaniną irytacji i czułości, która zazwyczaj maluje się na jej twarzy, kiedy mówi o Jaime.

– Randka była cudowna. – Bierze widelec. – To inteligentny facet, zabawny i… zupełnie nie w moim typie. W pozytywnym sensie – dodaje

szybko, widząc, jak otwieram usta, by coś powiedzieć. – Ale kiedy wspomniałam o Jaime, starał się wyraźnie dać mi do zrozumienia, że raczej nie potrafi dogadywać się z dziećmi. – Wzrusza ramionami. – Chyba możemy się zgodzić, że nie powinnyśmy skreślać z mojej stałej listy punktu „Dzieci nie mogą mu przeszkadzać”.

Jaka szkoda. Zresztą nieważne. Było mało prawdopodobne, że uda mi się to załatwić od ręki.

– Następnym razem powinnaś się porozglądać po jakiejś drogiej winiarni. To moja wskazówka.

Bee zerka na mnie przenikliwie.

– W zeszłym tygodniu obiecywałaś, że sama zabierzesz mnie do winiarni. Czyżbyś myślała o powrocie do domu?

– Leena o tym wspominała, prawda?

– Martwi się o ciebie.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – mówię. Na moment odkładam widelec, żeby kilka razy głęboko odetchnąć; jedzenie nie działa na mnie zbyt dobrze, chociaż na dłuższą metę z pewnością poprawi mi samopoczucie. – I nie powinna się o mnie martwić.

– Dlatego, że ty nie martwisz się o nią? – Bee unosi brwi.

– Oczywiście, że się martwię. Przecież to moja wnuczka.

Bee przeżuwa przez chwilę jedzenie z poważną miną.

– Mogę ci powiedzieć, co mnie martwi? – pyta. – W związku z Leeną?

Przełykam kęs.

– Oczywiście.

– Wydaje mi się, że Ceci coś knuje.

– Ceci? – Przymrużam oczy. To ona wysłała SMS-a pod numer Leeny o projekcie w pracy, który „idzie pełną parą".

– Widziałam ją, jak była na kawie z Ethanem przy Borough Market. On jest konsultantem, a ona asystentką szefowej, pewnie więc kontaktują się służbowo. – Bee dolewa mi wody. – Mimo to chciałabym wiedzieć, czy Ethan wspomniał o tym Leenie.

– Chyba nie sądzisz…

Duszkiem wychyla zawartość swojej szklanki.

– Nie wiem, co sądzę. Ale chodzi mi o to… Czy ty w ogóle ufasz Ethanowi?

– Ani trochę – rzucam, odstawiając szklankę zbyt zamaszyście; woda rozchlapuje się na blat. – Dlaczego ma aż trzy telefony? Co naprawdę robi w czasie tych wyjazdów na ryby? Czemu zawsze ma takie lśniące buty?

Bee posyła mi dziwne spojrzenie.

– Dlatego, że płaci komuś za ich glansowanie – wyjaśnia. – Ale jeżeli chodzi o resztę, zgoda. Owszem, był wsparciem dla Leeny, kiedy zmarła Carla. Spisał się na medal. Tylko że odtąd cały czas jedzie na tej opinii… z tego, co widzę, w ogóle przestał się starać. Dla niej to bardzo ważny moment w życiu, a on po prostu zdezerterował. Kiedy natomiast on ma jakiś kryzys w pracy, kto mu ratuje skórę i pomaga poskładać prezentacje?

Unoszę brwi.

– Chyba nie Leena?

– Zawsze. Parę dni temu podsunął świetny pomysł, jak ugłaskać trudnego klienta, i wszyscy byli zachwyceni. Dopiero po zebraniu zorientowałam się, gdzie wcześniej o tym słyszałam: Leena zasugerowała mi dokładnie taki sam sposób, kiedy pracowałyśmy przy projekcie dla Upgo. To był jej pomysł, nie jego, ale nawet się nie zająknął o jej autorstwie. – Wzdycha. – To wcale jednak nie znaczy, że jest zdolny do zdrady. Być może wręcz przeciwnie. Mam na myśli to, że facet jej nie docenia, chociaż na pewno rozumie, że bez niej miałby w życiu o wiele bardziej pod górkę.

Z moich doświadczeń wynika, że mężczyźni nie rozumują w ten sposób.

– Hm… – Gdy mdłości nieco ustępują, próbuję wmusić w siebie następny kęs.

– Sama nie wiem. Po prostu kiedy zobaczyłam, jak w tej kawiarni Ethan patrzy w oczy Ceci, miałam takie wrażenie…

– Było patrzenie w oczy?

– W najwyższym stopniu – potwierdza Bee.

– Co robimy? – pytam, masując sobie kark, który mnie nagle rozbolał. – Mogłabyś zostać agentką uwodzicielką?

– Chyba oglądałaś z Marthą za dużo kryminałów. – Bee rzuca mi rozbawione spojrzenie. – Nie będę nikogo uwodzić, dziękuję.

– Przecież nie wypada, żebym ja wystąpiła w takiej roli, prawda? – mówię. – No, nie daj się prosić. Ktoś musi.

Bee śmieje się.

– Nie będzie żadnego uwodzenia! – ucina. – Wystarczy, że będę… miała oczy i uszy otwarte.

Szkoda, że nie mogę zostać, by robić to samo. Ethan nie domyśliłby się, gdybym to ja prowadziła dochodzenie. Nigdy nikt nie podejrzewa starszej pani.

– O, świetnie – rzuca wesoło Bee. – Chyba już się lepiej czujesz. Znowu widzę przebiegłą minę.

21
Leena

Szykuję się do wyjazdu do Londynu następnego dnia rano, ale gdy Yaz odbiera telefon Marthy, informuje mnie – najuprzejmiej, jak tylko można – że potrzebują kilku tygodni, żeby się ze wszystkim ogarnąć, zanim będą gotowe przyjmować gości.

– Nawet własnemu ojcu zabroniła zostać u nas na dłużej – dodaje ze skruchą Yaz. – Przepraszam cię, Leena.

– Daj mi telefon! – słyszę w tle głos Marthy.

– Hej! – mówię. Podczas sprzątania kuchni rozmawiałam przez głośnik, ale teraz go wyłączam i przykładam telefon do ucha. Muszę mieć głos Marthy bliżej twarzy, skoro nie mogę jej fizycznie przytulić. – Boże, jak się czujesz? Jak mała Vanessa?

– Doskonale. Wiem, że to banał, ale naprawdę myślę, że czuje się świetnie – zapewnia mnie Martha. – Chociaż karmienie piersią to wcale nie taka sielanka Madonny z Dzieciątkiem, jak się spodziewałam. To boli! Czuję się tak… jakby mnie ogryzała.

Krzywię się.

– Ale położna mówi, że przyjdzie mi pomóc przy przystawianiu jej do piersi, więc szybko zrobimy z tym porządek, prawda, moja śliczna? – Ostatnie słowa są prawdopodobnie skierowane do Vanessy, nie do mnie. – A Yaz znalazła nam fantastyczne mieszkanie w Clapham! Jest niesamowita, prawda? Ale nie o tym ci chciałam powiedzieć, słonko. Chciałam powiedzieć… Och, przepraszam, że cię do nas nie zapraszam. Uwielbiam cię, ale… Yaz właśnie wróciła i…

– Nie przejmuj się. Rozumiem doskonale. Musisz być teraz z Vanessą.

– Racja. Dziękuję, słonko. Ale to też nie to, co chciałam ci powiedzieć. Co ja chciałam powiedzieć, Yaz?

Boże, jakbym słyszała Marthę po pięciu kieliszkach wina i nieprzespanej nocy. Ciekawe, czy to właśnie jest syndrom *baby brain*, o którym tyle się mówi? Mimo to uśmiecham się, bo Martha jest wyraźnie szczęśliwa, euforia ją

dosłownie roznosi. Miło usłyszeć ją i Yaz znowu razem. Zawsze uwielbiałam Yaz – w jej obecności Martha otwiera się jak kwiaty, które pokazują w przyspieszonym tempie w telewizji. Yaz powinna być przy niej częściej.

– Chciałaś jej powiedzieć, żeby nie pozwoliła babci wracać do domu – odzywa się w tle Yaz.

– No właśnie! Leena. Twoja babcia nie może jeszcze wracać do siebie. Świetnie jej robi ten pobyt w Londynie. Przez cały miesiąc widzę ją codziennie i gdybyś zobaczyła tę przemianę… Ona naprawdę rozkwitła. Uśmiecha się dziesięć razy częściej. Raz w zeszłym tygodniu, kiedy weszłam do domu, tańczyła z Fitzem przy *Good Vibrations*.

Wolną ręką łapię się za serce. Obraz babci tańczącej z Fitzem jest niemal tak rozkoszny jak zdjęcie małej Vanessy, które przed chwilą przysłała mi Yaz.

– Wiesz, że spotyka się z aktorem? – ciągnie Martha. – I namówiła nas wszystkich, żeby na parterze budynku urządzić miejsce sąsiedzkich spotkań.

– Poważnie? Tam gdzie stoją te poplamione kanapy? – Po chwili namysłu pytam: – Ten aktor ma na imię Tod? Nic mi nie mówi o swoim życiu intymnym, to irytujące!

– Jesteś jej wnuczką, Leena. Przecież nie będzie ci się zwierzać na bieżąco ze swojego życia seksualnego.

– Seksualnego?! – Przyciskam dłoń do piersi. – Boże, jakie to dziwne. Dziwne…

Martha parska śmiechem.

– Naprawdę bawi się fantastycznie i pracuje nad nowym projektem, klubem dla seniorów z Shoreditch.

– W Shoreditch mieszkają jacyś seniorzy?

– Nie? Kto by przypuszczał? W każdym razie klub dopiero rusza i twoja babcia jest bardzo przejęta. Trzeba jej pozwolić skończyć to, co zaczęła.

Myślę o Basilu, który śmiał się, że z pomysłów babci nic nie wychodzi, i nagle rozpiera mnie ogromna duma. Projekt z klubem zapowiada się fantastycznie. To wspaniałe, że nie porzuciła idei zmieniania świata na lepsze, mimo kilkudziesięciu lat upokorzeń ze strony takich facetów jak Basil i dziadek Wade.

– Zaczęła myśleć o powrocie po rozmowie z twoją mamą – dodaje Martha. – Była mowa o jakiejś kłótni…

– Aha.

– Jeśli jej obiecasz, że wyjaśnisz te nieporozumienia z mamą, na pewno będzie

chciała zostać. Tobie to też dobrze zrobi, słonko. Mam na myśli rozmowę z mamą.

Biorę ścierkę i zajadle poleruję płytę kuchenną.

– Jak rozmawiałam z nią ostatni raz, skończyło się awanturą. – Przygryzam wargę. – Strasznie mi głupio z tego powodu.

– W takim razie mów o tym – radzi łagodnie Martha. – Powiedz o tym mamie.

– Kiedy jest przy mnie, wszystko wraca, wszystkie uczucia, wspomnienia umierającej Carli… To po prostu zwala się na mnie jak jakaś cholerna lawina.

– O tym też jej powiedz. Śmiało. Musicie zacząć rozmawiać.

– Babcia od miesięcy chce, żebym rozmawiała z mamą o tym, co czuję – przyznaję.

– A czy twoja babcia kiedykolwiek się myli? Wszyscy zakochaliśmy się bez pamięci w Eileen, nie wyłączając Fitza – informuje mnie Martha. – Zastanawiam się, czy nie sprawić sobie takiej bransoletki, które nosiło się w latach dziewięćdziesiątych, tylko że na swojej miałabym napis *Co zrobiłaby Eileen Cotton?*, zamiast *Co zrobiłby Jezus?*

*

Po rozmowie z Marthą robię sobie długi spacer; idę trasą, którą czasem biegam. Poruszając się w takim tempie, zauważam znacznie więcej rzeczy. Że jest tyle różnych odmian zieleni. Że tak pięknie zbudowano wszystkie murki, dopasowując kamienie precyzyjnie jak kawałki układanki. Że w spokojnym, obojętnym wyrazie pyska owcy jest coś oskarżycielskiego.

Po dziesięciu kilometrach nieprzyjemnych rozmyślań w końcu dzwonię do mamy z pniaka nad strumieniem: chyba najbardziej zacisznego i idyllicznego miejsca, jakie można sobie wyobrazić. Taka sceneria wydaje się niezbędnym tłem rozmowy, która zapowiada się na wyjątkowo trudną.

– Leena?

– Cześć, mamo.

Gdy budzą się emocje, na moment przymykam oczy. Tym razem jest jednak łatwiej, bo przygotowałam się na nie i trochę mniej mnie przytłaczają.

– Babcia chce wrócić do Hamleigh.

– Leena, bardzo cię przepraszam – odpowiada szybko mama. – Nie prosiłam jej o to, naprawdę. Wczoraj wieczorem wysłałam jej esemesa, że powinna zostać w Londynie, daję słowo. Kiedy do

niej dzwoniłam, miałam po prostu chwilę słabości, więc postanowiła…

– W porządku, mamo. Nie gniewam się.

Zapada cisza.

– No dobrze, gniewam się. – Czubkiem buta kopię kamyk, tak że wpada do strumienia. – Zresztą pewnie się domyśliłaś.

– Powinnyśmy wcześniej o tym spokojnie porozmawiać. Chyba uznałam, że z biegiem czasu zrozumiałaś, ale… ja tylko wspierałam Carlę w decyzji, którą sama podjęła. Wiesz, że gdyby chciała się poddać jeszcze jednej operacji albo przyjąć następną chemię, czy spróbować wszystko jedno czego, tak samo bym ją wspierała. Ale tego nie chciała, skarbie.

Szczypią mnie oczy, to pewny znak, że cisną się do nich łzy. Chyba wiem, że mama mówi prawdę. Tylko że…

– Czasem złość jest łatwiejsza niż smutek – ciągnie, wypowiadając myśl, którą usiłowałam sformułować. To takie mamine, że dokładnie wie, o co mi chodzi. – I przypuszczam, że łatwiej złościć się na mnie niż na Carlę.

– Ona nie żyje – pochlipuję – więc nie mogę na nią nakrzyczeć.

– Naprawdę? – dziwi się mama. – Ja czasem krzyczę.

Zaskoczona, parskam śmiechem przez łzy.

– Chyba poczułaby się trochę urażona tym, że nie chcesz na nią krzyczeć tylko dlatego, że umarła – ciągnie łagodnym tonem mama. – Wiesz, jakie to było dla niej ważne, żeby wszystkich traktować równo.

Znowu się śmieję. Patrzę, jak zaklinowana za kamieniem gałązka drży, poruszana nurtem strumienia, i myślę o dzieciństwie, gdy z małą Carlą i babcią grałam w misie-patysie. Pamiętam, jaka byłam zła, gdy ugrzązł mój patyczek.

– Przepraszam, że zadzwoniłam do twojej babci – odzywa się cicho mama. – Przez moment czułam się bezradna. Czasem mam wrażenie, że jestem… zupełnie sama.

Przełykam ślinę.

– Nie jesteś sama, mamo.

– Jeszcze raz do niej zadzwonię – obiecuje. – Powiem jej, żeby została w Londynie, a ty tutaj. I że nie pozwolę, żeby stało się inaczej.

– Dziękuję.

– Naprawdę chcę, żebyś została, na niczym innym mi bardziej nie zależy. Nie chodziło o to, żebyś… Po prostu potrzebowałam… potrzebowałam swojej matki.

Patrzę na spienioną wodę.

– Tak – mówię. – Tak, świetnie to rozumiem.

22
Eileen

Muszę przyznać, że praca z Fitzem nad przygotowaniem kącika dla Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch ukazuje mi go w zupełnie nowym świetle. Odkąd dostał posadę konsjerża w jakimś luksusowym hotelu, pracuje w dziwnych godzinach, ale gdy tylko jest w domu, maluje coś na dole albo ślęczy nad laptopem, czytając w internecie o zakładaniu organizacji charytatywnych. Zajmuje się całą administracją Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch – przygotował nawet plakaty opatrzone małym logo klubu. Jest cudownie. Od tygodni suszę mu głowę, by w swoich ambicjach zawodowych wykazał się większą proaktywnością, ale mówiąc szczerze, jestem zaskoczona, że potrafi to wszystko zrobić.

– Proszę bardzo! – Odsuwa się od dużego obrazu, który właśnie powiesił na ścianie.

– Cudownie! – chwalę go. – Idealne zwieńczenie dzieła!

Obraz to powiększenie czarno-białej fotografii naszego budynku z lat pięćdziesiątych, kiedy jeszcze działała tu drukarnia. Na zewnątrz stoi grupka ludzi, którzy palą papierosy i rozmawiają, chroniąc się przed wiatrem postawionymi kołnierzami. Zdjęcie przypomina wszystkim, że to nie jest zbiór pojedynczych mieszkań, ale budynek, który ma własną historię.

Z uśmiechem rozglądam się po zaaranżowanej przez nas przestrzeni. Jest pięknie. Naprzeciw wspaniałych okien stoi kanapa w kolorze ciemnej czerwieni, w głębi długi stół jadalniany oraz mnóstwo małych stolików z uroczymi krzesłami z różnych kompletów, czekających na graczy w domino czy remika.

Cieszę się, że zostałam, by móc to zobaczyć. Jeszcze bardziej cieszę się, że zostałam w Londynie, dlatego że Marian mnie o to poprosiła. Kiedy usłyszałam, jak bardzo chce spędzić ten czas z Leeną i tylko z nią… poczułam się tak, jakby ktoś zdjął mi z piersi ogromny ciężar.

Rozlega się dzwonek mojego telefonu. Fitz tropi źródło dźwięku i znajduje telefon na kanapie. *Dzwoni Betsy*. Niech to diabli! Miałam się do niej odezwać. Dotąd dzwoniłam do niej raz w tygodniu – cały ten remont tak mnie zajął, że zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Betsy, właśnie brałam telefon, żeby do ciebie zadzwonić, cóż za zbieg okoliczności! – mówię do słuchawki, krzywiąc się, zdegustowana swoim kłamstwem.

– Witaj, droga Eileen. – Podejrzliwie marszczę brwi. Dobrze znam ten jej ton udawanej wesołości, więc od razu się orientuję, że ma zły dzień. Ogarniają mnie jeszcze większe wyrzuty sumienia, że zapomniałam o telefonie do niej.

– Dobrze się czujesz? – pytam ostrożnie.

– Och, jakoś sobie radzę! Dzwonię, bo dzisiaj do Londynu przyjechał mój wnuczek!

– Wspaniale!

Wnuk Betsy jest wynalazcą i stale wymyśla niedorzeczne i niepotrzebne gadżety, ale to jedyny członek jej rodziny, który utrzymuje z nią stały kontakt, dzięki czemu sporo zyskuje w moich oczach. Skoro Betsy wie, gdzie wnuk jest, oznacza to, że niedawno do niej dzwonił – to dobrze. Powinien teraz do tego samego namówić swoją matkę.

– To ten wnuk, który wynalazł… wynalazł… – Och, po co w ogóle zaczęłam to zdanie?

Betsy postanawia potrzymać mnie przez chwilę w niepewności.

– Nabierak do humusu – oznajmia z godnością. – Tak, mówi, że przyjechał do Londynu na jakieś spotkanie, więc od razu pomyślałam: ojej, co za szczęśliwy zbieg okoliczności, przecież w Londynie jest nasza Eileen! Musicie się spotkać na lunchu.

Zaciskam wargi. Betsy prawdopodobnie zapomniała, że Londyn zajmuje powierzchnię ponad tysiąca pięciuset kilometrów kwadratowych i mieszka w nim osiem milionów ludzi.

– Kazałam mu już zadzwonić i umówić się z tobą. Pomyślałam, że może czujesz się samotna i będzie ci miło, jeżeli będziesz mogła z kimś porozmawiać.

Nie chcę sprawiać jej przykrości i tłumaczyć, że bynajmniej nie dokucza mi samotność. Oczywiście tak było na początku, teraz jednak ani chwili nie spędzam sama, bo jeśli akurat nie spotykam się z Todem, to przygotowuję Klub Srebrnego Pokolenia Shoreditch, plotkuję z Letitią…

– Wiesz, że on też randkuje? – ciągnie Betsy. – Będzie mógł ci udzielić wskazówek w tych sprawach.

Przez chwilę milczę.

– Randkuje?

– Tak! W każdym razie tak to nazywa. Korzysta z tych dziwnych sztuczek w swojej komórce – wyjaśnia Betsy. – Mógłby ci o nich coś powiedzieć.

– Tak – mówię wolno – tak, to świetna myśl. Przypomnij mi… coś o swoim wnuku, Betsy. Był z kimś związany? Jakie ma plany, marzenia? Poglądy polityczne? Jest wysoki?

– Hm… – Wydaje się nieco zaskoczona, ale po chwili dochodzi do głosu serce babci, która nie może się oprzeć takiej okazji.

Mówi przez dwadzieścia pięć minut non stop. Doskonale. Właśnie o takie pogłębione informacje mi chodzi. Jeszcze lepiej, że wnuk wydaje się bardzo obiecujący.

– Jaki cudowny człowiek! Wspaniale, Betsy – wtrącam, gdy w końcu nie może złapać tchu. – I zadzwoni do mnie?

– Tak! – Ze słuchawki dobiega jakiś stłumiony dźwięk. – Muszę kończyć. – W jej głosie pojawia się nuta zdenerwowania. – Niedługo

porozmawiamy, Eileen! Postaraj się wkrótce zadzwonić, dobrze?

– Zadzwonię – obiecuję. – Trzymaj się.

Po zakończeniu rozmowy otwieram WhatsAppa. Dzięki lekcjom u Fitza znacznie sprawniej korzystam z telefonu; mój instruktor z aprobatą patrzy mi przez ramię, jak nawiguję po ekranie. Mam wiadomość od nieznanej osoby. Fitz pokazuje mi, jak ją dodać do listy kontaktów.

Dzień dobry, pani Cotton, tu wnuk Betsy.
Chyba babcia uprzedziła panią o lunchu!
Może w Nopi jutro o pierwszej? Wszystkiego dobrego, Mike.

Najpierw wybieram numer Bee.

Witaj, Bee. Miałabyś jutro czas na lunch?
Nopi, kwadrans po pierwszej?
Ściskam, Eileen xx

*

Mike jest nie tylko bardzo wysoki, ale też na szczęście przystojny, choć nos ma po Betsy – na to jednak nie ma rady. Nosi okulary w grubych

oprawkach, ma lekko kręcone ciemne włosy i jest w szarym garniturze, jakby przyszedł tu prosto ze strasznie ważnego spotkania. Staram się nie ulegać podnieceniu, gdy zasiadamy przy idealnym stoliku: jest na tyle duży, by zmieściła się przy nim jeszcze jedna osoba, i widać z niego ulicę, więc na pewno zobaczę Bee, kiedy… O, już idzie! Doskonale.

– Eileen? – Ze zdziwioną miną zbliża się do stolika.

Patrzy na Mike'a. Odgaduje, co się święci. Przymruża oczy.

– Bee! – witam ją, zanim zacznie się skarżyć. – Mike, chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, umówiłam się dzisiaj na lunch ze swoją przyjaciółką Bee, więc zaproponowałam jej, żeby przyłączyła się do nas.

Mike przyjmuje to ze spokojem człowieka przyzwyczajonego do niespodzianek.

– Dzień dobry, jestem Mike. – Wyciąga rękę.

– Bee – odpowiada Bee swoim najbardziej oschłym, bezbarwnym i odpychającym tonem.

– Czyż to nie cudowne? – mówię. – Mike, może na początek opowiesz Bee o swoim wykształceniu?

Wnuk Betsy ma nieco zakłopotaną minę.

– Najpierw pójdę poprosić o trzecie krzesło. – Wstaje i szarmancko odstępuje Bee swoje miejsce.

– Dziękuję – mówi Bee, a gdy siada, natychmiast syczy do mnie: – Jak ci nie wstyd, Eileen! Podstępem zmusiłaś tego biedaka do randki w ciemno ze mną!

– Och, co ty wygadujesz? Przecież on nie ma nic przeciwko temu – mówię, przeglądając menu.

– Doprawdy? A skąd taki wniosek?

Unoszę wzrok.

– Bo właśnie poprawia włosy przed lustrem w barze. Chce ci się spodobać.

Bee obraca się, po czym przechyla na bok głowę.

– Rzeczywiście ma ładną pupę – przyznaje niechętnie.

– Bee!

– Co? Przecież chciałaś, żeby mi się spodobał, a na razie nie mam innych przesłanek, żeby sobie wyrobić zdanie! O, Mike! – mówi, kiedy chłopak wraca do stolika, prowadząc kelnera z krzesłem. – Bardzo cię przepraszam za kłopot.

– Nie ma za co – odpowiada spokojnie wnuk Betsy. – Serdecznie dziękuję – zwraca się do kelnera. – Jestem wdzięczny, że zadał pan sobie tyle trudu.

– Uprzejmy dla kelnerów – szepczę do Bee. – Bardzo dobry znak.

Mike wygląda na rozbawionego.

– Eileen, masz ogromną przewagę nade mną i Bee – mówi. – Jesteś jedyną osobą przy tym stole, która wie, kim są dwie pozostałe. Może nam zdradzisz, dlaczego chciałaś wyswatać mnie z Bee?

Milczę, trochę zaskoczona.

– Och, hm, no…

Dostrzegam szelmowski uśmiech błąkający się po twarzy Bee. Posyła Mike'owi spojrzenie pełne uznania. Zerkam z ukosa na nich oboje.

– Przez ostatnie kilka lat rzadko ujawniałam swoje zdanie na taki czy inny temat – oznajmiam. – Niedawno uświadomiłam sobie jednak, że czasem lepiej wtrącić swoje trzy grosze, że się tak wyrażę. Dlatego wcale nie czuję się zakłopotana tym, że próbuję was ze sobą skojarzyć. Nie uda się wam mnie zawstydzić, bo, jak zauważyła Bee, ani trochę mi nie wstyd. – Mike otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszam go ruchem ręki. – Nie, daj mi skończyć. Bee robi błyskotliwą karierę w doradztwie biznesowym i w najbliższej przyszłości zamierza otworzyć własną firmę. Mike, ty ostatnio rozpocząłeś działalność związaną z… z nabieraniem humusu. –

Uprzejmym gestem oddaję im głos. – Proszę bardzo, rozmawiajcie.

*

Wracam do domu radosna jak szczygiełek. Od początku do końca przewodniczyłam randce Bee i Mike'a, która okazała się oszałamiającym sukcesem. Wprawdzie przez większość czasu oboje się śmiali – przyznaję, że trochę też ze mnie, ale to nie miało znaczenia. Zawsze bałam się sytuacji, w których ludzie śmieją się ze mnie, gdy jednak wszystko odbywa się na twoich warunkach i sama też się śmiejesz, to może być całkiem zabawne.

Sadowię się przy blacie przed laptopem Leeny. Na stronie serwisu randkowego czekają na mnie trzy nowe wiadomości.

Todzzakulis pisze: Jutro wieczorem u mnie. Czarna koronkowa bielizna. Nalegam.

Oblewam się rumieńcem. Ojej. Zwykle nie znoszę, gdy ktoś mną dyryguje, ale gdy robi to Tod, o dziwo, w ogóle mi to nie przeszkadza. Odchrząkuję, po czym odpisuję.

EileenCotton79 pisze: No, skoro nalegasz…

Uf! O, to powinno mnie uspokoić – wiadomość od Arnolda. Zdaje mi się, że kazałam mu się odchrzanić i przestać zaglądać na mój profil, prawda?

Arnold1234 pisze: Zobaczyłem to
i pomyślałem o tobie…

Klikam na umieszczony pod wiadomością link. Wyświetla się wideo. Kot z apetytem pałaszuje bratki na sporej grządce.

Wybucham śmiechem, zaskakując sama siebie.

EileenCotton79 pisze: To niczego nie dowodzi, Arnoldzie Macintyre!
Arnold1234 pisze: W internecie jest masa takich filmów z kotami. Mogę je oglądać godzinami.
EileenCotton79 pisze: Widziałeś ten z fortepianem?
Arnold1234 pisze: Kapitalny, prawda?

Znowu się śmieję.

EileenCotton79 pisze: Myślałam, że nie lubisz kotów.
Arnold1234 pisze: Nie lubię. Ale bez względu na to, co myślisz, nie jestem potworem, a tylko potwora nie rozśmieszyłby kot grający na fortepianie.
EileenCotton79 pisze: Nie uważam cię za potwora. Tylko za gburowatego staruszka.

Trzy kropki mrugają bez końca. Arnold bardzo wolno pisze na komputerze. Czekając na odpowiedź, zaglądam na jego stronę. Nadal bardzo mało tu szczegółów, ale dodał zdjęcie profilowe, na którym uśmiecha się szeroko, chroniąc przed słońcem łysinę słomkowym kapeluszem. Też się uśmiecham. Wygląda bardzo Arnoldowato i mam lekkie wyrzuty sumienia z powodu swojej fotografii sprzed dziesięciu lat, zrobionej w bardzo korzystnym świetle.

Arnold1234 pisze: Wiesz, nie zawsze jestem gburem.
EileenCotton79 pisze: W takim razie zawsze, gdy jestem w pobliżu…
Arnold1234 pisze: Ty natomiast jesteś dosyć irytująca.
EileenCotton79 pisze: Kto? Ja?

Arnold1234 pisze: I bywasz trochę małostkowa.
EileenCotton79 pisze: Małostkowa!
A kiedyż to???
Arnold1234 pisze: Kiedy odkryliśmy, że moja szopa wystaje kawałek za granicę między naszymi domami i kazałaś mi rozebrać to cholerstwo i zbudować jeszcze raz po drugiej stronie ogrodu.

Krzywię się. Rzeczywiście tak zrobiłam, przyznaję. Arnold mało nie dostał apopleksji; to było takie zabawne.

EileenCotton79 pisze: Należy respektować prawa własności, Arnoldzie. W przeciwnym razie, jak często mówi mój nowy przyjaciel Fitz… co będzie nas odróżniać od zwierząt?
Arnold1234 pisze: Nowy przyjaciel, tak?
EileenCotton79 pisze: Tak…
Arnold1234 pisze: Nowy PRZYJACIEL?

Śmieję się, chwytając aluzję.

EileenCotton79 pisze: Fitz? Mieszka z Leeną! Jest taki młody, że mógłby być

moim wnukiem!
Arnold1234 pisze: To dobrze.
Arnold1234 pisze: To znaczy, dobrze, że zaprzyjaźniłaś się z jej współlokatorem.
A jak wygląda ich dom?

Poniewczasie przypominam sobie, że czeka na mnie jeszcze jedna wiadomość. Od Howarda.

OldboyZeWsi pisze: Witaj, moja droga Eileen! Właśnie skończyłem czytać *Pułapkę na myszy*, bo mówiłaś, że to jeden z twoich ulubionych tytułów, i muszę przyznać, że też bardzo mi się spodobała. Co za zakończenie!

Jakieś błogie ciepło oblewa mi serce. Zaczynam odpisywać. Howard zawsze jest taki uważny. Rzadko można spotkać mężczyznę, który woli słuchać niż mówić. Rozmawialiśmy na tej stronie o przeróżnych rzeczach – opowiadałam mu o rodzinie i przyjaciołach, nawet o Wadzie. Był bardzo miły i powiedział, że Wade postąpił głupio, odchodząc ode mnie, i muszę przyznać, że w pełni się z nim zgadzam.

Pojawia się następna wiadomość od Arnolda, ale klikam na przycisk z minusem, żeby okienko

zniknęło.

23
Leena

Gdy rozlega się dzwonek do drzwi, właśnie wychodzę spod prysznica; szybko wciągam dżinsy i starą niebieską bluzkę babci. Pewnie to Arnold – od czasu do czasu wpada na herbatę, a po moich wielu bezskutecznych namowach w końcu zaczął korzystać z drzwi wejściowych zamiast z kuchennego okna. Z włosów wciąż kapie mi woda, gdy wpadam na korytarz, dopinając bluzkę.

Kiedy dobiegam do drzwi, okazuje się, że to nie Arnold. To Hank. Ściślej mówiąc, Jackson i Hank, ale to Hank pierwszy domaga się mojej uwagi, staje na tylnych łapach i napręża smycz, usiłując mnie dosięgnąć.

– Cześć – mówię, gdy Jackson ciągnie psa i zmusza do siadu. Pospiesznie kończę się zapinać. – Co za niespodzianka!

– Chcesz iść na spacer ze mną i z Hankiem? – proponuje Jackson. Ma lekko zaróżowione policzki. – Gdybyś się nie domyśliła, to jest to gest pojednania. Ze strony Hanka.

– Czy… tak! – mówię. – Tak, oczywiście! Dziękuję, Hank. – Składam psu dziwaczny ukłon i szybko się prostuję, przybierając taką minę, jakby to się w ogóle nie stało. – Tylko najpierw… – Wskazuję na swoją głowę, a potem, zdając sobie sprawę, że to niezbyt jasne, tłumaczę: – Muszę doprowadzić włosy do porządku.

Jackson patrzy na nie.

– Jasne. Poczekamy.

– Wejdź – mówię, cofając się w głąb korytarza. – Woda w czajniku jest jeszcze ciepła, gdybyś miał ochotę napić się czegoś. Może Hank też chce? Pod zlewem są plastikowe miski.

– Dzięki! – woła Jackson.

Suszenie włosów zwykle zajmuje mi dobre pół godziny, więc to na pewno nie wchodzi w grę. Staję przed lustrem w salonie w towarzystwie Anta/Deca, który wije mi się wokół kostek, zbieram włosy w kok, w jaki czeszę się do pracy – Chryste, jakie to nieprzyjemne dla skóry. Naprawdę co dzień chodzę z czymś takim na głowie? Mam wrażenie, jakby cały czas ktoś

ciągnął mnie za włosy. Mniejsza z tym, nie ma innego wyjścia, trzeba wytrzymać.

– Zostawiłam tam telefon?! – wołam. Przyzwyczaiłam się już do ciężaru solidnej babcinej nokii w tylnej kieszeni dżinsów; ciekawe, czy po powrocie do Londynu będę się musiała na nowo oswajać z iPhone'em.

Opuszczam brodę, by dokończyć upinanie koka, a gdy unoszę głowę, widzę Jacksona, którego twarz w lustrze wygląda trochę inaczej, z nosem skrzywionym w drugą stronę.

Odwracam się do niego; uśmiecha się, podając mi telefon babci.

– Przyzwyczajasz się do tej starej cegły, co…

Dobiega nas dziwny dźwięk, coś pomiędzy miauknięciem a rykiem, jaki mogłaby wydać cieląca się krowa. Między nami śmiga Ant/Dec, a zaraz za nim jak kosmaty czarny pocisk sadzi długimi susami Hank, z nosem wycelowanym w kota. Przebiega tuż przed goleniami zmierzającego w moją stronę Jacksona, którego wysunięta lewa noga zahacza o przemykającego szczeniaka, telefon wylatuje mu z ręki i…

Uff. Jackson wpada w moje ramiona, a raczej wpadłby w moje ramiona, gdyby nie fakt, że waży chyba dwa razy więcej ode mnie. Mam wrażenie, że znalazłam się po niewłaściwej

stronie spadającego drzewa. Tyłem głowy uderzam w chłodną taflę lustra, piętą w listwę przy podłodze, a Jackson przygważdża mnie ciałem do ściany, wbijając mi w brzuch klamrę paska i wyciągając przed siebie prawą rękę, która przyjmuje prawie cały impet zderzenia.

Przez króciutką chwilę przylegamy do siebie całą powierzchnią ciał. Moja głowa znalazła się tuż przy jego piersi, odwrócona w bok, więc słyszę łomot jego serca. Trzyma mnie w uwięzi ramion, a kiedy odrywa się ode mnie, przelotnie muska torsem mój biust. Zelektryzowana tym doznaniem, robię gwałtowny wdech. Moje policzki oblewają się rumieńcem; powinnam była włożyć biustonosz.

Kiedy Jackson się odsuwa i zastyga z rękami wspartymi o ścianę po moich bokach, nasze oczy się spotykają. W jego tęczówkach dostrzegam ciemniejsze plamki, a tuż pod oczami ma złotawe piegi, zbyt delikatne, żeby można je było zauważyć z daleka. Uświadamiam sobie, że myślę o mięśniach rysujących się na jego ramionach, o szerokich barkach opiętych T-shirtem i o tym, jakie to by było uczucie…

Hank liże mnie w bosą stopę. Piszczę zaskoczona i w tym momencie cisza między mną a Jacksonem zmienia się w chaos

rozgorączkowanych i niezdarnych ruchów; on odrywa się od ściany i odskakuje do tyłu, a ja daję nura w bok, by podnieść z podłogi telefon babci. Ant/Dec najwyraźniej wyszedł z opresji bez szwanku; Hank z wywieszonym językiem kręci się wokół mnie w radosnych podskokach, jakby uznał, że jeżeli chwilę zaczeka, wyczaruję mu drugiego kota, którego będzie mógł pogonić.

– Nic ci się nie stało? – pytam Jacksona, obracając telefon w dłoniach. Bardzo długo zwlekam ze spojrzeniem mu w oczy, a gdy zakłopotana w końcu kieruję wzrok na jego twarz, widzę, że trochę pobladł i stoi jak wryty spory kawałek ode mnie.

– Nie, nic – odpowiada zduszonym głosem. – Przepraszam cię.

– Nie ma za co! Zupełnie nie ma za co! – Za bardzo krzyczę. Przestań krzyczeć. – Idziemy na ten spacer?

– Aha. Tak. Dobra myśl.

Wychodzimy z domu i ruszamy Middling Lane. Oboje maszerujemy szybkim krokiem. Za szybkim, żebyśmy mogli normalnie rozmawiać. Świetnie. Najbardziej potrzebuję teraz ciszy.

Marsz chyba pomógł rozładować niezręczne napięcie między nami. Hank jest zachwycony – biegnie truchtem przy nodze Jacksona i merda

ogonem. Wciągam do płuc haust rześkiego wiosennego powietrza, patrząc na rozciągające się przed nami Yorkshire Dales. Czuję unoszącą się z żywopłotów słodką woń jakichś kwitnących kwiatów, słyszę jednostajny trel pierwiosnków uwijających się w gałęziach drzew nad nami. Piękne okoliczności przyrody. Tak. Skup się na pięknie przyrody, Leena, nie na dotyku barczystego, muskularnego ciała Jacksona ocierającego się o twoje sutki.

– Chcesz go poprowadzić? – Ruchem głowy wskazuje na Hanka.

Odchrząkuję.

– Tak! Pewnie!

– Masz. – Sięga do tylnej kieszeni i wyjmuje psi przysmak. Hank od razu wyczuwa jego zapach; unosi nos i zerka w naszą stronę.

– Spróbuj powiedzieć „do nogi” – instruuje mnie Jackson.

– Do nogi, Hank – rzucam.

Labrador zrównuje się ze mną, spoglądając na mnie z uwielbieniem, które jak sądziłam, było zarezerwowane wyłącznie dla Jacksona. Okazuje się, że chodzi tylko o drobiowe przekąski. To dla mnie duże pocieszenie.

– Hej, zobacz! – Spoglądam na Jacksona.

Uśmiecha się, ukazując dołeczki w policzkach, ale zaraz skrępowany, odwraca wzrok.

Idziemy dalej; jedynym dźwiękiem, jaki słyszę, oprócz ptasich szczebiotów, jest odgłos naszych kroków. Hank sprawuje się znakomicie, chociaż na wszelki wypadek bardzo mocno ściskam smycz. Jackson prowadzi nas nieznaną mi trasą, która przecina malowniczy gęsty i chłodny las po wschodniej stronie wioski, za którym znowu ukazują się przed nami zabudowania Hamleigh. Widać stąd zaułek, gdzie mieszka Betsy, złożony z pięciu czy sześciu niezgrabnych białych domków, zwróconych frontami w naszą stronę; w oknach odbija się światło.

– Znowu włączyłaś to swoje myślenie? – pyta Jackson, zerkając na mnie z boku.

– A ty naprawdę nie myślisz? Na przykład idziesz gdzieś i nie myślisz o niczym?

Wzrusza ramionami.

– Jeżeli nie trzeba o niczym myśleć…

Zdumiewające.

– Akurat myślałam o Betsy – wyjaśniam. – Zastanawiam się… trochę się o nią martwię.

– Jak my wszyscy.

– To samo mówił Arnold, ale… dlaczego w takim razie nikt nic nie robi? Myślisz, że Cliff

źle ją traktuje? Powinniśmy jej pomóc go zostawić? Zaproponować jej wolny pokój u siebie? Nie powinniśmy czegoś zrobić?

Jackson kręci głową.

– Chodzi o to, czego chce Betsy – mówi. – A ona nie chce żadnej z tych rzeczy.

– Mieszka z tym człowiekiem już kilkadziesiąt lat i jeżeli on się nad nią znęca, to skąd wiadomo, że Betsy wie, czego chce?

Patrzy na mnie zdziwiony, jakby właśnie zdał sobie z tego sprawę.

– Co proponujesz?

– Chcę pójść ją odwiedzić.

– Nie zaprosi cię do środka. Nawet Eileen nigdy nie była w jej domu.

– Żartujesz!

Jackson kiwa głową.

– O ile mi wiadomo. Cliff nie lubi gości.

Zaciskam zęby.

– No dobrze. Co ty na to, gdybyśmy wciągnęli do współpracy Hanka?

*

– Bardzo cię przepraszam, Betsy, ale przypuszczam, że Hank jest u was w ogrodzie – mówię.

Betsy mierzy mnie zaskoczonym spojrzeniem przez szparę w uchylonych drzwiach. Jej dom wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Myślałam, że zobaczę cukierkowe różyczki i lśniące stopnie przed wejściem, ale witają mnie opadające rynny i farba odłażąca z parapetów. Dom wydaje się smutny i zaniedbany.

– Hank? Pies Jacksona? Jak, u diaska, miałby się dostać do naszego ogrodu?

Otóż wzięłam go na ręce, Jackson mnie podsadził i upuściłam Hanka z wysokości, która mogłaby się wydawać niebezpieczna, ale na dość miękkie podłoże w postaci dużego krzewu.

– Naprawdę nie mam pojęcia. – Bezradnie rozkładam ręce. – Ten pies potrafi się przecisnąć przez każdą szparę.

Betsy ogląda się za siebie. Bóg jeden wie, co Hank wyprawia teraz w jej ogrodzie.

– Pójdę po niego – oznajmia i zamyka mi przed nosem drzwi.

Cholera. Oglądam się do tyłu i gwiżdżę przez zęby; po dłuższej chwili na końcu ścieżki prowadzącej do domu pojawia się Jackson.

– Poszła po niego! – syczę.

Jackson macha ręką.

– Nie da rady go złapać – mówi spokojnie. – Nie ruszaj się stamtąd.

Odwracam się z powrotem w stronę drzwi i czekam, przytupując stopą. Mniej więcej pięć minut później drzwi uchylają się i znowu ukazuje się zza nich twarz Betsy. Jej fryzura wydaje się trochę bardziej potargana niż wcześniej.

– Będziesz musiała tam wejść i sama go złapać – informuje mnie cichym głosem. Znowu ogląda się przez ramię. Wydaje się starsza, bardziej przygarbiona, ale może to efekt scenerii zapuszczonego wnętrza domu. Dywan w korytarzu jest wytarty i poplamiony, klosz lampy wisi krzywo, rzucając na beżowe ściany dziwne koślawe cienie.

– Betsy! – dobiega z głębi domu antypatyczny męski głos.

Betsy wzdryga się, ale nie w normalny sposób, jak ktoś zaskoczony nieoczekiwanym dźwiękiem. Wygląda, jakby się nagle skuliła.

– Chwileczkę, skarbie! – woła. – Do ogrodu zabłąkał się czyjś pies, ale właśnie się tym zajmuję! Przejdź – szepcze do mnie, prowadząc mnie obok zamkniętych drzwi po lewej do ciemnej kuchni.

Są tam drzwi prowadzące do ogrodu; kiedy się otwierają, widzę Hanka, który tratuje rabaty kwiatowe. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia.

Ogród jest tu jedynym miejscem, w którym widać troskę – krzewy są starannie przystrzyżone, na każdym słupku ogrodzenia wisi donica, z której wylewają się bratki i jasnozielony bluszcz.

– Jak się miewasz, Betsy? – Odwracam się do niej, by jeszcze raz jej się przyjrzeć. Nigdy nie zwróciłam uwagi na to, że ma takie cienkie włosy; prześwituje spomiędzy nich bladoróżowa skóra. Pod oczami ma zaschnięty podkład w brzoskwiniowym kolorze, który zbiera się też w zmarszczkach wokół ust.

– Dziękuję, dobrze – odpowiada, szczelnie zamykając za sobą drzwi kuchni. – Posłuchaj, mogłabyś zabrać tego psa z mojego ogrodu?

Znów patrzę na zewnątrz i wykrzywiam w grymasie twarz – pies właśnie kopie dziurę pośrodku trawnika. Powinnam to chyba przerwać.

– Hank! Hank, chodź! – wołam, po czym zgodnie z precyzyjnymi instrukcjami Jacksona, szeleszczę foliową torebką psich przysmaków, którą mam w ręce.

Labrador podrywa łeb i zastyga w trakcie kopania. Pół sekundy później pędzi susami w moją stronę. Betsy wydaje słaby pisk, ale jestem przygotowana: łapię go, zanim zdąży zmienić zdanie, i przypinam mu smycz do

obroży. Zupełnie tym niezrażony, bryka dalej – kiedy już pożarł swój smakołyk, rzecz jasna – a ja obracam się wokół własnej osi, żeby nie zaplątał mnie smyczą.

Chyba już rozumiem, co miał na myśli Jackson: u Betsy nic nie jest w porządku, ale co mogę zrobić, żeby się do tego przyznała? To raczej nie był najlepiej przemyślany plan. Trudno zaczynać z kimś poważną rozmowę na osobiste tematy, gdy równocześnie starasz się powstrzymać labradora przed lizaniem twarzy tej osoby.

– Na pewno wszystko w porządku? – próbuję, gdy Hank przenosi uwagę z Betsy na kosz na śmieci.

– W jak najlepszym, dziękuję, Leeno.

– Betsy, co się tam dzieje, do cholery?! – słyszę ten sam nieprzyjemny męski głos.

Betsy sztywnieje. Spogląda mi w oczy i zaraz ucieka wzrokiem w bok.

– Nic, skarbie! – woła na całe gardło. – Za chwilkę do ciebie przyjdę!

– Ktoś tam jest? Wpuściłaś kogoś do domu? – Po krótkiej pauzie ciszej, jak ostrzeżenie: – Chyba nikogo nie wpuściłaś, co?

– Nie! – Betsy znowu przelotnie zerka mi w oczy. – Nie ma tu nikogo oprócz mnie, Cliff!

Serce mi łomocze. Zrobiło mi się zimno.

– Betsy – odzywam się półgłosem. Mocno pociągam smycz i bardzo surowo każę Hankowi usiąść; na szczęście tym razem mnie słucha. – Nie powinien mówić do ciebie takim tonem. I powinnaś zapraszać do siebie przyjaciół. Przecież to twój dom, tak samo jak jego.

Betsy wychodzi do ogrodu i prowadzi mnie ścieżką na jego koniec.

– Do widzenia, Leeno – mówi cicho, odsuwając zasuwkę furtki.

– Jeżeli mogę ci jakoś pomóc…

– Betsy… kogoś słyszę, Betsy! – dobiega z domu głos Cliffa. Tym razem nawet ja lekko się kulę.

Betsy patrzy mi prosto w oczy.

– Akurat ty mówisz o potrzebie pomocy – syczy. – Zanim przyjdziesz tu naprawiać moje życie, najpierw zrób porządek z własnym, panno Cotton.

Odsuwa się na bok. Hank napręża smycz, wpatrując się w otwartą furtkę.

– Gdybyś zmieniła zdanie, zadzwoń – rzucam.

– Aluzje do ciebie nie docierają? Jazda stąd. – Ruchem głowy wskazuje mi furtkę, jakby zwracała się do psa.

– Nie zasługujesz na coś takiego. Poza tym nigdy nie jest za późno, żeby mieć życie, na jakie się zasługuje, Betsy.

Po tych słowach wychodzę z ogrodu. Furtka zamyka się za mną z cichym trzaskiem.

*

Przykro mi, że tak niewiele mogę zrobić dla Betsy. Następnego dnia robię rozeznanie wśród miejscowych ośrodków, które pomagają kobietom pozostającym w toksycznych związkach z despotami – trudno mi znaleźć wsparcie skierowane przede wszystkim do starszych osób, mimo to z niektórych ofert mogłaby skorzystać, więc drukuję stosowne informacje i na wszelki wypadek noszę w plecaku za każdym razem, gdy wychodzę. Ale przez resztę tygodnia Betsy nadal traktuje mnie lodowato, a ilekroć próbuję się do niej odezwać, zaraz mi przerywa.

Zostało mi niewiele czasu. W następny weekend jest majowy festyn, potem wracam do Londynu, a tydzień później będę już w pracy. W skrzynce mam maila od Rebekki o tym, jakim projektem mam się zająć po powrocie do biura. Ciągle otwieram tę wiadomość i gapię się w nią –

mam wrażenie, jakby została wysłana do kogoś innego.

Na razie skupiam się na Pierwszym Maja. Dopinam ostatnie szczegóły festynu. Zorganizowałam pieczenie prosiaka, wymyśliłam sposób umocowania pięciuset lampionów na gałęziach drzew wokół polany, na której będzie główne ognisko, i osobiście dostarczyłam do sali komunalnej sześć worków biodegradowalnego zielonego brokatu, który ma być rozrzucany na trasie majowej parady. (To właśnie był ten „brokat” na liście zadań, którą dostałam od Betsy. Odpowiedzią na moje protesty, że brokat ma niewiele wspólnego ze średniowieczem, było stanowcze stwierdzenie: „To tradycja”).

Nie mogę bez pozwolenia Betsy próbować odmieniać jej życia, ale mogę jej pomóc koordynować duży projekt.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę się zająć.

– Nie mogłabyś wyglądać trochę mizerniej? – pytam Nicol, poprawiając jej kardigan i strzepując jakiś pyłek z jej ramienia.

Posyła mi spojrzenie, które postanawiam zapamiętać i odtworzyć, gdy następnym razem będę miała ochotę wypatroszyć niegrzecznego współpracownika.

– Bardziej nie potrafię – odpowiada Nicola. – Mówiłaś, zdaje się, że zabierasz mnie na zakupy do Leeds. Dlaczego mam wyglądać mizernie?

– Tak, oczywiście, że na zakupy – potwierdzam. – Tylko najpierw zajrzymy do kilku kancelarii prawnych.

– Co?

– To zajmie naprawdę chwilę! Wszystkie spotkania mamy zaplanowane najwyżej na dwadzieścia minut.

Zerka na mnie spode łba.

– Do czego ci tam jestem potrzebna?

– Szukam sponsora majowego festynu. Ale… sama rozumiesz, ja z londyńskiej korporacji… – Wymownym gestem wskazuję na siebie. – A ty, taka urocza starsza pani, na pewno zdobędziesz ich współczucie.

– Przecież nawet nie jestem z Hamleigh! Urocza, sranie w banię – prycha Nicola. – Jeżeli myślisz, że będę siedziała i mizdrzyła się do jakiegoś nadętego prawnika…

– Może po prostu w ogóle się nie odzywaj. – Prowadzę ją do samochodu. – Tak chyba będzie najbezpieczniej.

Zrzędzi przez całą drogę do Leeds, ale gdy tylko wchodzimy na pierwsze spotkanie, jest tak przekonującą zgrzybiałą staruszką, że z trudem

powstrzymuję się od śmiechu. „To takie ważne wydarzenie dla naszej biednej wioski – mówi Nicola. – Przez cały rok czekam na Pierwszy Maja”. Kupują to bez zmrużenia oka. Kancelaria Port & Morgan z miejsca postanawia się zaangażować; reszta obiecuje, że się zastanowi.

To miłe uczucie znowu znaleźć się w sali konferencyjnej. Szczególnie miło wyjść z niej z poczuciem zwycięstwa, a nie w stanie hiperwentylacji. W drodze do samochodu wysyłam szybką wiadomość do Bee.

Ciągle ta sama, odpowiada. *Właśnie TO jest moja Leena Cotton*.

Kiedy wracamy do Knargill, Nicola chichocze w ogromny kubek mokki, którą postawiłam jej w ramach podziękowania.

– Nie miałam pojęcia, że tak łatwo namówić takich ludzi, żeby sięgnęli do portfela! – mówi. – O co jeszcze można by ich poprosić, co? O sponsorowanie objazdowej biblioteki? Minibusu?

Niewykluczone, że jest na dobrym tropie. Myślę o dokumencie, który wciąż mam w komputerze babci: *B&L Consulting – strategia*. Dla milenialsów społeczna odpowiedzialność korporacji jest znacznie ważniejsza niż kiedykolwiek przedtem – przedsiębiorstwa

muszą uwzględniać w swoich modelach biznesowych działalność charytatywną i wolontariat, muszą…

– Leena? – słyszę głos Nicoli. – To mój dom.

Zatrzymuję się z piskiem hamulców.

– Oj, przepraszam! Zamyśliłam się.

Przygląda mi się podejrzliwie.

– Nie wiem, dlaczego w ogóle pozwalam ci się gdziekolwiek wozić – mamrocze, odpinając pas.

*

Następnego dnia rano idę do Arnolda i pukam w szybę werandy. Około dziesiątej pije tu poranną kawę, a ja od czasu do czasu wpadam, żeby się przyłączyć. Powiem szczerze, że wielką pokusą jest jego tłokowy zaparzacz, ale chodzi o coś więcej. Arnold jest cudowny. Jak dziadek, którego nigdy nie miałam. To znaczy miałam, ale wiadomo, dziadek Wade raczej się nie liczy.

Arnold już jest na posterunku, czeka też pełen dzbanek zaparzonej kawy. Stoi na książce, którą Arnold właśnie czyta, i wchodząc na werandę, wzdrygam się na widok dużego brązowego kółka, które rozlewa się na okładce. Odstawiam dzbanek i odwracam książkę: *Czyje to ciało?* Dorothy L. Sayers, jedna z ulubionych powieści

babci. Ostatnio Arnolda wyraźnie kręcą kryminały. Odkrycie jego zamiłowania czytelniczego to jedna z najmilszych niespodzianek mojego pobytu w Hamleigh.

– Jak się miewa twoja matka? – pyta Arnold, gdy nalewam sobie kawę.

Z aprobatą kiwam głową, a on wzdycha, świszcząc przez zęby.

– Mogłabyś nie zachowywać się tak, jakbyś to ty mnie nauczyła sztuki konwersacji? Zanim przyjechałaś, nie byłem aż taki zły. Potrafię być uprzejmy.

Też coś! Arnold uparcie twierdzi, że decyzję, żeby „się ogarnąć” (kupić nowe koszule, iść do fryzjera) i „częściej wychodzić do ludzi” (na pilates, do pubu w piątki), podjął zupełnie samodzielnie, ale ja wiem swoje. Jestem jego Osłem, a on moim Shrekiem.

– U mamy właściwie wszystko w porządku. – Podaję mu kubek. – Może inaczej: dużo bardziej w porządku niż do niedawna.

Od tamtego telefonu po naszej awanturze na ulicy widziałam się z mamą trzy razy: raz umówiłyśmy się na kolację i dwa razy na lunch. Towarzyszy nam dziwna niepewność, jakbyśmy odbudowywały razem coś chwiejnego i kruchego. Niekiedy rozmawiamy o Carli, choć

obie boimy się posunąć za daleko. Tak się przy tym denerwuję, że często jestem bliska paniki. Boję się otworzyć jakieś drzwi, których za wszelką cenę starałam się nie dotykać, żeby pozostały zamknięte. Mimo to chcę to zrobić – ze względu na mamę. Może nie bardzo wiedziałam, co mam na myśli, obiecując babci, że będę pomagać mamie, gdyby mnie potrzebowała, ale teraz rozumiem. Nie trzeba załatwiać dla niej żadnych spraw, mama po prostu potrzebuje rodziny.

Przypuszczam, że byłam na nią wściekła między innymi dlatego, że w moim odczuciu to ona powinna się o mnie troszczyć, nie odwrotnie. Ale nie mogłam się wypłakiwać w rękaw mamie, skoro sama pogrążyła się w czarnej rozpaczy. Pewnie właśnie dlatego tragedie rodzinne są takie przykre. W jednej chwili rozsypuje ci się najlepsza sieć wsparcia.

Tłumaczę to wszystko Arnoldowi i nagle widzę, jak drga mu kącik ust.

– Co jest? – pytam.

– Nic takiego – odpowiada z niewinną miną i sięga po ciastko.

– Mów. – Przyglądam mu się podejrzliwie.

– Po prostu wydaje mi się… Dzięki temu, że pomagasz mamie, wreszcie zaczęłyście

rozmawiać o Carli. A na tym jej właśnie zależało, prawda?

– Co? – Odchylam się na krześle, a potem, nie wiadomo czemu, parskam śmiechem. – Boże. Twoim zdaniem ona tyle mówi o Carli ze względu na mnie? Nie dlatego, że to jej pomaga?

– Ty na pewno jej pomagasz – mówi Arnold z ustami pełnymi herbatnika. – Ale głupotą byłoby przypuszczać, że Marian nie postawi na swoim.

No proszę! Pracuję nad projektem „Mama”, a tu się okazuje, że ona robi dokładnie to samo, tyle że celem projektu jestem ja.

– Może okazywanie sobie uczuć w rodzinie Cottonów polega na wzajemnym uleczaniu – zauważa Arnold.

Patrzę na niego z otwartymi ustami. Wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Pożyczyłem od Kathleen książkę o związkach – wyjaśnia.

– Arnoldzie! Czyżbyś zamierzał kogoś poznać? – pytam, nachylając się nad stolikiem.

– Może już poznałem – odpowiada, poruszając brwiami.

Niestety, nie udaje mi się wydobyć z niego dalszych informacji żadną namową, pochlebstwem ani groźbą, więc zirytowana,

uznaję, że na razie dam spokój. W ramach kary za tę nadmierną dyskrecję zabieram mu ostatnie maślane ciastko, a on obrzuca mnie stekiem tak soczystych obelg z Yorkshire, że wychodząc z werandy, krztuszę się ze śmiechu.

*

Później dostaję SMS-a od mamy, która zaprasza mnie do siebie na jutro. Pierwszy raz proponuje, żebym przyszła do domu. Przed spotkaniem jestem bardziej spięta niż dotąd i w drodze zaciskam w pięści i rozluźniam dłonie ukryte w rękawach bluzy z kapturem.

Gdy tylko otwiera drzwi, od razu widzę, że tym razem zdecydowanie przesadziła.

– Nie, nie, nie, Leena – powstrzymuje mnie, gdy próbuję rzucić się do ucieczki. – Wejdź.

– Nie chcę.

Drzwi do salonu są otwarte. Pokój wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy umarła Carla – brakuje tylko łóżka. Stoi nawet krzesło, na którym siedziałam, trzymając siostrę za rękę; łóżko majaczy tu jak zjawa, niewidzialna pościel, niewidzialne koce…

– Próbuję czegoś nowego – informuje mnie mama. – Słuchałam podcastu jednej profesorki…

twierdziła, że oglądanie fotografii to świetny sposób, który może pomóc uporać się ze wspomnieniami, i pomyślałam… że chcę obejrzeć parę zdjęć z tobą. Tutaj.

Mama łapie mnie za dłoń i ściska. Dostrzegam starą kopertę na fotografie z Boots, którą ma w drugiej ręce, i opieram się, gdy wciąga mnie do środka. Staję na wycieraczce przy drzwiach.

– Po prostu spróbuj wejść, skarbie.

– Nie mogę patrzeć nawet na to zdjęcie. – Wskazuję na stojącą w korytarzu fotografię w ramkach. – Naprawdę nie sądzę, żebym mogła znieść całą kolekcję.

– Zaczniemy ostrożnie i powoli – mówi mama. – Krok po kroku. – Odwraca się i przechyla głowę, patrząc na zdjęcie Carli z balu na koniec szkoły średniej, jak gdyby zobaczyła je pierwszy raz w życiu. – To zdjęcie…

Podchodzi do stolika, podnosi ramkę i spogląda na mnie.

– Wyrzucimy je?

– Co? Nie! – wykrzykuję zdumiona i podchodzę do niej, żeby zabrać jej fotografię.

Mama nie wypuszcza ramki z rąk.

– Carla na pewno by go nie cierpiała. Stoi tu tak długo, że przestałam je zauważać. Nie wiem, czy w ogóle mi się podoba. Tobie się podoba?

Po chwili wahania puszczam fotografię.

– No, nie… prawdę mówiąc, nie znoszę tego zdjęcia.

Mama bierze mnie pod ramię i prowadzi w głąb korytarza. Kiedy przestępujemy próg salonu, przebiegam wzrokiem miejsce, gdzie stało łóżko, i żołądek podskakuje mi aż do gardła i opada, jakbym siedziała w szybkim samochodzie śmigającym przez stromy most.

– Lepiej się go pozbyć. Straszne jest to zdjęcie. W ogóle nie wygląda na nim jak Carla – mówi mama i wrzuca je do kosza w rogu salonu. – I już. Już! Trochę dziwne uczucie – przyznaje, przyciskając nagle dłoń do brzucha. Ciekawe, czy kotłują się tam jej emocje, jak u mnie. – Zrobiłam coś okropnego?

– Nie. – Zaglądam do kosza. – Zdjęcie jest okropne. A to, co zrobiłaś, było po prostu… impulsywne. I dobre. Takie mamine.

– Mamine?

– Aha. Mamine. Tak jak wtedy, gdy nagle wkurzyłaś się na tamtą zieloną tapetę, a kiedy wróciłyśmy ze szkoły, pozrywałaś ją ze wszystkich ścian.

Mama się śmieje.

– Jeżeli się nie zorientowałaś… to jesteś w salonie. – Zaciska dłoń na moim ramieniu. –

Nie, nie uciekaj. Chodź. Usiądźmy na kanapie.

Wcale nie czuję się tak źle, jak przypuszczałam. Przecież nie zapomniałam, jak wygląda ten pokój. Każdy szczegół jest wyryty w mojej pamięci, nawet ta stara plama w rogu przy regale i ten ciemny ślad na stoliku, pozostawiony przez wypaloną świeczkę, której babcia nie zgasiła, bo zmorzył ją sen.

– Podoba ci się taki? – pytam, gdy siadamy. – Ten dom? W ogóle go nie zmieniłaś, odkąd…

Mama przygryza wargę.

– Może powinnam – przyznaje, rozglądając się po salonie. – Byłoby ładniej, gdyby wyglądał trochę bardziej… świeżo. – Otwiera mały album. – No więc dzięki oglądaniu zdjęć wspomnienie ma się przenieść do innej przegródki mózgu – wyjaśnia mętnie. – Coś w tym rodzaju.

Z ogromnym wysiłkiem powstrzymuję się, żeby nie przewrócić oczami. Bóg jeden wie, w jakiej pseudonaukowej książce znalazła te rewelacje, ale bardzo wątpię, by jakieś testy kliniczne potwierdziły skuteczność takiej techniki.

Ale… mama sądzi, że to jej pomoże. Być może to wystarczy.

– Paryż. – Wskazuję na pierwsze zdjęcie. Widok uśmiechniętej Carli sprawia ból, ale lepiej

sobie z nim radzę; kiedy człowiek siedzi, odrobinę łatwiej mu go znieść, tak jak zimno, gdy rozluźnia mięśnie, zamiast dygotać. – Pamiętasz tego chłopaka, którego Carla namówiła, żeby ją pocałował na szczycie wieży Eiffla?

– Przypominam sobie, że nie trzeba go było długo namawiać – odpowiada mama.

– Nigdy nie przyznała, że jej francuski brzmi okropnie.

– Przez cały tydzień czepiałaś się jej z powodu tego akcentu – mówi mama. – Doprowadzałaś ją do szału.

Oglądamy dalej, zdjęcie po zdjęciu. Nie mogę powstrzymać łez, mażę się i pociągam nosem; mama też płacze, ale to nie jest ten zduszony szloch, który zapamiętam z okresu zaraz po śmierci Carli, gdy sama musiałam wziąć się w garść. Tym razem to łzy, które da się otrzeć. Widzę, że mama świetnie sobie radzi. Naprawdę zrobiła postępy.

Robimy przerwę na herbatę, a potem wracamy do reszty zdjęć. Nie wiem, czy jakieś wspomnienia przeniosły się do innych przegródek w mózgu, ale gdy wstaję, żeby zapalić światło, uświadamiam sobie, że przeszłam przez miejsce, gdzie wcześniej stało łóżko, jakby to był zwykły dywan.

Z początku mam wyrzuty sumienia. Jak gdybym nie omijając niewidzialnego łóżka, zdradziła pamięć o tym, co się stało w tym pokoju. Zaraz jednak myślę o Carli na fotografiach – uśmiechniętej, rozgadanej, z kolczykami na twarzy, w których odbija się błysk flesza – i wiem, że powiedziałaby mi, żebym nie była taką cholerną kretynką, więc cofam się i staję dokładnie w tym miejscu, gdzie dawniej leżała.

Stoję bez ruchu i poddaję się tęsknocie. Pozwalam się jej ogarnąć.

I nie załamuję się. Ból jest nieporównywalny z niczym, nieznośny i przeszywający, ale jestem w tym pokoju – nie obejmują mnie ramiona Ethana, nie mam przed sobą laptopa – i nie uciekam, nie rzucam się w wir pracy, nie krzyczę. Nie dzieje się nic, czego tak się bałam – że się rozsypię, że przestanę nad sobą panować… Tęsknota za nią pali mnie żywym ogniem, ale potrafię ją znieść.

24
Eileen

Wczoraj Bee przysłała mi wiadomość, że widziała, jak Ethan i Ceci wymknęli się razem na lunch. Dręczę się tym przez cały ranek. Próbuję zająć uwagę przygotowanymi przez Fitza reklamami klubu, które zamierzamy rozkleić w całym Shoreditch: *Skończyliście siedemdziesiątkę i chcecie poznać londyńczyków takich jak wy? Zadzwońcie pod ten numer i dowiedzcie się o Klubie Srebrnego Pokolenia Shoreditch!* Ale nawet to nie pomaga.

Myślę o Carli. Gdyby żyła, na pewno zrobiłaby coś w tej sprawie. Nie pozwoliłaby Ethanowi zwodzić Leeny. Wykazałaby się odwagą, zdecydowaniem i pomysłowością i na pewno coś by zrobiła.

Wstaję i idę zapukać do pokoju Fitza. Leena powinna liczyć na pomoc Carli. To nieopisana

tragedia, że nie ma przy sobie siostry. Ale może liczyć na mnie. Też potrafię być odważna, zdecydowana i pomysłowa.

*

– Chyba nigdy nie robiłem niczego fajniejszego, pani C – informuje mnie Fitz, a zaraz potem gaśnie silnik vana, który właśnie pożyczyliśmy od Sally spod szóstki. – Oj. Chwileczkę. Aha, okay, już jedziemy! Tylko nie wspominaj o tym, kiedy będziesz kogoś raczyć opowieścią z naszej inwigilacji.

– Nikogo nie będę raczyć opowieściami, Fitz – oznajmiam jak najsurowszym tonem. – To jest tajna misja.

Na jego twarzy maluje się zachwyt.

– Tajna! Misja! Oj, przepraszam, nie zauważyłem, że ciągle jedziemy na dwójce… O rany.

Wyjeżdżamy na główną ulicę i okazuje się, że jest kompletnie zakorkowana. Patrzymy na ciągnący się przed nami sznur samochodów, między którymi slalomem przemykają piesi.

– Sprawdzę w Google Maps. – Fitz sięga po telefon do kieszeni kurtki bomberki. – Aha.

Podaje, że przy tym ruchu będziemy w Selmount za czterdzieści minut.

Ogarnia mnie rezygnacja. Posuwamy się naprzód w żółwim tempie. Korek odebrał sprawie cały dramatyzm.

W końcu docieramy w pobliże siedziby Selmount i Fitz parkuje – przypuszczam, że niezgodnie z przepisami – żebyśmy mogli zająć stanowisko obserwacyjne w kawiarni naprzeciwko budynku, w którym mieści się firma mojej wnuczki. Dzięki Bee wiem, że Ethan ma tam teraz spotkanie. Ulica jest zaskakująco brzydka, szeroka, z przysadzistymi budynkami, a w każdym z nich jest kilka zabitych deskami okien, które przypominają zmatowiałe złote zęby. Wznoszący się między nimi lśniący szarym szkłem biurowiec Selmount wydaje się pewną ekstrawagancją.

Popijam herbatę i oglądam pączki, bo Fitz upierał się, żebyśmy je zamówili. Podobno podczas „inwigilacji” koniecznie trzeba jeść pączki. Wyglądają na bardzo tłuste – mój zostawił już na serwetce duże niebieskawe kółko.

– Jest! – woła podniecony Fitz, wskazując w stronę budynku.

Ma rację: oto i Ethan, który długim krokiem wychodzi z biura z teczką w ręce, zarzucając

włosami. Jest przystojny. To mu muszę przyznać.

– Co teraz, pani C?

– Teraz zagramy kartą biednej staruszki. Bądź tak miły i weź parę serwetek, nie chcę zmarnować tego pączka. Na pewno zje go kotka Letitii. Ona zje wszystko.

Kiedy otwieram drzwi kawiarni, Ethan niemal już znika w głębi ulicy. Ruszam za nim szybkim krokiem, prawie biegnę; Fitz potrzebuje chwili, by mnie dogonić.

– Jezu, strasznie szybko się poruszasz jak na staruszkę – narzeka, zrównując się ze mną. – Zaraz, jak pójdziemy tym skrótem, możemy go złapać.

Skręcam za nim w wąską alejkę, gdzie z trudem mogą się zmieścić dwie osoby. Wyczuwam wyraźny zapach moczu i czegoś jeszcze, co rozpoznaję dopiero po jakimś czasie, ale w końcu przypominam sobie, że to marihuana.

– Jest! – krzyczy Fitz i pokazuje mi Ethana po drugiej stronie ulicy. – Oj, przepraszam. Tak, pamiętam, tajna misja, ciszej.

Ale już za późno – Ethan patrzy w naszym kierunku. Muszę to obrócić na swoją korzyść.

– Ethan, kochany! – szczebioczę, przeciskając się przez strumień przechodniów i maszerując

przez ulicę. Za sobą słyszę stłumiony okrzyk Fitza, a po chwili przepraszam jakiegoś motocyklistę, który przeze mnie musiał wykonać nieco gwałtowny skręt. – Co za szczęście, że tu na ciebie wpadłam!

– Dzień dobry, Eileen. – Cmoka mnie w policzek. – Dobrze się czujesz?

– Dziękuję, bardzo dobrze – mówię. Trochę brakuje mi tchu; rozglądam się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym na moment przycupnąć, ale oczywiście w zasięgu wzroku nie ma żadnej ławki. – Chociaż szczerze mówiąc, chętnie poszłabym w ustronne miejsce – dodaję poufnym tonem. – Nie wiem, czy zdążę do domu! Wiesz, w moim wieku pęcherz już nie ten co kiedyś. Nieszczelny, że tak powiem. Nieszczelny.

Ethan ma minę jak Fitz, gdy ktoś kogoś okalecza w jednym z kryminałów, które uwielbia oglądać Martha.

– Moje mieszkanie jest kawałeczek stąd. – Ethan wskazuje budynek na końcu ulicy. – Chciałabyś zajrzeć tam i… hm… skorzystać z naszej toalety?

– Och, przemiły jesteś – mówię. – Prowadź.

*

W mieszkaniu Ethana znajduję cztery poszlaki.

1) Na stoliku w korytarzu leży paragon za posiłek dla dwóch osób opiewający na 248 funtów. Wiem, że w Londynie jest drogo – tutejsze ceny to doprawdy rozbój w biały dzień – ale jak na wyjście z kimś znajomym albo koleżanką z pracy kwota jest zawrotna.
2) W łazience są dwie szczoteczki do zębów, obie wilgotne, co wskazuje na niedawne użycie. Po co Ethan korzystałby z dwóch szczoteczek do zębów?
3) Obok buteleczek z miksturami Leeny, które poznaję – wszystkie są przeznaczone do ujarzmiania puszących się włosów – stoi mała buteleczka serum do ochrony koloru. Leena nigdy nie farbowała włosów. Przypuszczam jednak, że to może być kosmetyk Ethana. Jest bardzo dumny z tych swoich ciemnych loków.
4) Brak pojemnika na śmieci w łazience. Ten fakt sam w sobie nie świadczy o zdradzie, ale doświadczenie mnie nauczyło, że rzadko lubię kogoś, kto z szacunku dla innych nie stawia w łazience pojemnika na

śmieci. To typowe dla mężczyzn, głównie dla mężczyzn, którym nie można ufać.

*

Po powrocie do domu porównujemy z Fitzem notatki. Nie znalazł żadnych poszlak, co tylko potwierdza regułę. Przecież mówiłam mu, że najlepszymi detektywami są starsze panie.

– Nie powiesz o tym Leenie, prawda? – pytam z pewnym niepokojem. Nabrałam złego nawyku zwierzania mu się z różnych rzeczy. Na przykład strasznie dużo wie o Todzie. Raz wypiłam dwa kieliszki wina, a Fitz pytał mnie o wszystko tak otwarcie, że poczułam się rozbrojona. Nigdy nie powiedziałabym nikomu o tego rodzaju sprawach osobistych, nawet Betsy. Być może zrobiłam to dlatego, że mieszkam teraz w Londynie i żyję cudzym życiem. Bez względu na powód, to było całkiem przyjemne.

– Nie puszczę pary z ust, pani C. – Fitz poważnieje. – Jeżeli podejrzewasz, że Ethan ukrywa jakieś brudy, uważam, że trzeba je wyciągnąć. Leena zasługuje na wszystko, co najlepsze.

– To prawda.

– Ty też, pani C.

Stawia na kanapie laptop Leeny i przysuwa mi go. Wydaje się, że wokół tej kanapy obraca się całe życie w mieszkaniu. Jemy tu, pijemy herbatę; przez pewien czas funkcjonowało na niej biuro Marthy.

– Są jakieś nowe wiadomości? – pyta Fitz. – O, na pewno przyszło coś od Howarda, poznaję ten uśmiech! Wyglądasz przesłodko.

– Och, cicho sza. Zrób coś pożytecznego, trzeba pozmywać.

– Dobrze, dobrze. Nie będę ci przeszkadzał w sextingu.

Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale przypuszczam, że coś niegrzecznego, więc na wszelki wypadek gromię go wzrokiem. Fitz szczerzy zęby w uśmiechu i znika w kuchni, a ja rozsiadam się wygodnie na kanapie, aby przeczytać wiadomość od Howarda.

> **OldboyZeWsi pisze:** Witaj, Eileen! Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem gotowy do uruchomienia strony internetowej twojego klubu, kiedy będziesz chciała. Jeżeli dostanę od ciebie sygnał, to potrwa tylko jeden dzień. Xxxxx

Zupełnie zapomniałam, że zaproponował mi zaprojektowanie strony dla klubu. Rozpromieniam się.

> **EileenCotton79 pisze:** Bardzo dziękuję, Howardzie. Czego potrzebujesz, żeby zacząć? Xx

Czekając na odpowiedź, przygryzam wargę i rozmyślam. Wspaniale będzie mieć własną stronę internetową, ale to nie pomoże nam sprowadzić przyszłych członków klubu na inaugurację. Zaczynam się o nią trochę obawiać, mimo że Fitz rozkleja w okolicy ogłoszenia. Zastanawiam się po prostu, czy osoby, na których nam zależy, rzeczywiście czytają plakaty na murach. Jest ich mnóstwo, większość o zespołach muzycznych, kampaniach aktywistów i tak dalej. Napisaliśmy na ogłoszeniach, że możemy zapewnić transport – poczciwy Tod zaproponował nam wypożyczenie autokaru z teatru – ale ludzie, do których chcemy dotrzeć, mogą przecież za rzadko wychodzić do miasta, żeby w ogóle natknąć się na plakaty.

Świta mi pewien pomysł. Zamykam rozmowę z Howardem i klikam na ZNAJDŹ PARTNERA. Wypełniam wszystkie okienka, ale tym razem

robię to trochę inaczej. Wiek: 75 plus. Lokalizacja: wschodni Londyn, centrum Londynu. Kobieta czy mężczyzna? Klikam na obydwie opcje.

To dość zawadiacki plan, ale sprawa jest słuszna. Wybieram pierwszą osobę, jaka pojawia się na liście: Nancy Miller, siedemdziesiąt osiem lat. Klikam na ikonę z kopertą, żeby napisać do niej wiadomość.

> Droga Nancy,
> mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tej wiadomości, ale piszę do ciebie, bo organizuję w Shoreditch klub dla siedemdziesięciolatków i chciałam spytać, czy miałabyś ochotę przyjść na nasze uroczyste otwarcie w ten weekend…

Na rozsyłanie tych wiadomości poświęcam kilka godzin. Na liście jest ponad sto osób. Bardzo się cieszę, że Fitz nauczył mnie sztuczki „kopiuj i wklej”, w przeciwnym razie musiałabym nad tym ślęczeć cały dzień; i tak od długiego siedzenia przy laptopie pieką mnie oczy i mam zesztywniały kark.

Zaczynają już przychodzić odpowiedzi. Niektóre są dość niemiłe – *Wysyłaj swoje reklamy*

gdzie indziej! To nie jest forum na takie rzeczy! – a paru mężczyzn bierze moje zaproszenie za okazję do nawiązania flirtu, w co nie zamierzam się bawić; mam teraz ważniejsze sprawy na głowie, zresztą żaden z nich nie dorasta do pięt Todowi ani Howardowi. Ale kilka osób wyraziło zainteresowanie Klubem Srebrnego Pokolenia Shoreditch. *Bardzo chętnie przyjdę*, pisze Nancy Miller. *Czy będą jakieś gry?*, pyta Margaret z Hoxton.

Kiedy kończy mi się cierpliwość do odpowiadania na wiadomości, przychodzi Letitia. Przyniosła nową herbatę ziołową i chce, żebym jej skosztowała. Zapraszam ją na wspólną degustację – podejrzewam, że to był prawdziwy cel jej wizyty – i wprowadzam ją w szczegóły swojego nowego planu rozreklamowania klubu.

– Szkoda, że nie umiem się tym posługiwać tak zręcznie jak ty. – Ruchem głowy wskazuje laptop.

– Och, na pewno mogłabyś to opanować! – odpowiadam. – Poproś Fitza, on cię nauczy.

– Fitz to dobry chłopak – zauważa Letitia. – Znalazł już kogoś chętnego na pokój Marthy? Martwił się tym, kiedy z nim ostatnio rozmawiałam.

Uśmiecham się. Letitia odwiedza wspólną część budynku co najmniej raz dziennie, układa kwiaty w wazonach, poprawia poduszki na kanapie. Gdy ktoś teraz tamtędy przechodzi, zawsze zatrzymuje się, żeby pogadać. W poniedziałek wieczorem zobaczyłam tam Aurorę i Sally, które grały z nią w karty. „Wypróbowujemy stoliki!”, wyjaśniła mi Aurora, a Letitia nagle podskoczyła, bo Sally krzyknęła: „Bach! Mam fula!” i z rozmachem wyłożyła karty.

– Jeszcze nie. – Sięgam po ciastko. – Pewnie zamieści ogłoszenie w internecie.

– W każdym razie ten, kto tu trafi, będzie miał szczęście.

– Letitio… zastanawiałaś się kiedyś, czy nie wyprowadzić się ze swojego mieszkania?

Patrzy na mnie ze zgrozą.

– Dokąd?

– Niedaleko. Tutaj. Do pokoju Marthy.

Moim skromnym zdaniem to znakomity pomysł.

– Och, nie. – Letitia chowa się za kubkiem z herbatą. – Nie mogłabym zostawić swojego mieszkania. Co by się stało z moimi pięknymi rzeczami? Zresztą żaden młody człowiek nie miałby ochoty mieszkać z taką zrzędliwą staruchą jak ja.

Przysuwam jej ostatni herbatnik.

– Nonsens – rzucam. – Chociaż rozumiem, że możesz się obawiać o swoje śliczne bibeloty. To znaczy o swoje śliczne antyki – prostuję pospiesznie na widok jej miny.

– Nie wyprowadziłabym się ze swojego mieszkania – oświadcza Letitia, tym razem bardziej stanowczo, więc dłużej nie naciskam. Choć szkoda, bo przydałoby się jej towarzystwo, no i martwię się, jak sobie poradzi, kiedy nie będzie mnie już obok niej, żebym dodawała jej animuszu, nawet jeśli nasz projekt wypali i Klub Srebrnego Pokolenia Shoreditch rozpocznie regularną działalność.

Po wyjściu Letitii tak długo siedzę z pustą filiżanką, że porcelana w moich dłoniach staje się zimna. Nie mogę przestać myśleć o paragonie leżącym na stoliku w korytarzu u Ethana, o wilgotnej szczoteczce do zębów w jego łazience. Zdaję sobie sprawę, że być może wyciągam pochopny wniosek o niewierności mężczyzny – ale nie obwiniam się, bo w tych okolicznościach wydaje się całkiem uzasadniony. Muszę jednak wiedzieć, czy to mi nie utrudnia oceny sytuacji.

Biorę telefon i wybieram numer Betsy.

– Witaj, kochana – mówi. – Jak tam twój przystojny aktor? – Wymawia ostatnie słowo

z wyjątkowo staranną dykcją, nadając mu jeszcze bardziej wyrafinowane brzmienie.

Uśmiecham się.

– Szykowny jak zawsze. Betsy, czy mogę cię poprosić o radę w pewnej sprawie?

– Oczywiście.

– Chodzi o Ethana, chłopaka Leeny. Na pewno go poznałaś, kiedy przyjechał ją odwiedzać?

– Tak, spotkałam go, chociaż miałam niewiele okazji – odpowiada Betsy.

– Nie przyjeżdża na weekendy?

– Był może raz czy dwa. Chyba spłoszył go Jackson.

Otwieram oczy ze zdziwienia.

– Jackson? Jackson Greenwood?

– Ten cały Ethan nie bardzo przypadł mu do gustu.

– Zawsze wiedziałam, że Jackson potrafi się poznać na człowieku – mówię ponuro.

– Och, czyżby Ethan nie miał u ciebie wysokich notowań? – pyta Betsy.

Opowiadam jej, co znalazłam podczas wizyty w jego mieszkaniu. Betsy głośno wciąga powietrze przez zęby. Ten sam dźwięk wydaje podczas negocjowania ceny na targu w Knargill.

– To może nic nie znaczyć – zauważa. – Nie każdy mężczyzna jest taki jak Wade.

– Ale całkiem sporo z nich jest.

– Hm…

Mam na końcu języka pytanie o Cliffa, Betsy jednak nie dopuszcza mnie do głosu i zanim zdążę je zadać, zmienia temat. Zawsze wygląda to tak samo.

– Nim się dowiedziałam, że Leena kogoś ma – odzywa się Betsy – powiedziałabym, że Jackson wpadł jej w oko.

To niezwykle ciekawe.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kiedy się z nim nie kłóci, to bawi się włosami za każdym razem, gdy Jackson pojawia się na horyzoncie. A na ostatnim zebraniu komitetu organizacyjnego festynu prawie cały czas wpatrywała się w niego. Skoro już mowa o festynie… wiesz, że Leena znalazła sponsora?

To chyba jedyna rzecz, która może mnie odwieść od dalszej rozmowy na temat Leeny robiącej słodkie oczy do Jacksona.

– Sponsora majowego festynu?

– Jakąś ważną kancelarię prawną. Bardzo elegancką. Zapłacą prawie za wszystko. Poza tym wymyśliła, jak można zebrać pieniądze, zorganizowała stoiska z ciastami, poszukiwanie skarbów i loterie.

Rozpromieniam się.

– Jest genialna, prawda?

– No, na pewno potrafi działać skutecznie – przyznaje Betsy. – Tego nie można jej odmówić.

25
Leena

Kiedy stawiam się u Nicoli i pytam, dokąd jedziemy, po raz pierwszy pyta:

– Może pojedziemy do ciebie?

Jej propozycja szalenie mi schlebia. Nicola należy do osób, których przyjaźń zdobywa się z niemałym trudem – czuję się jak wybraniec.

Gdy przyjeżdżamy do Clearwater Cottage, Arnold plewi ogródek przed domem.

– Przecież mówiłam, że to zrobię! – przypominam mu, pomagając Nicoli wysiąść z samochodu.

– Ale nie zrobiłaś – zauważa Arnold i macha do nas mleczem. – Witaj, Nicola, wszystko w porządku?

Otwieram drzwi i zapraszam ich oboje do środka.

– Herbaty?

Dopiero gdy czekam, aż herbata zaparzy się w dzbanku, przychodzi mi na myśl, jakie to dziwne, że nie uważam tej sytuacji za nic niezwykłego. Często słyszę, że jestem „dojrzała” jak na swoje dwadzieścia dziewięć lat (zawsze mam ochotę odwarknąć: „Tak się dzieje, gdy ogląda się śmierć własnej siostry”). Ale tak naprawdę nigdy przedtem nie przyjaźniłam się z nikim, kto miał więcej niż trzydzieści lat. Dzisiaj bez zmrużenia oka przyjmuję niezapowiedziane odwiedziny Arnolda – a nawet na nie czekam – i jestem wniebowzięta, że Nicola obdarzyła mnie taką sympatią, by spędzić popołudnie w moim towarzystwie. To miłe. Podoba mi się, jak ci ludzie zmieniają mój punkt widzenia na różne sprawy, jak różnie wygląda nasze życie. Będzie mi tego brakować, kiedy odjadę – będzie mi ich brakować.

Ktoś puka do drzwi. Betsy.

Wygląda na trochę zapuszczoną.

– Dzień dobry, Leeno – wita mnie chłodno.

– Betsy! Wejdź! Właśnie pijemy herbatę – mówię. – Zaraz przyniosę ci filiżankę! Mogę wziąć twój płaszcz?

Biorę go i wieszam, a w głowie kłębią mi się myśli. Betsy nie zaglądała do mnie od tamtej strasznej pierwszej herbaty, kiedy

nawygadywałam samych głupstw. Co ją skłoniło do odwiedzin?

– Nie chcę zostawać na dłużej – informuje mnie. – Przyszłam tylko po swój zapasowy klucz do domu. Eileen gdzieś go przechowuje.

– Och, oczywiście! – Rozglądam się, jak gdyby klucz leżał na stole w jadalni. – Zatrzasnęły ci się drzwi?

– Tak.

Próbuję spojrzeć jej w oczy, ale ucieka wzrokiem w bok. Nie mam wątpliwości, że kłamie.

Arnold przez chwilę spogląda to na nią, to na mnie, po czym wstaje.

– Nicola, muszę ci koniecznie pokazać hortensję na końcu ogrodu Eileen – oznajmia.

– Co? – zdumiewa się Nicola. – Przecież ja nic nie…

Ale on już pomaga się jej podnieść.

– No dobrze – odburkuje.

„Dziękuję”, mówię do niego bezgłośnie, na co Arnold rzuca mi przelotny uśmiech. Kiedy zostajemy same, patrzę na Betsy, która otwiera i zamyka szuflady w kredensie.

– Cliff nie mógł cię wpuścić? – pytam łagodnie.

Betsy nie odwraca się do mnie. Przez chwilę panuje cisza.

– To on zatrzasnął mi drzwi.

Nabieram powietrza do płuc.

– To dość niemiłe z jego strony. – Staram się zachować neutralny ton. – Chciałabyś tu zostać dzisiaj na noc?

Rozgląda się po pokoju.

– Zostać tutaj?

– Możesz zająć pokój mojej babci.

– Och, ale… – Przez moment wydaje się trochę zagubiona. – Dziękuję, jesteś bardzo uprzejma – odpowiada. – Ale wolałabym znaleźć ten klucz.

– W porządku. – Widzę, jak Arnold i Nicola idą przez ogród. – We czwórkę powinniśmy go znaleźć.

Podczas poszukiwań odnajduję przeróżne rzeczy. Moją starą torbę szkolną (jak tu w ogóle trafiła?); zdjęcie mojej mamy, gdy była ze mną w ciąży, wyglądającej fantastycznie, jak gwiazda filmowa; przepis na ciasto czekoladowe spisany ręką Carli, na którego widok łzy napływają mi do oczu. Moja siostra zostawiła po sobie ślad w każdym miejscu Hamleigh. Wprawdzie nie mieszkała tu zbyt długo, ale wtopiła się w tkankę tej wioski. Może właśnie dzięki temu podczas pobytu tutaj w końcu udało mi się trochę pozbierać i ruszyć z miejsca – a raczej

przystanąć. Ruch to moja mocna strona; gorzej sobie radzę ze staniem w miejscu.

Starannie składam kartkę z przepisem i zostawiam tam, gdzie ją znalazłam. Może któregoś dnia, gdy natknę się na następny skarb tego rodzaju, zamiast płakać, po prostu się uśmiechnę.

Wreszcie Nicola znajduje klucz. Jest oznaczony starannym, zamaszystym pismem babci – *Zapasowy do Betsy* – i tkwi w głębi szuflady stolika w korytarzu, wraz z całą kolekcją kluczy do domów, w których już dawno nie mieszka nikt z rodziny Cottonów: do mieszkania Carli w Bethnal Green, naszego starego domu w Leeds. Zirytowana, znajduję też kluczyk do zapięcia roweru, który jak dotąd sądziłam, zginął mi jakieś dziesięć lat temu. Jest też zapasowy klucz do domu mamy; zabieram go, żeby korzystać z niego do końca swojego pobytu w Hamleigh – dotychczas używałam klucza babci, ale zawsze zacina się w zamku.

Odprowadzam Betsy do domu. Nie daję jej możliwości, żeby zaprotestowała, ale i tak dziwię się, że mi pozwala. Zastanawiam się, co na moim miejscu powiedziałaby babcia, i dochodzę do wniosku, że niewiele – pozwoliłaby mówić Betsy. Idziemy więc wolno zalaną deszczem Middling

Lane; trzymam parasol i czekam, aż Betsy będzie się chciała odezwać.

– Pewnie ci się wydaje, że wiesz już wszystko o mojej sytuacji – mówi wreszcie, patrząc prosto przed siebie.

– Ależ skąd.

– To dobrze. Bo to… skomplikowana sprawa.

– Na pewno.

Przygryzam wewnętrzną część policzka. Babcia prawdopodobnie odpowiedziałaby milczeniem. Zostawiłaby to. Ale…

– Nikt nigdy nie powinien się bać w swoim domu. Betsy, jeżeli chcesz od niego odejść, wszyscy we wsi staną za tobą murem. Co do jednego.

Dochodzimy do jej domu. Zatrzymuje się przed furtką – to jasne, że powinnam już sobie pójść, ale wolę zostać, dopóki nie wejdzie bezpiecznie do środka.

– Pewnie już się uspokoił. – Betsy obraca klucz w palcach. – Idź już, Leeno, nie możesz się tu kręcić.

– Nie zasługujesz na to. I nie przestanę ci tego powtarzać, wszystko jedno, ile razy będziesz wyrzucać mnie z domu albo zabraniać mi się kręcić w pobliżu – oświadczam z lekkim uśmiechem. – Zawsze tu będę.

– Jeszcze niecały tydzień – przypomina mi Betsy.

– Ach, tak. – Szczerze mówiąc, na moment zupełnie zapomniałam, że wyjeżdżam. – Ale do Clearwater Cottage wróci właściwa Eileen Cotton i z nią będziesz miała do czynienia. – Znowu się uśmiecham, choć żołądek ściska mi coś w rodzaju smutku. – Będzie jeszcze lepiej.

26
Eileen

Bu-bu-bu-BUU-BUU-bu-bu-bu, dudni znienacka telefon Leeny na kawiarnianym stoliku.

– Ja pierdzielę, za każdym razem, gdy przychodzi do ciebie wiadomość, mało nie dostaję zawału. – Bee łapie się za serce. – Potwornie głośny!

Mam zamiar ją upomnieć za przeklinanie, ale moją uwagę pochłania odebrana wiadomość.

– Kto tym razem? – pyta Bee. – Oldboy ze Wsi czy twój ukochany seksowny aktor?

– To od mojego sąsiada. – Kręcę głową. – Odkrył w internecie filmy z kotami i podsyła mi je od paru tygodni.

– Och, pokazywałaś mu ten, w którym kot wpycha dziecko do basenu? – Twarz Bee się rozjaśnia. – Jaime i ja oglądałyśmy go chyba z sześćset razy.

– Widzę, że córeczka odziedziczyła po tobie zamiłowanie do czarnego humoru. – Odkładam telefon. Arnold może poczekać. Muszę poplotkować z Bee. – No? Jak się udała randka z Mikiem?

Z niedowierzaniem kręci głową.

– Świetnie. Mike… no, tańczy fatalnie, jest zdecydowanie bardziej zamożny ode mnie i lepiej mu się wiedzie, poza tym nawet nie mieszka w Londynie, więc nie spełnia prawie żadnego kryterium z mojej listy…

– Jak zareagował, kiedy powiedziałaś mu o Jaime?

Jej rysy łagodnieją. Och, poznaję ten wyraz twarzy.

– „Opowiedz mi o niej”, poprosił. Rozmawialiśmy o Jaime chyba przez czterdzieści pięć minut bez przerwy. Nie wzdrygał się, nie wkurzał, nie próbował wycofać się rakiem, tylko słuchał.

Uśmiecham się.

– Na twojej liście nie było punktu „umie słuchać”, ale był na mojej.

– Poza tym udzielił mi cennych rad na temat zakładania własnej firmy. Miał mnóstwo pomysłów, ale to naprawdę nie był męski „tłumaczyzm”, wiesz?

– Nie bardzo, ale to dobrze – odpowiadam. – Rozmawiałaś z Leeną o tych nowych pomysłach?

Bee krzywi się.

– Nie chcę jej naciskać. Kiedy ostatni raz rozmawiałyśmy o planach B and L, powiedziała mi, że śmierć Carli tak zachwiała jej pewnością siebie, że naprawdę nie potrafi się z tym zmierzyć. Rozumiem. I chętnie zaczekam, aż będzie gotowa.

– Hm – odchrząkuję, gdy kelner przynosi nam kawę.

Bee unosi brwi.

– Słucham. Co takiego chciałaś powiedzieć?

– Nie jesteś typem kobiety, która czeka, aż ktoś się zdecyduje.

Miesza piankę na kawie.

– Jeżeli Leena tego potrzebuje, to jestem – odpowiada z prostotą.

– Bardzo ładnie z twojej strony. Ale nawet Leenę od czasu do czasu trzeba zmobilizować. Prawdę mówiąc, teraz jeszcze bardziej niż zwykle. Nigdy nie słyszałam u niej większej radości niż wtedy, gdy mówi o waszych planach, i to trochę smutne, że od tak dawna nic o nich nie wspominała. Może właśnie to dodałoby jej energii.

– Może – przytakuje Bee i nieco się ożywia. – Może po prostu… znowu dodam jej trochę animuszu. Nie chcę, żebyśmy straciły rozpęd. Czasem martwię się, że już zawsze będziemy Selmounciarami.

– Tak o sobie mówicie? Brzmi jak tytuł jakiejś nieprzyzwoitej powieści.

– Jezu. Żałuję, że to powiedziałaś. Teraz będę myślała o tym za każdym razem, kiedy szefowa powie o Selmounciarach. Selmounciary… Cholera, rzeczywiście tak brzmi…

*

Wieczorem siedzę obok Fitza przy śniadaniowym blacie i przeglądam odpowiedzi w sprawie Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch. Na razie pięć osób poprosiło o transport na wielkie otwarcie, siedem poinformowało mnie, że da mi znać bliżej terminu, parę innych wyraziło zainteresowanie. Staram się nie rozbudzać w sobie nadziei, chociaż naprawdę rysuje się to obiecująco.

Od czasu do czasu sprawdzam, czy Howard jest dostępny na czacie. Ma wspaniałe pomysły na naszą stronę internetową – jego wielki plan zakłada, że wykorzystamy ją do zbiórki datków.

Na razie trzymam to w tajemnicy jako niespodziankę, ale już nie mogę się doczekać, kiedy powiem Fitzowi o gotowej stronie. Jedyny minus jest taki, że Howard potrzebuje trochę pieniędzy na rozruch. Twierdzi, że w ciągu tygodnia inwestycja zwróci się podwójnie, więc szybko je odzyskam, i to z nawiązką, wydaje mi się więc, że mimo wszystko warto. Czekam na wiadomość, jaka kwota będzie potrzebna.

Przekopując się przez gąszcz wiadomości, natrafiam na rozmowę z Arnoldem, która składa się z serii filmów z kotami, przeplatanej błahymi informacjami o Hamleigh i ogrodzie. Zatrzymuję się na nim, po czym ni stąd, ni zowąd klikam na jego profil.

Obok zdjęcia pojawił się krótki tekst. *Nazywam się Arnold Macintyre i otwieram nowy rozdział w życiu*, czytam w okienku O MNIE. *Czy ktoś jest w podobnym momencie życia? Chętnie porozmawiam z pokrewną duszą…*

Masuję sobie kark. Ciekawe, czy ktoś odpowiedział na jego pytanie? Czy jakaś pokrewna dusza odmiennej płci zaczęła z nim czatować o otwieraniu nowego rozdziału w życiu? Nawet nie pomyślałam, że skoro Arnold rozmawia ze mną w tym serwisie, to prawdopodobnie rozmawia też z innymi.

Waham się nad przyciskiem wysyłania wiadomości. Przy imieniu Arnolda wyświetla się zielona kropka. Dziwnie jest wyobrażać sobie, że siedzi teraz w Hamleigh przed komputerem.

EileenCotton79 pisze: Witaj, Arnoldzie.
Muszę cię spytać: co masz na myśli, pisząc, że otwierasz nowy rozdział w życiu?
Arnold1234 pisze: Prawdę mówiąc, to ty mnie zainspirowałaś.
EileenCotton79 pisze: Ja???
Arnold1234 pisze: Znowu chwyciłaś życie za rogi. Ja dałem sobie z tym spokój dawno temu. No więc postanowiłem spróbować jeszcze raz.

Przez chwilę wpatruję się w ekran. Arnold jeszcze nie skończył.

Arnold1234 pisze: Chodzę na pilates, wiesz?

– Ha!

Fitz odrywa wzrok od swojego laptopa i patrzy na mnie spod uniesionych brwi. Uśmiecham się zażenowana.

– Nic ciekawego – rzucam lekceważącym tonem, odrobinę obracając ekran w swoją stronę.

EileenCotton79 pisze: I co jeszcze??
Arnold1234 pisze: Leena nauczyła mnie, jak robić pad thai na kolację.
EileenCotton79 pisze: Przecież Leena strasznie gotuje.
Arnold1234 pisze: Teraz już wiem.

Znowu się śmieję.

EileenCotton79 pisze: Betsy mówiła mi, że zostałeś też członkiem komitetu organizacyjnego majowego festynu…
Arnold1234 pisze: Zostałem. Chociaż twoja wnuczka nie chce zrobić majowych specjalności Eileen, więc wątpię, że festyn się uda.

Uśmiecham się. Co roku na majowe święto robię jabłka w toffi i sprzedaję je ze stoiska przed furtką swojego domu. Arnold zawsze kupuje trzy; narzeka na cenę, dopóki zirytowana, nie daję mu zniżki, a potem chełpi się tym przez cały wieczór. Zwykle ma resztki toffi na zębach.

Waham się przez chwilę z palcami nad klawiaturą.

EileenCotton79 pisze: Co ty na to, jeżeli obiecam ci, że po powrocie przygotuję dla ciebie jabłka w toffi?

Muszę długo czekać na odpowiedź.

Arnold1234 pisze: Dostanę specjalny rabat?

Śmieję się i przewracam oczami.

EileenCotton79 pisze: Gratis, za to, że troszczyłeś się o Leenę podczas mojej nieobecności, i w podziękowaniu za filmy z kotami. Naprawdę mnie ubawiły.
Arnold1234 pisze: Jak mogę odmówić?

Uśmiecham się.

Arnold1234 pisze: A jak tam Klub Srebrnego Pokolenia Shoreditch? Jak idą przygotowania?

Zapomniałam, że w naszym czacie w ogóle napomknęłam o klubie – to miłe, że pamięta.

EileenCotton79 pisze: W ten weekend mamy wielkie otwarcie!
Arnold1234 pisze: Chętnie bym to zobaczył.

Po chwili, zanim to dość zaskakujące zdanie zdołało do mnie dotrzeć:

Arnold1234 pisze: Gdybym został zaproszony, rzecz jasna.
EileenCotton79 pisze: Oczywiście, że zostałbyś zaproszony, Arnoldzie, nie bądź niemądry.
Arnold1234 pisze: Nigdy nie zostałem zaproszony do twojego domu, więc nie chciałbym zakładać…

Spod zmarszczonych brwi patrzę na ekran laptopa Leeny, opuszczając okulary na koniec nosa.

EileenCotton79 pisze: Nie chcesz chyba powiedzieć… Nigdy?
Arnold1234 pisze: Nigdy. Ani razu nie

zaprosiłaś mnie do siebie.
EileenCotton79 pisze: Ale przecież przypominasz sobie, że raz cię zaprosiłam.
Arnold1234 pisze: Aha, no tak, w takim razie od tamtego pierwszego dnia.

Przygryzam wargę, a potem w roztargnieniu pocieram ją palcem, żeby poprawić warstwę szminki.

Uświadamiam sobie – być może dzięki dzielącej nas odległości – że nie byłam zbyt życzliwa w stosunku do Arnolda.

Czekam jeszcze chwilę, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Tymczasem on przysyła mi film z kotem jeżdżącym na odkurzaczu. Parskam śmiechem.

Arnold1234 pisze: Pomyślałem, że to poprawi ci nastrój.
EileenCotton79 pisze: Przepraszam cię, Arnoldzie. Bardzo chciałabym zaprosić cię na herbatę po moim powrocie do domu i na jabłko w toffi.
Arnold1234 pisze: Bardzo chętnie przyjdę.
Arnold1234 pisze: Udanego otwarcia klubu, Eileen. Wszyscy nie możemy się doczekać twojego powrotu do Hamleigh.

Potem zielona kropka gaśnie.

To mój ostatni wieczór z Todem. Wyjeżdżam dopiero w poniedziałek, ale weekend chcę sobie zarezerwować na pożegnania ze swoimi nowymi przyjaciółmi.

Właściwie nie czuję smutku, żegnając się z Todem. Od pierwszego dnia wiedzieliśmy, że ta chwila nastąpi i kiedy nastąpi. Dlatego bardzo się dziwię, gdy podnosi się ze swojego luksusowego białego łóżka, siada obok mnie i mówi:

– Eileen, nie jestem jeszcze gotów żegnać się z tobą.

Jestem tak zdumiona, że muszę zaczekać, aż przyjdą mi do głowy odpowiednie słowa, a trwa to tak długo, że rzednie mu mina.

– Och, przepraszam. – W zamyśleniu sięgam po jego dłoń. – Zaskoczyłeś mnie. Zawsze mówiliśmy…

– Wiem. – Przyciska moją dłoń do ust. Spędził popołudnie w łóżku, więc jego siwe włosy są zmierzwione i nastroszone; przygładzam je, by wyglądały tak, jak lubi, zaczesane do tyłu w stylu Donalda Sutherlanda. – To było naprawdę nadzwyczajne. Nie da się tego inaczej określić. Jesteś jedyna w swoim rodzaju, Eileen Cotton.

Uśmiecham się, spuszczając wzrok na pościel przykrywającą moje kolana.

– Powiedzieliśmy sobie, że pożegnamy się dzisiaj.

– Pożegnać możemy się jutro. Albo pojutrze. Albo innego dnia w dalszej przyszłości. – Posyła mi szelmowski uśmiech i splata swoje palce z moimi. – Nie bądź taka, pozwól mi się przekonać. Przyjdź jutro na przyjęcie po spektaklu. Będzie grill na dachu w King's Cross. Na takich imprezach jest dobre jedzenie, są ciekawe rozmowy, czasem zagląda jakaś gwiazda z West Endu…

– Daruj sobie to przyjęcie – mówię pod wpływem impulsu. – Przyjdź na inaugurację Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch. – Całuję go w policzek. – Byłoby cudownie, gdybyś się tam pojawił.

Waha się przez chwilę.

– No… chyba mógłbym.

Rozpromieniam się. Ten projekt to najważniejszy punkt mojego pobytu w Londynie – wydaje mi się, że Tod powinien uczestniczyć w uroczystym otwarciu klubu. I być może ma rację. Może to nie musi być koniec tylko dlatego, że wracam do Yorkshire. Przecież to tylko dwie godziny pociągiem.

Dopiero gdy wychodzę z jego domu, zdaję sobie sprawę, że Howard też zapowiedział się na uroczyste otwarcie. Ojej. W takich chwilach okazuje się, że randkowanie to jednak skomplikowana sprawa.

27
Leena

– Absolutnie nie! – oświadczam stanowczo.

– Ale Vera ma biegunkę! – jęczy Penelope.

Mam tyle roboty i tak mało czasu, że nawet mnie to nie bawi.

– Penelope, muszę być tutaj i dopilnować, żeby wszystko gładko poszło! W tej wsi na pewno mieszka jakaś młoda kobieta, którą da się zmusić albo przekupić, żeby została Królową Maja.

– Chyba tak… Jest Ursula…

Ursula ma szesnaście lat i jest córką właścicieli wiejskiego sklepu. Zwykle siedzi z kolanami pod brodą i książką w rogu sklepu, przy świeżych warzywach. Nigdy nie widziałam, by zamieniła z kimkolwiek słowo.

– Doskonale. – Wracam do pięknych girland z herbami, które właśnie są rozwieszane między latarniami na Peewit Street. Ranek jest chłodny;

girlandy odbijają się srebrzyście w kałużach na chodniku, a flagi, którymi przyozdobiliśmy pomnik ku czci poległych na końcu ulicy, pięknie łopoczą na wietrze. – Zostawiam ci to, Penelope, i liczę na twój talent.

– Ta girlanda jest krzywa – zauważa Roland.

Zamykam oczy i głęboko oddycham.

– Dziękuję, Rolandzie.

– Nie ma sprawy – odpowiada uprzejmie i z terkotem silnika rusza za Penelope.

– Naprawdę krzywo wisi – słyszę głos Jacksona.

Odwracam się. Tworząc kostium Króla Maja, ostatecznie uznałam, że nie będę dla niego okrutna. Jackson ma na sobie zielone spodnie wpuszczone w wysokie brązowe buty i luźną białą koszulę ściągniętą w talii pasem: tak mógłby wyglądać Robin Hood, gdyby był zwalistym rugbystą, a nie sprytnym rozbójnikiem z lasu. Jackson ma już na szyi majowy wieniec, który jest piękny – Kathleen uplotła go z polnych kwiatów i liści znalezionych w żywopłotach.

Ukoronowaniem całości są jednak rogi. Potężne, zielone, zakręcone jak u barana i wysokie jak moje zajęcze uszy.

Nie potraktowałam tego stroju, kierując się okrucieństwem, ale nie zamierzałam darować Jacksonowi komicznego nakrycia głowy.

– Ej – mówi z wyrzutem, gdy powstrzymuję uśmiech. – Ja zachowałem powagę, kiedy wyglądałaś jak Królik Roger.

Zaciskam usta i przybieram najbardziej poważną minę, na jaką mnie stać.

– Wyglądasz niezwykle dostojnie – zapewniam go. Kiedy odwracam się do girland, czuję, że coś ląduje na mojej szyi. Spoglądam w dół: wieniec Królowej Maja, taki sam jak Jacksona, tylko z kilkoma różowymi kwiatkami, które wpleciono między białe.

Obracam się na pięcie, by znowu na niego spojrzeć.

– O nie, nie ma mowy. – Próbuję zdjąć z siebie wieniec.

Jackson łapie mnie za nadgarstek.

– Przecież wiesz, że Ursula nigdy tego nie zrobi. Proszę. W imię poczucia wspólnoty.

– Nie mogę iść w paradzie, muszę wszystko organizować! – protestuję. – Platforma dla króla i królowej przegniła na wylot, trzeba albo znaleźć bardzo zdolnego stolarza, albo nową platformę, a…

– Zostaw to mnie – przerywa mi Jackson, ukazując jeden dołeczek w policzku. – Bądź moją Królową Maja, a ja wykombinuję sposób, żebyśmy pojechali z fasonem, zgoda?

Patrzę na niego spod przymrużonych powiek.

– Gdybyś nie wiedział, to jest moja podejrzliwa mina.

– Całkiem dobrze znam już tę minę – odpowiada Jackson. Nadal trzyma mnie za nadgarstek; ciekawe, czy czuje mój przyspieszony, nierówny puls. – Zostaw to mnie.

Gdy puszcza moją rękę, ciągle czuję na skórze dotyk jego palców, ciepłych jak promienie słońca.

Chcę, żeby przyjechał Ethan. To już trwa za długo. Czuję się coraz bardziej głupio i jestem coraz bardziej rozkojarzona tym idiotycznym… sama nie wiem czym… tym zadurzeniem w Jacksonie. W tym tygodniu parę razy przyłapałam się na tym, że myślę o nim, kiedy nie powinnam; że przygotowując kolację, odtwarzam w myślach nasze rozmowy, wyobrażam sobie, o czym myślał. Przypominam sobie blade piegi pod tymi nieruchomymi niebieskimi oczami i dotyk jego ciała, którym przycisnął mnie do lustra w salonie.

Sprawdzam telefon – czekam na SMS-a od Ethana z wiadomością, kiedy przyjedzie – ale jak

zwykle nie mam zasięgu. Wydaję gniewny pomruk i wracam do aranżowania girland. Odhaczam w pamięci listę zadań, jakie mnie jeszcze czekają: sprawdzić, czy przywieziono już przenośne toalety, zrobić coś z zalaną łąką, która została wyznaczona na parking, zadzwonić do człowieka od dostawy lodu, zapytać Betsy o stragany z jedzeniem…

Wraca Penelope.

– Ursula woli, żeby jeden z tych sokołów wydziobał jej oko, niż gdyby miała zostać Królową Maja – oznajmia.

– Boże, to… bardzo sugestywne – mówię. Najwyraźniej źle oceniłam tę dziewczynę. – No dobrze, pomyślę o kimś innym, jak tylko załatwię sprawę stoisk z jedzeniem, lodu, zalanej łąki i toalet.

– Odetchnij, kochana – radzi Penelope, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Już tyle zrobiłaś! Betsy na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś zrobiła sobie małą przerwę.

– Penelope – gładzę jej rękę – naprawdę nic nie sprawiło mi takiej przyjemności od… Boże, nie wiem, od bardzo dawna. Proszę cię, nie każ mi robić sobie przerwy.

Wlepia we mnie sowie oczy.

– Jednak jesteś dziwna, skarbie – rzuca.

Uśmiecham się do niej i znowu zerkam na wyświetlacz telefonu: niebywałe, ale pojawiły się trzy kreski sygnału, a wiadomość od Ethana nie przyszła. Staram się o tym nie myśleć i dzwonię do Betsy, wciskając klawisz szybkiego wybierania numeru (to nie żart: telefon babci naprawdę ma szybkie wybieranie).

– Przepraszam, że nie odebrałam, kiedy dzwoniłaś! – mówię do słuchawki, jednocześnie pokazując w lewo mężczyznom rozwieszającym girlandy. (To Rob i Terry? Chyba tak. Czy może Roba i Terry'ego odkomenderowałam do zamknięcia wjazdu na Lower Lane?).

– Chodzi o stoiska z jedzeniem, Leeno. Nie przyjechały.

– Co takiego? Czemu?

– Nie wiem! – Głos Betsy brzmi płaczliwie.

– Nie martw się, załatwię to. – Rozłączam się i odnajduję numer jednego z właścicieli stoisk z jedzeniem. Każde z nich prowadzi ktoś inny, w większości miejscowi; pierwszy numer należy do człowieka sprzedającego tosty z serem.

– Przykro mi – mówi. – Firs Blandon zaproponowało nam dwa razy tyle.

– Firs Blandon? – Wioska, na którą ciągle utyskuje Straż Sąsiedzka? – Za co?

– Oni też chyba urządzają majówkę. Przy drodze obok waszej tablicy postawili swoją, która kieruje ludzi do nich. Ich tablica jest zresztą większa – dodaje uprzejmie właściciel budki z tostami.

– Nie róbcie tego – rzucam do telefonu. – Już jadę do Firs Blandon. – Biegiem ruszam w kierunku Agathy. – I na pewno sprowadzę was wszystkich do Hamleigh-in-Harksdale, zgodnie z umową, ale skończy się to w mało przyjemny sposób. I zaręczam, że znacznie lepiej dla was będzie wrócić do Hamleigh i wypełnić zobowiązania wynikające z umowy.

Zapada niezręczna cisza.

– Przecież niczego nie podpisywałem – zauważa właściciel straganu.

Kurczę, niech to szlag jasny, rzeczywiście nie podpisywał. Skontaktowaliśmy się po prostu z właścicielami stoisk, którzy przyjeżdżają co roku, i poprosiliśmy, żeby tym razem postarali się zaakcentować motyw średniowieczny, a wszyscy odpowiedzieli: „Oczywiście, przyjedziemy!”. Być może przy organizacji pierwszego festynu podpisywano jakieś umowy, ale Bóg jeden wie, gdzie te papiery są.

– Mimo to przysługują nam jakieś prawa – odpowiadam spokojnie, choć nie mam bladego

pojęcia, czy to prawda.

– No tak. W każdym razie… Przepraszam, Leeno. Tosty z grilla to naprawdę nie jest kokosowy interes i… Przepraszam. – Odkłada słuchawkę.

Otwieram samochód. Obok mnie pojawia się Penelope i patrzy na mnie z niepokojem w swoich wielkich oczach.

– Nie ma straganów z jedzeniem! – mówi, łapiąc mnie za ramię.

– To katastrofa!!! – ryczy Basil, który zbliża się do nas bardzo wolnym, choć zdecydowanym truchtem. – Cholerne Firs Blandon! Mogłem się domyślić, że coś knują!

– Wszystko w porządku, Leena?! – woła Arnold z głębi ulicy, gdzie sprawdza żarówki w rozwieszonych lampionach.

– Wsiadajcie wszyscy. – Wskazuję na samochód.

Rzucam kluczyki Penelope, a ona łapie je, zdumiona, że nie zawiódł jej refleks.

– Poprowadzisz – informuję ją.

– Co by powiedział na to doktor Piotr? – pyta Basil. – Mówił przecież, że Penelope nie powinna…

Oczy Penelope rozbłyskują.

– Do diabła z doktorem Piotrem! – woła, otwierając drzwi od strony kierowcy. – Wolę ten dreszczyk!

*

Nie powiedziałabym, że z Penelope za kierownicą czuję się bezpiecznie. Na pewno jednak posuwamy się naprzód.

– Było czerwone światło – zwraca jej delikatnie uwagę Arnold, kiedy mijamy skrzyżowanie.

– Za chwilę zapaliłoby się zielone – odpowiada Penelope, nie zdejmując nogi z gazu.

Ja tymczasem nie wypuszczam z rąk telefonu.

– Kto zarządza Firs Blandon? – pytam. – Mają tam jakiegoś burmistrza czy kogoś w tym rodzaju?

– Co? Nie – mówi Arnold. – Pewnie przewodniczący rady gminy.

– Być może jest ktoś taki – odzywa się chytrym tonem Penelope – ale najprawdopodobniej niewiele ma do powiedzenia.

Unoszę wzrok znad telefonu.

– Nie?

– U nas przewodniczącą Straży Sąsiedzkiej jest Eileen – Penelope pokonuje ostry zakręt

z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę – ale wszyscy wiemy, że rządzi Betsy.

– Hej, wolniej, było ograniczenie do pięćdziesięciu!

– Nie widziałam – odburkuje Penelope.

Kiedy wjeżdżamy do Firs Blandon, opuszczam szybę. Mają girlandy! I lampiony! Sukinsyny!

– Przepraszam – zwracam się do jednego z mężczyzn rozwieszających girlandy. – Kto tu zarządza?

– Prowadźcie do dowódcy! – wtrąca z tylnego siedzenia Basil i rechocze rozbawiony własnymi słowami.

– Zarządza?

– Tak.

– No, przewodniczącym rady jest…

Niecierpliwie macham ręką.

– Pytam, kto jest prawdziwym szefem. Kiedy na przykład ktoś parkuje trochę za blisko skrzyżowania albo w pubie podwyższają o funta cenę ryby z frytkami, kto interweniuje, żeby było tak, jak było?

– Aha, pewnie chodzi o Dereka – domyśla się mężczyzna. – Tam jest, pilnuje rozstawiania stoisk z jedzeniem.

– Dziękuję – rzucam i po chwili wydaję krótki pisk, bo Penelope znowu wciska gaz.

– Nigdy nie ufałam żadnemu Derekowi – wyznaje dość tajemniczo Penelope, kiedy wjeżdżamy na główną ulicę Firs Blandon, wzdłuż której ciągną się wszystkie nasze stragany z jedzeniem.

– Zaparkujcie – polecam, otwierając już drzwi. – Idę.

Nietrudno rozpoznać Dereka. To mężczyzna pod siedemdziesiątkę, który wymachuje megafonem i ma na głowie bardzo jaskrawy i zupełnie niepotrzebny żółty kask.

– Kawałeczek w prawo! Teraz trochę w lewo! Ani trochę w lewo! Nie w lewo!!! – krzyczy do megafonu.

– Derek? – odzywam się uprzejmym tonem.

– Tak? – Prawie nie ogląda się za siebie.

– Leena Cotton – przedstawiam się, stając przed nim i wyciągając rękę. – Reprezentuję Hamleigh-in-Harksdale.

To przyciąga jego uwagę.

– Szybko się zjawiłaś. – Na jego twarzy igra pogardliwy uśmieszek, na którego widok krew się we mnie zagotowuje.

– Mam świetnego kierowcę – wyjaśniam. – Możemy gdzieś porozmawiać?

– Jestem trochę zajęty. Muszę zorganizować festyn majowy i tak dalej. Chyba rozumiesz.

– Oczywiście – zapewniam go z uśmiechem. – Chciałam tylko życzyć powodzenia.

Zerka na mnie zaskoczony.

– Wielkie dzięki. – Jego uśmieszek staje się coraz bardziej bezczelny. – Ale nie trzeba. Mamy dzisiaj najlepsze jedzenie w Yorkshire.

– Nie chodzi mi o dzisiaj – mówię. – Życzę powodzenia przy wnioskach o pozwolenie na budowę.

Derek zastyga w bezruchu.

– Co takiego?

– Firs Blandon ma ambitne plany! Centrum gminne na skraju wsi, wiesz, to, które będzie widać z kilku domów przy Peewit Street w Hamleigh… może być cudownym uzupełnieniem okolicy albo oczywiście, w zależności od punktu widzenia, koszmarkiem, który będzie niekorzystnie oddziaływał na ikoniczny krajobraz Yorkshire Dales.

Udało mi się przykuć uwagę Dereka.

– O, Penelope, Basil, Arnold! – Przywołuję ich gestem. – Poznajcie Dereka. Będziemy go częściej spotykać, kiedy aktywniej zainteresujemy się wnioskami o pozwolenie na budowę składanymi przez Firs Blandon. – Uśmiecham się radośnie do

Dereka. – Basil, Penelope i Arnold mają bardzo zdecydowane poglądy na lokalne sprawy. Prawda?

– Ma się rozumieć! – Basil wypina pierś.

– Od zawsze angażuję się w sprawy wsi – oświadcza Arnold.

– A ja powiem tylko – Penelope wpatruje się w człowieka w kasku – że to imię ma w sobie coś dziwnego. Nigdy nie spotkałam Dereka, którego dałoby się polubić. Nigdy.

Z promiennym uśmiechem wyjmuję megafon z ręki Dereka, który nie stawia żadnego oporu.

– Zwijać się, wszyscy! – krzyczę przez megafon. – Jedziemy do Hamleigh-in-Harksdale.

*

Właściciele stoisk z jedzeniem wracają do Hamleigh, podkulając ogony między koła samochodów. Penelope prowadzi Agathę z beztroską brawurą siedemnastolatka i wjeżdżamy do wsi razem ze straganiarzami, mimo że po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze w Knargill, żeby zabrać Nicolę. Kiedy mijamy potykacz reklamowy z informacją o majowym festynie w Firs Blandon, Penelope wykonuje gwałtowny skręt; piszczę, łapiąc się klamki, gdy

samochód zahacza o tablicę, tak że ta przewraca się na pobocze.

– Ojoj – mruczy Penelope.

– Teraz ten! – woła rozochocona Nicola i pokazuje ustawioną dalej przy drodze tablicę informującą o sprzedaży żywności prosto od rolnika.

Gdy dojeżdżamy do Hamleigh, dochodzę do wniosku, że zdążę jeszcze sprawdzić, czy przywieziono toalety, zanim pojawią się ludzie z firmy melioracyjnej, żeby osuszyć parking. Ale kiedy zatrzymujemy się przy łące, na której mają się rozstawić stragany, przed wjazdem stoi spora gromadka ludzi, zasłaniając nam widok. Penelope i ja spoglądamy na siebie zdziwione; parkujemy na poboczu i wysiadamy. Chcę pomóc Nicoli, lecz ubiega mnie Basil, podając jej ramię z iście średniowieczną rycerskością. Arnold poklepuje Agathę po masce – bardzo się troszczy o ten samochód, odkąd wyciągnął go z żywopłotu.

– Co tam się dzieje? – pyta, ruchem głowy wskazując na zamieszanie.

– Nie mam pojęcia. – Po drodze sprawdzam telefon. Bee przysłała mi wiadomość, która wywołuje u mnie szybsze bicie serca.

*

Leena, ZRÓBMY TO. B&L Consulting. Obgadałam to z twoją babcią i jestem NAKRĘCONA. Jeżeli potrzebujesz jeszcze trochę czasu, wiesz, że zaczekam, ale nie odwlekajmy tego. Zajmę się całą czarną robotą, jeżeli nie masz do tego głowy. Tylko nie zapominajmy o naszych marzeniach, kochana! Będziemy szefami! xx

Gdy czytam drugą wiadomość, od Ethana, uchodzi ze mnie powietrze.

Przepraszam, aniele – mam tu straszny młyn. Muszę posiedzieć jeszcze parę godzin przy biurku. Pewnie nie mam co liczyć na to, że ty przyjedziesz? Xx

Z trudem przełykam ślinę i idąc po trawie, odpisuję.

Ethan, wiesz, że nie mogę dzisiaj wyjechać z Hamleigh, jest festyn. Mam nadzieję, że ze wszystkim sobie poradzisz. Spróbujmy przynajmniej pogadać przez telefon, co? x

– Ethan nie przyjedzie? – pyta cicho Arnold.

Zerkam na niego.

– Pokerowa twarz nie bardzo ci wychodzi – wyjaśnia.

Wsuwam telefon do kieszeni bluzy z kapturem.

– To nie jego wina. Praca.

Patrzy na mnie bardzo poważnie.

– Leena – mówi. – Wiem, że był dla ciebie dobry, kiedy go potrzebowałaś. Ale nie można z kimś być z wdzięczności. Nie tędy droga.

– Wcale nie jestem z Ethanem z wdzięczności! – oburzam się.

– W porządku. Dobrze. – Arnold ściska moje ramię. – Po prostu sądzę, że zasługujesz na człowieka, który będzie cię traktował jak należy.

– Bardziej cię lubiłam, kiedy byłeś pustelnikiem – rzucam, mierząc go chłodnym wzrokiem.

Wyszczerza zęby w uśmiechu, który zaraz jednak zamiera mu na twarzy. Oboje słyszymy to samo.

– Kurwa, ani mi się waż!

To Cliff. Przeciskam się przez tłum na łąkę, gdzie Betsy i Cliff stoją naprzeciw siebie jak kowboje, którzy za moment chwycą za broń.

Betsy już właściwie chwyciła, choć nie trzyma rewolweru, ale pilot do telewizora.

– Mam tego dość! Słyszysz? Mam tego dość!!! – Łapie pilot oburącz, jak gdyby chciała go złamać na pół. Cliff ryczy z wściekłości.

Wygląda mniej więcej tak, jak go sobie wyobrażałam. Czerwony na twarzy, krępy, w sportowych skarpetach, szortach i brudnej bluzie, która opina piwny brzuch, stanowi zupełne przeciwieństwo drobnej i schludnej Betsy w apaszce i krótkim różowym żakieciku. Tyle że to Betsy w tym momencie wygląda na silniejszą.

– Cliffie Harris – mówi cichym i surowym głosem. – Ja na to nie zasługuję.

Po czym z nadludzką siłą, jaką moim zdaniem może mieć tylko kobieta, która bardzo długo była traktowana jak szmata i to znosiła, łamie pilot na pół.

Cliff rzuca się na nią, ale wtedy Arnold i ja wkraczamy do akcji. Jesteśmy szybsi od niego i łapiemy go pod ręce, zanim zdąży dosięgnąć Betsy.

– Masz się wynieść z domu do końca tego tygodnia, słyszysz?! – woła przez łąkę Betsy.

Jej mąż wyrzuca z siebie stek plugastw, tak obrzydliwych, że aż mnie zatyka. Arnold odciąga

go do tyłu i daje znak Basilowi, aby mu pomógł.

– Damy sobie radę – uspokaja mnie Arnold.

Kiwam głową, bo jestem potrzebna gdzie indziej.

Kiedy podchodzę do Betsy, natychmiast osuwa się w moje ramiona.

– Chodź. – Odprowadzając ją, piorunuję wzrokiem ludzi zebranych przy wejściu i tłum stropionych gapiów rozstępuje się, żeby nas przepuścić. – Byłaś wspaniała.

Betsy próbuje się odwrócić.

– Och, chciałam… tylko…

Ściskam jej ramię.

– Teraz musimy ci znaleźć jakiś kąt, zgoda? – Przygryzam wewnętrzną część policzka. Clearwater Cottage jest za blisko. Betsy powinna wyjechać na tydzień, dopóki nie usuniemy stąd Cliffa.

Obok samochodu czekają Penelope i Nicola. Szeroko otwierają oczy, kiedy podchodzę, prowadząc pod ramię Betsy, która trochę chwieje się na nogach. Pomagam jej zająć miejsce pasażera z przodu, a kiedy zapinam jej pas, wpadam na pomysł.

– Nicola – mówię cicho, kiedy drzwi samochodu są już zamknięte. – Betsy dała

mężowi tydzień, żeby znalazł sobie nowe mieszkanie.

Rysy Nicoli łagodnieją. Zerka na siedzącą w aucie milczącą Betsy, która wciąż ściska w rękach połówki zniszczonego pilota do telewizora.

– Tak? Coś podobnego.

– Czy myślisz, że…

– Może u mnie zostać, jak długo zechce – przerywa mi Nicola.

– Na pewno? Wiem, że to nie jest drobna prośba.

– Jeżeli kobieta nie ma dokąd pójść, a u mnie jest wolne łóżko, to nie ma o czym mówić.

Nicola otwiera już tylne drzwi, a ja machinalnie pomagam jej wsiąść.

– Pojedziemy do mojego domu, kochana – zwraca się do Betsy, sadowiąc się z tyłu. – Nastawię czajnik, napijemy się dobrej herbatki, a potem przygotuję na kolację zapiekankę rybną.

Z ogromnym trudem powstrzymuję łzy, kiedy biorę kluczyki z rąk zmartwionej Penelope i siadam za kierownicą. Co za ludzie! Jest w nich taka zawziętość, ale też tyle czułości. Gdy tu przyjechałam, ich życie wydawało mi się śmieszne i nieważne, myliłam się jednak. To najwspanialsi ludzie, jakich znam.

28
Eileen

We wspólnej części budynku wrze jak w ulu. Fitz uchyla się przed paczką serwetek, które Martha rzuca Aurorze. Rupertowi udaje się złapać koniec obrusu rozkładanego przez Letitię i położyć go równo na stole. Yaz jedną ręką kwituje odbiór dostawy jedzenia, a w zgięciu drugiej trzyma małą Vanessę. Yaz i Martha po raz pierwszy pojawiają się w tym towarzystwie po kilku tygodniach, które poświęciły wyłącznie swojej nowej rodzinie, i muszę przyznać, że znakomicie odnajdują się w wirze pracy. Nie przypuszczałabym zresztą, że będzie inaczej.

Liczyliśmy na to, że podejmiemy Srebrne Pokolenie Shoreditch gorącym posiłkiem, ale sprawa mocno się skomplikowała ze względu na możliwe alergie i tym podobne, więc na razie trzeba się zadowolić bufetem z przekąskami. Na

szczęście zdążyłam zobaczyć zamówienie wysłane do supermarketu, zanim Fitz wcisnął przycisk KUPUJĘ, bo niemal wszystkie wybrane przez niego smakołyki stanowiłyby wyzwanie dla kogoś z brakami w uzębieniu albo nową protezą. Teraz mamy znacznie mniej marchewki w słupki i chipsów, a znacznie więcej miękkich kiełbasek w cieście i pokrojonych w kwadraty quiche'ów.

Wyjmuję telefon. Lada chwila powinien się tu zjawić Tod z autokarem, który ma przywieźć seniorów z Shoreditch; spodziewam się, że zadzwoni, gdy będzie przed budynkiem. Howard zapowiedział natomiast, że postara się przybyć na wyznaczoną godzinę inauguracji, czyli też jest już niedaleko. Nerwowo przygładzam włosy; Martha upięła mi je i wyglądam naprawdę elegancko, obawiam się jednak, że trochę za bardzo.

Mam dwie wiadomości. Pierwsza jest od Bee:

> Zatrzymał mnie klient i nie zdążę na uroczyste otwarcie. STRASZNIE cię przepraszam. Czuję się okropnie. Mogłabyś odwiedzić mnie jutro rano przed wyjazdem? Będę w Selmount i nie mam zaplanowanych żadnych spotkań. Siedzibę

Selmount masz po drodze na King’s Cross, prawda?

Wstukuję odpowiedź.

Witaj, Bee. Nie przejmuj się. Może być o 9 rano? Jeżeli będziesz miała czas, może zdążymy wypić ostatnią kawę z muffinem. Oczywiście nic się nie stanie, jeżeli nie będziesz mogła. Ściskam, Eileen xxx

Odpowiedź przychodzi prawie natychmiast.

Świetnie. Jeszcze raz przepraszam xxx

Drugą wiadomość przysłał Howard.

OldboyZeWsi pisze: Cieszę się, że zgodziłaś się na 300 funtów na rozruch strony. Obiecuję, w ciągu tygodnia zbiórka przyniesie dwa razy więcej! xxx
EileenCotton79 pisze: Dam ci czek, kiedy się spotkamy. Nie mogę się doczekać, żeby wreszcie zobaczyć naszą stronę :)

Migają kropki, co oznacza, że Howard odpisuje.

OldboyZeWsi pisze: Bardzo mi przykro, Eileen, ale chyba nie zdążę na inaugurację. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, muszę dokończyć tę stronę! Mogłabyś zrobić przelew internetowo?

Żal ściska mi serce. Myślałam… naprawdę… Zresztą mniejsza z tym. Dzisiejsza impreza nie jest dla Howarda i świat się nie zawali, jeżeli się nie pojawi.

EileenCotton79 pisze: Niestety, w ogóle nie jestem przygotowana do płatności przez komputer. Ale mogłabym przesłać czek pocztą. Podaj mi tylko adres. Serdeczności, Eileen xx

– Eileen? – słyszę znajomy głos.

Unoszę wzrok i widzę Toda – cudownego, przystojnego Toda. Znowu żywiej bije mi serce. Chyba właśnie dlatego przydaje się mieć na podorędziu kilku mężczyzn jednocześnie.

– Jesteś! – Wspinam się na palce, żeby pocałować go w policzek.

Prezentuje się bardzo szykownie w rozpiętej pod szyją koszuli i spodniach z bawełny. Przygląda się gorączkowej krzątaninie z nieco oszołomioną miną.

– To wszystko twoje dzieło?

– Tak! Ściślej rzecz biorąc, nasze – wyjaśniam rozpromieniona.

– Och, dzień dobry. Tod, prawda? – mówi Fitz, wyrastając obok nas jak spod ziemi. Wyciąga rękę do Toda. – Miło mi pana poznać. Mam szczery zamiar pójść w pańskie ślady, kiedy dorosnę.

– Chcesz zostać aktorem? – zaciekawia się Tod.

– Chcę być w pełni sprawnym kochankiem po siedemdziesiątce – wyprowadza go z błędu Fitz. – Nie, to nie wazon, przygotowaliśmy to na laski!

Ostatnie zdanie jest skierowane do Letitii. Zerkam ze skruszoną miną na Toda, który na szczęście wydaje się rozbawiony.

– Przepraszam za ten cały chaos… – zaczynam.

– Mam złą wiadomość – wpada mi w słowo Tod.

– Jaką?

– Chodzi o autokar. Niestety, potrzebuje go zespół naszego teatru.

Łapię się za serce.

– Co takiego?! Nie przyjechałeś autokarem? Nie mamy transportu?

Ma zatroskaną minę.

– Och, to było aż tak ważne?

– Oczywiście, że było bardzo ważne! Obiecaliśmy pojechać po tych ludzi! – Macham w jego kierunku telefonem.

– Nie można po prostu zamówić im taksówek? – pyta z zakłopotaniem.

– Na razie fantastyczni mieszkańcy tego budynku płacą na ten klub z własnej kieszeni – warczę, mierząc go zimnym wzrokiem spod przymrużonych powiek. – Nie mogą płacić za nie wiadomo ile taksówek.

– Aha, no tak. – Przez chwilę liczę na to, że Tod zaproponuje pokrycie kosztów transportu, ale nic z tego. Jeszcze bardziej mrużę oczy.

– Przepraszam cię – rzucam lodowatym tonem. – Lepiej pójdę to załatwić.

Mężczyźni! Do cholery, zawsze cię rozczarowują.

*

Wiem, że Sally nie jest gorącą zwolenniczką naszego klubu seniorów i na pewno zamierza spędzić popołudnie w mieszkaniu zamkniętym na cztery spusty. Ale nie mam się do kogo zwrócić. Czekam zdenerwowana pod jej drzwiami. Zwleka z ich otwarciem w nieskończoność, a nie wiem, co poczniemy, jeżeli się okaże, że jej nie ma.

W końcu Sally otwiera wszystkie zamki, wygląda zza drzwi, a na mój widok cofa się z powrotem w głąb mieszkania.

– Halo?! – wołam zdumiona.

Pojawia się znowu, trzymając już kluczyki do samochodu.

– Co to za nagła sprawa tym razem? – pyta, zamykając za sobą drzwi.

Przez całą drogę do wyjścia wzdycha i zrzędzi, ale nie brzmi przekonująco. Wydaje mi się, że lubi być bohaterką.

Kiedy odjeżdżają z Fitzem, uzbrojeni w pełną listę nazwisk i adresów, zajmuję sobie czas rozkładaniem na stolikach domina i kart, zerkając nerwowo w stronę drzwi. Tak często przygładzam włosy, że grozi mi zupełna ruina nowej fryzury. Z napięcia nie mogę usiedzieć w miejscu.

Gdy nie przychodzi mi już na myśl żadne zajęcie, sygnał telefonu informuje mnie o odebraniu wiadomości. Od Arnolda.

Droga Eileen,
pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że dzisiaj Betsy wyrzuciła z domu Cliffa. Leena znalazła jej tymczasowy kąt u Nicoli w Knargill, a Cliff usłyszał od nas parę ostrych słów i obiecał, że do najbliższego weekendu wyprowadzi się do brata, który mieszka w Sheffield, więc Betsy nareszcie będzie miała dom dla siebie.

Przepraszam, że przeszkadzam w uroczystym otwarciu klubu, wiem, jaki to ważny dzień. Uznałem jednak, że powinnaś wiedzieć.

Arnold

Przyciskam telefon do piersi. W pierwszym odruchu chcę zadzwonić do Betsy, zaraz jednak przypominam sobie, jak się czułam tuż po odejściu Wade’a, jakie to było upokorzenie i wstyd. Na początku nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

Postanawiam więc wysłać do niej SMS-a.

Myślę o tobie – piszę. A potem pod wpływem impulsu dodaję: – Jesteś dzielną i cudowną przyjaciółką. Serdecznie cię ściskam, Eileen xxx

Jeszcze raz otwieram SMS-a od Arnolda, ale nie bardzo wiem, jak mu odpowiedzieć. To ładnie z jego strony, że przekazał mi nowinę o Betsy. Dziwne, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni Arnold poprawiał mi nastrój tymi śmiesznymi filmami o kotach i wiadomościami z Hamleigh.

– Eileen?! – woła Fitz. – Już są!

Odwracam się do drzwi. Rzeczywiście: nadchodzi Srebrne Pokolenie Shoreditch; niektórzy wsparci na balkonikach, inni dziarskim i sprężystym krokiem, ale wszyscy z uwagą i ciekawością oglądają nowe miejsce sąsiedzkich spotkań, gdy Sally i Fitz pomagają im wchodzić. Patrzę na tę przestrzeń ich oczami, jakbym widziała ją pierwszy raz – na szarozielone ściany, podłogę z pięknych gołych desek – i rozpiera mnie duma.

– Witajcie! – Otwieram ramiona. – Zapraszam!

*

Kiedy poznałam Letitię, zastanawiałam się, ile innych równie intrygujących osób siedzi

zaszytych w londyńskich mieszkankach, nie odzywając się do nikogo.

A teraz znalazłam się w pomieszczeniu pełnym Letitii, zupełnie różnych, ale wyjątkowo interesujących. Jest wśród nich Nancy, która grała kiedyś na flecie w Londyńskiej Orkiestrze Symfonicznej. Jest Clive, który przez całe życie jeździł nocą ciężarówkami, a dziś może zasnąć tylko wtedy, gdy za oknem jest jasno. Jest Ivy, która nie ma sobie równych w scrabble i potrafi spałaszować kiełbaskę w cieście w dwóch kęsach, po czym z poczuciem winy przyznaje, że w zasadzie jest genialna i prawdopodobnie należy jej zabronić siadania z innymi do gier planszowych.

Rupert urządza półgodzinne zajęcia plastyczne – był na tyle przewidujący, by rozłożyć folię, co okazało się bardzo rozsądne, ponieważ więcej farby ląduje na podłodze niż na płótnach. Później jest poczęstunek, a potem muzyka – to inicjatywa Fitza. Ivy i Nancy podrywają się nawet do tańca. Jest przecudownie. Chcę, żeby to trwało i trwało.

– Zrobiłaś tu coś wspaniałego, Eileen. – Przechodząc obok, Martha całuje mnie w policzek.

Siadam na kanapie, żeby odsapnąć, i patrzę, jak Nancy i Ivy próbują kroków fokstrota, omijając slalomem stoliki do remika. Obok mnie pojawia się Tod. Jestem zdziwiona na jego widok – większą część popołudnia spędził w mieszkaniu Leeny, odbierając telefony.

– To chyba nie jego towarzystwo – stwierdziła dyplomatycznie Martha, kiedy się poskarżyłam, że nie chce do nas dołączyć.

Rzeczywiście chyba tu nie pasuje. Nancy, Ivy i Clive to zwykli ludzie, tacy jak ja. Uzmysławiam sobie, że spędzałam czas zawsze w świecie Toda: w jego ogromnym domu, w jego ulubionych kawiarniach. Teraz pierwszy raz wszedł do mojego świata i nagle stało się jasne, że nie ma ochoty w nim przebywać.

Ale potem Tod ujmuje moją rękę i miarowo gładzi kciukiem mój nadgarstek, tak jak na naszej pierwszej randce w kawiarni, a serce, tak jak wtedy, zaczyna bić mi mocniej.

– Dzisiaj się żegnamy, prawda? – mówi głębokim i aksamitnym głosem.

Nie umiem zliczyć, ile razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ten głos wywoływał we mnie dreszcze.

– Tak, żegnamy się – odpowiadam. Jeśli nie wiedziałam o tym wcześniej, już to wiem.

Nie chcę spędzać reszty życia z takim mężczyzną jak Tod. Chcę ją spędzić z kimś, kto będzie rozumiał, co jest dla mnie ważne, kto doświadczył w życiu takich udręk jak ja. Nie wyobrażam sobie Toda pracującego ze mną w ogrodzie ani czytającego przy piecu w Clearwater Cottage, ani pomagającego mi w obowiązkach przy Straży Sąsiedzkiej. Jest bohaterem mojej londyńskiej przygody i jego miejsce jest w Londynie.

– Muszę jechać do teatru – odzywa się tak cicho, że ledwie wyławiam słowa. – Ale mógłbym wrócić wieczorem. Jeszcze ten jeden raz. Jak za dawnych czasów.

Znowu ogarnia mnie ciepło, poruszają się tamte motyle, a rytmiczny dotyk jego kciuka na mojej skórze bardziej niż wcześniej nie pozwala mi zebrać myśli.

Czy można mówić o prawdziwej przygodzie, jeżeli nie podjęło się przynajmniej jednej nierozważnej decyzji?

29
Leena

To prawda, że zarządzanie kryzysowe jest moim żywiołem, ale gdy wracam od Nicoli, trochę obawiam się tego, ile spraw nie zostało dopilnowanych podczas mojej nieobecności. Festyn już się oficjalnie rozpoczął, a ja na przykład nie wiem, czy ktokolwiek sprawdził, czy przywieziono toalety.

Ale gdy zatrzymuję samochód przy Peewit Street, słyszę, że już trwa aukcja charytatywna; czuję zapach pieczonego prosiaka i widzę, że sokolnik instaluje się z ptakami. Wygląda to wszystko niesamowicie. Ktoś podczas mojej nieobecności zajął się ustawieniem majowego drzewka – stoi prawie prosto. Dopisała nam też pogoda: wioska tonie w cytrynowym blasku słońca, jaki towarzyszy pierwszemu ciepłu

wiosny, a łagodny wiatr niesie gwar rozmów i śmiech dzieci.

Kieruję się prosto do strefy toalet i z przyjemnością stwierdzam, że postawiono tam szereg plastikowych kabin. W przeciwnym razie zamierzałam poprosić wszystkich, żeby zostawili otwarte drzwi w domach i wpuszczali gości festynu, gdyby ci chcieli zrobić siusiu, a miałam wrażenie, że mieszkańców Hamleigh trudno byłoby przekonać do tego pomysłu.

– O, są toalety, świetnie – mówi zza moich pleców mama.

Odwracam się zaskoczona. Wygląda dobrze – ma na sobie długą powłóczystą spódnicę i bluzkę z rozszerzanymi rękawami, a gdy całuje mnie na powitanie, czuję się trochę dziwnie. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, o co chodzi: nie ogarnia mnie fala emocji, która mogłaby przerodzić się w panikę albo chęć ucieczki. Cieszę się na jej widok. I tyle.

Z kieszeni spódnicy wyjmuje listę – moją listę. Klepię się po kieszeniach, jakbym chciała ją znaleźć, choć przecież widzę, że trzyma ją mama.

– Basil znalazł to po tej szamotaninie z Cliffem – wyjaśnia. – Starałam się wykonać wszystko punkt po punkcie. Przepraszam, że drzewko stoi trochę krzywo, nie byłam w stanie przekonać

Rolanda, że nie jest prosto, a potem przestało mi na tym zależeć.

– To ty… Och, mamo, dziękuję.

Uśmiecha się do mnie. Ma włosy spięte w luźny kok, oczy jej błyszczą. Z radości, że nie jestem na nią zła, że patrząc na nią, nie czuję nic więcej oprócz miłości, wyciągam ręce i spontanicznie przytulam ją do siebie. Śmieje się.

– Och, jak miło.

Całuję ją w policzek. Za nami ktoś stuka od wewnątrz w drzwi toalety i rozlega się krzyk, najprawdopodobniej Basila:

– Halo?! Zatrzasnąłem się!

Robię minę.

– Pora wracać do pracy – mówię do mamy. – Idziesz na paradę?

– Podobno nie znaleźli jeszcze Królowej Maja – informuje mnie, unosząc brew.

– Boże, będę musiała wystąpić w tej roli, prawda? – Zerkam na nią z nadzieją. – Chyba że ty masz ochotę?

Posyła mi bardzo matczyne spojrzenie, które wyraźnie mówi: „To miłe, ale nic z tego, Leena”.

– Po tym, jak rano uratowałaś cały festyn… należy ci się korona Królowej Maja – oznajmia. – No dobrze, wypuścisz Basila, czy ja mam to zrobić?

*

Gdy już jestem w przebraniu, kostium Królowej Maja mniej przypomina strój Ginewry, a bardziej… suknię panny młodej.

Stojąc w drzwiach Clearwater Cottage i przez chwilę ociągając się z wyjściem, nerwowo poprawiam górę. To sukienka z wysokim stanem, z białego szyfonu, który opada miękką falą tuż znad talii. Penelope pomogła mi wpiąć kwiaty we włosy wokół korony. Czuję się zwiewna i eteryczna. To dla mnie coś nowego. Nie jestem typem eterycznej istoty.

Sięgam do torebki po telefon babci i wysyłam szybką wiadomość do Betsy z informacją, że wszystko dobrze idzie. Arnold na razie zaprowadził Cliffa do domu, nakazując mu surowo, żeby nie ważył się wracać na festyn, więc uznałam, że moglibyśmy przywieźć Betsy na paradę. Kiedy jednak zadzwoniła i powiedziała, że rozgościła się u Nicoli, miała tak słaby i zmęczony głos, że nawet tego nie proponowałam. Łatwo zapomnieć, że Betsy to nie babcia: przede wszystkim jest o sześć lat starsza i choć nie brak jej nieugiętej determinacji, to nie ma babcinej energii.

Nie wiem, czy ktokolwiek inny ma jej tyle co ona. Te dwa miesiące przypomniały mi, jaką wyjątkową postacią jest babcia.

Lepkimi od potu dłońmi poprawiam suknię. Orszak na Middling Lane czeka na mnie. Nie ma żadnej selekcji uczestników parady – idzie w niej właściwie każdy, kto w tym momencie nie ma nic pilnego do roboty, oraz każdy, kogo Betsy poddałaby otwartemu ostracyzmowi, gdyby zobaczyła, że nie dołączył do parady. Widzę mamę, która śmieje się z czegoś, co powiedziała Kathleen, widzę członków Straży Sąsiedzkiej: doktora Piotra pochylającego łysą głowę w rozmowie z Rolandem, Penelope owijającą sobie szyję i ramiona sznurem kwiatów jak boa z piór.

No i dzieci. Trzydzieścioro ośmioro uczniów szkoły podstawowej w Hamleigh-in-Harksdale otacza kołem Jacksona i patrzy na niego z zadartymi głowami. Trzymają torebki z confetti, szykując się do rzucania w tłum garści różanych płatków; wszystkie ubrane są na biało, tak jak ja, chociaż widać, że ich kostiumy są uszyte z prześcieradeł.

W prześcieradła są ubrane wszystkie dzieci oprócz jednego. Wyjątkowej dziewczynki przebranej za mandarynkę.

– Pani zajączek! – krzyczy Samantha, wyłamując się z szeregu, żeby podbiec i przytulić się do moich nóg. Zderza się ze mną z jękiem i odbija ode mnie jak piłeczka; Jackson łapie ją, żeby nie straciła równowagi. Potem spogląda na mnie i widzę zaskoczoną minę na widok mojej białej sukni i odkrytych ramion. Rozchyla usta i po prostu się gapi, gapi się, jakby to było silniejsze od niego. Przygryzam wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

– Wyglądasz jak królowa! – woła Samantha.

– Och, dziękuję!

– Albo duch! – dodaje.

Hm… To mi się mniej podoba.

*

– To co, pojedziemy z fasonem, tak jak obiecałem? – Jackson ruchem głowy wskazuje coś za moimi plecami.

Odwracam się. Przed domem Arnolda stoi pick-up Jacksona tak gęsto przystrojony wstążkami i kwiatami, że ledwie spod nich widać siedzącego za kierownicą Arnolda. Opuszcza szybę, odcinając przy tym głowę goździkowi.

– Powóz zajechał! – woła.

– Wybierasz się na majową paradę?! – krzyczę do niego. – Arnoldzie, co z twoją reputacją gburowatego samotnika?

– Jazda, właźcie na pakę, zanim zmienię zdanie – odpowiada Arnold.

Jackson całuje Samanthę i wysyła do pozostałych dzieci, po czym pomaga mi wspiąć się na pakę samochodu. Stoimy ramię w ramię, zerkając na siebie, a wiatr rozwiewa nam włosy. Czuję przede wszystkim radość – cieszę się, że tu jestem, że podjęłam tę szaloną decyzję i spróbowałam życia babci, cieszę się, że Jackson szeroko się uśmiecha i widzę obydwa dołeczki w jego policzkach. Zza naszych pleców dobiega gwar podekscytowanych głosów, kiedy wszyscy zajmują miejsca w pochodzie, a Jackson stuka dwa razy w dach kabiny i ruszamy. Toczymy się lśniącą od brokatu drogą z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, na czele wesołego, kolorowego orszaku majowego.

*

Nie byłam pijana od… Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się wstawiłam. Może kiedy żegnaliśmy Matea, gdy odchodził do McKinseya? Zresztą nawet wtedy byłam zbyt zmęczona, żeby

się porządnie upić; wychyliłam dwie long island iced tea, a potem zasnęłam w metrze, a nic nie otrzeźwia lepiej niż długi i kosztowny powrót do domu z High Barnet.

Ale dziś upiłam się mango daiquiri, kręci mi się w głowie od bardzo amatorskiego tańca wokół majowego drzewka i jestem szczęśliwa. Szczęśliwa, szczęśliwa. Udało nam się zebrać około tysiąca funtów na cele charytatywne i te pieniądze zostaną przeznaczone na pomoc takim osobom jak Carla, ich rodzinom i opiekunom. W tym momencie to chyba najwspanialsza wiadomość na świecie.

Lawirując w tłumie, idę w stronę wielkiego ogniska na łące, na którą pierwszy raz wyprowadzałam Hanka. Większość stoisk, oświetlona lampionami i pełgającym blaskiem ognia, jest jeszcze czynna; największą popularnością cieszą się stoiska z tropikalnymi koktajlami i przy każdym wiją się kolejki. W tle rysują się piękne i ciemne sylwetki wzgórz, a ja wiem, że będę tęsknić za tym miejscem, Boże, ależ będę tęsknić. Chcę, żeby ten wieczór nigdy się nie skończył.

– Komuś tu jest wesoło. – Arnold unosi szklankę w moją stronę, kiedy zbliżam się do ogniska.

Za jego plecami huczą i strzelają płomienie; podchodzę do ognia i wyciągam ręce w stronę ciepła. Pojawia się Jackson i podaje Arnoldowi koktajl z pływającym plasterkiem melona. Stoją obok siebie naturalnie i swobodnie, jak ojciec z synem. Podoba mi się, że zostali razem mimo tego, że matka Jacksona odeszła od Arnolda. Układy w rodzinie bywają bardzo skomplikowane, ale jeśli znajdzie się do nich własny klucz, można mimo wszystko osiągnąć całkiem udany efekt.

Jackson zerka w niebo.

– Jutro będzie padać.

– Jak nie urok, to mój pasierb, Król Maja od parady – prycha Arnold. – Dama świetnie się bawi, Jackson! Nie psuj jej humoru.

Jackson kaszle.

– Przepraszam. – Pochyla się, żeby odstawić pustą szklankę, i lekko się zatacza.

– Jesteś pijany? – pytam. – Ale fajnie. Jaki jest pijany Jackson?

– Otóż pijany Jackson… – wyciąga z wieńca pojedyncze kwiatki – trochę za dużo mówi.

Arnold przeprasza nas, nieokreślonym gestem wskazując w stronę drzew. Jackson i ja podchodzimy do jednej z prowizorycznych ławek ustawionych wokół ogniska. Jest ciemno;

w blasku ognia jego twarz wygląda surowo i męsko, cień kładzie się pod linią brwi i poniżej szczęki. Czując, jak zaczyna mi dudnić serce, myślę, że nie powinnam siedzieć z nim sama – za dużo o nim myślę, za mocno czuję jego obecność.

– Samantha cię uwielbia. – Jackson zdejmuje wieniec i kładzie obok siebie. – Chociaż na pewno ciągle myśli, że jesteś zajączkiem. Wytłumaczyła mi, że do przyszłego roku masz wolne.

Trochę się uspokajam – skoro rozmawiamy o jego dziecku, nie jest aż tak niebezpiecznie.

– Miała niesamowity kostium. Bardzo fajna dziewczynka.

Zerka na mnie z ukosa.

– Wiesz, że kiedy wzięłaś ją na barana, oblepiła ci włosy lukrem?

Dotykam ich i jęczę.

– Boże, to koszmarnie trudno usunąć – mówię, skubiąc lukier. – Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Chyba wszyscy są za bardzo wstawieni, żeby to zauważyć. Oprócz mnie.

– Oprócz ciebie? – Unoszę brwi. – Myślałam, że osiągnąłeś poziom upojenia, w którym zaczynasz za dużo mówić.

– Masz rację. – Odwraca się twarzą w moją stronę; jego oczy w blasku ognia są intensywnie

jasne. – Po prostu zwracam na ciebie uwagę bardziej niż inni.

Zastygam w bezruchu. Serce huczy mi teraz w uszach, w gardle, wszędzie.

– Leena…

– Powinnam wracać do…

Przykrywa ręką moją dłoń spoczywającą na ławce między nami. Gdy mnie dotyka, przepływa przeze mnie elektryzująca fala ni to gorąca, ni to zimna, jak w chwili, gdy ktoś przyciąga cię do siebie i chce namiętnie pocałować, a przecież po prostu przykrył palcami moją dłoń.

– Myślę, że jesteś niezwykła, Leeno Cotton. Jesteś dobra, piękna, nieokiełznana jak żywioł i… Boże, kiedy poprawiasz włosy tak jak teraz, to… – Drugą ręką ociera usta, zaciskając i rozluźniając szczęki.

Opuszczam rękę – nie zdawałam sobie sprawy, że dotykam włosów.

– Chyba powinnaś to wiedzieć – ciągnie. – Lubię cię. Tak jak nie powinienem. W tym sensie.

Mój oddech jest szybki i nierówny. Chcę wyciągnąć do niego ręce. Chcę spleść palce z jego palcami, przywrzeć do niego i pocałować go w usta w blasku ognia, a on siedzi tak blisko, bliżej niż powinien, tak blisko, że widzę jasne piegi pod jego oczami, cień zarostu na brodzie…

– Nie wiedziałem, co robić – mówi cichym głosem, który brzmi prawie jak szept. Jego wargi są kilka centymetrów od moich ust. – Myślałem o tym przez całe tygodnie. Nie chcę niszczyć twojego związku, tego mi nie wolno. Ale nie chcę też, żebyś wyjechała, nie wiedząc, co do ciebie czuję.

W chwili gdy wspomina o Ethanie, budzi się mój mózg. Cofam rękę i odsuwam się, z trudem przełykając ślinę. Ciało reaguje wolniej – płonie z pragnienia.

– Nie powinnam… przepraszam, Jackson, powinnam ci przerwać, gdy tylko zacząłeś mówić. Nie myślę o tobie w ten sposób. Mam chłopaka. Dobrze o tym wiesz. – Słowa nie brzmią tak mocno, jak bym chciała; staram się mówić stanowczo i zdecydowanie, ale mam głowę zasnutą mgiełką tropikalnych koktajli i wciąż wali mi puls.

– I jesteś z nim szczęśliwa? – Przy tym pytaniu lekko się krzywi. – Przepraszam. Zapytam cię o to tylko ten jeden raz.

– Tak.

Wbija wzrok we własne buty.

– No tak. Dobrze. Cieszę się. Cieszę się, że jesteś z nim szczęśliwa.

Mam wrażenie, że mówi szczerze, i serce mi się ściska.

– W przyszłym tygodniu już mnie tu nie będzie – wyduszam z siebie. – A ty… zapomnisz o mnie. Życie potoczy się dalej.

Oboje spoglądamy w płomienie, którymi chwieje wiatr.

– Już teraz mogę się z tobą pożegnać – mówi Jackson.

Jutro urządzam małe spotkanie w sali komunalnej, na którym ma być Straż Sąsiedzka, może Nicola i Betsy, jeżeli będą się czuły na siłach. Ale chyba nie Jackson.

– Dobrze. Oczywiście. Powinnam… – Wstaję. Jedną stronę ciała mam gorącą od ogniska, drugą chłodną od wiatru.

– Przepraszam. – Jackson też podnosi się z ławki. – Powinienem… jasne, już wiem, że nie powinienem nic mówić.

– Nie. Rozumiem.

Lepiej, że to powiedział. Dzięki temu jest jasne, gdzie leży granica.

– W takim razie do widzenia – rzuca.

Waham się, a po chwili…

– Chodź. – Przyciągam go i przytulam się do niego. Otacza mnie ramionami, przyciskam policzek do jego piersi; jego dłoń obejmuje

prawie całą szerokość mojej talii. Pachnie ogniem i polnymi kwiatami w miejscu, gdzie wonny wieniec dotykał tkaniny koszuli. Odrywam się od niego, kiedy znowu przyspiesza mi puls.

– Chcę, żebyś miała dobre życie, Leeno Cotton – mówi, gdy odsuwamy się od siebie. – I… żebyś była pewna, że jest takie, jak chcesz.

30
Eileen

Zostawiam Toda w łóżku, w pomiętej pościeli, z szeroko rozrzuconymi ramionami, jakby znowu chciał mnie wziąć w objęcia. To dobrze, że takiego go zapamiętam, a on zapamięta mnie taką jak wczorajszego wieczoru: beztroską, trochę rozdokazywaną i z nienagannym makijażem, który był dziełem Marthy.

Moje bagaże czekają spakowane w korytarzu mieszkania Aurory i Ruperta na parterze. Fitz zaniósł je do nich, zanim wyszedł do pracy. Na pożegnanie podarowałam Aurorze i Rupertowi kaktusa; Aurora była zachwycona. Ta kobieta naprawdę sądzi, że każda rzecz, która choćby mgliście przypomina penisa, jest dziełem sztuki.

Obiecali mi, że będą się opiekować Klubem Srebrnego Pokolenia Shoreditch i przysyłać mi co miesiąc zdjęcia z każdej imprezy. Najbardziej

przejęty jest jednak Fitz: już snuje wielkie plany rozwoju klubu. Miło było patrzeć, jak angażuje się całym sercem w to przedsięwzięcie – trochę mi przypomina mnie, gdy byłam w jego wieku. Miałam jednak o niebo więcej zdrowego rozsądku. Ten chłopak nie umie nauczyć się dbać o siebie – kiedy mówię mu o pracach domowych, słucha jednym uchem, a drugim wypuszcza. Starałam się jednak, jak mogłam, i moje wysiłki chyba coś dają. Parę dni temu widziałam, jak po praniu łączy skarpetki w pary.

Zatrzymuję czarną taksówkę, żeby pojechać do siedziby Selmount na pożegnalną kawę z Bee. Kiedy wolno suniemy ulicami, przypominam sobie, jak bardzo bałam się tego miasta zaraz po przyjeździe. Teraz traktuję je jak drugi dom. Będzie mi brakować tego człowieka z targu, który daje mi rabat na naleśniki, bo też jest z Yorkshire, i sprzedawcy „Big Issue", którego wilczur nosi różową kokardę.

Zatrzymujemy się przed budynkiem Selmount; potrzebuję trochę czasu, by wysiąść, ale gdy stawiam już nogi na chodniku, unoszę wzrok i nagle kamienieję.

– Dobrze się pani czuje? – pyta taksówkarz.

– Ciii… – syczę, patrząc nieruchomo przed siebie. Obracam się wolno i z powrotem wsuwam

nogi do samochodu. – Niech pan zamknie drzwi! I jedzie za tamtym samochodem!

– Słucham? – bąka skonsternowany.

– Za tą taksówką! Tą przed panem, z kobietą w bieliźnie na bocznych drzwiach.

– Tą, w której siedzi ten pan i blondynka? – pyta, nieufnie zerkając na moje odbicie w lusterku wstecznym.

– To jest chłopak mojej wnuczki i założę się o każde pieniądze, że ta pani to jego kochanka – informuję kierowcę. – Rysopis zgadza się co do joty.

Taksówkarz przekręca kluczyk w stacyjce.

– Już się robi, proszę pani. Przykleję się do nich jak rzep. – Włącza się do ruchu na tyle gładko, że nikt z tyłu nie trąbi. – Nie znoszę niewierności.

– Ja też – zgadzam się z zapałem, gdy podjeżdżamy do nich. Z trudem, bo nie chcę tracić z oczu taksówki Ethana, wysyłam wiadomość do Bee.

Śledzę Ethana. Przykro mi, że się nie zobaczymy. Serdeczne uściski, Eileen xx

Odpowiada natychmiast.

INTRYGUJESZ MNIE.

Nie mam czasu wtajemniczać jej w szczegóły. Będzie musiała zaczekać. Taksówka Ethana

zatrzymuje się; mój kierowca staje za nią na przystanku autobusowym, nerwowo oglądając się przez ramię.

– Wyskoczę tu – oznajmiam mu, chociaż raczej się gramolę, niż skaczę. – Zachował się pan cudownie. Gdy tylko się dowiem, gdzie i jak to zrobić, przyznam panu pięć gwiazdek.

Ma zdezorientowaną minę, ale pomaga mi wysiąść i życzliwie macha mi ręką na pożegnanie, gdy ciągnąc walizkę, ruszam za Ethanem.

Jestem przekonana, że to Ceci. Ma proste blond włosy i długie nogi, czyli zgadzają się dwa detale, o których wiem, poza tym jest w tej kobiecie coś, co mówi: „Mogłabym ukraść twojej wnuczce chłopaka”.

Odrobinę tracę pewność siebie, bo przystają przed jakimś biurowcem. Przychodzi mi na myśl, że być może Ethan i Ceci po prostu idą razem na jakieś spotkanie, co by oznaczało, że straciłam mnóstwo pieniędzy na taksówkę, żeby pojechać do… Gdzie ja właściwie jestem?

Po chwili dłoń Ethana muska ramię Ceci i już wiem, że jestem na właściwym tropie. Pochyla głowę, żeby coś jej powiedzieć. A potem błyskawicznie, ruchem szybkim jak mgnienie oka… całuje ją w usta.

Przez moment się waham. Mam opory. Ale zaraz przypominam sobie, co mówiłam, gdy zaczęłam podejrzewać, że Ethan zwodzi Leenę: Carla nie miałaby oporów, więc i ja nie powinnam. Zarzucam torebkę na ramię, łapię uchwyt walizki na kółkach i marszowym krokiem ruszam w ich stronę.

Ethan i Ceci nawet nie unoszą wzroku. Stukam go w ramię. Obraca się.

– Eileen! Dzień dobry. – Cofa się o krok. – Co ty tu robisz?

– Ceci, jak się domyślam? – zwracam się do kobiety.

W odpowiedzi unosi brwi.

– Słucham?

– Zmykaj, dziewczyno. – Wskazuję na biurowiec. – Do ciebie nie mam pretensji. Chociaż powinnaś wiedzieć, że w piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które mają chrapkę na cudzego mężczyznę.

– Chwileczkę, Eileen – wtrąca Ethan.

– Widziałam, jak ją całowałeś.

– Co to może mieć wspólnego z… – Ceci nie kończy.

– Jeszcze tu jesteś? – pytam ją.

Blondynka patrzy na mnie z niesmakiem.

– Ethan?

– Zobaczymy się na spotkaniu – ucina Ethan. – Zagadaj ich trochę, dobrze?

– Chodźmy już, Ethan. Kim w ogóle jest ta kobieta?

– Babcią Leeny – przedstawiam się.

Wybałusza oczy.

– Aha.

– Właśnie. Aha.

– To… zobaczymy się później – zwraca się do Ethana, po czym truchtem ucieka, stukając wysokimi obcasami.

Przypomina mi modliszkę. Odwracam od niej wzrok. Nie zasługuje na moją uwagę.

– Hm – bąka Ethan, a ja czekam.

Pociera czoło.

– Wydaje mi się, że zrozumiałaś to wszystko na opak, Eileen.

– Nie jestem głupia. I nie próbuj mnie tak traktować.

– Słuchaj, nie rozumiesz, Eileen. Nie obraź się, ale najdelikatniej mówiąc, dzisiejsze związki nie są…

– Nie. Nawet tego nie próbuj.

Przeczesuje palcami włosy.

– Dobrze. Zgoda. Nie chciałem… nie chciałem, żeby sprawy z Ceci potoczyły się w ten sposób. Nie mam najmniejszego zamiaru krzywdzić

Leeny. Ale ostatnio bardzo się zmieniła. Nie wiem, co w nią wstąpiło. Mam nawet wrażenie, jak gdybym nie był z nią, tylko z kimś zupełnie innym. Ona chce ze mną rozmawiać o… o połączeniach komunikacyjnych na wsiach w północnej Anglii, dusi mięso z warzywami, organizuje wiejskie imprezy. To po prostu… po prostu… – Nagle łapie mnie za rękę. – Proszę cię. Nie mów jej o tym.

– Ach, tak. Podejrzewałam, że do tego zmierzamy. – Niespiesznym ruchem uwalniam swoją dłoń.

– Błagam cię. To by wszystko zrujnowało. Zerwę z Ceci. Zrobię to zaraz po tym spotkaniu. – Nerwy zaczynają go zawodzić; w jego oczach pojawia się rozpacz.

– Nie powiem Leenie.

Oddycha z ulgą.

– Przez dwa dni. Tyle mogę ci dać. Chociaż Bóg mi świadkiem, wcale na to nie zasługujesz.

Zostawiam go przed budynkiem, bo trudno mi dłużej panować nad sobą i patrzeć na niego, jak z podwiniętym ogonem użala się nad sobą i poci w drogiej koszuli. Kilka uprzejmych nieznajomych osób spotkanych po drodze pomaga mi poradzić sobie z bagażami i wreszcie zasiadam w pociągu i wyjeżdża z dworca King’s

Cross na otwartą przestrzeń pod rozległym niebem, na którego tle żurawie obracają się tam i z powrotem, budując jeszcze większy Londyn.

Będę tęsknić za tym miastem. Ale to nie jest mój dom. Kiedy pociąg mknie na północ, zastanawiam się, czy tak samo czuje się gołąb pocztowy, posłuszny niewidzialnej sile pchającej go do lotu, jak gdyby ktoś pociągnął za sznurki, którymi jest uwiązany do swojego miejsca na świecie.

31
Leena

Po pierwszomajowym festynie budzę się w tradycyjny sposób (z kotem na twarzy), ale zamiast zerwać się z łóżka, zasypiam na co najmniej trzy godziny. Po drugim przebudzeniu widzę, że Ant/Dec ulokował się na moich dolnych żebrach i mruczy tak błogo, że nie mam sumienia go ruszyć. Zresztą myśl, żeby w ogóle się ruszyć, wydaje się idiotyczna. Jestem kompletnie skonana. I mam solidnego kaca.

To mama odprowadziła mnie wczoraj do domu? Jak przez mgłę pamiętam, że rozmawiałam z nią bardzo szczegółowo o planie wspólnego biznesu z Bee, a potem powiedziałam, że nie chcę wyjeżdżać z Yorkshire, na co odparła: „Czemu nie możecie założyć swojej firmy tutaj? Dlaczego musi być w Londynie? Zresztą co takiego fantastycznego ma w sobie Londyn, do

cholery?”. Później zaczęłam się rozwodzić na temat linii Central metra i…

Dzwoni leżąca na stoliku nocnym komórka. Ethan. Przecieram oczy i po omacku sięgam po nią.

– Hej.

– Cześć, Leena – mówi ściśniętym, zdenerwowanym głosem. – Co u ciebie?

– Jestem trochę skacowana. A u ciebie?

– Posłuchaj, aniele, przykro mi, ale muszę z tobą o czymś porozmawiać. To może być trochę nieprzyjemne.

Siadam i opieram się o poduszki.

– Okay…

– Dzisiaj rano wpadłem na twoją babcię. Była ze mną Ceci z pracy, szliśmy na spotkanie z klientem. I twoja babcia… Przykro mi, Leena. Oszalała. Krzyczała na mnie i Ceci, mówiła okropne rzeczy, że cię zdradzam, to był jakiś obłęd. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

– O Boże. – Zaciskam palce na kołdrze. – Co?

– Myślisz, że ona dobrze się czuje? Nie miałaś ostatnio wrażenia, że… coś z nią jest nie tak? W jej wieku…

– Podejrzewasz, że traci rozum? – Robi mi się zimno. Uszy wypełnia mi łomotanie serca.

– Nie, nie – odpowiada szybko, ale w jego głosie wyraźnie słyszę niepokój. – Na pewno tylko… miała zły dzień i wyładowała się na mnie.

– Powiedziała, że mnie zdradzasz?

– Tak. – Parska ochrypłym śmiechem. – Leena, przecież wiesz, że nigdy bym…

– Oczywiście – nie daję mu dokończyć, bo nie chcę, żeby to wypowiadał.

– Chyba… możesz wrócić do domu, co? – Wydaje się nagle bardzo zmęczony. – Już dzisiaj? Muszę cię zobaczyć. To był… zwariowany ranek.

– Dzisiaj? Miałam zostać do jutra do południa, żeby spotkać się z babcią…

– No tak, jasne.

– Chcesz, żebym przyjechała? – Ocieram twarz; trochę się popłakałam. To okropne. Dlaczego… jak to możliwe…? – Wrócę od razu. Jeżeli jestem ci potrzebna. Zadzwonię do babci i porozmawiam z nią.

– Nie złość się na nią. Może to chodzi o twojego dziadka… zostawił ją dla innej kobiety, prawda? Może coś się jej pomyliło i po prostu wyrzuciła to z siebie przy tej okazji. Może miała za dużo wrażeń w Londynie. Pewnie potrzebuje odpoczynku, i tyle.

– Muszę do niej zadzwonić. Kocham cię, Ethan.

– Ja też cię kocham, Leena. Odezwiesz się później, dobrze?

Męczę się z tym starym, głupim telefonem; trwa to całe wieki, zanim udaje mi się wybrać numer babci.

– Halo?

– Babciu, dobrze się czujesz?

– Tak, kochanie, wszystko w porządku, siedzę właśnie w pociągu i jadę do ciebie. – Na moment zapada cisza. – A ty? Dobrze się czujesz? Wydaje mi się, jakbyś…

– Przed chwilą dzwonił Ethan.

– Ach, Leena, skarbie, strasznie mi przykro.

– Co w ciebie wstąpiło? Nic ci nie jest? Bo nic złego ci się nie stało, prawda?

Słyszę w tle stukot i szum pociągu, którym tu pędzi. Pochylam się i podciągam kolana pod brodę, wpatrując się we wzór bladych różyczek na poszwie. Serce za mocno mi wali, czuję je na udach, gdy zwijam się w kłębek.

– Jak to, co we mnie wstąpiło? Co to znaczy? – pyta.

– Krzyczałaś na Ethana. Oskarżałaś go o… o… z Ceci… Babciu, jak mogłaś?

– Leena, Ethan chyba nie powiedział ci wszystkiego.

– Nie, nie wiesz wszystkiego, nie mów tak! Dlaczego mówisz takie rzeczy, babciu? – Dotykam policzka; rozpłakałam się już na dobre. – Nie wiem, co o tym myśleć, nie chcę, żebyś oszalała, i nie chcę, żebyś była przy zdrowych zmysłach.

– Wcale nie straciłam rozumu… Dobry Boże, tak ci powiedział ten cwaniaczek?

– Nie nazywaj go tak.

– Widziałam, jak ją całował.

Zastygam jak głaz.

– Mówił mi, że dużo się zmieniło, odkąd wyjechałaś – ciągnie babcia. – Twierdził, że stałaś się inną osobą i…

– Nie. Nie wierzę ci.

– Przykro mi, Leena.

– Nie chcę, żebyś mówiła, że ci przykro, bo przykro ci nie z tego powodu, co powinno!

– Leena! Proszę cię, nie podnoś na mnie głosu. Porozmawiajmy o tym wszystkim kulturalnie, kiedy przy…

– Wracam do Londynu. Ethan mnie potrzebuje.

– Nie. Zostań w Hamleigh i porozmawiamy.

– Muszę wrócić. – Zaciskam oczy tak mocno, że aż bolą. – Nie będę… Zawiodłam Ethana. Tu, w Hamleigh, nie jestem jego Leeną. Nie wiem,

kim właściwie jestem. Muszę wrócić do prawdziwej siebie. Do pracy, do Ethana, do mojego życia w Londynie. Nie powinnam tu być ani chwili dłużej.

– Nie myślisz logicznie, kochanie.

– Nie. – Trzymam już palec na czerwonym przycisku. – Nie myślę. Ta cała… ta głupia zamiana! – wyrzucam z siebie. – Miała nam pomóc, a tymczasem zrujnowała jedyną rzecz, jedyną dobrą rzecz i… – Zaczynam szlochać. – Koniec z tym, babciu. Kończę z tym raz na zawsze.

32
Eileen

Wydaje mi się, jakby to trwało całe wieki, ale nareszcie jestem w domu. Nie mam siły nawet zaparzyć sobie herbaty. Szkoda, że wczoraj nie położyłam się wcześniej, powinnam być mądrzejsza. A teraz, po długiej podróży, trudnych pożegnaniach i tym okropnym telefonie od Leeny… czuję się ciężka i ospała, jakbym poruszała się w melasie.

Leenę i mnie rozdziela nowy dystans. Gdybyśmy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy rozmawiały częściej o naszych przeżyciach, może uwierzyłaby mi, gdy mówiłam o Ethanie. Myślałam, że jeśli spróbujemy zamienić się życiem, to nas do siebie zbliży, a stało się odwrotnie. Czuję aromat jej perfum przemieszany z domowymi zapachami. To dziwne.

Dźwięczy dzwonek u drzwi. Z trudem dźwigam się z fotela, zirytowana dokuczliwym bólem w plecach i ociężałością rąk i nóg.

Mam nadzieję, że to Marian, ale na progu stoi Arnold. Wygląda inaczej, chociaż nie wiem dlaczego. Nowy kaszkiet? Nowa koszula?

– Dobrze się czujesz? – pyta bezceremonialnie jak zwykle. – Widziałem, jak zachwiałaś się przed domem, i pomyślałem…

Od razu się zjeżam.

– Nic mi nie jest, dziękuję.

On też się zjeża. Stoimy tak, jeżąc się, jak za dawnych czasów.

Nagle garbi ramiona.

– Tęskniłem za tobą – oznajmia.

– Co proszę? – Patrzę na niego zdumiona, trzymając się futryny, żeby nie stracić równowagi.

Marszczy brwi.

– Wcale nie czujesz się dobrze. Powinnaś usiąść. Chodź. Pozwól mi wejść, to zrobię ci filiżankę herbaty.

– Hm. – Wciąż nie mogę ochłonąć po deklaracji Arnolda. – Podszedłeś do drzwi wejściowych, jeśli się nie mylę.

Bierze mnie pod łokieć i idziemy do salonu, moim zdaniem zbyt wolno. Jego widok poprawił

mi nastrój, w każdym razie dopóki nie powiedział, że za mną tęsknił. To z kolei nieco popsuło mi nastrój.

– Przeklęty kot – mruczy Arnold, przepędzając z kanapy Deca. – Proszę, usiądź sobie.

Ledwie powstrzymuję się od uwagi, że to mój dom i to ja powinnam go poprosić, żeby usiadł. Zachowuje się jak dobry sąsiad. Właściwie zachowuje się jak…

– To nowa czapka? – pytam znienacka.

– Co? – Machinalnie unosi rękę. – A, tak. Podoba ci się?

– Owszem, podoba.

– Nie masz się co tak dziwić. Przecież mówiłem ci, że postanowiłem otworzyć nowy rozdział życia. Mam trzy nowe czapki. – Jest już w kuchni; słyszę szum wody lecącej z kranu, odgłosy nastawiania czajnika. – Z mlekiem, bez cukru?

– Jedną łyżeczkę.

– Zniszczysz sobie zęby! – woła.

– Tak jak jabłkami w toffi?

– To przecież owoce, prawda?

Śmieję się, zamykając oczy i kładąc głowę na oparciu kanapy. Trochę mi lepiej, życie wraca mi do rąk i nóg; czuję mrowienie w palcach, jakbym właśnie wróciła zziębnięta do ciepłego domu.

– Wiesz, Eileen, zapasy w twoich szafkach są w opłakanym stanie – informuje mnie Arnold, wracając z dwoma dużymi kubkami parującej herbaty. – Stoi tam puszka bobu z dziewięćdziesiątego czwartego roku.

– Dziewięćdziesiąty czwarty to był dobry rok. – Biorę od niego kubek.

Arnold się uśmiecha.

– No i jak było? W wielkim mieście? – Zerka na mnie przebiegłym wzrokiem. – Znalazłaś tę jedyną prawdziwą miłość?

– Och, zamknij się.

– Co? Nie przywiozłaś ze sobą żadnego mężczyzny? – Rozgląda się, jak gdyby szukał ukrytego gdzieś w kącie Romea.

– Przecież wiesz, że nie. – Trzepię go po ramieniu. – Chociaż przeżyłam frenetycznie upojny romans.

Natychmiast wraca do mnie wzrokiem.

– Frenetycznie?

– Tak sądzę. Nigdy nie byłam pewna, co to słowo właściwie znaczy. – Wzruszam ramionami. – Aktor z West Endu. To nie miało być nic poważnego, ale było bardzo przyjemne.

Arnold niespodziewanie poważnieje. Powstrzymuję uśmiech. Wspaniale jest się z nim drażnić, brakowało mi tego.

– Ale to już koniec? – dopytuje się. – I nie było nikogo więcej?

– No… – dodaję nieśmiało – był jeszcze jeden mężczyzna. Ale czatowałam z nim tylko przez internet.

Odrobinę się prostuje i na jego twarz wolno wypełza uśmiech.

– Tak?

– Jest uroczy. Naprawdę wrażliwy. Nie miał łatwego życia i ma swoje zmartwienia, ale jest bardzo sympatyczny i życzliwy.

– Wrażliwy? – upewnia się Arnold, unosząc brwi.

– Czyta Agathę Christie, bo wie, że to moja ulubiona pisarka. – Uśmiecham się, myśląc o Howardzie zaszytym w mieszkaniu, który kończy lekturę *Zabójstwa Rogera Ackroyda*.

– Tak? Coś podobnego. Skąd o tym wiesz? Ktoś ci donosił, co robi? – Arnold nadal się uśmiecha.

Przechylam głowę i zerkam na niego.

– Sam mi powiedział.

Uśmiech zamiera mu na twarzy.

– Hę?

– O książkach. Zawsze mnie informuje, kiedy którąś skończy, i pisze mi, które fragmenty kojarzą mu się ze mną…

Arnold wstaje tak gwałtownie, że oblewa sobie koszulę.

– Szlag by to… – Wyciera herbatę rękawem.

– Nie trzyj, bo będzie jeszcze gorzej! – ostrzegam go, podnosząc się z kanapy. – Zaraz ci przyniosę…

– Nie rób sobie kłopotu – odburkuje. – Lepiej już sobie pójdę. – Odstawia opróżniony do połowy kubek i wychodzi z salonu. Po chwili słyszę trzask zamykanych drzwi.

No, no. Co w niego wstąpiło?

*

Gdy tylko odzyskuję trochę energii, wstaję, wkładam buty i wolniejszym niż zwykle krokiem idę do domu Marian. Wiem, że za chwilę ją zobaczę, i to najmilsza chwila powrotu. W każdym razie mam nadzieję, że będzie miła. W głębi serca obawiam się, że moja córka będzie w gorszym stanie, nie w lepszym, a ja uświadomię sobie, że jednak nie powinnam była wyjeżdżać z Hamleigh.

Wie o moim przyjeździe, ale gdy pukam do drzwi, nikt nie otwiera. Trochę zaniepokojona, dzwonię do niej, lecz nie odbiera.

Prawdopodobnie wyskoczyła gdzieś na chwilę. Sprawdzę, czy nie poszła do sklepu.

Odwracam się od drzwi Marian, ale nagle przystaję i patrzę na telefon, który mam w ręce. To nie jest moja komórka. Należy do Leeny. Miałyśmy odzyskać swoje telefony po moim powrocie do Hamleigh, ale ona wcześniej wyjechała do Londynu.

Oczywiście poinformowałyśmy o zamianie numerów wszystkich, z którymi jesteśmy w stałym kontakcie, wiem jednak na pewno, że Leena nie powiedziała o tym Ceci.

Gdyby dostała dowód na niewierność Ethana… Na pewno by mi uwierzyła. Mogłabym zdobyć ten dowód. Muszę po prostu udać Leenę. Tylko na chwileczkę, by wysłać jedną krótką wiadomość.

To, co chcę zrobić, na pewno jest karygodne. Zamierzam mieszać się w cudze sprawy w najgorszy sposób. Jeżeli jednak minione dwa miesiące czegoś mnie nauczyły, to na pewno tego, że kiedy się wtrącisz, żeby głośno wypowiedzieć swoje zdanie, czasami wszystkim wychodzi to na dobre.

Cześć, Ceci. Ethan powiedział mi
o wszystkim. Jak mogłaś?

33
Leena

W drodze powrotnej do Londynu wszystko widzę jak przez mgłę i dochodzą do mnie przytłumione dźwięki, jakbym miała zatkane uszy. Instynktownie odnajduję drogę do domu; orientuję się, gdzie jestem, dopiero wtedy, gdy wchodzę do budynku. Jest zupełnie inaczej. Część wspólna na dole wygląda przepięknie: odsłonięte deski podłogi, miejsca do siedzenia, w głębi ustawiony długi stół. To musi być dzieło babci. Na ścianach wiszą jaskrawe amatorskie obrazy, na rogu stołu jadalnianego piętrzą się ustawione w piramidę miseczki; wyczuwa się atmosferę zamieszkanego i zadbanego miejsca.

Kiedy jednak wchodzę do mieszkania, zapominam o klubie na parterze. W chwili gdy otwieram drzwi i uderza mnie fala domowych zapachów, przed oczami staje mi nasze życie

z Ethanem. Gotujemy w tej kuchni, przytulamy się na tej kanapie, w tych drzwiach całujemy się niezliczoną ilość razy, na początku i na końcu każdego wieczoru, który spędzamy razem. Wydaje mi się, że majaczy tu jego sylwetka, widoczna jak niewyraźne linie w notesie pod kartką, do której za mocno przyciska się długopis.

Nigdy by mnie nie skrzywdził. Nigdy. Nie uwierzę w to.

Pół godziny później do domu wraca Fitz i zastaje mnie na podłodze, opartą o kanapę i rozszlochaną. W jednej chwili podbiega do mnie, przyciąga mnie do siebie i płaczę w jego kaszmirowy sweter, a on nawet mnie nie objeżdża, że moczę mu rzecz, którą można tylko prać chemicznie.

– Wszystko się pochrzaniło – chlipię.

Fitz całuje mnie w czubek głowy.

– Co się stało?

– Ethan… babcia… on… ona…

– Leena, chyba potrzebuję łączników między tymi słowami. W zabawach językowych zawsze byłem cienki.

Nie potrafię mu powiedzieć. Z tego, co mówiła mi babcia, ciągle słyszę w głowie jedną rzecz, która brzmiała w kółko na tle zapowiedzi przez

megafony, gry saksofonisty na dworcu King's Cross, rozmów przechodniów, których mijałam w drodze do domu. *Twierdził, że stałaś się inną osobą…*

Nie wierzę babci. Ufam Ethanowi. Tak bardzo go kocham, jest moją bezpieczną przystanią, moją przytulanką, nigdy nie skrzywdziłby mnie w ten sposób. Przecież to Ethan.

Może to nie ma większego znaczenia. Jeżeli to prawda, może potrafię mu wybaczyć i wrócimy do tego, co było między nami przedtem. Przecież sama zadurzyłam się w Jacksonie, prawda? To nic nie znaczy. Nie znaczy, że przestałam już być Leeną Ethana.

Ale nawet myśląc o tym, mam świadomość, że się mylę. Jeżeli Ethan… jeżeli… on i Ceci…

– Jezu, Leena, przestań, kochana. Jak będziesz tak płakać, zabraknie ci wody w organizmie. – Fitz przytula mnie mocniej. – Powiedz, co się stało.

– Nie mogę o tym rozmawiać – wyduszam z siebie. – Nie mogę. Proszę cię, zajmij mnie czymś.

Fitz wzdycha.

– Nie, Leena, nie ma mowy. No już, pogadajmy o tym. Ethan zrobił coś złego?

– Nie mogę – odpowiadam, tym razem bardziej stanowczo, i odsuwam się od niego. Ocieram twarz w jego rękaw; mam nierówny, urywany oddech, chociaż przestały mi płynąć z oczu łzy, i staram się nad tym zapanować. – To mój laptop? – pytam, zauważając go na stoliku pod stertą starych czasopism Marthy o wystroju wnętrz.

– Aha – przytakuje Fitz tonem, który oznacza „Ustąpię ci i zgodzę się zmienić temat, ale nie myśl sobie, że skończyłem tę rozmowę". – Jakie to uczucie zejść się po tak długiej rozłące? Ja bym nie przeżył dwóch miesięcy bez swojego komputera. Ani smartfona.

Cholera, mój telefon. Nie zdążyłam się wymienić z babcią. Kręcę głową – nie mam teraz siły się tym martwić. Kładę laptop na kolanach i jego znajomy ciężar dodaje mi otuchy.

– Zrobić ci smoothie? – proponuje Fitz, głaszcząc mnie po włosach.

Pociągam nosem i wycieram policzki.

– Będzie brązowy?

– Jak zawsze. Nie udało mi się jeszcze rozwiązać tej zagadki, kiedy cię nie było. Ciągle wszystkie wychodzą brązowe. Nawet jeśli wkładam same zielone rzeczy.

Pocieszająca wiadomość. Przynajmniej coś się nie zmieniło.

– W takim razie nie, dziękuję. Zrób mi tylko herbatę.

Wiem, że to zły pomysł, ale muszę zajrzeć na Facebooka Ethana. Ma przyjść, ale dopiero za godzinę, a ja muszę się upewnić, że… że… nie wiem, że nadal jest moim Ethanem. No i może sprawdzić, czy nie ma tam jego zdjęć z Ceci.

Otwieram laptop. Na ekranie wciąż jest otwarta strona czatu w serwisie randkowym babci.

> **OldboyZeWsi pisze:** Witaj, Eileen. Chciałem tylko spytać, czy udało ci się przesłać te pieniądze. Bardzo już chcę uruchomić tę stronę! xxxx

– Cholera – mruczę pod nosem. Strona wygasła; loguję się po kilku nieudanych próbach, odgrzebując z pamięci login i hasło, które utworzyłam dla babci.

– Czy to nie jest… kradzież tożsamości? – Fitz stawia obok mnie kubek z herbatą.

– Przecież jestem Eileen Cotton, prawda? – Przewijam wcześniejsze wiadomości, przebiegając je wzrokiem. Cholera jasna!

Powinnam była ostrzec babcię przed niebezpieczeństwami sieci. I nigdy nie powinnam jej zostawiać samopas w tym serwisie. Jak mogłam być taka lekkomyślna?

Sięgam po telefon; dopiero gdy biorę go do ręki, zdaję sobie sprawę, że wibruje. Dzwoni babcia.

– Babciu, przelałaś pieniądze jakiemuś facetowi, którego poznałaś przez internet? – pytam bez wstępów. Puls mi przyspiesza.

– Co? Leena, Leena… musisz tu wrócić. Wracaj do Hamleigh.

– Co się dzieje? Trochę spokojniej, babciu. – Usiłuję się podnieść, kładąc laptop na podłodze. Nie słyszałam tego tonu w jej głosie, odkąd zachorowała Carla, więc na jego dźwięk natychmiast robi mi się niedobrze.

– Marian. Nigdzie jej nie ma.

– Co takiego?

– Nie otwiera drzwi, nie ma jej nigdzie we wsi i nikt jej nie widział. Jest tak samo jak ostatnim razem. Na pewno jest w domu, ale nie chce mnie wpuścić, a ja nigdzie nie mogę znaleźć swojego klucza ani zapasowego, żeby sprawdzić, czy nic… Może coś sobie zrobiła, kiedy tam siedzi całkiem sama?

Dobrze, krok numer jeden: uspokoić babcię.

– Babciu, chwileczkę, powoli. Mama na pewno nic sobie nie zrobiła.

Z powrotem kładę sobie laptop na kolanach.

Krok drugi: sprawdzić pociągi. Bo właśnie sobie przypomniałam, że obydwa komplety kluczy do domu mamy są w mojej torebce.

– Dobra, będę u ciebie przed siódmą z kluczami – mówię. – Przepraszam, że wzięłam je ze sobą. Mama na pewno nie pojechała do Daredale popływać czy coś w tym rodzaju?

– Dzwoniłam na basen – odpowiada babcia. Słyszę, że jest bliska płaczu. – Powiedzieli mi, że nie pojawiła się tam od zeszłego tygodnia.

Krok trzeci: uspokoić samą siebie. Kiedy wyjeżdżałam, mama czuła się naprawdę dobrze, antydepresanty jej pomagały, często i długo rozmawiałyśmy o Carli, sytuacja wydawała się znacznie zdrowsza. Na pewno jej nieobecność da się sensownie wytłumaczyć.

Mimo to… wkradają się wątpliwości. Przecież poprzednio w ogóle się nie zorientowałam, w jakim jest stanie, prawda? Nic nie wiedziałam o tych napadach depresji, dopóki babcia mi o nich nie powiedziała.

A jeśli rzeczywiście siedzi sama w domu? Czyżbym powiedziała coś okropnego, kiedy po festynie odprowadzała mnie do domu? Może

powinnam zrobić dla niej więcej w ciągu tych dwóch miesięcy, jak od początku mówiła babcia? Żałuję, że mnie tam teraz nie ma, żałuję, że nie zostawiłam przynajmniej jednego kompletu tych cholernych kluczy. Bo jeżeli naprawdę zamknęła się w domu i przeżywa załamanie, a ja nie mogę nic zrobić, mam za mało czasu, żeby…

Momencik, zastanów się. Krok czwarty: ustalić, ile mam czasu i ile w tym czasie mogę zrobić. Pamiętam seminarium z zarządzania zmianą, na którym prowadzący mówił, że lekarze zajmujący się nagłymi przypadkami, w których liczy się każda sekunda, działają wolniej niż personel z innych oddziałów. Wiedzą, jak długo trwa minuta i ile da się zrobić w tym czasie, i ile więcej można zrobić, jeśli zachowa się spokój.

– W porządku, babciu. Przyjadę i o wszystkim porozmawiamy. Zostań pod jej domem i pukaj, na wypadek gdyby była w środku. A jeżeli usłyszysz coś, co by wskazywało, że jest w niebezpieczeństwie, idź po doktora Piotra, dobrze?

– Dobrze – mówi drżącym głosem babcia.

Przełykam ślinę.

– Babciu… chodzi o tego faceta z internetu. Przelałaś mu jakieś pieniądze?

– Wysłałam mu czek. Czemu tak o to wypytujesz, Leeno? Dlaczego cię to interesuje, nie słyszałaś, co powiedziałam? Marian znowu sobie nie radzi, wyjechała albo się ukrywa, nie chce mnie wpuścić i…

– Wiem. Ale zostało mi dwadzieścia wolnych minut, więc mogę wykorzystać ten czas i zrobić coś, żebyś nie padła ofiarą przekrętu.

– Przekrętu? Co masz na myśli?

– Wytłumaczę ci później – ucinam i odkładam słuchawkę. Mam na ekranie laptopa numer banku babci, więc wybieram numer.

– Halo – mówię do telefonu, kiedy ktoś się zgłasza. – Nazywam się Eileen Cotton, numer mojego rachunku to cztery-pięć-dziewięć-dziewięć-osiem-siedem-jeden. Chciałabym anulować czek.

– Dobrze. Przed autoryzacją dyspozycji muszę tylko zadać kilka pytań o pani dane. Proszę podać datę urodzenia.

– Osiemnasty października tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – odpowiadam najbardziej spokojnym i pewnym siebie tonem, na jaki umiem się zdobyć.

– Teraz to już na pewno kradzież tożsamości – komentuje Fitz.

*

Wreszcie jadę na północ. Siedząca po obu stronach przejścia młoda rodzina gra w scrabble – czuję ukłucie nostalgii, przypominając sobie czasy, gdy moja rodzina też była tak beztroska, nieświadoma tego, co niesie jej przyszłość.

Moje nogi podrygują; mam ochotę pobiegać, ale tkwię uwięziona w pociągu i wlokę się do Yorkshire sto razy wolniej, niżbym chciała.

Wolny wdech. Wolny wydech. Okay. Zgadza się, siedzę zamknięta w wagonie, ale to oznacza, że mam dwie godziny, żeby ułożyć sobie to wszystko w głowie. Przyjmijmy cel, żeby osiągnąć spokój przed Grantham. Mamie nic się nie stało. Mamie nic się nie stało. Mamie nic się nie stało.

W skrzynce odbiorczej pojawia się nowy mail; mam na kolanach otwarty laptop, bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Rebecca zaprasza mnie w piątek na kawę, żeby pogadać o moim powrocie do pracy. Kopia wiadomości została wysłana do Ceci i wzdrygam się na widok jej imienia, choć oczywiście nie wierzę babci, co to, to nie.

Cholera, momencik. Ethan. Nie powiedziałam mu, że wyjeżdżam z Londynu.

Wysyłam mu SMS-a.

Wyjechałam – znowu do Hamleigh –
opowiem ci wszystko później xx

Odpowiedź przychodzi prawie natychmiast.

Leena? Co się dzieje? Wciąż używasz tego telefonu?

A chwilę później:

Możemy pogadać?

Od razu odpowiadam:

Nie mogę teraz rozmawiać, jestem
w pociągu, muszę wracać do Hamleigh,
przepraszam. Nie mogę ci teraz tłumaczyć –
chodzi o moją mamę. xx

Odpisuje.

Dlaczego wysłałaś do Ceci taką wiadomość?
Przecież mówiłaś, że mi wierzysz.

Oblewa mnie zimny pot.

Nie wysł…

Kasuję początek i waham się przez moment. Odnoszę wrażenie, jakby serce przesunęło mi się wyżej i zatrzymało tuż pod gardłem, utrudniając przepływ powietrza; mam płytki oddech.

Otwieram wątek swojej korespondencji z babcią. Przez kilka ostatnich tygodni niewiele pisałyśmy do siebie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak rzadko rozmawiałyśmy.

Babciu, wysłałaś wiadomość do Ceci
z mojego telefonu?

Czekam. Pociąg zatrzymuje się w Wakefield; rodzina obok mnie wysiada, a jej miejsca zajmuje para starszych ludzi, którzy w przyjaznym milczeniu czytają gazety. Wszyscy poruszają się zupełnie normalnie, obracają się bokiem, by przecisnąć się przez przejście, unoszą ręce, żeby zdjąć walizki z półek, ale czuję się jak na planie filmowym. Otaczają mnie statyści i ktoś zaraz krzyknie „Cięcie!”.

Przychodzi odpowiedź od babci.

Przepraszam, Leeno. Chciałam ci pokazać dowód. Wiem, że to będzie bolesne, ale jeżeli się teraz nie dowiesz, później będzie bolało jeszcze bardziej.

Wciągam haust powietrza, wydając przy tym chrapliwy odgłos, który przyciąga wzrok wszystkich współpasażerów. Z trudem wysuwam się zza stolika i wychodzę do przedsionka, po czym znowu patrzę na telefon zamglonymi oczami i piszę, starając się trafić we właściwe litery.

Wyślij mi to, co do ciebie napisała – muszę to zobaczyć.

Czekam na odpowiedź nieskończenie długo. Przypuszczam, że babcia próbuje wykombinować, jak z mojego telefonu przekazać mi odebraną wiadomość, ale w momencie, gdy zamierzam wysłać jej instrukcje, dostaję przepisanego przez nią SMS-a od Ceci.

Leena, bardzo mi przykro. Nie planowałam tego, co się stało. Mogę tylko powiedzieć, że

to jakieś szaleństwo. Jeśli chodzi o Ethana, nie panuję nad sobą.

Znowu ten chrapliwy wdech. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że wyrwał się z moich ust.

Na pewno jesteś załamana. Po pierwszym razie powiedziałam mu, że już nigdy więcej, ale… zresztą nie chcę się usprawiedliwiać. :-)

To oczywiście wszystko jej wina. Fu, jeszcze ten uśmieszek na końcu, jakbyśmy rozmawiały o planach na weekend – Boże, jak ja jej nienawidzę, nienawidzę jej do tego stopnia, że czuję w ustach smak tej nienawiści, czuję, jak ściska mi żołądek. Rozumiem już, dlaczego mężczyźni w filmach walą pięścią w ścianę, gdy się wściekają. Powstrzymuje mnie od tego tylko tchórzostwo i strach przed bólem. Wbijam więc stary kanciasty telefon w lewą dłoń – nie boli aż tak jak rozdarta skóra na knykciach, ale wystarczy. Mój oddech w końcu się uspokaja.

Gdy odwracam telefon, ręka jest sinoczerwona, a ekran informuje o nowej wiadomości od Ethana.

Leena? Porozmawiaj ze mną.

Osuwam się i siadam na podłodze, czując, jak wykładzina drapie mnie w kostki. Czekam na nową falę tego uczucia, ale nie nadchodzi. Jest tylko dziwny bezruch i dystans, jak gdybym obserwowała z boku osobę, która dowiedziała się, że kochany przez nią mężczyzna wyrządził jej najgorszą krzywdę.

Tyle mu dałam. Pozwoliłam, żeby patrzył na mnie, gdy byłam najbardziej poraniona i bezbronna. Zaufałam mu, jak nie ufałam nikomu oprócz rodziny.

Nie mogę uwierzyć… nie wyobrażam sobie, że Ethan… Łapczywie wciągam powietrze do płuc, mrowią mnie dłonie i stopy. Byłam go taka pewna. Taka pewna!

Nie czuję nienawiści do Ceci – to nie jest nienawiść. To prawdziwa nienawiść.

34
Eileen

Na widok Leeny domyślam się, że już zna prawdę o Ethanie. Wydaje się wyczerpana, zgięta pod jej ciężarem.

Mimo woli przypominam sobie dzień, w którym odszedł ode mnie Wade. Był nic niewartym wałkoniem i gdybym miała odrobinę rozsądku, wyrzuciłabym go z domu już wiele lat wcześniej, kiedy mnie jednak zostawił, na początku najbardziej bolało mnie upokorzenie. Właśnie to wtedy czułam: nie złość, ale wstyd.

– Leena, tak mi przykro.

Podchodzi i całuje mnie w policzek, ale patrzy na drzwi domu Marian za moimi plecami i ma w ręce klucz. Obie wahamy się przez sekundę, zbierając się w sobie. Serce kołacze mi jak szalone, jak przez całe popołudnie – wciąż przyciskam rękę do piersi, jak gdybym mogła je

w ten sposób uspokoić. Mam takie mdłości, że żółć podchodzi mi do gardła.

Leena otwiera drzwi. W domu jest ciemno i cicho, więc od razu wiem, że Marian nie ma.

Stoję w progu i staram się z tym oswoić, a Leena ze zmęczoną i poważną twarzą krąży po pokojach i zapala światła.

Marian nie ma w domu, myślę z czymś w rodzaju obojętności. Byłam taka pewna, że ją tu zastaniemy, że nie brałam pod uwagę innych możliwości. Ale jej nie ma. Nie…

– Nie ma jej. – Leena przystaje na środku korytarza. – To dobrze czy źle? Może jedno i drugie? Gdzie ona jest?

Opieram się o ścianę i nagle podskakuję jak oparzona, bo mój telefon i telefon Leeny równocześnie wydają serię ostrych dźwięków. Szybciej ode mnie wyjmuje z kieszeni swój aparat.

> Najdroższa mamo, moja kochana Leeno, przepraszam, że napisanie tej wiadomości zajęło mi trochę czasu. Jestem teraz na lotnisku Heathrow, mój samolot odlatuje za trzy godziny, więc mam dużo czasu na rozmyślania.

Coś, co Leena powiedziała mi wczoraj wieczorem, utkwiło mi w głowie do rana. Powiedziałaś: „Nie umiałabym zrozumieć sama siebie, gdybym nie stała się kimś innym”.

Nie pamiętam, żebym ostatnio przeżyła tak szczęśliwe chwile jak przez kilka ostatnich tygodni. Cieszyłam się, że wróciłaś bardziej, niż potrafię wyrazić – to było cudowne, że znowu mogę się zajmować córką. Mamo, tęskniłam za tobą, ale chyba było mi potrzebne, żebyś zostawiła mnie na jakiś czas i żebym sobie uświadomiła, że gdy nie trzymasz mnie za rękę, potrafię stanąć na własnych nogach. Dzięki twojej nieobecności tym bardziej cię doceniam. Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz.

Ale teraz jestem gotowa na coś nowego. Nie wiem, kim jestem, kiedy nie opłakuję Carli. Nie mogę być tą samą kobietą, którą byłam przed śmiercią córki, zresztą nie chciałabym tego. Dlatego muszę znaleźć nową siebie.

Wzięłam swoją matę do jogi i wyjeżdżam na Bali. Chcę ciszy, chcę poczuć piasek między palcami stóp. Chcę przygody, tak jak

wy przeżyłyście swoje, ale takiej, która będzie tylko moja.

Opiekujcie się sobą nawzajem, kiedy mnie nie będzie, i pamiętajcie, że bardzo was obie kocham xxx

– Bali – mówię w osłupieniu po długiej ciszy.

Leena patrzy obojętnym wzrokiem na oprawione zdjęcie wiszące na ścianie w korytarzu i nie odpowiada.

– Nie rozumiem. – Niespokojnie przewijam wiadomość do początku. – Jest przecież zbyt delikatna i słaba, żeby wybierać się sama w podróż do dalekiego kraju i…

– Nie jest, babciu. – Leena odwraca się, żeby w końcu na mnie spojrzeć. Wolno wzdycha. – Wiedziałabyś o tym, gdybym na bieżąco zdawała ci relację. Wcale nie jest słaba. Przez ostatni miesiąc świetnie sobie radziła.

Nie bardzo w to wierzę, ale bardzo chcę, żeby tak było.

– Naprawdę, babciu. Na pewno myślisz, że nie rozumiałam, jak źle było z mamą, i… – Przełyka ślinę przez ściśnięte gardło. – Masz rację, przez długi czas nie rozumiałam, bo mnie tu nie było i to moja wina. Powinnam cię słuchać, kiedy mówiłaś, że ma trudności ze sobą, a nie myśleć,

że wiem swoje. Ale powiem ci, że kiedy tu byłam, widziałam, jakie robi postępy. Czuła się bardzo dobrze.

– Nie wąt… ale… Bali?! – mówię słabym głosem. – Sama?

Leena uśmiecha się i przechyla głowę w stronę zdjęcia na ścianie.

– Jedzie do swojego szczęśliwego miejsca – wyjaśnia.

Przyglądam się fotografii. Przedstawia kobietę ćwiczącą jogę przed jakąś świątynią. Nigdy nie zwracałam na nią szczególnej uwagi, choć przypominam sobie, że wisiała jeszcze w ich dawnym domu w Leeds.

– Naprawdę sądzisz, że ten samotny wyjazd to dobry pomysł?

– Sądzę, że powinnyśmy go jej doradzić już dawno temu. – Leena podchodzi i gładzi mnie po ramieniu. – To dobry pomysł, babciu, tak jak twój pobyt w Londynie i mój w Hamleigh. Mama musi coś zmienić.

Jeszcze raz czytam wiadomość od niej.

– *Nie umiałabym zrozumieć sama siebie, gdybym nie stała się kimś innym.*

Leena robi zawstydzoną minę.

– Nie pamiętam, żebym coś takiego mówiła. Szczerze mówiąc, byłam trochę wstawiona.

– Powiedziałaś jednak coś podobnego, kiedy myślałaś, że okłamałam cię w sprawie Ethana. – Ruchem ręki powstrzymuję jej protesty. – Nic się nie stało, skarbie. To był szok, potrzebowałaś czasu. Ale mówiłaś, że nie jesteś „jego Leeną”.

– Tak? – Wbija wzrok w swoje stopy.

– Chcę, żebyś była swoją Leeną, skarbie. – Biorę ją za ręce. – Zasługujesz na kogoś, przy kim bardziej będziesz się czuła sobą.

Zaczyna płakać i serce mi się kraje. Żałuję, że nie mogłam jej przed tym uchronić, że nie było innego sposobu.

– Myślałam, że tym kimś jest Ethan. – Opiera czoło o moje ramię. – Ale przez te dwa miesiące… czułam… że wszystko się zmieniło. – Trzęsie się od szlochu.

– Wiem, skarbie. – Głaszczę ją po włosach. – Przez ten ostatni rok bez Carli chyba wszystkie trochę się pogubiłyśmy i musiałyśmy coś zmienić, żeby to zrozumieć.

Bali, myślę, wciąż nie mogąc ochłonąć, podczas gdy Leena płacze w moich objęciach. Nie bardzo wiem, gdzie to właściwie jest, ale na pewno daleko. Marian nigdy nie wyjeżdżała dalej niż na północ Francji. To takie…

To takie odważne z jej strony.

Ktoś puka do drzwi. Leena i ja wahamy się przez moment. Siedzimy w domu Marian, w którym są zapalone wszystkie światła, obie zabeczane, z rozmazanym makijażem. Bóg jeden wie, co sobie pomyśli gość.

– Pójdę otworzyć. – Ocieram policzki.

To Betsy.

– Och, Bogu dzięki. – Łapie mnie za ręce. – Przyszłam, gdy tylko dowiedziałam się, że Marian ma kłopoty.

– Betsy? – odzywa się zza moich pleców Leena. – Chwileczkę. Skąd… jak się dowiedziałaś?

Trzymam za ręce moją najlepszą przyjaciółkę. Wygląda cudownie. Nie widzę żadnej apaszki; ma na sobie szeroką bluzkę w groszki i wygląda w niej jak Betsy Harris, którą znałam dwadzieścia lat temu. Mamy sobie tyle do powiedzenia i przez chwilę trwam w niepewności, aż wreszcie ściska moje dłonie i mówi:

– Och, tęskniłam za tobą, Eileen Cotton.

Tak właśnie jest ze starymi przyjaciółmi. Rozumieją się w lot, nawet jeśli brakuje słów, by wyrazić to wszystko, co powinno się powiedzieć.

– Przepraszam, że mnie nie było, kiedy mnie najbardziej potrzebowałaś. – Szybkim ruchem

dotykam jej policzków. – Okazuje się, że Marian nie stało się nic złego. Wejdź.

– Straż Sąsiedzka – dobiega czyjś głos zza Betsy. W drzwiach ukazują się Penelope i Basil i za moją przyjaciółką wchodzą do środka. Następny jest doktor Piotr, który przystaje na moment, by delikatnie poklepać mnie po ramieniu.

– Wszystko w porządku? – Teraz pojawia się Kathleen. Boże, wszyscy tu są? Tak, Roland właśnie parkuje skuter. – Przyszłam, gdy tylko się dowiedziałam.

– Skąd się dowiedzieliście? – pyta znowu Leena, kompletnie zdezorientowana.

Patrzę, jak gęsiego defilują przed nią, i powstrzymuję uśmiech. Przecież są Strażą Sąsiedzką. Zdobywanie informacji należy do ich zadań.

– Wszystko gra, Eileen? – brzmi znajomy głos. Na progu stoi Arnold i z nietypową dla siebie niepewnością przestępuje z nogi na nogę. Gdy rozmawialiśmy ostatnim razem, wyszedł naburmuszony, ale nie mam siły robić mu z tego powodu wyrzutów.

– Arnold! Wejdź – wita go Leena.

Arnold zerka na mnie pytająco, jakby czekał na pozwolenie.

– Oczywiście, chodź. – Odsuwam się na bok.

Patrzę zaskoczona, jak w drodze do kuchni przelotnie cmoka Leenę w policzek. Wprawdzie wspominał, że czasem spotykają się przy kawie, mimo to dziwnie jest widzieć ich w takiej przyjaźni.

– Jak to się stało, że reszta z nich też tu dotarła? – pyta Leena, kiedy zamykam drzwi. – Przecież Betsy na razie mieszka w Knargill!

– Nie zdziwiłabym się, gdyby w razie prawdziwego zagrożenia Betsy przyjechała autostopem. – Na widok wyrazu twarzy wnuczki lekko się uśmiecham. – Nie masz nic przeciwko temu, skarbie? Że są tu wszyscy? – Głaszczę ją po ręce. – Jeżeli chcesz, żebyśmy na razie zostały same, mogę im powiedzieć, żeby sobie poszli.

– Nie, nie przeszkadzają mi. Chyba. – Niepewnie nabiera tchu. – A tobie? Mama napędziła ci strachu, a potem, kiedy ten cały Howard okazał się…

Wzdrygam się na dźwięk jego imienia. Bardzo starałam się o tym nie myśleć.

– Czyli to nie była… prawda? – Zniżam głos, żeby nie usłyszała mnie Straż Sąsiedzka. Wszyscy krzątają się po kuchni Marian; ktoś nastawił czajnik. Prawdopodobnie zorientowali się już, że Marian nie przeżywa kryzysu zamknięta

w domu, mimo to najwyraźniej nie zbierają się do wyjścia. – Wszystko, co mi opowiadał o swoich uczuciach…

– Ci naciągacze zawsze działają tak samo, babciu – mówi łagodnym tonem Leena. – Są przemili i życzliwi, sytuacja szybko się rozwija i kiedy masz wrażenie, że się zakochują… nagle proszą o pieniądze. A potem o więcej pieniędzy. Miałyśmy naprawdę dużo szczęścia, że udało się to powstrzymać, zanim sprawy zaszły za daleko.

Znowu się otrząsam, a Leena ściska moją dłoń.

– Z początku nie byłam pewna, co myśleć o tym, że jest taki nadskakująco miły i wylewny – przyznaję. – Ale potem przyzwyczaiłam się do tego i wydawało mi się to… całkiem przyjemne. – Wzdycham. – Jestem stara i głupia.

– Wcale nie! Przepraszam, babciu, to moja wina. Powinnam cię trochę lepiej przygotować, zanim sama ruszyłaś w cyberprzestrzeń. Ale tacy naciągacze potrafią okantować każdego.

– Lubiłam go – odpowiadam szeptem. – Czy on w ogóle był prawdziwy? Miał na imię Howard?

– Nie mam pojęcia, babciu. Przykro mi. Wiem, że to okropne uczucie tak się dać oszukać. Mam ich delikatnie wyprosić, żebyśmy mogły o tym

wszystkim spokojnie pogadać? – Leena zerka w stronę kuchni.

Kręcę głową.

– Nie, chcę, żeby tu byli. – Prostuję plecy. – Chodź, po takim dniu, jaki przeżyłaś, to ja powinnam się tobą zająć. Przygotuję gorącą czekoladę, a potem będziesz mogła do woli wypłakać mi się w rękaw.

– A ty w mój, jeżeli chcesz – odpowiada. – Dojrzałam do tego przez te dwa miesiące. – Przytula się do mnie, a potem mówi mi do ucha: – Kiedy kogoś obejmujesz, możesz mu użyczyć rękawa i jednocześnie sama się wypłakać. Rozumiesz?

Po jej głosie poznaję, że się uśmiecha; mówiąc to, śmieje się z siebie, ale mimo wszystko to mówi. Leena sprzed dwóch miesięcy nigdy nie powiedziałaby niczego podobnego.

– Boże, proszę, co się dzieje, gdy spędzam za dużo czasu ze swoją matką – oznajmia Leena, śmiejąc się i płacząc równocześnie. – Zaraz zacznę zbierać jakieś cholerne kryształy.

– Leena! – upominam ją, ale przytulam ją jeszcze mocniej, a gdy opiera policzek o moje ramię, znika ten dziwny dystans, który nas rozdzielił, gdy byłyśmy daleko od siebie.

Znowu rozlega się pukanie do drzwi.

– Ja otworzę – rzuca. – Nastaw czekoladę, babciu.

Idę do kuchni, zerkając przez ramię.

– Leena – słyszę głęboki, opanowany głos. – Wszystko w porządku?

35
Leena

To Jackson. Przystaje na progu; zdjął czapkę i ściska ją w rękach. Patrzę na jego szczerą szeroką twarz, w te dobre niebieskie oczy, na przetartą, wysłużoną koszulę, która jest za ciasna w ramionach. Mam ochotę wpaść w jego objęcia i rozpłakać się z twarzą wtuloną w jego pierś, wydaje mi się jednak, że to nie byłoby rozsądne.

– Wejdź – mówię, odsuwając się w głąb korytarza. – Zeszła się tu już chyba cała wieś.

Prowadzę go do salonu, gdzie członkowie Straży Sąsiedzkiej rozsiedli się na kanapach i fotelach.

Jackson stoi przez chwilę, rozglądając się po pokoju.

– Dlaczego wszystkie miejsca są skierowane w jedną stronę? – pyta.

Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem w kierunku pustego miejsca, gdzie kiedyś stało łóżko Carli. Babcia też patrzy i widzę, jak przymyka oczy, a jej twarz drży ze wzruszenia. Potem zerkam na kosz w rogu, w którym nadal tkwi to okropne stare zdjęcie Carli. Powinnam się wtedy zorientować, jak rozpaczliwie mama pragnie coś zmienić, jak bardzo tego potrzebuje.

Ogarnia mnie znajoma chęć, żeby coś zrobić, to samo przemożne uczucie, które kazało mi się zamienić z babcią na życie.

Może tym razem wystarczy mniej radykalny krok. Ale to musi być coś dla mamy.

– Zróbmy remont – proponuję. Wypowiadam to trochę za głośno. – Zanim wróci mama. Jakiś czas temu wspominała mi, że ma taki zamiar. Możemy to zrobić za nią, kompletnie odnowić dom, nie po to, żeby… usunąć stąd ślady Carli, ale… żeby przygotować miejsce na nową mamę.

Babcia uśmiecha się do mnie.

– Wspaniały pomysł. Mam praktykę w pracach remontowych. Martha nauczyła mnie przeróżnych rzeczy.

– Co tam w ogóle porabiałaś, Eileen? – pyta przyciszonym głosem Penelope. – Wszystko było takie ciekawe?

Babcia splata ręce na kolanach.

– Hm, właściwie nie wiem, od czego zacząć…

*

Zostaję w Hamleigh na noc. Projektuję nowy wystrój domu mamy, rozmawiamy z babcią o tym, co przeżyłyśmy, gdy pomagam się jej rozpakować… robię wszystko, byle tylko nie myśleć o Ethanie. Następnego ranka zrywam się wcześnie, żeby zdążyć pobiegać po wzgórzach – pożyczam od Kathleen parę starych adidasów. Nie ma to jak bieganie w tej okolicy. Jest bosko, a gdy wyłaniam się zza zakrętu swojej ulubionej trasy, z której mogę oglądać panoramę Hamleigh, serce ściska mi się z żalu. I przemyka mi przez głowę myśl, która budzi we mnie strach, bo brzmi: czuję się tu jak w domu.

Ale to nie jest mój dom. Mam swoje życie w Londynie, niezależnie od Ethana – mam pracę, którą muszę utrzymać, mieszkanie, przyjaciół.

Tu też masz przyjaciół, sączy mi do głowy nieustępliwy głosik. Mimo wszystko jadę na stację w Daredale, wsiadam do pociągu do Londynu i wracam do swojego pustego mieszkania, gdzie mam swoje prawdziwe życie, bo tak mi nakazuje rozsądek.

Gdy tylko wchodzę do domu, dopada mnie przygnębienie. Jeszcze gorsze niż poprzednio, bo tym razem nie mam wątpliwości, że mojego życie z Ethanem w tym mieszkaniu już się skończyło. Jest tu poduszka, którą kiedyś kupiłam, gdy byłam z nim w sobotę na Camden Market, miejsce, na którym zwykle siadał przy śniadaniowym blacie; jest rysa na podłodze w miejscu, gdzie wygłupialiśmy się, tańcząc przy jazzie po ciężkim dniu w pracy – a wszystko to już nic nie znaczy. Osuwam się na podłogę i przestaję tamować płacz.

Dalej tam siedzę, kiedy przychodzi Bee.

– Ej! – krzyczy przez drzwi. – Leena, wpuść mnie! – Pauza. – Wiem, że tam jesteś, słyszę, jak płaczesz. Wpuść mnie, co?

Wali pięścią do drzwi.

– Wpuść mnie, Leena, słyszę cię!

Zachowuje się jak mały londyński Arnold. Przechylam się na bok i wyciągam rękę, żeby otworzyć drzwi bez wstawania. Bee wchodzi, rzuca na mnie okiem, po czym wyjmuje butelkę wina z torby z supermarketu.

– Chodź no – mówi, podnosząc mnie za rękę. – Musimy pogadać, czyli musimy się napić.

*

Mniej więcej o pierwszej w nocy Bee i ja kończymy ustalać szczegóły naszego biznesplanu. Ta kluczowa dla naszego życia rozmowa przebiega mniej więcej tak:

– Jest dokładnie tak, jak mówi moja mama. I w ogóle dlaczego to zawsze musi być Londyn? Boże, przecież nawet nie podoba mi się to pieprzone miasto. Bee, podoba ci się to miasto?

– Nie ma tu facetów. – Ma trochę zduszony głos, ponieważ właśnie zwisa głową w dół z kanapy; nogi ma na oparciu, a jej włosy leżą rozsypane na podłodze. – Wszyscy fajni faceci mieszkają w Leeds. Wszyscy fajni faceci. Boże, czy ja mam opiekunkę do dziecka? – Bee siada z okrzykiem zgrozy i łapie się za głowę.

– Jaime jest u twojej mamy – przypominam jej po raz piąty czy szósty, odkąd otworzyłyśmy drugą butelkę.

Opada z powrotem na kanapę.

– Hm… to dobrze.

Pociągam łyk wina. Siedzę na dywanie z szeroko rozłożonymi nogami; trybiki w moim mózgu obracają się jak szalone, chociaż otula go pijacka mgiełka.

– Może po prostu wyjedziemy, Bee? Cholera jasna, może po prostu zabierzemy się stąd i już? Po co my tu zresztą w ogóle jesteśmy?

– Pytasz w sensie… fizoloficznym? – Przymruża oczy i próbuje jeszcze raz. – Filozo… gicznym? – Po czym z wielkim rozbawieniem: – Fiutologicznym?

– Chodzi mi o to, co my w ogóle robimy w Londynie? Kto powiedział, że musimy zakładać firmę właśnie tutaj? – Mocno pocieram twarz, starając się wytrzeźwieć. Mam niejasne wrażenie, że mówię coś bardzo ważnego i że jak świat szeroki, nikt dotąd nie powiedział niczego równie odkrywczego. – I tak skończy się na tym, że będziemy jeździć po całym kraju. A tyle jest do zrobienia w okolicach Leeds, Hull, Sheffield… Chcę być w Yorkshire, tam gdzie mieszka moja rodzina. Chcę spacerować z Hankiem, spotykać się z tym całym towarzystwem, chodzić po tych wzgórzach! Boże, tam mojej duszy chce się śpiewać, Bee! Urządzimy sobie biuro w Daredale. Zobaczysz, spodoba ci się. Bee, Bee, Bee.

Szturcham ją. Zastygła jak głaz.

– O Boże – stęka nagle, zdejmuje nogi z oparcia kanapy i bezwładnie stacza się na podłogę. – Boże drogi, to jest taki świetny pomysł, że zrobiło mi się niedobrze.

*

W ciągu dwóch następnych dni dokładniej ustalamy szczegóły naszego planu – trzeba rozstrzygnąć parę kwestii, zwłaszcza jeśli chodzi o ogromne zmiany w życiu Jaime. Ale krok po kroku znajdujemy rozwiązanie wszystkich problemów, więc kiedy idę do siedziby Selmount po raz pierwszy od tamtego okropnego ataku paniki, mam w ręce wypowiedzenie.

Gdy wchodzę do gabinetu Rebekki, obrzuca mnie krótkim spojrzeniem i wzdycha.

– Kurwa mać – wita mnie. – Chcesz odejść z pracy, zgadza się?

– Przykro mi.

– Zawsze musiałam się liczyć z tym ryzykiem, odprawiając cię na dwa miesiące. – Przygląda mi się badawczo. Rebecca powinna nosić okulary, ale w życiu nie przyzna się do tej ludzkiej ułomności, woli mrużyć oczy. – Chociaż muszę powiedzieć, że wyglądasz teraz lepiej. Nic nie może cię skłonić do zmiany zdania?

Uśmiecham się.

– Niestety, nie.

– Dokąd w ogóle wyjechałaś, żeby się samorealizować przez te dwa miesiące? Na Bali? Mam wrażenie, że Bali stało się ostatnio popularne.

Próbuję się nie roześmiać.

– Pojechałam do Yorkshire Dales. Tam mieszka moja rodzina. I tam zamierzam wyjechać, kiedy dokończę tu swoje sprawy. Zamieszkam z babcią, mam nadzieję, a B… – Gryzę się w język i nie wspominam o planach Bee, która chce kupić dom w Daredale dla siebie i Jaime. Ona jeszcze nie złożyła wypowiedzenia. Podejrzewam nawet, że czai się właśnie pod drzwiami, żeby wejść tu zaraz po moim wyjściu.

– Hm. – Rebecca przymruża oczy. – Sprytnie.

Rumienię się, a ona spogląda na mnie znacząco.

– Dziękuję ci – mówię. – Naprawdę. Dziękuję za wszystko.

Zbywa to machnięciem ręki.

– Jeżeli naprawdę chcesz mi podziękować, daj z siebie wszystko przez najbliższe dwa miesiące – odpowiada. – Aha, powiedz też swojemu byłemu chłopakowi, żeby przestał się obijać, gdy powinien zajmować się klientami.

– Ethanowi?

– Od siódmej rano snuje się przy twoim biurku.

Krzywię się, a Rebecca wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Powiedziałam mu, że wyznaczyłam cię do pracy nad projektem w Milton Keynes.

Przypuszczam, że w tym momencie próbuje ustalić właściwy adres, żeby wysłać pudełko czekoladek.

– Dzięki – rzucam z nutą znużenia w głosie. – Chyba stara się naprawić szkodę. Tylko że… czekoladki tu nie wystarczą.

Ktoś cicho puka do drzwi i do gabinetu zagląda Ceci. Sztywnieję. Patrzymy na siebie i widzę, jak rumieniec przepływa jej z szyi na policzki.

– Super, że wróciłaś, Leena – bąka nerwowo. – Przepraszam, że przeszkadzam. Może… przyjdę później.

Przyglądam się, jak zmyka. Serce mi wali, trochę ze wstrętu, trochę z powodu adrenaliny. Jakiś głęboko ukryty głos instynktu kazał mi rzucić się na nią z pazurami, ale skoro uciekła, cieszę się, że nie zobaczyła, jaką odrazę we mnie budzi. Niech zwiewa przede mną przez dwa miesiące na tych idiotycznie długich nogach. Nie zasługuje na to, żeby poświęcać jej nawet odrobinę uwagi.

– Nie wiem, co zrobiłaś, żeby w końcu zdobyć sobie jej szacunek, ale widać, że okazało się skuteczne – zauważa Rebecca, przeglądając plik dokumentów na biurku.

– Chyba poznała moją babcię – mówię. – Prawdopodobnie to tak na nią podziałało.

36
Eileen

Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat idę do domu Betsy.

Temat jej rozstania z Cliffem traktujemy tak, jak zawsze traktujemy sprawy tego rodzaju.

– Herbaty? – pyta, po czym informuje mnie, że w piekarniku czekają na nas babeczki, a później rozmawiamy o tym, jak idzie nasz remont domu Marian.

Ale wtedy przypominam sobie Marthę, gdy zapłakana na kanapie mówiła mi, że czuje się nieprzygotowana do roli matki; Bee, kiedy zwierzała się, jak trudno jej znaleźć mężczyznę; Fitza, który pozwalał mi spisać mu listę zadań i uczyć go gotowania. Myślę o tym, jacy szczerzy i naturalni byli moi londyńscy przyjaciele.

– Jak ci teraz jest, Betsy? – pytam. – Bez Cliffa? Nie wyobrażam sobie, jak się musisz czuć.

Z nieco zaskoczoną miną dolewa mleko do herbaty i miesza, a potem dość powściągliwie odpowiada:

– Jakoś… sobie radzę.

Czekając na więcej, biorę herbatę z tacy i idę do pokoju od ulicy. Nie byłam u niej chyba od… końca lat dziewięćdziesiątych? Wciąż ma ten sam dywan we wzory, ale są nowe meble: komplet dwóch bladoróżowych foteli, które moim zdaniem raczej nie przypadłyby do gustu Cliffowi.

– Najgorsze są wyrzuty sumienia – odzywa się w końcu Betsy, siadając na fotelu. – Nie mogę się pozbyć wrażenia, że powinnam się nim zajmować. – Z lekkim uśmiechem sięga po dżem do babeczki. – I ciągle myślę o tym, jacy przerażeni byliby moi rodzice, gdyby zobaczyli, jak wrzeszczę na męża na oczach wszystkich.

– Ja akurat żałuję, że mnie przy tym nie było. Dopingowałabym cię – zapewniam ją z zapałem.

Uśmiecha się.

– Nasza Leena dzielnie cię zastąpiła.

Jemy babeczki i popijamy herbatę.

– Powinnyśmy były zrobić więcej – mówię. – Dla siebie nawzajem. Powinnam zrobić o wiele więcej, żeby pomóc ci odejść od Cliffa, i bardzo, bardzo cię przepraszam, że tego nie zrobiłam.

Betsy przez chwilę patrzy na mnie zdziwiona, po czym odkłada babeczkę.

– A ja trzydzieści lat temu powinnam ci poradzić, żebyś wyrzuciła Wade'a.

Zastanawiam się nad tym. Prawdopodobnie to by wiele zmieniło. Zawsze sądziłam, że Betsy raczej doradzałaby mi, żebym została z mężem na dobre i złe, tak jak powinno być w małżeństwie.

– Zostało nam parę lat życia – stwierdza po chwili Betsy. – Obiecajmy sobie, że odtąd będziemy się mieszać do swoich spraw w takim stopniu, jaki uznamy za stosowny. Co ty na to, kochana?

– Obiecajmy sobie – zgadzam się, gdy Betsy bierze babeczkę. – Jeszcze herbaty?

*

W następnym tygodniu, wracając z malowania domu Marian, przypadkiem spotykam Arnolda; w weekend była u mnie Leena i udało nam się pomalować prawie wszystkie pokoje na dole, więc dziś tylko kończyłam pozostałości i krawędzie. Mam na sobie najgorsze i najbardziej sfatygowane rzeczy, przetarte stare spodnie i T-shirt, który odsłania

większą część ramion, niż chciałabym pokazywać.

Arnold wita mnie sztywnym skinieniem głowy.

– Serwus, jak się masz, Eileen?

– Świetnie, dziękuję – odpowiadam. Od kiedy wróciłam, obserwuję dziwną sytuację. Pomijając ten pierwszy dzień po przyjeździe, prawie w ogóle nie widuję Arnolda. Ponieważ przez całe lata pojawiał się za oknem mojej kuchni albo wołał do mnie przez żywopłot, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że za tą nagłą nieobecnością coś się kryje.

– To w porządku. No dobrze, będę leciał.

– Arnoldzie. – Łapię go za ramię. – Chciałam ci podziękować. Leena mówiła, jak jej pomagałeś, kiedy byłam w Londynie.

– Powiedziała ci o samochodzie? – pyta, zerkając na moją dłoń na swoim ramieniu. Ma koszulę z krótkimi rękawami i czuję pod palcami ciepło jego skóry.

– O samochodzie?

– Aha. – Jego wzrok prześlizguje się po wklęśnięciu w żywopłocie, które zastanawia mnie od kilku tygodni. – Nieważne. To nie był żaden kłopot. Twoja wnuczka to dobra dziewczyna.

– Masz rację. – Uśmiecham się. – W każdym razie dziękuję.

Odchodzi w stronę swojej furtki.

– To do następnego razu – mówi, a ja podejrzliwie marszczę brwi, bo ostatnio nie ma prawie żadnych następnych razów.

– Wejdziesz?! – wołam za nim. – Na herbatę?

– Nie dzisiaj. – Nawet się nie odwraca; zamyka furtkę i znika, zanim sobie uświadamiam, że nie przyjął zaproszenia.

To irytujące. Mimo że Arnold i ja od zawsze skakaliśmy sobie do oczu, myślałam… zawsze odnosiłam wrażenie… Można to ująć w ten sposób: nigdy nie zapraszałam go na herbatę, ale byłam przekonana, że gdybym go zaprosiła, nie odmówiłby.

Tyle że teraz najwyraźniej coś się zmieniło.

Patrzę na jego dom spod przymrużonych powiek. To jasne, że jeśli coś jest nie tak, Arnold nie zamierza mi o tym powiedzieć w najbliższej przyszłości.

Czasem nie ma innego wyjścia i kogoś tak upartego jak on trzeba przyprzeć do muru.

*

– Coś ty zrobiła?! – ryczy Arnold za moim kuchennym oknem.

Odkładam książkę, starannie wsuwając zakładkę we właściwe miejsce.

– Eileen Cotton! Chodź tu natychmiast!

– Tu, czyli gdzie? – pytam niewinnym głosem, wchodząc do kuchni. – Arnoldzie, proszę konkretniej. Którą stronę okna masz na myśli, tę, po której jestem ja, czy twoją?

Twarz płonie mu z wściekłości. Odrobinę przekrzywiły mu się okulary; mam ochotę otworzyć okno i poprawić mu je na nosie.

– Żywopłot… zniknął.

– Och, żywopłot między naszymi ogrodami? – rzucam beztrosko i sięgam po wiszącą przy zlewie ścierkę, żeby przetrzeć kredens. – Tak. Poprosiłam bratanka Basila, żeby go wyciął.

– Kiedy?! – krzyczy Arnold. – Przecież wczoraj jeszcze rósł!

– W nocy – wyjaśniam. – Twierdzi, że najlepiej pracuje mu się przy świetle latarki.

– Niemożliwe, żeby coś takiego powiedział – odparowuje Arnold, niemal przylepiając nos do szyby. – Kazałaś mu to zrobić w nocy, żebym nic nie wiedział! Jak mogłaś, Eileen?! Teraz nie ma żadnej granicy! Jest tylko… jeden wielki ogród!

– Co, nie wygląda ładnie? – Popisuję się nonszalancją i wycieram wszystkie powierzchnie w kuchni, nie mogę się jednak powstrzymać, by nie zerkać od czasu do czasu na jego purpurową twarz. – Jest o wiele więcej światła.

– Po coś to w ogóle zrobiła? – fuka. – Kiedy chciałem tu postawić zwykłe ogrodzenie, walczyłaś o ten żywopłot jak lwica.

– Tak… wiesz, czasy się zmieniają – wyjaśniam, płucząc ścierkę i uśmiechając się do niego. – Uznałam, że skoro nie kwapisz się do odwiedzania mnie, spróbuję ci to ułatwić.

Arnold wpatruje się we mnie przez szybę. Dzieli nas tylko kilkadziesiąt centymetrów; widzę, jakie wielkie są źrenice w jego orzechowych oczach.

– Boże. – Odsuwa się od okna. – Boże, zrobiłaś to tylko po to, żeby mi zagrać na nerwach, prawda? – Parska śmiechem. – Wiesz co, Eileen Cotton, zachowujesz się jak zadurzony nastolatek. Co teraz zamierzasz? Ciągnąć mnie za włosy?

Zjeżam się.

– Wypraszam sobie! – Nie potrafię się jednak oprzeć i dodaję: – Nie chciałabym ryzykować i szarpać tego, co ci zostało na głowie.

– Jesteś niepoważna!

– Ty też jesteś niepoważny. Najpierw przychodzisz i wyznajesz, że za mną tęskniłeś, a potem zaszywasz się gdzieś i całymi dniami się do mnie nie odzywasz. Co się z tobą dzieje?

– Co się ze mną dzieje? – Szyba pokrywa się parą jego oddechu. – Przecież to nie ja w środku nocy wyrąbałem całkiem dobry żywopłot!

– Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam, Arnoldzie?

– Tak. Naprawdę.

Wrzucam mokrą ścierkę do zlewu.

– Pomyślałam, że to będzie zabawne.

Mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Zabawne?

– Tak. Całe lata kłóciliśmy się o to, co jest czyje, czyje drzewa rzucają cień na czyje rabaty, kto powinien przycinać które krzewy. Ty stawałeś się coraz bardziej gburowaty, ja coraz bardziej uszczypliwa. Wiesz, o co nam naprawdę chodziło przez cały ten czas? Chodziło nam o to, co się stało, kiedy się poznaliśmy.

Arnold otwiera usta i zaraz je zamyka.

– Tylko mi nie wmawiaj, że zapomniałeś.

Zaciska usta w wąską kreskę.

– Nie zapomniałem.

Arnold był mężem Reginy, matki Jacksona. Dziwnej kobiety o kanciastych ramionach, jak

gdyby najbardziej odpowiadał jej styl lat osiemdziesiątych, mocno kręconych włosach i dłoniach zwykle zaciśniętych w pięści. A ja byłam żoną Wade'a.

– Nic się nie stało – przypomina mi Arnold.

Opieram się rękami o blat po obu stronach zlewu. Patrzy na mnie z ramy okna, która ukazuje go od ramion w górę, jak portret.

– Nie – mówię. – Też zawsze tak sobie powtarzałam. Nie ma sensu tego rozpamiętywać. A już na pewno rozmawiać o tym. Bo przecież nic się nie stało.

– Racja – przytakuje.

– Tyle że niewiele brakowało, prawda, Arnoldzie? – Serce bije mi odrobinę za szybko.

Unosi ręce, by poprawić czapkę ogorzałymi, stwardniałymi dłońmi, nadal jednak ma przekrzywione okulary. Powiedz coś, myślę. Powiedz to. Bo rzeczywiście czuję się jak nastolatka – jestem sparaliżowana wstydem i strachem, że usłyszę od niego, że coś sobie ubzdurałam.

– Niewiele brakowało – przyznaje w końcu.

Zamykam oczy i oddycham z ulgą.

Byliśmy wtedy w tej kuchni, niedaleko miejsca, w którym teraz stoję. Przyniósł jabłecznik, który upiekła Regina, i sos do ciasta

w dzbanuszku na mleko; rozmawialiśmy w korytarzu tak długo, że od trzymania talerza rozbolały mnie ręce. Był taki uroczy, robił wrażenie wyjątkowo życzliwego i ujmującego człowieka.

Wade i ja właśnie kupiliśmy Clearwater Cottage. Dom był skromnie umeblowany, niemal się sypał. Arnold i ja przeszliśmy do kuchni – pamiętam, że zanosiłam się śmiechem i czułam się cudownie beztroska – otworzyłam nową lodówkę, żeby schować w niej dzbanuszek z sosem, a kiedy ją zamknęłam, Arnold stał bardzo blisko mnie, kilka kroków od miejsca, w którym teraz jestem. Trwaliśmy tak przez chwilę. Wtedy też waliło mi serce. Bardzo dawno nie czułam takiej beztroski i sądziłam, że już na zawsze zniknęła z mojego repertuaru, jak na przykład umiejętność wykonania skłonu z dotknięciem palców stóp.

Nic się nie stało.

Ale niewiele brakowało. Do tego stopnia, że postanowiłam zrobić wszystko, by Arnold trzymał się jak najdalej od tego domu. Bo składałam przysięgę. Okazało się, że dla Wade'a nic nie oznacza, dla mnie jednak coś znaczyła.

– Przyzwyczailiśmy się do tego, prawda? – mówi Arnold, kiedy otwieram oczy. Lekko się uśmiecha. – Tak cholernie się nie znosimy, że doszliśmy w tym do prawdziwego mistrzostwa.

Nabieram tchu.

– Arnoldzie, chciałbyś wejść?

*

Ostatecznie nie jest to całus skradziony między dwojgiem sąsiadów. To niespieszny, przeciągły pocałunek między przyjaciółmi z bardzo długim stażem, którzy dopiero teraz uświadomili sobie, kim zawsze dla siebie byli.

To niezwykłe wrażenie obejmować ramiona Arnolda i przytulać policzek do jego ciepłej szyi. Wdychać woń mydła i świeżo skoszonej trawy, którymi pachną jego włosy i kołnierzyk. To obce i cudowne uczucie. Znajome i zarazem nowe.

Później, gdy mrowią mnie wargi, siadamy obok siebie na kanapie i patrzymy na to, co zostało z żywopłotu. Arnold się uśmiecha. Wyraźnie tryska energią, jak gdyby jakiś wstrząs pobudził go do życia: siedzi z wyprostowanym jak struna kręgosłupem, a druga ręka – ta, w której nie trzyma mojej dłoni – podryguje na jego kolanach.

– Jasny gwint – mówi. – Pomyśl tylko, co na to powiedzą Betsy i reszta. – Odwraca się do mnie; twarz rozjaśnia mu bezczelny, szatański uśmiech, który upodobnia go do małego chłopca.

– Nie wolno ci pisnąć im ani słowa – nakazuję mu surowo i grożę palcem. – Ani słowa, Arnoldzie.

Łapie mnie za uniesiony palec tak błyskawicznie, że wydaję okrzyk zaskoczenia.

– Ten ton głosu już na mnie nie działa – oznajmia i unosi moją dłoń do ust, by ją pocałować; nie przestaje się przy tym uśmiechać. – Teraz wiem, co naprawdę masz na myśli, kiedy mnie rugasz.

– Nie zawsze – protestuję. – Czasem trzeba cię naprawdę zdrowo zrugać. Jak na przykład po tej historii z królikiem.

– Powtarzam ci po raz ostatni! – Arnold się śmieje. – Nie otrułem tego cholernego królika.

– W takim razie dlaczego zdechł? – pytam zdezorientowana.

– Eileen, to było siedem lat temu. Przypuszczam, że trochę za późno na śledztwo.

– Niech to diabli. Nie cierpię nierozwiązanych zagadek.

– Naprawdę sądziłaś, że to ja?

– Szczerze mówiąc, inna możliwość w ogóle nie przyszła mi do głowy.

Marszczy brwi.

– Masz o mnie tak niskie mniemanie?

Gładzę kciukiem wierzch jego dłoni, rysując linie między śladami, jakimi wiek poznaczył mu skórę.

– Być może chciałam mieć – mówię. – Było mi łatwiej, gdy uważałam cię za ogra. – Unoszę wzrok. – A ty tak świetnie grałeś tę rolę.

– Ty też stworzyłaś wybitną kreację starej harpii – odcina się.

Wychylam się w jego stronę. Pocałunek jest czuły i serdeczny, a usta Arnolda smakują herbatą bez cukru. Do dziś nie wiedziałam nawet, że nie słodzi.

37
Leena

– Jesteś pewna? – pytam zdyszana.

Bee i ja siedzimy na rowerach treningowych – w ciągu sześciu ostatnich tygodni odkryłam, że najlepszym sposobem na stres życia w Selmount są codzienne forsowne ćwiczenia. Siedzenie w klimatyzowanym klubie jest trochę do kitu w porównaniu z bieganiem po Yorkshire Dales – przypomina łykanie witamin zamiast zdrowego jedzenia – ale na razie musi wystarczyć.

– Mam dość twojego wypytywania, czy jestem pewna – odpowiada Bee, zerkając na mnie z boku. – Nigdy nie byłam niczego tak pewna, przyjaciółko.

Moja twarz rozjaśnia się w uśmiechu, zwalniam i prostuję się na siodełku, żeby wytrzeć ją T-shirtem. Potem, dysząc ciężko, idziemy chwiejnym krokiem do szatni.

– Co Jaime myśli o przeprowadzce? – pytam, zmierzając do swojej szafki.

– Nieprzytomnie się cieszy. Podobno w Yorkshire jest mnóstwo skamielin dinozaurów czy czegoś w tym rodzaju. – Bee przewraca oczami, ale mnie nie nabierze.

– Poznała już Mike’a?

– Nie, nie. – Bee marszczy czoło. – Nie wie nawet o istnieniu kogoś takiego jak Mike.

– O istnieniu faceta, dla którego przeprowadzasz się na północ? Jaime nic o nim nie wie?

Trzepie mnie ręcznikiem. Krzyczę.

– Chociaż bardzo się cieszę, że wygrzebałaś się z tej otchłani rozpaczy po-Ethanowej i znowu zaczęłaś się ze mnie nabijać, to byłabyś uprzejma sobie darować? Nie wyprowadzam się na północ dla Mike’a. W zasadzie wyprowadzam się dla ciebie.

Robię skruszoną minę.

– Jasne. Przepraszam.

Idziemy pod prysznic.

– Ale tak się szczęśliwie składa, że Mike też tam będzie – dorzucam bardzo szybko i zamykam się w kabinie.

– W niczym nie jesteś lepsza od swojej babci! – woła Bee przez ściankę.

– Dzięki! – odkrzykuję z uśmiechem i odkręcam wodę, żeby chłosnęła mnie pod pełnym ciśnieniem.

*

Gdy wieczorem wracam do domu, widzę pełno pudeł, a przed telewizorem siedzi łysiejąca właścicielka kota z mieszkania obok i ogląda na Netflixie jakiś krwawy dokument kryminalny.

Przystaję w drzwiach. Przechylam głowę. Obracam się, żeby spojrzeć na Fitza, który stoi w kuchni i nachyla się nad jednym z kartonów, sięgając po otwieracz do butelek.

– Och, to Letitia – wyjaśnia w odpowiedzi na moją zdziwioną minę. – Jesteśmy teraz jak para najlepszych kumpli.

– Ty i ona… – Odwracam się i patrzę na Letitię. – Przepraszam, dzień dobry – mówię, przypominając sobie o dobrym wychowaniu.

Odrywa wzrok od telewizora, wita mnie uprzejmym uśmiechem i zaraz wraca do historii poćwiartowania młodej kobiety. Zerkam na Fitza.

– A te pudła? – pytam go, gdy nie kwapi się z udzieleniem dalszych informacji. – Myślałam, że jeszcze nie znalazłeś sobie nowego lokum.

Ta sprawa stresuje mnie od kilku tygodni. Nic nie wskazuje na to, żeby Fitzowi udało się znaleźć nowych współlokatorów albo inne mieszkanie; po wyprowadzce Marthy i moim wyjeździe na północ nie ma mowy, żeby mógł zapłacić cały czynsz.

– A, tak, rozmawiałem o tym z Eileen – wyjaśnia Fitz, otwierając piwo.

– Z moją babcią Eileen.

– No. – Fitz przygląda mi się, jakbym zdradzała oznaki wyjątkowej tępoty. – Oczywiście. Podsunęła mi pomysł, żebym się wprowadził do Letitii. Ma niesamowite mieszkanie, pełne staroci i antyków. To stamtąd pochodzą wszystkie meble w klubie seniora.

Dwa tygodnie temu miałam okazję pierwszy raz podejrzeć działalność Klubu Srebrnego Pokolenia Shoreditch. Muszę przyznać, że to bezapelacyjnie najbardziej uroczy widok, jaki zdarzyło mi się oglądać, a przecież widziałam Samanthę Greenwood w przebraniu mandarynki. Chimeryczni artyści spod jedenastki prowadzili zajęcia plastyczne, poważna kobieta spod szóstki przywoziła i odwoziła uczestników, a Fitz zaskakująco sprawnie koordynował całość. Naprawdę nie miałam pojęcia, jak wspaniale sobie radzi, kiedy zajmuje się pracą, w której

czuje się ważny. W zeszłym tygodniu złożył podanie o pracę jako menedżer organizacji imprez w dużej instytucji charytatywnej. Kiedy powiedziałam o tym babci, wydała bardzo niebabciny okrzyk radości i zaczęła tańczyć.

– Czyli przeprowadzasz się… do mieszkania obok? Do… Letitii? – pytam, oswajając się z tą wiadomością.

– Doszedłem do wniosku, że najlepszymi współlokatorami są starsze panie – wyjaśnia Fitz. – Zwykle potrafią gotować, bo w latach pięćdziesiątych kobiety musiały się w tym babrać, więc ciągle nieźle dają sobie radę w kuchni. Są szczere do bólu i zawsze mi powiedzą, czy ubrałem się do bani, czy nie… przynajmniej te, które poznałem. Poza tym cały dzień siedzą w domu, a to super układ, kiedy czekasz na dostawę paczki! – Unosi w moją stronę piwo. – Dziękuję, że mnie oświeciłaś, pani Cotton Młodsza.

– Proszę bardzo. – Ciągle myślę o tym, co usłyszałam.

– W co się dzisiaj ubierzesz? – pyta Fitz.

Krzywię się.

– Normalnie poprosiłabym Marthę, żeby coś mi wybrała, ale jak wiesz, jest trochę zajęta.

Wieczorem idziemy na imprezę zaręczynową Marthy i Yaz. Narodziny Vanessy w ciągu paru tygodni najwyraźniej zmieniły Yaz ze zbuntowanej podróżniczki w osobę gotową zaangażować się w związek na pełny etat. Trzymając Vanessę na kolanach, oświadczyła się Marcie i zdążyły mi już w szczegółach opowiedzieć, jak słodko będzie wyglądał strój maleńkiej druhenki.

– Wiesz, że będzie tam Ethan? – pyta Fitz.

Żołądek wywija mi koziołka.

– Niech to szlag. Naprawdę?

Fitz na pocieszenie podaje mi piwo.

– Przykra sprawa. W klasycznym stylu Yaz. Miała go na liście zaproszonych, zanim zerwaliście ze sobą, a potem kliknęła na „Wyślij do wszystkich". Nie ma mowy, żeby nie skorzystał z okazji spotkania z tobą.

Energicznie pocieram twarz.

– Mogę nie iść?

Wydaje wręcz teatralny okrzyk zgrozy.

– Na zaręczyny Marthy i Yaz? Leeno Cotton! Przyjedzie nawet twoja babcia! Z głębokiej głuszy Yorkshire!

– Wiem, wiem… – jęczę. – Dobra, chodź. Musimy znaleźć dla mnie fenomenalną kreację. Do zobaczenia, Letitio! – mówię, gdy

przechodzimy obok niej. – Miło cię było zobaczyć!

– Ciii… – syczy, pokazując na telewizor.

– Mówiłem – rzuca Fitz, kierując się ze mną do mojej szafy. – Szczere do bólu.

38
Eileen

Jadę na przyjęcie. Ale wcześniej odrobinę zbaczam z drogi, żeby kogoś zabrać.

Przez te dwa miesiące dowiedziałam się wielu zaskakujących rzeczy o Arnoldzie. Sypia w jedwabnej fioletowej piżamie, która z powodzeniem mogłaby należeć do garderoby hrabiego z epoki wiktoriańskiej. Kiedy za długo nic nie je, robi się opryskliwy i całuje mnie, gdy mu to wytykam. Uwielbia czytać Dickensa i Wilkiego Collinsa, ale nigdy nie przeczytał żadnej Agathy Christie, dopóki nie zaczął przerabiać listy moich ulubionych książek, którą wstawiłam w serwisie randkowym. Gdy mi o tym powiedział, było to takie urocze, że od razu wzięłam go do łóżka.

Najciekawsze jest jednak to, że Arnold Macintyre jest nieprzebranym źródłem plotek

z Hamleigh. Dzięki jednej ze smakowitszych historii, które mi wyjawił, stoję właśnie przed drzwiami domu Jacksona Greenwooda, w swoim londyńskim kostiumie: skórzanych botkach, spodniach culotte w kolorze butelkowym i jasnokremowym sweterku, który na pożegnanie kupił mi Tod.

– Dzień dobry, Eileen – mówi Jackson, otworzywszy drzwi. Nie wydaje się szczególnie zaskoczony, widząc mnie na progu w szałowej kreacji, ale swoją drogą nie jestem pewna, czy choć raz widziałam, by Jackson był czymkolwiek zaskoczony.

– Mogę wejść? – Trochę to bezceremonialne, ale mam niewiele czasu.

Odsuwa się na bok.

– Oczywiście, proszę. Napiłabyś się herbaty?

– Tak, chętnie. – Maszeruję do salonu, który jest zaskakująco schludny i ładnie urządzony. Odkąd byłam tu ostatni raz, pojawił się niski drewniany stolik; leży na nim grzbietem do góry otwarta książka pod tytułem *Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym*. Na werandzie za bramką zabezpieczającą wejście stoi Hank i z entuzjazmem macha ogonem. Drapię go czule za uszami, uważając, żeby nie nawiązał bliższego kontaktu z moim ślicznym swetrem.

– Z mlekiem i jedną łyżeczką cukru – mówi Jackson, stawiając kubek na korkowej podkładce, kiedy podchodzę do kanapy. Przyznaję, że nigdy bym go nie podejrzewała o korzystanie z podkładek pod kubki. Przesuwam palcem po drewnianym blacie, myśląc o tym, jak mało wiemy o sąsiadach, nawet jeśli jesteśmy wyjątkowo wścibscy.

– Ethan zniknął z horyzontu – informuję go, gdy już usadowiłam się na kanapie.

Jackson zatrzymuje się w połowie drogi do fotela. Chociaż to tylko króciutkie zachwianie, i tak z kubka wycieka parę kropli herbaty i spada na dywan pod stolikiem.

Siada.

– Aha.

– Miał romans z asystentką szefowej Leeny.

Zaciska konwulsyjnie dłonie. Tym razem herbata wylewa mu się na kolana – Jackson przeklina pod nosem i wstaje, żeby pójść do kuchni po ścierkę. Czekam, w zamyśleniu patrząc na jego plecy.

– Leena się dowiedziała? – pyta z kuchni, wciąż odwrócony do mnie tyłem.

– Ja się dowiedziałam. I powiedziałam jej. Od razu z nim zerwała. – Patrzę na swoją herbatę. –

Niewierność to jedyna rzecz, której Leena nie zamierza tolerować.

Posyła mi współczujące spojrzenie. Nie reaguję. Nie przyszłam tu rozmawiać o mnie i Wadzie.

– Jadę do Londynu na przyjęcie, na którym będzie Leena. Pomyślałam, że może będziesz chciał zabrać się ze mną.

– Ja?

– Tak.

Jackson wzdycha.

– Arnold ci powiedział…

– Tak. Chociaż musiałam to z niego wydusić, więc nie miej mu tego za złe.

– W porządku. Zresztą pół wsi już wie, co do niej czuję. Ale… do Londynu? – Jackson drapie się po głowie. – Czy to nie lekka przesada?

– To zależy. Żałujesz, że czegoś jej nie powiedziałeś?

– Tak naprawdę… – siada z powrotem, otaczając kubek gigantycznymi dłońmi, tak że widzę tylko unoszącą się spomiędzy nich strużkę pary – powiedziałem jej na festynie majowym. Co do niej czuję.

– Naprawdę? – Tego Arnold mi nie mówił. – I co ona na to?

– Że nie myśli o mnie w ten sposób.

Hm… To nie zgadza się z wersją Betsy, a jeśli chodzi o kiełkujące uczucia, ufam jej bystremu oku. Plotki, które pochodzą od Betsy, rzadko okazują się nieprawdą.

– Potem było mi wstyd – ciągnie Jackson. – Przecież ma… miała chłopaka.

– No tak. – Ożywiam się. – Tym nie musimy się już martwić, sprawa została szybko załatwiona. – Wyciągam rękę, żeby poklepać go po ramieniu. – Jeżeli nie myśli o tobie w ten sposób, to sam musisz zmienić sposób, w jaki o tobie myśli. Jedź ze mną do Londynu. Ubierz się wystrzałowo. Wiesz, jak na filmach, gdy wystrojona na przyjęcie dziewczyna w zwolnionym tempie schodzi po schodach, bez okularów, ze zrobionymi włosami i odsłoniętą nóżką, a on stoi na dole z otwartymi ustami, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że to ta sama osoba, którą wcześniej widział. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Aha…

– No więc ty musisz być tą dziewczyną. Chodź. Masz jakiś garnitur?

– Garnitur…? Ten, w którym byłem na pogrzebie Daveya.

– Nie masz mniej… pogrzebowej wersji?

– Nie. Ale mam eleganckie spodnie i koszulę… Może być?

– Wystarczy. I umyj włosy, masz w nich pół drzewa.

Zanurza rękę we włosach i po chwili wydobywa z nich zieloną gałązkę jakiejś rośliny.

– O – mówi.

– Weź prysznic i przebierz się, zaraz potem ruszamy. Możemy podjechać na stację w Daredale twoim pick-upem?

– Możemy… ale… – Przełyka ślinę. – To dobry pomysł?

– Doskonały – zapewniam go stanowczo. – No, dalej. Raz-raz.

*

Kiedy wchodzimy, Fitz całuje mnie w policzek, po czym obrzuca zdumionym spojrzeniem Jacksona.

– To jest Arnold? – pyta, łapiąc się za serce.

Wybucham śmiechem.

– To Jackson, pasierb Arnolda. Zakochany w Leenie – dodaję szeptem, chociaż chyba nie tak cicho, jak sądziłam, bo stojąca za Fitzem Martha wydaje głośne „Uuu!” i zanim zdążę się zorientować, łapie Jacksona za ramię i wciąga go w rozmowę, która wyraźnie ma bardzo osobisty charakter.

Salę wypełnia falująca masa ludzi; gdy wchodzimy, krzywię się bezwiednie, bo atakuje mnie tępy łomot muzyki. Impreza odbywa się w barze pod arkadami przy dworcu Waterloo; kłębią się tu elegancko ubrani młodzi ludzie z butelkami piwa w rękach i każdy dźwięk odbija się echem od wysokiego sufitu.

– Jasny gwint… – mruczy obok mnie Jackson, który zdołał się wyrwać z przyjaznych szponów Marthy. – To wygląda…

– Nie przejmuj się. – Klepię go po ramieniu. – Jeżeli nie czujesz się tu najlepiej, wyobraź sobie, jak ja się czuję.

Spogląda na mnie.

– Ty akurat nawet tu pasujesz.

– Wiem – odpowiadam pogodnie. – Chciałam ci tylko poprawić samopoczucie. Chodź, znajdziemy Leenę.

Przepychamy się przez stłoczony na sali tłum; wyglądamy na dość oryginalną parę: starsza pani i młody wielkolud, trzymający się pod rękę. Z przyjemnością stwierdzam, że Jackson prezentuje się całkiem nieźle. Ma rozpiętą pod szyją koszulę, idealnie dopasowaną do szerokich ramion, i choć brązowe skórzane buty są mocno sfatygowane, to ogólny efekt robi wrażenie. Jeśli

dodać czyste włosy i eleganckie spodnie, powinien przyciągnąć wzrok Leeny.

– Eileen?

Odwracam się zaskoczona i widzę przed sobą nieco znękaną twarz Ethana Colemana.

– Co ty tu robisz? – syczę.

Czuję, jak Jackson obok mnie prostuje się, stając się jeszcze wyższy i potężniejszy. Wygląda to niezwykle męsko. Rozglądam się szybko w nadziei, że Leena jest gdzieś w zasięgu wzroku, ale niestety, nie ma jej.

– Przyszedłem dla Leeny – wyjaśnia Ethan. – Eileen, proszę cię, musisz zrozumieć…

– Nic nie muszę – ucinam i pociągam Jacksona za ramię. Równie dobrze mogłabym ruszyć z miejsca kawał betonu. – Chodź.

– Przyjechałeś tu węszyć za Leeną, co? – zwraca się do Jacksona Ethan, pogardliwie krzywiąc usta. – Tak myślałem, jak zobaczyłem cię pierwszy raz. Ale nie jest w twoim typie, stary. A raczej ty nie jesteś w jej typie.

Jackson stoi bez ruchu. Szarpię go za ramię, lecz znowu bez skutku – dosłownie wrósł w ziemię.

– Co to miało znaczyć? – pyta Ethana Jackson.

– Nieważne. – Ethan próbuje nas wyminąć. – Na razie.

Jackson błyskawicznie wyciąga przed siebie rękę i Ethan zderza się z nią, wydając ciche „Au”.

– Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów. – Głos Jacksona brzmi bardzo spokojnie.

Doprawdy pasjonująca scena. Gdzież się podziewa Leena, kiedy jest potrzebna?

– Nie mam ci nic do powiedzenia – odparowuje zniecierpliwiony Ethan. – Zejdź mi z drogi. Chcę znaleźć Leenę.

– Czego od niej chcesz?

– A jak myślisz? – warczy Ethan.

– Spróbuję zgadnąć. Ciągle sądzisz, że masz u niej szanse. Że Leena zmieni zdanie i ci przebaczy. Ona patrzy na ciebie przez palce i prawie wszystko uchodzi ci na sucho, więc nie rozumiesz, dlaczego tym razem miałoby być inaczej.

– W ogóle nie wiesz, o czym mówisz.

Jackson wzrusza ramionami.

– Wydaje mi się, że tu się nie mylisz. Powodzenia… stary… chociaż mam nadzieję, że powie ci, gdzie możesz sobie to wszystko wsadzić. – Odwraca się do mnie. – Idziemy, Eileen?

– Chodźmy – mówię, po czym zanurzamy się z powrotem w tłum, zostawiając Ethana.

– Jak sądzisz, kto pierwszy znajdzie Leenę? – pyta Jackson.

Prycham drwiąco.

– Jestem Eileen Cotton i ona jest Eileen Cotton. Żyłam jej życiem, a ona moim. – Stukam się w głowę. – To szósty zmysł, Jackson. Nie zrozumiesz tego.

– Nie?

– Nie. To jest skomplikowana więź, podobna do czegoś, co łączy…

– Zdaje mi się, że idziemy do baru – zauważa.

– A ty gdzie byś poszedł, gdybyś się dowiedział, że na zaręczyny twojej przyjaciółki przyszła twoja eks? Musi być tutaj albo poprawia włosy przed lustrem w toalecie… Oooch, wygląda przepięknie! – szepczę, gdy widzę ją przy barze.

Ma na sobie długą czarną sukienkę odsłaniającą ramiona; na nadgarstku połyskuje srebrna bransoletka i więcej ozdób jej nie trzeba. Jej włosy wyglądają olśniewająco – są rozpuszczone jak trzeba, bujne i pełne życia.

Zerkam na Jacksona. Wpatruje się w Leenę. Widzę, jak gwałtownie porusza się jego grdyka. Tylko głupiec nie wiedziałby, o czym myśli ten mężczyzna.

– Leena! – woła Ethan, przeciskając się przez tłum z naszej lewej strony.

Przeklinam pod nosem.

– Co za cwana szuja! – syczę i próbuję popchnąć Jacksona naprzód. – Szybko, zanim…

Nie rusza się z miejsca i kręci głową.

– Nie w ten sposób – mówi.

Fukam oburzona, ale zostaję z nim. Leena przy barze opędza się od Ethana. Policzki jej płoną – wstaje i próbuje odejść – w naszą stronę…

– Słuchaj, Ethan. – Obraca się na obcasach zaledwie parę metrów od nas. – Dostałeś ode mnie kredyt zaufania, prawda? Nawet o tym nie wiedziałam, ale ty wiedziałeś. Uznałam, że jesteś tym jedynym. Okazuje się jednak, że ten kredyt się wyczerpał, że są, do cholery, jakieś granice, a ty je przekroczyłeś!

– Leena, posłuchaj…

– Nie wiem, co było gorsze! Czy to, że spałeś z moją arcywredną nemezis, czy to, że wmawiałeś mi, że moja babcia traci rozum! Zdajesz sobie sprawę, jakie to było obrzydliwe?

– Wpadłem w panikę – przekonuje ją przymilnym tonem Ethan. – Nie miałem zamiaru…

– Wiesz co? Wiesz co? Nawet się ucieszyłam, że spałeś z Ceci. Proszę, powiedziałam sobie, dobrze, że mnie zdradziłeś, bo dzięki Bogu

opamiętałam się i uświadomiłam sobie, że w ogóle do mnie nie pasujesz. Już nie, nie do tej mnie, którą teraz jestem. Z nami koniec.

Leena odwraca się, żeby wybiec z baru, i zderza się z Jacksonem.

Zatacza się do tyłu, ale on łapie ją za rękę. Ich oczy się spotykają. Ona ma zarumienione policzki, on rozchylone usta. Tłum wokół nas odpływa na bok, zasłaniając Ethana i zostawiając niewielką wysepkę spokoju. Tylko dla nich dwojga.

No i chyba dla mnie.

– Jackson? – Leena obrzuca go zdumionym spojrzeniem od stóp do głów. – Och, wyglądasz…

Wstrzymuję oddech, łapiąc się za serce. To jest ten moment.

– …dziwnie… – kończy Leena.

– Dziwnie? – wyrywa mi się z ust. – Na litość boską, dziewczyno!

Oboje odwracają się do mnie.

– Babcia? – Leena spogląda to na mnie, to na Jacksona, a potem zerka przez ramię, jakby przypomniała sobie o Ethanie. Podejrzliwie mruży oczy. – Co tu się dzieje?

– Nic – odpowiadam szybko. – Jackson miał ochotę wybrać się do Londynu, więc pomyślałam, że skoro dzisiaj jest przyjęcie i…

Jej oczy zmieniły się w wąskie szparki.

– Słuchajcie – mówię wesoło, gdy z magazynku obok baru wychodzi ktoś z obsługi. – Chodźcie tu na momencik. – Łapię za ręce Leenę i Jacksona i ciągnę. Na szczęście się nie opierają. Prowadzę ich do magazynku.

– Co…? Babciu, dokąd my… i…

Wymykam się z magazynku i zamykam drzwi.

– Załatwione. – Otrzepuję ręce o zielone spodnie culotte. – Moim skromnym zdaniem niewiele kobiet w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat jest tak zwinnych. – Stukam w ramię mężczyznę stojącego w pobliżu. – Przepraszam, czy byłby pan uprzejmy oprzeć się o te drzwi?

– Babciu?! – woła zza nich Leena. – Babciu, co ty wyprawiasz?!

– Mieszam się! – krzyczę radośnie. – To mnie teraz „kręci”!

39
Leena

Schowek jest wyjątkowo ciasny. W dodatku zastawiony regałami, więc o nic nie można się oprzeć; Jackson i ja stoimy bardzo blisko siebie, ale nie dotykamy się, trochę jak ludzie w metrze.

Co babcia sobie wymyśliła? Spuszczam wzrok na swoje stopy, próbując się odsunąć, i muskam włosami koszulę Jacksona. Robi gwałtowny wdech, unosi rękę do głowy i trąca mnie łokciem w ramię.

– Przepraszam – mówimy równocześnie.

Śmieję się. Zdecydowanie zbyt piskliwie.

– To moja wina – odzywa się w końcu Jackson. Ryzykuję i unoszę wzrok, żeby na niego spojrzeć; jesteśmy tak blisko siebie, że muszę wyciągać szyję, by zobaczyć jego twarz. – Nie powinienem dać się jej namówić na ten przyjazd.

– Przyjechałeś… zobaczyć się ze mną?

Pochyla głowę i patrzy na mnie. Prawie dotykamy się nosami. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak bardzo odczuwałam czyjąś fizyczną obecność. Słyszę szelest przy jego każdym ruchu, czuję ciepło bijące od jego ciała kilka centymetrów ode mnie.

– Oczywiście, że tak – mówi i w tym momencie, ni stąd, ni zowąd, znowu zaczyna mi szaleć puls.

Jackson po prostu coś w sobie ma. Nawet z tymi nastroszonymi włosami i zaschniętą pianką do golenia za uchem jest baaardzo seksowny. Ma pewność siebie, z której nie zdaje sobie sprawy, jakby był całkowicie sobą i za nic nie potrafiłby być kimś innym, nawet gdyby chciał.

– Chociaż inaczej wyobrażałem sobie nasze następne spotkanie – dodaje. – Plany zmieniły się w ostatniej chwili. Chyba zostałem wy-Eileenowany.

Jego palce dotykają mojej dłoni. Wydaję głośny syk, a on przygląda mi się uważnie, ale ten syk to nie sprzeciw, tylko reakcja na falę parzącego ciepła, która mnie nagle zalewa, kiedy dotykam jego skóry. Splatam palce z jego palcami, czując się jak uczennica, kiedy wygrała

„siedem minut w niebie” z chłopakiem, w którym podkochiwała się przez całą klasę.

– A co zamierzałeś zrobić? Wcześniej? – pytam. Moja druga ręka znajduje jego dłoń.

– Nie wiedziałem, jak długo będę musiał czekać, zanim pozbędziesz się tego swojego eks. Pomyślałem jednak, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy, i wtedy zamierzałem odczekać jakiś czas…

Jego usta dotykają moich, bardzo delikatnie. To nawet nie jest pocałunek, ale reaguję na to całym ciałem; na przedramionach dostaję gęsiej skórki.

– Na przykład sześć tygodni? – pytam.

– Myślałbym raczej o sześciu miesiącach. Ale okazuje się, że jestem niecierpliwy – szepcze Jackson.

– No więc odczekałbyś pół roku, a potem…

Nasze usta znowu się spotykają w prawie pocałunku, tym razem trochę odważniejszym, ale jego wargi wycofują się, zanim zdążę oddać pocałunek. Przesuwam palce w jego dłoni, przyciągając go bliżej siebie i czując zgrubienia na jego rękach.

– Żaden wstyd – mówi schrypniętym głosem. – Zrobiłbym użytek ze wszystkich dostępnych narzędzi. Kazałbym dzieciom w szkole zaśpiewać

ci *Thinking Out Loud* Eda Sheerana, wysłałbym do ciebie Hanka z bukietem kwiatów w pysku, upiekłbym brownie w kształcie serca. Przypaliłbym je, jeżeli trzeba, bo takie lubisz.

Parskam śmiechem. Wtedy mnie całuje, naprawdę, rozchylając usta i językiem poznając mój smak. Wtapiam się w niego, wciąż trzymając go za obie ręce, i wspinam się na palce, żeby całować go jeszcze mocniej, a potem, kiedy nie mogę się dłużej opierać, zarzucam ręce na te szerokie ramiona i przyciskam się do niego całym ciałem.

Jackson łapie oddech.

– Nie masz pojęcia, ile razy wyobrażałem sobie, jakie to uczucie tak cię obejmować – szepcze, wtulając usta w moją szyję.

Wzdycham, gdy całuje wrażliwą skórę za moich uchem.

– Może też o tym myślałam – wyznaję.

– O? – Czuję, że się uśmiecha. – Czyli jednak też ci się podobałem. Mogłaś mi dać jakiś znak. Cały wieczór miałem cholernego cykora.

Śmieję się.

– Przez te dwa miesiące byłeś… nieznośnie pociągający. Dziwne, że się nie domyślałeś, że się w tobie zadurzyłam.

– Aha, więc po to zgubiłaś mi psa na spacerze i rozwaliłaś szkolny mikrobus?

Przyciskam wargi do jego policzka, czując szorstki dotyk jasnego zarostu.

– Nie. To akurat oznaczało, że byłam do niczego.

Odsuwa się i opiera czołem o moje czoło.

– Nie byłaś do niczego, Leeno Cotton. Nie znam człowieka, który radziłby sobie lepiej od ciebie.

Odchylam się trochę, żeby widzieć jego twarz.

– Jak sądzisz, co robią ludzie, kiedy stracą kogoś bliskiego? – mówi. – Po prostu… żyją dalej, jak gdyby nigdy nic? – Odgarnia mi włosy z twarzy. – Próbowałaś się pozbierać. I dalej próbujesz. Może zawsze będziesz próbowała. Nie ma w tym nic złego. To po prostu będzie zawsze część ciebie, bez której nie byłabyś sobą.

Opieram twarz o jego pierś. Całuje mnie w czubek głowy.

– Słuchaj, opowiedz mi jeszcze o tym, jaki byłem „nieznośnie pociągający”.

Uśmiecham się. Nie umiem wytłumaczyć, jak się czuję przy Jacksonie, ile swobody daje obecność kogoś, kto jest bez reszty sobą, kogoś tak absolutnie prostolinijnego.

– Kiedy tu jesteś, jestem tu razem z tobą. – Patrzę mu w oczy. – A to niesamowite uczucie, bo najczęściej jestem gdzie indziej. Oglądam się za siebie albo patrzę przed siebie, martwię się albo planuję, albo…

Całuje mnie w usta, aż całe moje ciało przenika wibrujący prąd. Mam ochotę zerwać z niego koszulę, poczuć owłosienie na jego piersi, szerokie i twarde mięśnie ramion, policzyć jasne piegi na jego rękach. Ale zamiast tego znowu go całuję, zachłannie, bez tchu, a on robi pół kroku, tak że opieram się o drzwi i czuję, jak przywiera do mnie całym ciałem. Całujemy się jak para nastolatków; on wplata palce w moje włosy, ja zaciskam w dłoniach materiał jego koszuli na plecach.

Nagle drzwi się otwierają i lecimy do tyłu. Przed upadkiem chroni nas ramię Jacksona, który łapie się futryny. Trzymam się go kurczowo; twarz mam przysłoniętą włosami, uszy wypełnia mi huk muzyki. Słyszę też śmiech i radosne okrzyki, ale nawet gdy odzyskuję równowagę, cały czas wtulam twarz w szyję Jacksona.

– Leeno Cotton! – dobiega mnie głos Fitza. – Taka sama z ciebie swawolnica jak z twojej babci!

Śmieję się, a potem odklejam się od Jacksona i odwracam, żeby spojrzeć na otaczający nas tłum. Widzę twarz babci – uśmiecha się do mnie promiennie, trzymając wielką szklankę ginu z tonikiem.

– Zrugasz mnie za to, że się mieszam do nie swoich spraw?! – woła.

Przytulam się do Jacksona, obejmując go w pasie ramionami.

– Wiesz co? Nie mogę ci mieć tego za złe, babciu. Gdybyśmy się zamieniły, zrobiłabym dokładnie to samo.

Epilog
Eileen

Minęło prawie pół roku, odkąd Leena zamieszkała w Hamleigh; osiem miesięcy od wyjazdu Marian. I dokładnie dwa lata od śmierci Carli.

Jesteśmy na lotnisku w Leeds i czekamy na przybycie ostatniej osoby. Leena wszystko zorganizowała: sala komunalna jest udekorowana margerytkami i liliami, ulubionymi kwiatami Carli, w menu mamy zapiekankę pasterską, a na deser brownie. Zaprosiliśmy nawet Wade'a, choć na szczęście zrozumiał, że to tylko gest, i nie przyjął zaproszenia.

Na lotnisku w Leeds zza zakrętu korytarza wypada jak strzała Samantha, przyglądając się gromadzie otaczających nas osób. Od razu dostrzega tatę i pędzi w jego stronę przez tłum,

podrzucając burzą blond włosów. Rzuca się w jego otwarte ramiona.

– Tatusiu! Tatusiu! – krzyczy.

Marigold idzie za córką wolniejszym krokiem. Na jej obronę trzeba dodać, że nikt nie potrafiłby poruszać się szybciej w tych idiotycznych szpilkach.

– Cześć, Leena – mówi i pochyla się, żeby pocałować w policzek moją wnuczkę. Zachowuje się swobodnie, a uśmiech, którym wita Leenę, wygląda na autentyczny.

To wszystko dzięki Leenie. Samantha spędzi tu najbliższe cztery tygodnie i wróci z matką do Ameryki dopiero po Bożym Narodzeniu. Leena przez wiele tygodni pracowała nad Marigold: powoli i cierpliwie starała się ją ugłaskać, delikatnie przekonując do tego pomysłu i usuwając po kolei wszystkie przeszkody. Miesiąc temu byłam przy tym, jak powiedziała Jacksonowi, że Marigold zgodziła się na dłuższe odwiedziny w święta. Jeżeli człowiek może wyglądać na załamanego i ozdrowiałego jednocześnie, to tak właśnie wyglądał Jackson. Przytulił Leenę z taką siłą, że bałam się, czy jej nie udusi, ale tylko się zarumieniła i z uśmiechem nadstawiła twarz, żeby ją pocałował. Nigdy nie czułam większej dumy.

Wracamy do Hamleigh-in-Harksdale w konwoju: na czele jedzie pick-up Jacksona, za nim ja w fordzie ka, Agacie, która dzięki Arnoldowi ma już sprawną klimatyzację. Szczyty wzgórz przykrywa śnieg, który przyprószył też kamienne murki przecinające pola i łąki. Czuję głęboką i gorącą miłość do tego miejsca, które zawsze było moim domem, i patrzę, jak Leena uśmiecha się do Yorkshire Dales, kiedy mijamy tablicę *Witamy w Hamleigh-in-Harksdale*. To teraz też jej dom.

Gdy przyjeżdżamy na miejsce, Straż Sąsiedzka przygotowuje salę. Witają Marigold i Samanthę jak bohaterki wracające z wojny, co pokazuje, że o nieobecnych myśli się lepiej, bo zanim Marigold wyjechała do Ameryki, Betsy i Basil wygadywali o niej takie rzeczy, jakby była Marią Magdaleną.

– Słuchajcie, zrobiliście to fantastycznie! – woła Leena, podskakując w miejscu.

Betsy, Nicola, Penelope, Roland, Piotr, Basil i Kathleen uśmiechają się do niej promiennie, takie same miny mają stojący za nimi Martha, Yaz, Bee, mała Jaime, Mike i Fitz. Są tu wszyscy – córka Betsy, była żona doktora Piotra, a nawet pan Rogers, ojciec pastorki.

Za nami wchodzi do sali Arnold z naręczem serwetek, które trzeba rozłożyć na długim stole ustawionym pośrodku sali.

– Strzelamy oczkiem na pana Rogersa, co? – pyta, podążając za moim wzrokiem. – Pamiętaj, pewnie nudny w łóżku.

Trzepię go po ramieniu.

– Och, zamkniesz się wreszcie? Nie wierzę, że dałam ci się namówić i pokazałam ci tę listę!

Arnold chichocze i wraca do serwetek. Z uśmiechem patrzę na niego, gdy rusza wzdłuż stołu. *Nie cierpi mnie prawie tak jak ja jego*, napisałam na swojej liście przy nazwisku Arnolda. Ostatecznie okazało się, że tu akurat miałam rację.

– Babciu? Chciałaś powiedzieć parę słów, zanim zaczniemy jeść, prawda? – pyta Leena, gdy wszyscy już siedzą przy stole.

Patrzę w stronę drzwi. Kiedy się odwracam, wyraz jej twarzy jest chyba odbiciem mojej miny – obie robiłyśmy sobie nadzieję. Nie możemy już jednak dłużej odwlekać posiłku.

Odchrząkuję i podchodzę do szczytu stołu. Leena i ja mamy miejsca w środku, a między nami stoi puste krzesło.

– Dziękuję wszystkim za to, że przyszli tu dziś uczcić pamięć naszej Carli. – Znowu odchrząkuję.

To może się okazać trudniejsze, niż przypuszczałam. Kiedy stoję i mówię o swojej zmarłej wnuczce, uświadamiam sobie, że niełatwo będzie powstrzymać płacz. – Nie wszyscy z was ją znali – ciągnę. – Ale pozostali na pewno pamiętają, jaka była radosna i pełna fantazji, jak uwielbiała być zaskakiwana i jak uwielbiała nas zaskakiwać. Myślę, że byłaby zaskoczona, widząc nas tutaj wszystkich. To dobrze.

Pociągam nosem i gwałtownie mrugam.

– Carla zostawiła… nie znam słów, którymi można nazwać wyrwę, jaką zostawiła w naszym życiu. Rana, krater… nie wiem. Wydawało się… wydawało się zupełnie niemożliwe, że mamy dalej żyć bez niej. – Już płaczę i Arnold podaje mi serwetkę. Potrzebuję chwili, żeby się opanować. – Wielu z was wie, że w tym roku Leena i ja postanowiłyśmy wziąć sobie krótki urlop od naszego życia i na jakiś czas zamienić się rolami. To doświadczenie pokazało jej i mnie, że każdej z nas brakuje części siebie. Może ta część odeszła razem z Carlą, a może o wiele dawniej, nie wiem. Musiałyśmy jednak wrócić do siebie… nie tylko jedna do drugiej, ale każda do siebie samej.

Słyszę jakiś hałas w drzwiach. Wstrzymuję oddech. Głowy odwracają się w stronę wejścia.

Nie jestem w stanie tam spojrzeć – nadzieja mnie paraliżuje – ale po chwili słyszę Leenę, która wydaje ni to okrzyk zdumienia, ni to śmiech, i wiem już wszystko.

Marian wygląda zupełnie inaczej. Ma krótko obcięte włosy, zafarbowane na biały blond, który kontrastuje z opaloną twarzą; jest we wzorzystych spodniach, podwiniętych w kostkach, i chociaż ma oczy pełne łez, uśmiecha się. Nie widziałam tego uśmiechu – jej prawdziwego uśmiechu – od tak dawna, że przez chwilę mam wrażenie, jakbym ujrzała ducha. Stoi w drzwiach z ręką opartą o futrynę i czeka.

– Wejdź, mamo – mówi Leena. – Zajęłyśmy ci miejsce.

Po omacku sięgam po rękę Arnolda i łzy niepowstrzymanym strumieniem płyną mi po twarzy, zasnuwając mi mgłą okulary, gdy córka siada na pustym krześle obok mnie. Trochę się bałam, że już nigdy nie wróci do domu, ale jest i uśmiecha się.

Niepewnie nabieram tchu i kontynuuję:

– Kiedy ludzie mówią o stracie kogoś bliskiego, zawsze twierdzą, że nigdy nie będziecie tacy sami, że to was zmieni, zostawi wyrwę w waszym życiu. – Mam głos zduszony od płaczu. – I to niewątpliwie prawda. Ale kiedy

tracicie kochaną osobę, nie tracicie wszystkiego, co wam dała. Coś wam po sobie zostawia.

Chcę myśleć, że kiedy Carla umarła, zostawiła całej swojej rodzinie trochę swojej fantazji, swojej odwagi. Jak inaczej mogłybyśmy dokonać tego wszystkiego, co zrobiłyśmy w tym roku?

Patrzę na Leenę i Marian i z trudem przełykam łzy.

– Kiedy próbowałyśmy sobie radzić – ciągnę – ucząc się, jak bez niej żyć, czułam Carlę tutaj. – Pokazuję na serce. – Dodawała mi ducha, gdy traciłam zimną krew. Mówiła mi, że dam radę. Dzięki niej doszłam do siebie. Mogę teraz powiedzieć z całą pewnością, że jestem najlepszą wersją Eileen Cotton, na jaką mnie stać. I mam nadzieję… mam nadzieję…

Pochylam się, oparta o stół, łzy płyną mi po policzkach. Leena wstaje i unosi kieliszek.

– Za to, że jesteś najlepszą kobietą, jaką możesz być – mówi. – I za Carlę. Zawsze za Carlę.

Wszyscy chórem powtarzają jej imię. Siadam, czując, że drżą mi nogi, i odwracam się w stronę córki i wnuczki. Spoglądają na mnie duże ciemne oczy Cottonów, w których widzę swoje miniaturowe odbicie, a Marian wyciąga ręce i łączy nas ze sobą.

Podziękowania

Czas na podziękowania to dla mnie radość, bo oznacza, że udało mi się napisać drugą książkę! Uf. Nie mówcie ekipie Quercusa, ale wcale nie byłam pewna, że sobie poradzę.

Przede wszystkim nie napisałabym *Zamiany* bez wsparcia Tanery Simons, mojej agentki, która posiadła niezwykłą zdolność zmieniania świata na lepsze za pomocą jednego telefonu. Nie napisałabym też tej książki bez Emily Yau, Christine Kopprasch, Cassie Browne i Emmy Capron, redaktorek pomagających w narodzinach tej powieści, z których każda udoskonaliła ją pod wieloma względami. Szczególne podziękowania dla Cassie, która wzięła tę powieść, gdy ta była jeszcze nieukształtowanym do końca zalążkiem, i obdarzyła ją entuzjastycznym uczuciem – naprawdę dodawałaś mi mnóstwa sił, Cassie.

Wydanie książki, jak wychowanie dziecka, wymaga wysiłku całej wioski, a Quercus jest tak uroczą wioską, że mogłaby rywalizować z Hamleigh-in-Harksdale. Wszyscy stale zdumiewają mnie swoim zaangażowaniem i kreatywnością. Chciałabym szczególnie podziękować Hannah Robinson za to, że zawsze mogłam liczyć na jej szczerość i pomoc, a także Bethanowi Fergusonowi za wielkie marzenia, jakie wiąże z moimi książkami. Jeśli natomiast chodzi o znakomite Hannah Winter i Ellę Patel… Cóż mogę powiedzieć? Bez was, drogie panie, byłabym zgubiona. I to dosłownie. Jesteście mistrzyniami.

Do Tavernerów: ogromnie dziękuję, że przyjęliście mnie, doskonaliliście mój warsztat i okazywaliście takie wsparcie. Peter, dziękuję za cierpliwe odpowiedzi na nieskończenie wiele zawodowych pytań; despotkę Amandę i pozostałe cudowne konsultantki przepraszam, jeżeli uszczknęłam fragmenty waszej pracy, a potem wszystko pomieszałam, bo bardziej pasowało mi do narracji. Takie jest ryzyko, kiedy przyjaźnisz się z pisarką…

Do wolontariuszy i gości klubu seniora Well-Being: to dla mnie wielka radość spotykać się z wami w każdy poniedziałek. Byliście inspiracją

dla mojej książki i życia – mam szczęście, że was wszystkich poznałam.

Dziękuję swoim babciom, Helenie i Jeannine, za pokazanie mi, że kobiety mogą być niewiarygodnie odważne i silne niezależnie od wieku. Tobie, Pat Hodgson, dziękuję za to, że zapomniałaś o swoim ogrodzie, żeby przeczytać pełen literówek wydruk pierwszej wersji tej historii, i dziękuję za entuzjazm, który wzbudziła w tobie bohaterka „z twojego rocznika", jak wspaniale ją nazwałaś. Jesteś dla mnie wielką inspiracją.

Mamo i tato, dziękuję wam, że przypominaliście mi, żebym uwierzyła we własne siły. Sam, dziękuję, że dbałeś o uśmiech na mojej twarzy. Mam ogromne szczęście, że wychodzę za człowieka, który potrafi się śmiać z zabawnej sceny, nawet jeżeli czytał ją już pięć razy… i potrafi pomóc w kwestiach medycznych.

Chcę także podziękować blogerom, recenzentom i księgarzom, którzy robią dużo, by rozgłaszać wszem wobec wiadomości o swoich ukochanych opowieściach. Bez was autorzy byliby zgubieni, jestem wam wdzięczna za wsparcie.

Na koniec dziękuję wam, drodzy czytelnicy, za to, że daliście szansę tej książce. Mam

nadzieję, że zostaliście całkowicie wy-Eileenowani…

Przypisy

[1] Ant i Dec (Anthony McPartlin i Declan Donnelly) – duet brytyjskich komików i gwiazdorów telewizyjnych, bardzo podobnych do siebie brunetów.

[2] Bohater powieści *Stig of the Dump* autorstwa Clive’a Kinga.